

Fantastyka

RYK Walter Jon
Williams

TORNADA

Prószyński i S-ka

Walter Jon Williams

RYK TORNADA

Przełożył
Andrzej Pieńkowski

WARSZAWA 1999

Tytuł oryginału:

VOICE OF THE WHIRLWIND

Steward unosił się w powietrzu, pod niebem koloru mokrych, szarych dachówek. W dole pod nim majaczyła ciemna i niewy-rażna ziemia. Doświadczał ruchu - czegoś w rodzaju szybowania. Jego żołądek reagował skurczem, ilekroć nurkował bliżej leżącej pod nim nieprzeniknionej szarości. Czuł, jak pracują mu nerwy, zwiększając gotowość całego organizmu. Niebo przechyliło się i obróciło.

Na horyzoncie jaśniała luna - ciemnoczerwona pręga, pulsująca jak otwarta przez szrapnel żyła, którą przysłaniał czarny, płynący woal. To nie słońce, uświadomił sobie Steward. Tam coś płonie...

Gdy budził się z tego snu, nigdy nie odczuwał lęku czy zasko-czenia.

Wypoczęty, gotowy do ruchu, tańca, walki. Wiedział, że czymkolwiek było to, do czego szybował pod zim-nym niebem, tego właśnie chciał.

Doktor Ashraf zajmował narożne biuro wysoko w kompleksie szpitalnym. Z dwu stron wlewało się do pomieszczenia jasne nie-bo Arizony. Etienne Njagi Steward siedział na pikowanej leżan-ce i gapił się przez szklane ściany na leżące za Flagstaff góry: trzy szczyty pocięte na kawałki przez rzędy kondekobloków z półprze-puszczalnego szkła, które odbijały wznoszący się teren, niebo, szpital, a także lśniąca nitkę autostrady, zbudowaną z jasnego stopu, która biegła między wieżowcami. Rzeczywistość w lustrza-nych budynkach ulegała zniekształceniu i powieleniu. Stawała się interesująca.

Pomieszczenie było całkowicie dźwiękoszczelne. Nawet szyb-kobieźna linia kolejowa, przebiegająca pod szpitalem, powodowa-ła zaledwie nikłe wibracje szklanych ścian. Steward mógł oglą-dać świat w lustrach, lecz był od niego odizolowany - słyszał je-dynie beznamiętny głos Ashrafa, cichy szum klimatyzacji i odległe drzenie szybkiej kolei. Zastanawiał się, kogo Ashraf chciał w nim widzieć.

Ashraf usiadł na biurku; Steward wiedział, że biurko miało po stronie doktora panel odczytu, podłączony do zainstalowanych w leżance analizatorów zabarwienia emocjonalnego głosu, wskaź-ników tętna i oddechu, a może nawet detektorów śledzących na-pięcie mięśni i wydzielanie potu. Nie widział ich, lecz kiedy ob-racał się w stronę Ashrafa, w oczach doktora odbijały się czer-wone diody.

Stewarda nauczono kiedyś, jak oszukiwać takie maszyny. Pa-miętał długie godziny spędzone w stanie głębokiej hipnozy, pod wpływem narkotyków, mechanizmów biofeedbacku. Nie przycho-dził mu do głowy żaden powód, dla którego miałby użyć tych umiejętności, więc rzadko to robił. Tylko wtedy, gdy mówił o Na-talie. Tłumaczył sobie, że postępuje tak bardziej po to, by zacho-wać spokój, niż by zmylić Ashrafa.

Kiedyś powiedział Ashrafowi o swoim śnie. - Może to wspomnienia z Szeolu? Atak paraplanowy, czy coś w tym rodzaju?

- Wie pan, że to niemożliwe - odparł doktor Ashraf. Stewardowi przychodziło czasem na myśl, że doktor ma w za-nadrzu tyle osobowości, ile jest odbić światła w kondekoblokach i przymierza je jedną po drugiej, jak maski w sklepie - a nuż któ-raś z nich będzie pasowała. Steward nie miał wątpliwości, że oso-ba, która śniła, była dla doktora Ashrafa nie do zaakceptowania. Steward nigdy więcej nie wspomniął o swoim śnie. Na ścianach szpitala wymalowano wąskie paski o intensywnych barwach, odpowiadających kolorystyce bransolet identyfi-kacyjnych noszonych przez pacjentów. Gdyby ktoś zgubił się w gąszczu ruchliwych, wyszorowanych do czysta korytarzy, mógł

odnaleźć drogę za pomocą miniaturowych strzałek na tych kolo-rowych paskach. Zaprowadziłyby go do jego oddziału, gdzie ścia-ny miałyby właściwy kolor i gdzie powitałby go dobrze znany za-pach środków odkażających oraz znajome pielęgniarki. Ich fartu-chy miały również cieniutkie paski w oddziałowym kolorze. Żół-ty oznaczał Oparzenia, czerwony - Intensywną Terapię, uspokaja-jący błękit - Położniczy. Bransoleta Stewarda lśniła przyjemną, jasną zielenią, przypisując go do Oddziału Psychiatrycznego. Był fizycznie sprawny, więc pozwolono mu nosić zwykłe ubra-nie. Gdy wędrował po innych częściach szpitala, zawsze miał dłu-gie rękawy, żeby móc ukryć zieloną bransoletę. Wsuwał ją aż pod pachę.

Nie chciał, by ludzie uważali go za wariata. - W Marsylii rozpętała się wojna między gangami nastolat-ków - powiedział Steward. - Zdarzało się to od czasu do czasu. Należałem do Canards Chronique; byłem z nimi, od kiedy skoń-czyłem dwanaście lat. Paraliśmy się głównie informacją. Niele-galne oprogramowanie, porno na zamówienie. Czasem narkotyki. Pełny zakres usług, określane przez Amerykanów zbiorczym ter-minem juvecrime. Inteligentne były z nas dzieciaki. Przypomnił sobie balkon z kutego żelaza, na którym siedział z jasnowłosą dziewczyną, popijając whisky i patrząc po raz ostat-ni na Morze Śródziemne. Było piękne aż do bólu, bardziej niebie-skie i głębokie niż oczy dziewczyny, bardziej niebieskie niż odbi-cie nieba, które widział przez okno gabinetu Ashrafa. Pamiętał odległy terkot broni automatycznej, rozchodzący się echem wśród pokrytych stiukami domów i betonowych rynsztoków. Pa-miętał - równie dobrze jak własne znużenie - uczucie, że nie chce już tego robić. Zbyt dobrze poznał tę grę. Miał dość manipulowa-nia ludźmi.

Dziewczyna przechyliła głowę, wsłuchując się w dochodzące z oddali dźwięki.

- Wygląda na to, że Femmes Sauvages bronią swojego teryto-rium - powiedziała. - Kto atakuje?

Żtienne sprzedawał tę nowinę na lewo i prawo przez ostatnie dwanaście godzin.

- Skin Samurai - odparł.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Jej nos i policzki nosiły śla-dy oparzeń słonecznych. Spojrzała na niego. - Wejdiesz? - spytała.

Ćtienne Njagi Steward zapalił papierosa.

- D'accord - odparł. Nie brał pod uwagę kolejnego spotkania. - Miałem wtedy ledwie szesnaście lat - powiedział - ale wie-działem już, że w życiu są lepsze rzeczy niż umieranie za kilka budynków w Starej Dzielnicy.

Pociągnięte brylantyną włosy Ashraf a zwisały mu do ramion.

Jego otyła, nieruchoma twarz nie zdradzała zainteresowania.

- Czy właśnie wtedy postanowiłeś się zaciągnąć? - spytał.

- D'accord - odpowiedział Steward.

Steward był bardzo słaby, gdy się obudził. Jakaś maszyna oddychała za niego, a w gardle tkwiła mu rura. Brakowało mu paru rzeczy: implantów, gniazda interfejsu cybernetycznego, kiedyś zainstalowanych z tyłu czaszki. Jego umysł zawierał wspo-mnienia odruchów, których nie potrafił przyporządkować oraz świadomość fizycznej sprawności, która w jakiś niezauważalny sposób nagle wyparowała. W pocie czoła spędzał codziennie dłu-gie godziny nad atlasem, pokonywał kilometry na szpitalnej bieżni taśmowej, rozciągając delikatne mięśnie nóg, barków i ra-mion. Trenował także walkę wręcz w ustronnym rogu sali fizyko-terapeutycznej - ciosy pięścią, kopnięcia i ich kombinacje wyko-nywane raz za razem z chłodną, wypracowaną determinacją. Mężczyźni i kobiety, powracający do względnej sprawności po operacjach chirurgicznych, oraz starszycy, stawiający

pierw-sze niepewne kroki w swoich nowych, młodych ciałach, odwraca-li od niego oczy - nie mogli znieść tej ponurej wściekłości, z ja-ką atakował powietrze, własne wspomnienia i siebie samego. W swym rogu sali powtarzał w kółko te same ruchy - ruchy, które łamały kości, wyłupiały oczy i skręcały karki. Na razie nie wiedział jednak czyje.

Pokój obok Stewarda zajmował mężczyzna imieniem Corso, któremu trafiła się zwariowana mieszanka poczucia winy i para-noi. Obudziwszy się odkrył, że jego wszystkie najgorsze obawy stały się rzeczywistością, że cały świat jego osobowości Alfa roz-padł się na kawałki jak pęknięte lustro i że torturował się tymi kawałkami przez miesiące, aż w końcu rzucił się z mostu. Teraz, gdy powrócił, wszystko trwało nadal, zmieniając się przed jego oczami w ziejący grozą horror, koszmar, który nie mijał. Lekarze próbowali uładzić wewnętrzny świat Corso za pomo-cą leków, by uczynić go znowu łagodnym i zrelaksowanym do cza-su, aż terapia zacznie przynosić efekty. Jednak wrzaski i jęki są-siada wciąż budziły Stewarda każdej nocy. Gdy wrywały się z ciemności, on leżał na swoim łóżku ze wzrokiem wbitym w mięk-ką zasłonę ciemności. Oczami wyobraźni widział jeszcze obraz ze swojego snu - płonący horyzont i niebo, czarniejsze od mroku otaczającego łóżko.

W pokoju za drugą ścianą mieszkało małżeństwo Thornber-gów. Zbili w swoim życiu wielką fortunę i zainwestowali w dwa młode ciała. Większość nocy spędzali kochając się. Wydawali się mili, ale ich rozmowy dotyczyły wyłącznie inwestycji, wyjątko-wych okazji i sportów typu sąuasha lub golfa. Steward nie miał zielonego pojęcia o inwestycjach, a jedyne dyscypliny sportu, ja-kie mogły go zainteresować, musiały wiązać się z hazardem: wy-ścigi, jai alai, australijski futbol strażacki. W poprzednim życiu zazwyczaj łapał je około drugiej rano na pirackich satelitach. Thornbergowie mieszkali w jakimś prezbiteriańskim kondeko-bloku w Kalifornii, gdzie pirackie odbiorniki satelitarne były nie-dozwolone, podobnie jak hazard sportowy, programy informacyj-ne ze złych części świata, pornografia i inne tego typu rzeczy. Ich ciała były młode, lecz umysły podstarzałe. Steward po prostu nie miał im nic do powiedzenia.

Bardzo wielu pacjentów na Oddziale Psychiatrycznym przy-pominało Thornbergów. Wątpił, by kiedykolwiek udało mu się przyjąć tego rodzaju osobowość. Rozważał nawet, czy Ashraf chciał mu coś takiego podsunąć do przymiarki. - Zastanawiał się pan kiedykolwiek, dlaczego pana wybra-li? - zapytał doktor Ashraf.

- Odpowiadałem ich kryteriom - odparł Steward.

- Lecz czy wie pan, o co naprawdę chodziło Coherent Light? - naciskał Ashraf. - Mnóstwo ludzi chciało się do nich dostać. Wy-brali pana spośród wielu. Kształcili, żywili, gościli u siebie, trenowali. Pan i pozostali z Icehawks kosztowaliście ich znacznie wię-cej niż standardowi pracownicy. Nigdy nie zastanawiał się pan dlaczego?

- Chcieli mnie. To starcza za powód.

- Nie czuł pan żadnej lojalności wobec Canards - stwierdził Ashraf. - Ani w stosunku do ich celów, ani ich terytorium. - Etyka Canards nie miała z tym nic wspólnego. To byli świa-domi anarchiści, niemoralni z założenia. Zajmowali się sprzeda-waniem towaru. Nie obchodziło ich, komu sprzedają. - Wiedział pan, że nie chce tego dalej robić. - Niezupełnie tak. Byłem tym zmęczony. Nie pozostało mi już nic... do zaoferowania.

- Poznałem kryteria stosowane w Coherent Light - powie-dział Ashraf. - Są już odtajnione. Nie odbiegają znacząco od stan-dardów dla Polikorporacji Zewnętrznych.

Ashraf miał zwyczaj kłaść końce palców na ustach. Steward nawet nie patrząc, poznawał po

zmienionym brzmieniu głosu dok-tora, że właśnie znówu to robi.

- Szukali ludzi, którzy potrzebowali się czemuś poświęcić - kontynuował Ashraf. - Którzy czuli, że czegoś im brak, jakiegoś wewnętrznego celu. Nie zamierzali nikogo kupować. Szukali by-strych, utalentowanych, takich, którzy sami, z własnej woli, odda-liby serce i duszę dla wszystkiego, pod czym Coherent Light by się podpisała. Icehawks mieli zapłacić pustkę w sobie dążeniami firmy. Wynikiem miała być całkowita lojalność: pozioma, we-wnątrz grupy, i pionowa, w stosunku do Coherent Light. Dlatego właśnie interesowali się ludźmi, którzy pragnęli być lojalni względem czegoś, którzy poszukiwali osobistego zbawiciela. Zba-wiciela o imieniu Coherent Light.

Ashraf przerwał. Steward gapił się na pocięte lustrami góry.

- Co pan o tym sądzi? - spytał Ashraf.

- Sądzę, że znaleźli tego, kogo szukali - odparł. Doktor Ashraf uważał, że zdobywanie przez Stewarda infor-macji o Szeolu nie jest jeszcze wskazane. Steward zaś był cieka-wy i zastanawiał się, czy powinien słuchać Ashrafa w tym wzglę-dzie, czy nie. W końcu poszedł na kompromis i udał się do biblio-teki, by dowiedzieć się czegoś o Mocnych. „Mocni” to tłumaczenie nazwy, jaką obcy stosują wobec sa-mych siebie. Są czteronożni, dwuręczni, zbliżeni wielkością do ku-cyków. Na nagraniach wideo, które obejrzał, poruszali się bardzo szybko, wykonując przy tym dziwne ruchy ciałem, podskoki i na-głe zwroty. Ich język stanowił kombinację cmoknięć, parsknięć i jęków, przypominających brzmienie piszczałek organów, co ra-zem tworzyło coś w rodzaju muzyki; głowy były pozbawione kości, więc nieprzerwanie kołysały się na boki i zapadały w sobie jak balony, które ktoś pompuje, by zaraz potem spuścić powietrze. Steward przyglądał się im zamyślony. Z danych wynikało, że o nich właśnie poszło w tej całej wojnie.

Przejrzał nagrania ostatni raz, po czym wyszedł z archiwum.

Czuł, że na Szeolu niezupełnie o to chodziło. - Co się z nim stało? - spytał Steward. Tego dnia siedział w wyściełanym fotelu, obrócony twarzą w kierunku biurka Ash-rafa. Szklana ściana była za jego plecami.

- Zmarł. Na osiedlu Ricot.

- To wiem. Ale jak?

- Czy to ma dla pana znaczenie?

Miało, pomyślał Steward. Nie był jednak pewien, czy chce by doktor Ashraf wiedział, jak duże jest to znaczenie. Wzruszył więc tylko ramionami. Poczul w sobie zdolność zduszenia tego, co czuł. Użył jej.

- Mogę spotkać ludzi, którzy go znali. Dobrze byłoby wie-dzieć, co mu się przytrafiło.

Ashraf zastanawiał się przez chwilę. Czerwone diody błysz-czały w jego oczach.

- Został zamordowany.

Steward poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w ży-łach. Nie, nie czuł zaskoczenia - to było coś innego. Wiedział, że nie może okazać zbytniego zaciekawienia.

- Jak? - starał się mówić normalnie.

- To nieistotne.

- Kto go zabił?

- Nieznana osoba lub osoby.

Tym razem nie ukrywał zaskoczenia.

- I zginął na Ricot?

-Tak.

- Dziwne. Ricot ma niewielką, kontrolowaną społeczność. Bardzo skuteczną służbę bezpieczeństwa. Znalezienie zabójcy nie powinno być trudne w takim miejscu.

- Jak widać, nie udało im się. On pracował w służbie bezpieczeństwa. Może został zabity w trakcie próby zatrzymania przestępcy.

Oni pewnie to wiedzą, pomyślał Steward. Pewnie wiedzą, a informacja została zablokowana.

Postanowił nie zadawać więcej pytań. Ashraf najwyraźniej tego właśnie oczekiwał.

- Dał pan się wciągnąć w ich program - wyraźna emocja w głosie doktora Ashraf a wprawiła Stewarda w zdumienie. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy doktor ostatnio uzewnętrznił jakiegokolwiek uczucie.

- W Coherent Light nauczono pana sztuk walki i zen - kontynuował Ashraf. - Pewnego rodzaju zen.

- Umysł jak woda - zacytował Steward - działanie bez świadomości znaczenia. Jedność strzały i celu. Perfekcja działania, oddzielona od wszystkiego prócz ducha.

- Programowali pana - powiedział doktor - w sposób dla nich wygodny. Oduczyli wiążać czyny z konsekwencjami, z kontekstem. Zmieniali pana w moralnego imbecyla, robota od brudnej roboty. Szpiegostwa przemysłowego, sabotażu. Od kradzieży, zamachów bombowych i szantażu.

Surowy ton głosu zdziwił Stewarda. Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na doktora. Palce mówiącego dotykały ust, a w oczach był gniew.

- Nie zapominajmy o morderstwie - przerwał mu Steward.

- Tak - odparł Ashraf. - Nie zapominajmy.

- Nigdy nie udawałem kogoś innego - powiedział Steward. - Zawsze szczerze okazywałem, kim jestem. Co ma uczciwość do naszej rozmowy? - Atak na Coherent Light sprawił, że Steward poczuł się spięty. Takie słowa wciąż prowokowały jego lojalność. Zmusił się do odprężenia. Coherent Light już nie istnieje, od dawna nie istnieje. Umysł jak woda, powiedział sobie w duchu. - Zaprogramowano pana, by oddzielał pan moralność firmy od własnej - ciągnął Ashraf. - Jest pan jak zombie. Steward spojrzał na niego z oburzeniem.

- Być może moralność po prostu we mnie śpi - odparł. - Jak na analityka za dużo w panu wojowniczości. - Nie jestem tu po to, by pana analizować. Mam za zadanie ustawić pana na kursie kolizyjnym z rzeczywistością, po czym wypuścić w świat.

Ashraf powoli oparł się dłońmi o blat biurka. Podniósł wzrok na Stewarda.

Umysł jak woda, powiedział sobie Steward. Próbuję zachować spokój.

Nie działało.

- Moja żona wciąż żyje, prawda?

- Mieszka na orbicie. Nie chce pana widzieć. Steward ostentacyjnie wznosił oczy i zapatrzył się w szary sufit.

- Ależ dlaczego?

- Rozmawialiśmy już o tym.

- Wiem, że pan zna prawdę. Ja muszę wiedzieć. Na pewno podała jakiś powód.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, oznaczająca, że Ashraf zastanawia się, jaki wykręt będzie najlepszy, by skłonić pacjenta do zrozumienia i zaakceptowania sytuacji, którą on nazywał „rzeczywistością”. Czy lepiej pozwolić duchowi zaznać ukojenia, czy udawać, że nie istnieje.

- Ona twierdzi - zaczął ostrożnie - że została wykorzystana.

Paskudnie. I nie chce być wykorzystana po raz kolejny. Stewarda ogarnęło podniecenie. Przeczuwał, że dotknął cze-goś istotnego.

- Wykorzystana? W jaki sposób?

- Nic nie wiem na ten temat.

- Czy to słowa drugiej żony? Jak jej tam... Wandis?

Znów krótkie milczenie.

- Tak. Powiedziała, że była manipulowana i że nie chce się z panem widzieć.

- To nie byłem ja.

- Musi pan wypracować swoje własne związki, panie Ste-ward. Przeszłość jest dla pana zamknięta. A Wandis to dla pa-na jedynie imię. Jej osoba nie powinna mieć żadnego znacze-nia.

Coś usilnie ciągnęło myśli Stewarda, wskazując na jakiś istotny punkt.

Gdyby tylko mógł zrozumieć, co to jest.

- To nie byłem ja - powtórzył.

- Spotkałem kogoś - powiedział Steward. - Kogoś sprzed. Miał chęć na papierosa. Rzucił palenie w trakcie kursu przy-gotowawczego w Coherent Light. Uważali, że to mu wyjdzie na dobre.

- Gdzie? - dopytywał się Ashraf. - Kiedy?

- To był przypadek. Spacerowałem po zoo dwa dni temu. Wtedy ją zauważyłem. I ona mnie rozpoznała. Była ze swoją... chyba siostrzenicą.

- Kto to był? - zapytał Ashraf.

- Miała... Ma na imię Ardala. Jej rodzice byli naszymi sąsia-dami w kompleksie Coherent Light w Kingston. W tym czasie ja i Natalie odbywaliśmy tam szkolenie. Ona miała wtedy jakieś trzynaście czy czternaście lat. Nie jestem pewien. Steward widział twarz Natalie - szerokie białe czoło, które nie złapałoby opalenizny, choćby nie wiem jak się starała, ciem-ne włosy okalające mocno zarysowaną szczękę, szerokie kości po-liczkowe, zielone oczy, gruba, wypukła dolna warga. - Tego wieczoru poszliśmy razem na drinka, jak tylko odpro-wadziła tę swoją siostrzenicę do kogoś tam. Porozmawialiśmy so-bie trochę. Ona pracuje w biurze zatrudnienia. - Nie powiedział jej pan?

Natalie siedziała na balkonie z kutego żelaza, a jej twarz prze-słaniał dym z papierosa. Odgłosy strzałów odbijały się echem od ró-żowych stiuków na ścianach.

- Powiedziałem jej, że się rozwiodłem. Odparła, że pewnie dlatego młodziej wyglądam.

Steward niemalże czuł posmak dymu.

- Powinien był jej pan powiedzieć, panie Steward - stwier-dził Ashraf.

- Spytała, czy miałbym ochotę do niej wstąpić - miała oczy Natalie - więc się zgodziłem. - Cała jej reszta stała się Natalie, w dymie, ciemności i ogniu.

- Panie Steward - Ashraf nie krył niezadowolenia - to pierw-szy pana związek poza murami szpitala.

Związek? - przemknęło przez myśl Stewardowi. - Nie wolno panu pozwolić, by związek rozpoczął się od tak fundamentalnego kłamstwa - kontynuował doktor. - Poza tym, nie uważam za zdrowe, by pana pierwsza znajomość tego typu była budowana na przeszłości, która dla wszystkich, z wyjątkiem pana nie istnieje. Lepiej związać się z całkowicie obcą osobą niż przykuwać się jeszcze ściślej do własnego urojenia. Nikt tu nie ma urojeń, odparł w myślach Steward. - I nikt nie jest nieszczęśliwy.

Słowa Ashraf a były brutalne.

- Nie przekonamy tej kobiety, że jest pan oryginałem, praw-da?

Wieżowce miasta rozcinały ciemniejące niebo, odbijając w sobie żar arizońskiego zachodu słońca. Samo słońce pozosta- wało niewidoczne z miejsca, w którym Steward dołączył do spa-cerujących na zewnątrz ludzi. Jego zielona bransoleta spoczywa-ła wsunięta wysoko pod rękaw z jasnoniebieskiej bawełny. Kro-czył wzdłuż klimatyzowanego deptaka, którego przezroczyste sklepienie pokrywały zmieniające się nieprzerwanie artystyczne formy, a podłogę - gołębie odchody. Zielonooka Ardala, z rozwia-nymi jasnobrązowymi włosami zamachała do niego znad morza podskakujących głów. Jej oczy okalał ekstrawagancki makijaż, przypominający wyglądem skrzydła motyla. Ta nowa moda na-rodziła się gdzieś poza orbitą Marsa.

Pocałowali się na powitanie. Doznał lekkiego wstrząsu uświadomiwszy sobie, że ta kobieta jest mu obca. Zastanawiał się, jakim cudem udało mu się zobaczyć Natalie w tych oczach i uśmiechu.

Weszli do baru, w którym wcześniej się umawiali. Ciemne, pluszowe stołki, białe blaty stołów, kelnerki w gorsetach i krót-kich spódniczkach - akcenty stylu sprzed trzydziestu lat, które miały wprowadzać przyjemną atmosferę. W rogu stało zdobio-ne pianino-synteзатор, błyszczące czarnym plastikiem i chro-mowanymi detalami. Stewardowi tu się nie podobało. Owo miejsce kojarzyło mu się z barami, do których ludzie przycho-dzą palić hasz i rozmawiać o inwestycjach. Nie miał najmniej-szej ochoty myśleć o inwestycjach. W pewnym sensie on sam był inwestycją.

Na początek zamówił wierzbkę. Zapłacił za nią tyle, ile fir-ma ubezpieczeniowa pozwoliła mu wydać w ciągu następnych dziesięciu miesięcy. Małe niepokoje wędrowały po powierzchni jego skóry jak elektrostatyczne iskierki. Ardala poprosiła o kie-liszek wina.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął.

Żywo skinęła głową.

- Słucham.

Powiedział jej, a ona potrzęsnęła z niedowierzaniem głową i uśmiechnęła się.

- Niech mnie diabli - odparła. - Nic dziwnego, że wyglądasz tak młodo. Ty jesteś młody.

- Żyję zaledwie trzy miesiące - powiedział. - I masz tylko wspomnienia sprzed piętnastu lat? Sprzed woj-ny i całej reszty?

Steward przytaknął.

- Nazywają go osobowością Alfa, a jego wspomnienia - wspo-mnieniami Alfa. Tak uczą mnie o nim myśleć. Ja jestem Beta. - Cholera - oczy Ardali zwięziły się. - Przez chwilę myśla-łam, że zginął na wojnie... wiesz, razem z innymi. Ale to nie może być prawda, zgadza się? W przeciwnym razie byłbyś star-szy.

- Zginął jakieś osiem miesięcy temu. Na stacji Ricot. Za-mordowano go. Nie znam żadnych okoliczności. Nigdy nie od-świeżono jego zapisu pamięci. Naprawdę dręczy mnie, co się z nim stało.

Wyciągnęła rękę i smukłą brązową dłonią ujęła palce Ste-warda. W jej oczach było zrozumienie.

- To nie miało nic wspólnego z tobą.

- W jakiś sposób miało. Tak czuję.

- A więc pamiętasz jedynie to, co on wiedział tuż przed wy-jazdem. Wciąż jesteś mężem Natalie i tak dalej - powiedziała. Steward wziął głęboki wdech.

- Nie opuszcza mnie myśl... może on po prostu nie chciał, że-bym wiedział o wojnie. O wojnie, którą

przeżył. Chciał oszczędzić mi bólu.

Było bardziej prawdopodobne - i Steward zdawał sobie z te-go sprawę - że dla Alfy nie miało to żadnego znaczenia, albo wręcz zapomniał, że zanim wszystko, na czym mu zależało prze-stało istnieć, zachował wspomnienia na zmiennokrystalicznej ni-ci i złożył część swego ciała w komorze kriogenicznej na wypa-dek własnej śmierci na Szeolu. Dzięki temu Natalie nie została-by wdową i nie utraciłaby przywilejów, które wypływały z faktu bycia żoną jednego z Icehawks.

Przyniesiono drinki. Ardala wyciągnęła szpilkę kredytową ze swojej bransolety i wręczyła ją kelnerce. Steward popijał chiń-ską wierzbkę. W głębi jego gardła płonął ogień. - Co chcesz dalej robić? - spytała.

- Poszukam pracy.

- Jakiego rodzaju?

- Nie wiem. W Coherent Light zdobyłem dość specyficzne umiejętności. Nie wydaje mi się, żeby na współczesnym rynku pracy były szczególnie poszukiwane.

- Może służba bezpieczeństwa?

- To właśnie... robił ten drugi. Alfa. I nie wyszło mu na dobre.

Ardala przygryzła dolną wargę.

- Pomyślę o tym. Jestem pewna, że uda mi się gdzieś cię umieścić.

Steward rozejrzał się nerwowo dookoła.

- Nie podoba mi się tutaj - powiedział. - W każdej chwili ktoś może zacząć grać stare dobre melodie na tym pianinie. To będą stare dobre melodie sprzed dziesięciu lat i ja ich nie będę pamiętał. Czy możemy skończyć drinki i pójść sobie gdzie in-dziej?

Jej wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

- Do mojego mieszkania?

Poczuł, jak jego niepokój rozpuszcza się w głębi żołądka.

- D'accord - odpowiedział.

Spojrzała mu w oczy i dotknęła językiem górnych zębów.

- Do wczorajszej nocy nigdy nie robiłam tego z klonem.

Wierzbka spływała mu ogniem do gardła.

- Na szczęście tę umiejętność wciąż pamiętam.

Gdy wrócił rano do szpitala, czekała na niego policja. Pokój przesłuchań miał ściany pomalowane na różowo, z kasztanowym wykończeniem, i upstrzone rysunkami graffiti, których nikomu nie chciało się zmyć. Steward przypomniał so-bie, iż ktoś kiedyś mu mówił, że różowe ściany podświadomie uspokajają agresywnych ludzi. Stały tam przenośny komputer--rejestrator oraz piętrowa prycza, ustawiona chyba tylko dla de-koracji; w pomieszczeniu czekało dwóch detektywów: Lemercier był młodym, niskim mężczyzną o nerwowym usposobieniu. Wciąż wykonywał nagłe, agresywne gesty i często szczyrzył zęby. Star-szy od niego Hikita zaczynał już siwieć. Nosił krótko przystrzyżo-ne włosy i wydawał się sterany życiem.

Wcześniej próbowali go podejść Mutt i Jeff, ale obaj najwy-raźniej stracili serce do przesłuchania, jak tylko powiedział im, gdzie spędził ostatnią noc.

Hikita pił kawę z piankowego kubka.

- Pana alibi jest prawdziwe - powiedział.

/

- Dziękuję - odparł Steward. - Przynajmniej w tym punkcie jesteśmy zgodni.

- Jako szkolony zabójca wydawał się pan oczywistym podej-rzanym. Poza tym nie było pana tam, gdzie miał pan być. Steward wzruszył ramionami. Nie lubił glin, czy się z nim zga-dzali, czy nie. Taki stary odruch. Lemercier gapił się na niego, wsysając wargi. Jego gniewnie zacięte usta wyglądały teraz jak cienka linia.

- Ma pan jakiegokolwiek przypuszczenia, komu mogłoby zale-żeć na śmierci Ashrafa? - zapytał. - Czy cokolwiek przychodzi panu na myśl?

- Widywałem doktora jedynie pięć do dziesięciu godzin tygo-dniowo i nawet wtedy tylko ja cokolwiek mówiłem. Nie wiem, kogo jeszcze znał. Sprawdźcie w jego papierach. - Nie umarł w ładny sposób, panie Steward. - Lemercier znów szczyrzył zęby. - Przywiązano go do fotela i torturowano. Najpierw czymś bardzo ostrym, jak skalpel. Potem szczypcami. W końcu uduszono go linką. Prawie odcinając mu głowę. Chce pan zobaczyć zdjęcia?

Steward spojrział na niego.

-Nie.

Lemercier nachylił się nad nim. Steward pomyślał o dźwię-koszczelności gabinetu Ashrafa - nikt nie mógł usłyszeć. Krzy-ki doktora nie byłyby głośniejsze od hałasu tej szybkiej kolei. Ktoś to wiedział.

- Przesłuchanie w warunkach polowych - kontynuował Le-mercier. - Tak to nazywali, prawda? Gdy cię uczyli, jak robić takie rzeczy. Wiesz coś o sposobach stosowania szczypców? Steward patrzył mu prosto w oczy.

- Tak - odpowiedział. - Pamiętam lekcję o szczypcach. Ka-zali nam robić notatki.

Patrzył to na jednego detektywa, to na drugiego. - Chcecie na siłę zakończyć tę sprawę, czy co? Sprawdzili-ście przecież moje alibi. Już o tym zapomnieliście? Hikita i Lemercier wymienili nic niemówiące spojrzenia. - Nie możemy sprawdzić papierów Ashrafa - mruknął Hi-kita wpatrując się w kubek z kawą. - Ktoś włamał się do głów-nego komputera' szpitala i wykasował wszystkie jego dane. Mamy tylko notatnik, w którym zapisywał planowane spotka-nia.

- Czy uczyli pana w Icehawks wymazywać pamięć kompute-rów, panie Steward? - odezwał się znowu Lemercier. - Mam wrażenie, że wszystko co wiem, jest już nieaktualne _ odpowiedział Steward.

Przeniósł wzrok na pokrywające różową ścianę graffiti. LOUNGE LIZARDS RZĄDZI. MANX MAN TU BYŁ. Różne da-ty. HECRASEZ L'INFAME. To ostatnie było jego dziełem, stwo-rzonym dwie godziny temu, gdy obserwowano go przez półprze-źroczystą szybę w ścianie. Tak kiedyś brzmiało motto ludzi z Ca-nards.

- Czy zaplanował spotkanie ze mną na ostatnią noc?

-Nie.

- A zatem niewielki macie z tego pożytek, nieprawdaż? - Żcrasez l'infdme - przeczytał spokojnie Hikita. - Spraw-dziłem to w słowniku. Jaką haniebną rzecz chciałby pan wyko-rznić?

- A jaką haniebną rzecz pan ma?

Hikita odstawił swój kubek z kawą.

- Może pan iść - powiedział.

Steward wstał z niewygodnej pryczy, otworzył dźwiękoszczel-ne drzwi i wyszedł na korytarz: żółty i pachnący świeżą farbą. Na zewnątrz szklane wieżowce cięły na paski odbicie gór. Wybrał jeden z lustrzanych kanionów z widokiem na góry i ru-szył nim w kierunku zieleń na horyzoncie.

Zdecydował, że nadszedł czas, by dowiedzieć się więcej o Szeolu.

W szpitalu powiedzieli mu, że minie parę dni, zanim zostanie przydzielony do nowego lekarza. Dali mu kwit do apteki, w razie gdyby odczuwał niepokój. Zrealizował kwit, włożył pastylki do kieszeni i zapomniał o nich. Udał się do biblioteki, gdzie wyszukał wszystko o Wojnach Artefaktowych.

Niewiele przefiltrowało się przez cenzurę Polikorporacji Ze-wnętrzných. Nieliczni przeżyli, a w dodatku ci, co pozostali przy władzy po rozpadzie Polikorporacji, woleli zniechęcać wszystkich, przejawiających objawy zainteresowania. Błędy przeszłości wmiatane pod dywan w atmosferze ogólnego rozgardiaszu. Steward miał przeczucie, że prawda wyglądała gorzej, niż ktokolwiek to sobie wyobrażał. Wojna wybuchła w wyniku prawie równoczesnego odkrycia trzech nowych układów planetarnych. Każdy z nich wypchany był po brzegi ruinami i artefaktami, pozostałymi po nieznanej, obcej, zdolnej do kosmicznych podróży cywilizacji, która zniknęła lub została unicestwiona jakieś tysiąc lat wcześniej - cywilizacji Mocnych, choć wtedy jeszcze nikt tego nie wiedział. Polikorporacje Zewnętrzne, mając monopol na podróże międzygwiazdne, rzuciły się szaleńczo w niezbadaną przestrzeń, by zyskać jak najwięcej nowych technologii i możliwości, wynikających z poznania osiągnięć obcej rasy.

Daleko na peryferiach zasięgu statków kosmicznych wszystkie te plany dość szybko się rozwiązywały, szczególnie na planecie zwanej Szeolem, która krążyła wokół słabej gwiazdy o nazwie Wolf 294. Znalazło się tam naraz szesnaście reprezentacji różnych sił zbrojnych, z których każda dążyła do uzyskania dominacji. Wszystkie były oddalone o miesiące czasu komunikacji od własnych sztabów. To, co zaczęło się jako eksploracja i badania, zdegenerowało się do masowego plądrowania ruin obcych. Dowódcy poszczególnych armii sprzymierzali się i łamali tymczasowe sojusze niezależnie od swoich przełożonych, którzy tworzyli własne tymczasowe związki w odległym Układzie Słonecznym. Każda znaleziona, nieznana dotychczas broń ze starożytnych arsenałów została wydobyta i użyta: broń biologiczna, niszczycielskie roboty, taktyczna broń atomowa; techniki terraformowania pozbawione ich dobroczynnego aspektu i wykorzystywane do zrównania z ziemią dziesiątek tysięcy kilometrów kwadratowych lasów, równin i łąk; przechwytywane i stosowane jako broń planetoidy, wybijające w powierzchni planety ogromne kratery w miejscach, gdzie spodziewano się pozycji wrogich wojsk, a także w celu zniszczenia zdobytych przez nieprzyjaciela łupów, dzięki czemu własne zyskiwały na wartości. Zaistniał tam najgorszy rodzaj niekontrolowanej wojny: ludzie zniszczyli wszystko, po co ich wysłano.

Gdy nadszedł koniec, kilka ocalałych oddziałów wciąż kontynuowało walkę, pozostając w całkowitej izolacji od przełożonych w Układzie Słonecznym, którzy nie potrafili sterować ową wojną z takiej odległości. Podczas gdy w Układzie Słonecznym rozkręcała się spirala bankructw i cięć budżetowych, Mocni, zakończywszy swoje tajemnicze interesy, które kazały im wyjechać, niespodziewanie powrócili do swych zdewastowanych domów. Wojna się skończyła.

Statek Mocnych przywiózł Icehawks z Szeolu, dostarczając ich jak paczkę pod drzwi Ziemi. Coherent Light już dawno spisała na straty, sprzedając ich wszystkich na mocy skomplikowanej umowy z Far Jewel. Uznali ich za martwych i przestali się nimi interesować.

Steward pomyślał przez moment o twarzach, które pamiętał. Pułkownik de Prey. Wright. Freeman. Mały Sereng, rozkrwawiający sobie uroczyście palec za każdym razem, gdy ostrzył swoje kukri. Dragut. Jakaś setka innych. Ilu z nich przeżyło? Garstka - napisano w raportach, lecz nigdzie nie podawano nazwisk. Lata temu. Inni ocaleni mieli czas, by zapomnieć i zacząć żyć od nowa.

Wszyscy z wyjątkiem Stewarda - jego lojalność wciąż ciągnęła ku nieistniejącej już firmie, ku

towarzyszom, którzy dawno nie żyli lub rozproszyli się po świecie, ku dziecku, którego nigdy nie widział i ku kobiecie, którą kochał, lecz z którą przez te piętna-ście lat, których nie pamiętał, zdążył już się rozwieść. Był zagubiony w czasie, zawieszony jak szybowiec pod jedno-stajnie szarym niebem, z nieprzeniknioną czernią w dole i jedy-nym punktem, ku jakiemu może się kierować, w postaci odległej łuny.

Następnego dnia po lunchu w szpitalnej kafeterii wrócił do swojego pokoju. Na łóżku leżała paczka, zwykła koperta z brązo-wego papieru, na której wypisano jego imię. Bez znaczków, więc nie przysłała pocztą. Rozerwał ją i wyjął czarną metalową kasetę wideo mniej więcej wielkości zapalniczki. Zajrzał do koperty. Ni-czego więcej tam nie było.

Włączył wideo i wsunął kasetę do szczeliny. Ekran przez chwilę syczał mglistą szarością, po czym pojawił się głos. Po ple-cach Stewarda przebiegł dreszcz.

- Cześć - powiedział mężczyzna. - Jest parę rzeczy, o których musisz wiedzieć.

Wizualną część przekazu stanowił w całości szum interferen-cyjny. Steward próbował regulować, lecz nie udało mu się uży-skać obrazu.

- Jeśli dotarła do ciebie ta kasetka - kontynuował mówiący - to znaczy, że nie żyję. Dałem ją mojemu przyjacielowi, któremu mogą ufać, że ci ją dostarczy. Nie próbuj go odszukać. Nie zdoła ci pomóc w żaden inny sposób.

Steward podniósł wzrok na ekran. Zobaczył tylko swoje bla-de odbicie w szkle, jak własnego ducha: krzaczaste, ciemne brwi, krótko przystrzyżone włosy, oczy błyszczące mrokiem. - Jestem teraz na Ricot. Pracuję dla Consolidated Systems i biorę udział w czymś bardzo skomplikowanym.. - głos stał się cichszy na sekundę, jakby mężczyzna odwracał głowę od mikro-fonu. Być może zastanawiał się po prostu, jak dużo może mu powiedzieć, lub jak to powiedzieć. Po chwili głos powrócił, głośniejszy niż przedtem. Steward zrobił krok do tyłu. - Rzecz w tym - mówił chrypliwie nieznajomy - że gdy sta-jesz się w pewien sposób ważny, nikomu nie możesz już ufać. To lekcja, której nauczyli się Icehawks na Szeolu. Dlatego, że nasza własna strona w tej wojnie wyszkoliła nas, posłała, po czym po prostu sprzedała.

- A więc, gdy nie możesz już nikomu wierzyć, uczysz się ufać sobie - ciągnął. - Oto, co i ja musiałem zrobić. I gdy oficjalne za-sady, które ci wpoili, ich moralność, wszystko to okazuje się szyte grubymi nićmi... - głos znowu przycichł. Gdy powrócił, przypomi-nał krzyk. Każde słowo wymawiane było z taką intensywnością, że od samego słuchania Stewarda bolało gardło. Cieszył się, że nie widzi twarzy mówiącego, wyprężonych mięśni szyi, oczu, które ten musiał wytrzeszczać w kierunku innego zestawu wideo. - Gdy wszystko to kłamstwa, gdy nie możesz niczego zmienić... cóż, mu-sisz sam dotrzeć do prawdy. Odnaleźć moralność we własnym umy-śle. Rób, co trzeba zrobić. Tak jak ja spróbuję teraz coś zrobić. Steward usłyszał brzęk szkła tuż obok mikrofonu. Mężczyzna przygotowywał sobie drinka. Niezbyt umiejętnie. Steward spoj-rzał na swoje ręce. Nie drżały.

- Wykonuję robotę dla faceta o nazwisku Curzon. On jest tu moim szefem. Zamierzam dostać się do kompleksu Brighter Suns na Weście i coś tam zrobić... coś, co nie wydaje się całkiem słusz-ne. Spodziewam się wejść i wyjść stamtąd bez kłopotów. Teraz słuchaj uważnie.

Ton polecenia przykuł znowu wzrok Stewarda do ekranu. Za-śmiał się z tego nerwowego odruchu.

- Idę, bo tam jest pułkownik de Prey. Właśnie on jest odpo-wiedzialny za to, co stało się na Szeolu. On to wszystko wymyślił. A teraz pracuje po stronie Brighter Suns.

Nie, pomyślał Steward, pułkownik nie mógłby... Czuł, jak za-ciskają mu się pięści, a paznokcie wbijają boleśnie w skórę. Pułkownik mógł. Wytrenował Icehawks, a potem ich sprze-dał. Ten tam... nie kłamałby na taki temat.

Oczy Stewarda płonęły, w gardle czuł ból. Zdrada miała imię. - Lecz nim dostanę pułkownika, muszę najpierw załatwić pa-rę spraw... z którymi nie jest mi wygodnie... o których nie będę mówił w tym nagraniu. Mogę przy tym zginąć, ale myślę, że chy-ba tego uniknę. Wygląda na to, że Curzon całkiem nieźle to wszystko zaplanował.

- Pamiętaj jednak, co mówiłem - ciągnął dalej głos. - To, co mam zamiar zrobić jest ważne dla Curzona, a to oznacza, że nie powinienem wierzyć jego słowom. Poza tym są jeszcze ludzie po-nad nim, którzy mogą okłamywać jego.

Nastąpiła krótka przerwa. Steward usłyszał jakiś odgłos - mę-zczyzna odstawił szklankę na stół w pobliżu mikrofonu. Rozgrzane wideo zaczynało śmierznieć gorącym plastikiem. - Chodzi mi o to, że ja chcę de Preya, a Curzon chce czegoś innego i obaj to wiemy. Dlatego, jak tylko dorwę de Preya, Cur-zon nie będzie miał już nade mną żadnej kontroli, co może ozna-czać, że przestanę być dla niego użyteczny. Może chceć mnie za-łatwić. Jeśli więc skończę jako trup, przyczyni się do tego naj-prawdopodobniej moja własna strona.

Szklanka zaszurała metalicznie przy mikrofonie, jak gdyby mówiący odsunął ją tylko dalej od siebie. Potem była cisza; w tym czasie sięgnął po naczynie i pociągnął długi łyk. Za chwilę znów przemówił - był znużony i bardzo powoli wypowiadał słowa. - Nie wiem, dlaczego ci to wysyłam. Oprócz tego, że chcę po-wiedzieć przepraszam. Za te stracone lata. To chyba tylko po to, żeby... pozostał ślad. Tak myślę.

Znowu cisza. Znowu łyk ze szklanki.

- I jeszcze jedno.

Trzy uderzenia galopującego serca Stewarda.

- Przepraszam, że tak długo to trwało.

Cisza i pstryknięcie. Echo odległego zakończenia sprzed wie-lu miesięcy.

Potem już tylko długi, niekończący się szum.

Tego popołudnia odtwarzał nagranie jeszcze wiele razy. Przez resztę czasu leżał na łóżku, patrząc jak odbite od lustrza-nych okien słoneczne promienie rozciągają się w świetliste palce, wędrujące powoli po doskonale białym suficie. Kilka razy dzwonił telefon. Nie odbierał.

Późnym popołudniem założył dres, ponieważ zamierzał pójść do sali terapeutycznej. Zanim jednak wyszedł, przymocował ka-setę taśmą klejącą do tylnej strony odsuwanych drzwiczek szaf-ki w łazience. Kopertę dwukrotnie przedarł na pół i wyrzucił do kosza w szpitalnym holu.

Terapeuci poszli już do domu. Sala śmierdziała chlorem z ba-senu i rozbrzmiewało w niej echo kroków Stewarda. Zrobił zwy-klą rozgrzewkę i ćwiczenia rozciągające, po czym wszedł na bież-nię. Podkręcił prędkość aż do sprintu. Jego oddech był głośniej-szy od szumu maszyny i kanonady uderzeń stóp. Wydawało mu się, że biegnie w kierunku czegoś. Oddech stał się bólem w płu-cach. Potknął się i wpadł na zimną chromowaną poręcz, ale zdo-łał odzyskać równowagę. Biegł, aż zadziałał automatyczny wyłącz-nik maszyny. Jego ręka wisiała przez moment nad przyciskiem. Potem zszedł na podłogę.

Przez chwilę stał nieruchomo, próbując wyrównać oddech i czekając, aż sala powie mu, co ma dalej robić. Podeszedł do mat i zaczął ćwiczyć ciosy. Najpierw kata, by wejść we właściwy rytm, potem krótkie, szybkie układy. Wyobrażał sobie, że czyjeś ręce próbują go dosięgnąć od tyłu, chwycić i zatrzymać. Robił obroty, parował, trafiał łokciami w kości i palcami w oczodoły. Układy stawały się coraz dłuższe, pewniejsze. Czuł, jak gdzieś w jego brzuchu płonie ogromny piec gniewu, kierując każdym ciosem i kopnięciem. Teraz obrót i przykurzoną przy ciele nogą uderzył błyskawicznie w powietrze. Balansował przez moment na grani-cy równowagi, ale wytrzymał... zaczynał już widzieć nieostro, a w mrocznej opuszczonej sali było coraz ciemniej. Powietrze spływało mu do gardła jak gęsta ciecz. Ciało poruszało się po-słuszne wyuczonym układom. Tylko dzięki temu trzymał się jesz-cze na nogach, walcząc jak tonący z przyływym. Znowu kopnął; na granicy jego zamglonego pola widzenia zamajaczyła twarz lub coś w rodzaju twarzy... krzaczaste brwi, przenikliwe oczy, za nimi tło z gwiazd... Poczuł, że może przeciągnąć po tej twarzy końcami palców, zmiażdżyć ją wyprowadzonym z obrotu kopniakiem. Lecz zniknęła - ta twarz lub cokolwiek to było. Upadł. Mata zderzyła się boleśnie z jego ramieniem, a potem z głową. Galaktyki powstały same z siebie w potokach jasnego światła, tworząc mały wszechświat gdzieś pod jego powiekami. Przekręcił się na plecy i wessał powietrze. Zamrugał oczyma, by zatamować strugi potu, uniemożliwiające mu widzenie. Wyciągnął rękę w kie-runku tego, co zobaczył i czego już nie było. Już niedługo, pomyślał. Wzrok powracał powoli; sala wsiąkała w niego jak wschodzą-ce słońce. Usiadł, potem wstał. Podskakiwał na palcach stóp, cze-kając, aż oddech przestanie świszczeć.

Wrócił do pokoju, zrzucił przepocony dres i wszedł pod prysznic. Jak tylko otoczyła go ciepła mgiełka wody, pojawiło się nie-pokojące przeczucie. Nie, nie zajrzy za drzwi szafki. Dopiero gdy się wytrze. Nie wcześniej. Jakby o to nie dbał. Gdy zajrzał, kasetą była wciąż na swoim miejscu. Oderwał przytrzymując ją taśmę. W koniuszkach palców tańczyła mu sa-tysfakcja. Chwilę potem włożył spodnie i podkoszulek. Kasetę wsunął do tylnej kieszeni. Gdy wyszedł z pokoju i zamykał drzwi na klucz, słyszał, że dzwoni telefon.

Znalazłszy się na zewnątrz budynku, wybrał jeden z lustrza-nych kanionów i ruszył nim w kierunku zamglonej sylwetki odle-głych gór. Był wczesny wieczór. Samochody snuły się po oznaczo-nych kratką ulicach. Ludzie wylewali się z domów, restauracji i spieszyli gdzieś betonowym chodnikiem. Przestrzeń między kon-dekoblokami tętniła ruchliwymi ciałami tłumu, wszyscy byli spragnieni rozrywki, czegoś nowego. W barze szybkiej obsługi Steward kupił plastikową butelkę piwa i superkrewetkę w sosie chili. Zjadł obiad nie przerywając marszu.

Budynki stały się wyraźnie mniejsze. Znajdował się teraz w starej części miasta. Wijące się uliczki przecinał co jakiś czas kawał surowej ziemi, pozostawionej w naturalnym stanie, jakby to był park. Ludzie wydawali się tu inni, jakby weselsi. Pewnie nie mieli tyle pieniędzy. Grali, wymieniali się butelkami. Ste-ward wszedł do sklepu z alkoholem i kupił butelkę starej jałow-cówki, owiniętą w izolację piankową, która utrzymywała niską temperaturę przez wiele dni. Popijał po drodze, rozkoszując się ioświadczeniem wewnętrznego ognia; czuł go nawet w palcach stóp i rąk. Góry były już dobrze widoczne - trzy szczyty ubrane szarość zmierzchu. Ruszył dalej.

Samochody przemykały obok niego po ciemnej ulicy, wyda-jąc z siebie cichy szum, w którym brzmiały śpiewne tony. Masze-rował równym krokiem pod górę. Wszedł księżyc, przeciskając się wąskim sierpem przez gwiazdziste tło satelitów, stacji energe-tycznych i orbitalnych osiedli. Świecił na metalowy cylinder, w którym żyła Natalie wraz ze swym powojennym dzieckiem. Po-wiew zimnego wiatru dotknął twarzy i ramion Stewarda. Powie-trze pachniało sosną.

Po godzinie znalazł się u podnóża gór. Wciąż szedł. Jak tylko zaczynał czuć, że ogień w jego wnętrzu przygasa, popijał z butel-ki jałowcówkę. Otaczająca go ciemność wydawała się namacalna, przyjazna, jak w śpiworze pod namiotem. Między sosnami poja-wiały się czasem światełka odległych domostw, przycupniętych na stoku jak leśne ptaki. Szedł ku księżycowi. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy nie mógł dostrzec wyżej żadnych świateł. Pociągnął dwa solidne łyki jałowcówki i spoj-rzał za siebie. W dole lśniła utkana z klejnotów pajęczyna miasta. Na rogach dachów szklanych wież błyskały czerwone światełka. Gdzieś w oddali jęczały turbiny koleoptera. Usiadł krzyżując przed sobą nogi i pomyślał, że może teraz w jego pokoju dzwoni telefon. Skupił się i wyobraził sobie ten dźwięk. Już prawie tam jestem, pomyślał. Dochodzę blisko centrum. Spoczywająca w tylnej kieszeni spodni kasetą gniotła go w po-śladek. Pociągnął kolejny łyk. Światła płynęły przez mgiełkę wznoszącego się powietrza. W koronach sosen szumiał wiatr, lecz na jego głowie nie poruszył nawet włosa. Odgłos wiatru brzmiał jak milion wiwatujących ludzi, siedzących wokół niego na olbrzy-mim, pogrążonym w mroku stadionie. Wiwatowali na cześć tego, kim stawał się Steward.

Rano, nie ogolony, nie umyty i śmierzący jałowcówką, miał trochę kłopotu z namówieniem kogoś, by podwiózł go z powro-tem do miasta. Przespał noc na sosnowych igłach i pod przykry-ciem z gałęzi, więc włosy i ubranie były uwalane żywicą. Opróż-nioną butelkę napełnił źródlaną wodą, którą popijał przez więk-szość drogi powrotnej do szpitala.

W szumie klimatyzacji swojego pokoju usłyszał głos Ashrafa. Głos protestował. Mówił mu, że musi

zapomnieć wszystko, co wy-daje mu się, że wie, co ma dla niego znaczenie. Namawiał go, by zbudował swoje życie bez odniesień do tej zdeformowanej, kale-kiej przeszłości.

- Pieprz się doktorku - powiedział na głos. - Posiekali cię no-żem na kawałki i założę się, że nawet nie powiedzieli ci dlaczego. Jeśli chcesz odkryć całą prawdę, mówił sobie w duchu, nie trać czasu na zastanawianie się, co jest dobre, a co złe. „Konflik-ty między dobrym i złym to choroba duszy”. Najstarszy wiersz zen. Lubił jego brzmienie. Zadzwoił do Ardali do pracy i powiedział jej, że wypisuje się ze szpitala. - Co się z tobą wczoraj działo? Dzwoniłam do ciebie. Znowu policja?

- Czy mogę zamieszkać u ciebie, zanim nie znajdę jakiejś pracy?

Zaśmiała się.

- Czemu nie? Wpadnij po klucz.

- Dzięki. Będę u ciebie za kilka minut.

Wziął prysznic, przebrał się i spakował. Wszystkie jego rzeczy zmieściły się w niewielkiej sportowej torbie. Postawił ją na łóżku i po raz ostatni rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok zatrzymał się na wideo. Zawahał się. Ręka bezwiednie sięgnęła do tylnej kiesz-e-ni. Przez grubą dzinsową tkaninę wyczuł kształt kasety. Zabij Buddę, pomyślał.

Wsunął kasetę do odtwarzacza i przycisnął klawisz kasowa-nia. Pomyślał o nitkach ze stopu o zmiennej sieci krystalicznej, znajdujących się wewnątrz kasety. Głowica wideo kodowała ich strukturę molekularną. Potem wyobraził sobie, jak wszystkie ato-my zmieniają pozycję i nagranie znika, stając się pustką. Gdy tak wpatrywał się w bezduszną obudowę zestawu wideo, wydało mu się, że jego odbicie dzieli się z nim jakąś tajemnicą. Recepcjonista nie krył zaskoczenia, gdy Steward oświadczył mu, że opuszcza szpital.

- Pańska kuracja nie jest jeszcze zakończona - oświadczył. - Nie jestem chory. Już się dostosowałem. - Steward pod-niósł palce w geście przysięgi. - Naprawdę. - Ależ już za to zapłacono.

- Może wrócę później. Jak coś schrzanię.

Podpisał oświadczenie, że bierze za siebie odpowiedzialność dodał odcisk kciuka. Zanim opuścił szpitalny hol, sięgnął do bransolety, tkwiącej wciąż na lewym nadgarstku. Wsunął pod nią dwa palce, pociągnął. Bransoleta rozciągnęła się jak karmelowy cukierek i pękła. Wrzucił ją do kosza na śmieci, po czym wyszedł na ulicę.

Wokół aż gotowało się od dźwięków. Popołudniowy szczyt.

Świat odbity w jasnym szkle luster.

Steward poczuł się jak w domu.

Minał potężny system ochronny przy wejściu do kondekoblo-ku i zarejestrował się jako gość. Proces ten wiązał się z pozosta-wieniem odcisku kciuka pod zgodą przestrzegania zasad określo-nych w blokowej konstytucji. Jak zwykle, cała sprawa opierała się na koncepcji „opcji samoograniczenia”, która - z tego, co po-trafił zrozumieć - oznaczała, że mieszkańcy godzą się nie myśleć o tych wspólnie uzgodnionych aspektach rzeczywistości, które mogłyby okazać się kłopotliwe. Zauważył, że panowały tu dość liberalne przepisy, zabraniające mu posiadania i rozprowadza-nia broni, niektórych tabletek „rozrywkowych”, określonych ro-dzajów literatury religijnej i politycznej, zakazanego oprogramo-wania i ostrzejszych form widpornu. Zabronione było publiczne obnażanie się, lecz przyzwolono na wspólne zamieszkiwanie. Oglądanie kanałów nieposiadających licencji kondekobloku sta-nowiło podstawę do eksmisji. Steward otrzymał tymczasową prze-pustkę na sześć tygodni. Wsiadł do windy i pojechał na piętro Ardali. Ruszył między niewielkimi pokojami, próbując

zorientować się w ich rozkładzie.

Wystrój mieszkania niewątpliwie świadczył, że jego właścicielka należy do osób pnących się w górę: wyszukane meble, stoliczki z kryształu i stopu, biblioteczka pełna jednakowych, czarnych kaset z drobnymi białymi etykietkami, płaski, ciekło-kryształiczny ekran wideo zawieszony na ścianie. Same ściany po-krywały abstrakcyjne wzory w barwach pustyni - dołożono sta-rań, by nie zawierały żadnej formy artystycznej wypowiedzi. Intencja dekoratora - drobiazgowa abstrakcja wszelkich przejawów osobowości - została poddana ciężkiej próbie przez przedmioty codziennego użytku: ubrania Ardali porozrzucane gdzie popadło, kilka zabawek z jasnego plastiku, należących do jej siostrzenicy i pozostawionych tam, gdzie się nimi bawiła, czyli przy stosie nieopróżnionych popielniczek i zapalniczek, kieliszków do wina z licznymi odciskami palców, nieostrych od-bitek, rozwiązanych do połowy krzyżówek i egzemplarzy perio-dyków „Gals” i „Guys”, z pozaginanymi rogami stron. Po bliż-szym zbadaniu, owe czasopisma okazały się tygodnikami, w któ-rych bezrobotni reklamowali swoje umiejętności. Wśród tego pobojuwiska błąkał się robot do mycia podłogi, przypominają-cy kształtem małego żółwia. Jedynym nieskazitelnie czystym miejscem była kuchnia, której Ardala najwyraźniej nigdy nie używała. Zajrzał do lodówki i znalazł tam jedynie wino i kilka warzyw.

Steward przypomniał sobie meblowanie mieszkania w King-ston, które dzielił z Natalie. Odwiedzili piętnaście sklepów, za-nim zdecydowali się na stół do kuchni - z prostokątnym, przezro-czystym blatem wspartym na jednej skręconej kolumnie z orbi-talnego stopu, która wyglądała na zbyt cienką, by unieść ciężar szkła... To był pierwszy nowy mebel, jaki kupił w całym dotych-czasowym życiu.

Steward i Natalie utrzymywali swoje kolejne mieszkania w nieskazitelnej czystości. Błat stołu zawsze lśnił. Dbalność o przedmioty codziennego użytku stała się dla nich czymś w ro-dzaju żołnierskiej cnoty.

Za pierwszym razem, gdy tu był, nie miał okazji zauważyć śmieci. Gdy weszli, światła były zgaszone i jakoś później też nikt ich nie zapalał. Za drugim razem czuł się poruszony. Wciąż myślał jak Icehawk.

Teraz wcale mu to nie przeszkadzało. Teraz był już kimś zu-pełnie innym.

Przeszedł po dywanie, czując, że podrapał sobie bosc stopy. Głowę wypełniała mu mgła pomysłów, która wciąż nie mogła przyjąć konkretnego kształtu i zamiast tego mieniła się, gęstnia-ła i rozpadała bez jego świadomej woli. Przesuwała się nad tłem pełnym gwiazd.

Błądząc w myślach wyszedł po zakupy. Kupił składniki na ło-sosia en croute i - ponieważ był w odświętnym nastroju - dwie butelki szampana. Nie znalazł kieliszków, więc wziął się za zmy-wanie.

Ardala wróciła do domu oblana potem, który rozmazał jej motyli makijaż i utworzył mokre plamy pod pachami. Gdy Ste-ward nalewał jej do kieliszka szampana, nie przestawała kląć na swojego szefa, falę gorąca, której Steward jakoś nie zauważył, ludzi wychodzących z pracy i beznadziejność tych wszystkich nudnych osób, z którymi jechała w windzie. Rzuciła ubranie w sy-pialni i pijąc szampana puściła do wanny chłodną wodę. Steward, chwyciwszy butelkę, podążył za nią do łazienki. Pachniało tam olejkami, dodawanym do wody. Napełniając kieliszek Ardali

VUllti wvu niiiiuiii'

przyglądał się jej małym, opalonym piersiom, których sutki wyglądały co chwila spod wody, kolanom wynurzającym się jak wyspy oraz pogrążonej w głębinach gęstwinie ciemnych włosów. Odstawił butelkę i zaczął rozpinąć koszulę.

Przypomnił sobie fale, które rozbijały się o jego ramiona, gdy leżał z Natalie na plaży w Port Royal, częściowo osłonięty przez różowe i turkusowe jamajskie łodzie, kołyszące się w ciepłej zatoce... Mniej więcej sto metrów dalej zgromadzenie miejscowych Pięciobrzegowców śpiewało pieśni o wniebowstąpieniu i zbawieniu, o chwale przyjścia Pana. Ich wysokie, przejęte uwielbieniem głosy mieszały się z jękami Natalie. Po drugiej stronie zatoki ziggurat Coherent Light lśnił czernią własnej pychy. Ryby bezboleśnie uderzały ich w nogi. Tamta noc wydawała się pełna miłości i wiary w przyszłość. Pod nimi leżał Port Royal Henry'ego Morgana, wzniesiony z pirackich łupów i pirackiej dumy, które wsteczny powiew historii zepchnął prosto w to ciepłe, gościnne morze - tak samo Szeol, jak trąba powietrzna, zmiotł Stewarda, Natalie, wiarę w Coherent Light oraz pewność i dumę, która wypływała z poczucia, że ludzkość jest jedynym właścicielem nie-zmierzonych przestrzeni wszechświata...

- Ej - odezwała się Ardala. - Gnieciesz mnie w plecy.

- Czekaj - odpowiedział. - Zamienimy się miejscami. Steward podziwiał łuk jej szyi, kiedy odchyliła głowę. Miała zamknięte oczy i napawała się rozkoszą. Zbrązowiała od słońca skóra okalała wgłębienia jej obojczyków i ramiona. Gdy była już blisko, wsunęła mu rękę pod głowę, wyginając się nad nim w piękny łuk. Przysunęła usta do jego ucha, by mógł słyszeć każdy z jej kurczowych oddechów... Objął ją, trzymając przy sobie. Ciepło, które od niej biło i dźwięki, jakie z siebie wydawała, do-prowadziły go do nagłego, niespodziewanego spełnienia. Przez chwilę słyszał ryk tornada.

Skończyli butelkę szampana leżąc w wannie. Ardala odpoczywała leżąc na boku, z ręką wciąż wsuniętą pod jego głowę. W wodzie widoczne były nitki spermy, pływającej między tęczy-wymi kropelkami olejku do kąpieli. Ardala zamieszała palcem nitki.

- Pozwolimy jeszcze plemniczkom poszaleć - powiedziała. - Ostatni dreszczyk emocji, zanim wpadną do rury. - Łosoś pewnie jest już gotowy - powiedział Steward. - Je-steś głodna?

- Powinieneś był oszczędzać pieniądze. Wiem, że nie masz ich zbyt wiele. Od dziś ja stawiam obiady.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- I co ja teraz pocznę z taką ilością mąki? Nie robię domo-wych wypieków.

Wstała. Woda spływała z niej tęczową warstewką. Steward pocałował ją, wypelzł z wanny i sięgnął po ręcznik. Ardala poszła do kuchni, nałożyła obiad na talerze i otworzyła drugą butelkę szampana, którą Steward natychmiast zabrał z powrotem do łazienki. Ona zaś owinęła się ręcznikiem i zaczęła wycierać włosy. Nalał jej szampana. Odłożyła ręcznik i sięgnęła po kieliszek. Gdy wypila, rozczesała włosy i poszła za nim do pokoju, gdzie czekał obiad.

- Spróbuję zatrudnić się w jednej z polikorporacji - powiedział, gdy skończyli jeść.

Ardala podniosła na niego wzrok i założyła nogę na nogę. Za białym, plastikowym krzesłem, na którym siedziała, samopolary-zujące okno walczyło z promieniami słońca, przyciemniając widok na drogę ekspresową do Phoenix, lśniącą od aluminiowego stopu.

- Nie masz pieniędzy, żeby się wkupić, prawda? - zapytała. - Nawet jeżeli dobrze ci pójdzie na egzaminie, twoja wiedza jest przestarzała o piętnaście lat i nie znajdziesz się wśród owych dwu procent szczęśliwców, których przyjmują za darmo. Pozostanie ci ziemski intendentura, a to trwa latami.

- Myślałem o Polikorporacji Zewnętrznej. Starbright jest chyba niezła. Pracowałbym w transporcie. Chyba spodoba mi się podróżowanie.

Ardala spojrzała na niego ze zdziwieniem i sięgnęła przez stół po xanadu, mieszaninę marihuany i mentolowego tytoniu. Pstryknęła zapalniczką.

- Nie słyszałeś, co mówiłam?

- Słyszałem. Przecież ja tylko chcę wydostać się w prze-strzeń. Znajdę jakiś sposób.

Zaciągnęła się papierosem i popatrzyła zamyślona za okno, gdzie diamentowy wąż wił się w kierunku Doliny Słońca. Roztarła palcem niewidoczną zmarszczkę między brwiami. - Czy przestrzeń tyle dla ciebie znaczy? - spytała, podając mu papierosa.

32-

Waller jon iviiuuu>

- Tam jest wszystko - odparł.

Tam są odpowiedzi, pomyślał.

Spojrzała na niego.

- Tam jest Natalie?

Steward nie odpowiedział. Wziął papierosa i zaciągnął się głęboko, delektując się inwazją THC i karcinogenów. Papierosy xanadu były jedną z najgorszych rzeczy do palenia na świecie, bo wstrzymywanie w płucach dymu z marihuany dawało tytonio-wi czas na niszczenie tkanek. Canards, będąc tym, czym byli, uwielbiali xanadu właśnie z tego powodu.

Ardala westchnęła.

- W porządku. Mam trochę materiałów w biurze. Pomogą ci przygotować się do testów. Może będziesz miał szczęście i zakwali-fikujesz się na stanowisko technika oczyszczania ścieków na Ricot. Na dźwięk nazwy sztucznej planetoidy chłodny dreszcz prze-biegł mu po plecach.

- Ricot mi pasuje - powiedział. Tam były odpowiedzi. Następnego ranka, po wyjściu Ardali, Steward poszedł po-ćwiczyć na atlasie w blokowej siłowni, potem wziął prysznic, prze-brał się i stwierdził, że nie ma ochoty sam jeść śniadania. Nie spodobał mu się wygląd blokowej kawiarni: zbyt dużo było tam barwionego drewna, osłon dźwiękoszczelnych, gustownej muzyki i konserwatywnie ubranych profesjonalistów, czytających skan-gazety, których nie zabraniała konstytucja. Skierował się na pół-noc do starej części miasta, gdzie znalazł kawiarnię z popękanymszyldem holograficznym, który głosił: NAJPRZYJE JSZA RE URACJA W MIE CIE. Budki wykonano z jasnopomarańczowego plastiku jowiszowego, a kelnerka była pulchną kobietą, która przywitała go z kwaśną miną.

Po jedzeniu popijał kawę paląc xanadu i przyglądał się, jak skwaszona kelnerka radzi sobie z jakąś Chinką, której się zda-wało, że jej stek z kurczaka powinien mieć coś wspólnego z kur-czakiem. Chinka myślała, że próbuje się ją oszukać, ale słaba zna-jomość języka nie pozwalała jej w pełni wyrazić protestu. Steward rozparł się na krześle w swojej budce i uśmiechnął się. Zrobił ten sam błąd, gdy pierwszy raz przyjechał do Stanów Zjednoczonych.

Problem rozwiązał się sam wraz z pojawieniem się menedże-ra kawiarni. Tymczasem Steward dokończył kawę. Powłóczył się trochę po starej dzielnicy, oglądając zniszczone witryny sklepo-we, przechodniów, starszków sprzedających kupony na loterię i skangazety oraz młodych zawadiaków w podkoszulkach, na któ-rych znajdowały się ciekłokrystaliczne reklamy tego, co mieli na sprzedaż: oprogramowania, książek, jakich nie kupi się w konde-kobloku, narkotyków. Stewardowi przypominało to scenki z Mar-sylii - tyle że ulice były tam bardziej naelektryzowane, sprzedaż bardziej niebezpieczna, nawet kolory wydawały się żywsze. Wy-czuł, że ci ludzie po prostu płyną z nurtem i nic więcej nie ma dla nich znaczenia. Ameryka nie brała udziału w żadnej wojnie od stu lat. Ci ludzie nie trwali na skraju śmierci głodowej przez dłu-gie miesiące; nie musieli sprzedawać towaru, by przeżyć. Nie przeszli przez Petit Galop.

Ameryka się postarzała, pomyślał. Jak i cała Ziemia. Prze-jęła modę i sposób życia z przestrzeni. Kondekobloki, ideologie - to wszystko były imitacje warunków życia w próżni. Błada skó-ra Stewarda okazała się modna, ponieważ jej faktura wydawa-ła się bardziej interesująca dla ludzi żyjących w społeczno-ściach, które nigdy nie widziały słonecznego światła. Moda na mocny makijaż miała to samo źródło. Ziemia się skończyła. Te-raz ważne rzeczy działy się w przestrzeni, czy się to komuś podo-ba, czy nie.

Kupił skangazetę i udał się do jednego z przecinających mia-sto dzikich parków. Usiadł na porośniętym trawą stoku. Na ja-snym, bezchmurnym niebie widać było mrowie stałych gwiazd, znaczących położenie orbitalnych fabryk i osiedli. W jednym z tych miejsc mieszkała teraz Natalie. Zastanawiał się, która gwiazda jest jej, jak teraz wyglądała, po tych piętnastu minio-nych latach - latach, których nie znał. Rosnący ból ścisnął mu gardło, odwrócił wzrok i znów patrzył na ulicę. Smutek spadł na niego jak deszcz.

- Więc jak to się stało, że skończyłeś w Canard Chronique?

- spytała później Ardala.

- Canards Chronique - poprawił ją Steward. Leżeli rozcią-gnięci na łóżku. Ardala, wsparłszy głowę na łokciach czytała bie-żący numer „Guys” i robiła notatki. On przeglądał materiały do nauki, które mu przyniosła. - Ta nazwa ma podwójne znaczenie: albo Chroniczne Kaczki albo Chroniczna Błaga. Ów fakt nie po-zostawał bez wpływu na ich etykę.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

#3 - Rvk tornada

34-

Wnlter 3on Williams

- Jak do nich trafiłem? To wszystko wina mojej afrykańskiej babci.

- Nie igraj z moją ciekawością, Steward - ofuknęła go Ar dala.

Włożył zakładkę do książki i odłożył ją na bok. - Niech ci będzie. Moja afrykańska babcia kształciła się w Kanadzie, gdzie rozkochała się w zimnym klimacie. Dlatego zo-stała geologiem polarnym. Potem straciła głowę dla pewnego Szkota, którego poznała na Nowej Ziemi i który również kochał Arktykę, i tak dalej. Ich drugi syn nienawidził śniegu i wiecznej zmarzliny, jedynych widoków, jakie znał w dzieciństwie. Wyniósł się więc nad Morze Śródziemne, gdzie ożenił się z moją matką, pochodzącą z Marsylii. Dostał dobrą pracę w Nicei, jako ekono-mista w intendenturze Far Jewel. Moja matka chodziła w tym czasie do szkoły. - Steward odwrócił wzrok, wpatrując się w prze-ciwległą ścianę. Próbował zdecydować, jak powinien o tym mó-wić, jaki przyjąć stosunek do tej sprawy. - Zabili go w czasie Pe-tit Galop - dokończył.

- Słyszałam o Petit Galop.

Słyszała o tym, pomyślał Steward. Europa pogrążyła się w anarchii wówczas gdy dokonano nieudanej próby przemodelowania jej socjologii opierając się na założeniach opracowanych przez pewną żyjącą w przestrzeni polikorporację. Na Ziemi żyło więcej ludzi niż w polikorporacjach, więc ziemskie ekologia była mniej wrażliwa. Niekiedy polikorporację wdrażały programy na dole studni grawitacyjnej, żeby sprawdzić, czy działają, zanim decydowały się na restrukturyzację samych siebie według podobnych kryteriów. Korzyści wypływające z podobnych manipulacji były jednym z powodów, dla których polikorporację w jakimkolwiek stopniu interesowały się Ziemią.

Tym razem jednak wydarzenia potoczyły się nie po ich myśli. Europa okazała się bardziej wrażliwa, niż ktokolwiek się spodziewał, a ludzie - pracownicy polikorporacji, rdzenni mieszkańcy Europy i duża liczba prawdopodobnie niewinnych osób - zapłaci-li za to wszystko wysoką cenę.

Jak, pomyślał Steward, jak opowiedzieć o tym Ardali? Canards skwitowałiby to wzruszeniem ramion. Wszyscy w Marsylii byli w podobnie złej sytuacji. Wszyscy stracili matkę lub ojca, brata lub siostrę, albo przynajmniej ciotkę czy wujka. Amerykanie zobaczą w tym pewnie jedynie zubożenie. Steward postanowił powiedzieć jej wszystko wprost.

- Było źle, szczególnie na południu. Niektórzy z uczestników zamieszek wspinali się na wysokie ekodromy polikorporacji i stamtąd zrzucali na ludzi w dole ogromne okna z taflowego szkła. Takie szkło wybucha jak granat, wiesz? Tak właśnie zginął mój ojciec i parę tysięcy innych ludzi, wszyscy jednego popołudnia. Zresztą i tak by nie przeżył, bo miał w sobie biologiczne implanty. Ręka zmodyfikowana do pracy z mikroukładami elektronicznymi, w głowie gniazda, umożliwiające podłączenie do komputera DNA. Co prawda, nie powiększono mu pojemności czaszki, ani nie dodano tkanki mózgowej, ale miał wszczepione w szyję dopalacze rozszerzonych funkcji mózgu. Nikt z takim implantem nie przeszedłby obok zainstalowanych przez gangi detektorów metalu i skończyłby przed plutonem egzekucyjnym. - Jezu, ludzie tutaj chodzą z implantami od stu lat. Co w tym złego? - zdziwiła się Ardala.

Tym razem Steward nie mógł powstrzymać się od wzruszenia ramionami.

- To stanowiło część programu Far Jewel, a więc było złe. Tłum mógł wyżyć się tylko na zmodyfikowanych ludziach... decydenci mieszkali w pasie planetoid, więc byli poza jego zasięgiem. Instalacje Far Jewel we Francji zostały obrócone w ruinę, więc nagle zabrakło pracy dla wszystkich ocalałych pracowników. Far Jewel ogłosił, że umywa ręce od całego eksperymentu, jak tylko sytuacja stała się niepomyślna. Rząd Francji uciekł do Portugalii i dla ludzi, takich jak ja i moja mama nie było już żadnego ratunku. W końcu przenieśliśmy się do Marsylii, gdzie zamieszkaliśmy z ciotką. Ale nawet tam żyliśmy na granicy śmierci głodowej. - Spojrzył na nią. - Masz jeszcze jednego xanadu? - W kieszeni koszuli. Słyszałam, że ludzie zjadali się nawzajem. Czy to prawda?

Steward zmarszczył brwi.

- Możliwe - powiedział. - Nic takiego nie działo się jednak tam, gdzie mieszkałem. Gangi zadbały o wszystko. - Canards przyszedł wam z pomocą?

- Tak. - Wstał i podszedł do krzesła, na które Ardala rzuciła swoją koszulę. Znalazłszy ostatniego xanadu rozejrzył się, szukając popielniczki. - Gangi nastolatków rządziły miastem, raz lepiej, raz gorzej. W każdym razie rządzili w Starej Dzielnicy. Doprowadzali wodę i prąd dla ludzi, którzy nie mieszkali w ekodro-

mach. Większość z nich miała to swoje śmieszne francuskie

36-

Walter 3on Williams

pojęcie o honorze, śmierci i ideologii. Boże, połowa z wojen gan-gów nie miała nic wspólnego z walką; ot, po prostu garstka wy-rostków wykrzykiwała na siebie polityczne slogany. Rozsyłali manifesty przez publiczne sieci informatyczne. Ogłaszali lojalność wobec Societe Bijoux, Nowego Frontu Odmłodzenia albo Gene-tycznego Behawioryzmu. W Canards nie żądano tego typu deklaracji. Chcieli po prostu przeżyć i zarobić, zabawiając się po dro-dze kosztem dzieciaków, które traktowały to wszystko tak śmier-telnie poważnie.

Znalazł popielniczkę i wrócił z nią do łóżka. Zapalił papiero-sa, opierając się wygodnie o poduszki.

- Wzbogaciłeś się na tym? - spytała Ardala.

Odłożył zapalniczkę na nocny stolik.

- Byłem dobrym chłopcem i oddawałem wszystko matce. Wkupiła się do ekodromu mniej więcej w tym samym czasie, gdy ja wstąpiłem do Coherent Light.

- Wzbogaciłeś się więc w pewnym sensie.

Steward zaciągnął się i przymknął oczy.

- Canards chcieli trzymać się w centrum. Wiedzieli, że tam są pieniądze. Starali się wiedzieć, kto popycha sprawy w ściśle określonych kierunkach, jakie były zamiary polikorporacji, gdzie znaleźć pewne towary. Działali jak brokerzy i pobierali prowizję. Nigdy nie sprzymierzyli się z żadnym innym gangiem. Tak dla zabawy stosowaliśmy wobec nich sabotaż. Na przykład wypuszczaliśmy absurdalnie śmieszne manifesty z podpisami różnych gangów.

- Co się z nimi stało? - spytała.

- Większość z nich zginęła. Gangi toczyły ze sobą wojnę. Utrzymując się w środku Canards znajdowali się w istnym krzy-żowym ogniu. Nigdy nie zawierali sojuszków, więc cały czas sta-nowili nieruchomy cel. Wziąłem, co moje i odszedłem do Cohe-ment Light - uśmiechnął się. - Myślę, że moi towarzysze zaak-ceptowali to posunięcie. Zawsze kierowali się własnym inte-resem.

- A w Coherent Light po prostu cię wpuścili?

- Spełniałem kryteria.

- Kryteria wymarłej polikorporacji. Wspaniale. - Zamknęła numer „Guys” i zrzuciła go z łóżka na podłogę. - Nie mieści mi się w głowie, że należałeś do gangu. Gdy mieszkałeś obok mnie, był z ciebie taki przykładowy żołnierz. Taki... - wzruszyła ramionami __prosty jak strzała. Wiesz, co mam na myśli. Wszystko było za-wsze czyste i na swoim miejscu. Przepelniały cię slogany Cohe-ment Light dotyczące tego i owego. „Czynimy galaktykę bezpiecz-niejszym, mądrzejszym miejscem”.

- Po tym, co widziałem w Marsylii i Nicei, hasła Coherent Light brzmiały rozsądnie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Po-za tym - dodał - niewiele różni dobrego żołnierza od dobrego gangstera. To głównie kwestia stylu.

- Uhhh - sięgnęła ręką po papierosa, wyjmując mu go z pal-ców. - Jaki wtedy byłeś?

- Chudy. Gwałtowny.

- Cały czas jesteś chudy i gwałtowny. Gdyby nie twoje mię-śnie, byłbyś jak patyk.

- Gwałtowny może tak. Ale to ciało dobrze wykarmiono.

Moje poprzednie ciało żyło przez wiele lat w skrajnym głodzie. Lubilem kaski z ciemną szybą, kurtki z surowego jedwabiu i wy-sokie sportowe buty z małymi, czerwonymi kulkami po bokach. Miałem

fajny domowy komputer z najnowszymi wersjami kradzionych programów. Palilem xanadu jeden za drugim i jezdziłem matowocarnym skuterem o napędzie akumulatorowym. Typowe wyposażenie człowieka interesu z półświatka. Dziwnie było myśleć o tym, jak o wydarzeniach sprzed dwudziestu lat. W jego pamięci wszystko to miało miejsce nie tak dawno. Przeszłość nie zasnutą nawet odrobiną mgiełki zapomnienia.

- Cholera. Skurwysyn! - krzyknęła Ardala.

Xanadu przypalił jej palce. Wgniotła go w popielniczkę, ale zbyt pośpiesznie. Popiół rozsypał się po łóżku. Klęła dalej, gdy wygięta w pałąk, na klęczkach strzepywała popiół z pościeli na podłogę. Steward przyglądał się, jak jej kręgosłup wygina się na środku smukłej talii, jak poruszają się biodra przy przenoszeniu ciężaru ciała, jak mięśnie ud napinają się na zmianę tworząc spektakl ruchów i cieni.

Przypomniat sobie Natalie, sposób, w jaki się poruszała, pewna siebie, pełna wdzięku. Lubiała owijać się prześcieradłem, jak-by to były ramiona kochanka... Do diabła, pomyślał, gdybym okazał się tak sprytny, jak mi się wydaje, pewnie bym jej nie stracił. Głupota to coś, z czym uczysz się żyć, tak jak ze wszystkim innym.

38----- WlHiei dvii piiimm

Rankiem następnego dnia Steward siedział w NAJPRZYJE JSZEJ RE URACJI, nad drugim kubkiem kawy. Wydawało mu się, że czuje, jak kofeina wnika w jego ciało, włączając po kolei wszystkie obwody. Budziły się drobne cząstki jego świadomości, zapalając się jak rząd zielonych lampek, dających sygnał o gotowości. Na talerzu przed nim leżała na wpół zjedzona słodka bułka. Kawiarnię wypełniał późnoporanny tłum, marnujący czas nad wydrukami skangazet, czytający wiadomości, ziewający i przeciągający się.

Steward uniósł głowę, by dać znać obsłudze, że chce jeszcze jedną kawę i ujrzał mężczyznę, mijającego stanowisko kelnerki w drodze do swojego stolika. Nagle cały rząd światełek w jego umyśle zamigotał alarmującym zestawem czerwieni, żółci i zieleni. Jakby trafił go piorun. Obrócił się na krześle, by przyrzeć się osobie w narożnej budce. Spieszyła tam kelnerka z dzbankiem kawy. Steward wyciągnął szyję, żeby zobaczyć twarz mężczyzny. Widok zasłaniała kobieta nalewająca kawę. Poczul się głupio. Obcy człowiek w ustronnej kawiarni, przypadkowe podobieństwo. Zaczyna widzieć duchy.

Kelnerka odeszła od stolika. Steward spojrzal na twarz mężczyzny i zrobiło mu się sucho w gardle. Odwrócił się, wychylił resztkę kawy jednym haustem i wstał. Zachwiał się. Jego równowaga nie należała do najpewniejszych. Ruszył w kierunku odległej budki. Czul, jak napięły mu się wszystkie mięśnie. Mężczyzna podniósł głowę, unosząc kubek. Był ciemnoskórym Europejczykiem o średniodługich włosach, schludnie ubranym w ciemną marynarkę z krótkim rękawem, pod którą znajdowała się jasnobłękitna koszula bez kołnierzyka. Miał chude, żyłaste ręce. Jego skóra wyglądała jak rozpięty na kościach pergamin, utrzymywany na swoim miejscu przez sznurki sinych żył. Nosił siwiejące wąsy, które nie wyglądały znajomo. Steward zawahał się chwilę. Jego pamięć należała do innego człowieka, młodszego, mocno umięśnionego, uśmiechającego się. Potem zobaczył białą plamę na bicepsie, pozostałość po usuniętym tatuażu i wątpliwości się rozwiały.

Poczul, że zatacza się; ziemia usuwała mu się spod nóg i wydawało mu się, że za chwilę znacznie spadać, lecąc w jakieś dziwne, nieznanne miejsce, gdzie panowały inne zasady i on musiałby się ich po drodze nauczyć.

- Griffith - wyrzucił z siebie Steward.

Kubek z kawą zamarł w pół drogi do ust mężczyzny. Jego wilgotne oczy lśniły, obwiedzione ciemnymi liniami. Nowe oczy. Oczy ducha.

- Steward - wymamrotał mężczyzna, najwyraźniej do samego siebie. Odstawił kubek i nie przestawał się przypatrywać. Głos miał szorstki, chropawy. Steward pamiętał jego śpiew, baryton roznoszący się wśród metalowych ścian jego mieszkania na Marsjańskim Kompleksie Orbitalnym, należącym do Coherent Light. Połowa pieśni była po walijsku i brzmiała jak hymn. Na pozostałą część składały się świńskie przyspiewki rodem z meczów rug-by. Ten głos był teraz inny.

- Boże - powiedział Griffith. Na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech. Pojawił się w dziwny sposób: nie od razu, lecz kurczowo, sukcesywnie obejmując kolejne części twarzy. - Zaskoczyłeś mnie kompletnie. Dobrze wyglądasz, kapitanie. Usiądź proszę.

Kapitanie? Steward oniemiał.

Uśmiech Griffitha zbladł. Jego twarz zachmurzyła się pod wpływem zimnego dotknięcia wspomnień.

- Nie widziałem cię od czasów Icehawks - powiedział. - Od naszego powrotu z Szeolu.

Griffith nie tyle jadł śniadanie, co rozrywał je na kawałki. Nerwowo dziabnął jajka i szynkę, maltretował tosta, czasem wkładając coś do ust, lecz głównie przesuwając jedzenie po talerzu. Steward rozumiał już, dlaczego jest on tak chudy. Patrząc, jak Griffith okalecza swoje śniadanie, wyjaśnił mu, że jest klonem i że posiada umiejętności ciała Alfya, ale nie jego wspomnienia z Szeolu i wszystkiego, co działo się później.

Griffith przyjrzał mu się uważnie.

- W ogóle nie uaktualniał swoich zapisów pamięci? Nic ci nie przekazał?

Steward pokręcił głową. Griffith odchylił się wygodnie w swojej budce. Nie krył zaskoczenia.

- Ale dlaczego? - zapytał.

40----- _ - Nie powiedział.

- Cholera. - Potarł palcem wąsy. Zdziwienie przeszło w gwałtowne zainteresowanie. - W takim razie nie żyje, prawda? Inaczej nie byłoby cię tutaj.

- Zgadza się.

Zamilkł na chwilę. Jego wodniste oczy wydawały się obrócone ku wnętrzu, jakby oglądały wyświetlane gdzieś w głowie wspomnienia.

- Jak to się stało? - zapytał. - Powiedzieli ci? - Zginął na stacji Ricot, może na Weście. Polując na pułkownika de Preya.

Griffith znów nie odzywał się przez dłuższą chwilę. - Taak - powiedział w końcu, lecz nie zabrzmiało to ani potwierdzająco, ani wątpiaco. - To podobne do kapitana. Potem powoli powrócił do rozszarpywania zawartości tale-rza. Nie zwracał szczególnej uwagi na to, co robią jego ręce. Steward obserwował go, nie chcąc przerywać jego zadumy, po kimś, kogo właśnie stracił.

Kapitan. Tak nazywano jego osobowość Alfa. Symbolizowało to rangę, autorytet, którego posiadania Steward nie pamiętał. Nie był nawet oficerem. Kapitan zaistniał na Szeolu. Griffith odłożył sztucę i wziął głęboki wdech. Wyraźnie zbladł. Przeprósł, po czym wyszedł do męskiej toalety. Gdy wrócił, kolor jego twarzy znów był normalny. Zapalił papierosa i zaciągnął się.

- Mam kłopoty z żołądkiem - powiedział. - Nęka mnie to już od wielu dni.

- Co robisz w Arizonie?

- Mieszkam tymczasowo w lokalu należącym do firmy, w której pracuję - powiedział. - Jestem kimś w rodzaju komiwo-jażera. Sprzedaję usługi spółki Lightsource Limited, specjali-zującej się w różnego rodzaju rozwiązaniach komunikacyjnych dla przedsiębiorstw: oprogramowanie do obsługi konkretnych problemów, sprzęt komunikacyjny w specyficznych, dostosowa-nych do potrzeb konfiguracjach. Tego typu rzeczy. A ty pracu-jesz?

- Aktualnie nie. Ale mam coś na oku. Próbuję dostać się do Starbright.

Twarz Griffitha przybrała rzewny wyraz.

- Powrót w przestrzeń, co? - spytał. - Też bym tak chciał. - Muszę podróżować. Czuję, że nie wytrzymałbym długo w jednym miejscu.

Griffith skinął głową i wypuścił chmurę dymu. - Chcę znowu zobaczyć Mocnych. Życ z nimi w ich natural-ny m środowisku. Tego najbardziej mi brakuje, gdy myślę o prze-strzeni. Mocni okazali się jedyną rzeczą, dla której chciałbym wy-brać się na taką wycieczkę.

- Tak myślisz?

Griffith zmierzył go spojrzeniem.

- Kapitan też był taki. Nie robili na nim większego wrażenia. Cierpiał na swoisty rodzaj ślepoty - pokręcił głową. - Lecz kiedy ich spotkasz, zrozumiesz, jak bardzo są zwróceni ku sobie. Jacy są RZECZYWIŚCI. Zrozumiesz, że w porównaniu z nimi ludzie są niemal... przezroczyści. Jak gdyby nas tam tak naprawdę nie by-ło. Sam wiesz przecież, ile nam do nich brakuje. Griffith spuścił wzrok na swój talerz i rozszarpane śniadanie.

Zmarszczył brwi.

- Myślę, że znam kogoś w Starbright - dodał. - Kobietę. Jest u nich inżynierem od silników. Niech pomyślę. Może ona pomo-głaby ci załapać się na szkolenie dla początkujących - potrząsnął z przekonaniem głową. - Muszę tylko wykonać kilka telefonów. - Dziękuję. Naprawdę wiele to dla mnie znaczy.

Griffith zamachał rękami w geście sprzeciwu. - Nie dziękuj. Nie wiem jeszcze, czy cokolwiek uda mi się za-łatwić.

- Griffith... - zaczął Steward, czując jak podnosi mu się adre-nalina. Słyszac brzmienie jego głosu, mężczyzna uniósł głowę. - Chcę wiedzieć, co się stało na Szeolu.

Griffith spuścił wzrok, wpatrując się w swoje dłonie. Pokrę-cił głową.

- To nie będzie dla ciebie nic znaczyło, przyjacielu - jego ci-chy głos nie wychodził poza stół i skrzyżowane na piersiach ra-miona. - To było coś, przez co musiałeś przejść. Przykro mi, ale... - To dla mnie bardzo ważne.

Griffith otarł czoło przedramieniem.

- Przykro mi - odparł - ale to... niemożliwe.

Steward nie wytrzymał.

- Dobrze. W porządku - powiedział, wiedząc, że to wcale nie jest w porządku. - Niech ci będzie. Jak nie możesz, to nie mów. Griffith znów pokręcił głową.

- Przepraszam - spojrzał na zegarek. - Zaraz zaczyna się służ-bowe spotkanie. Zejdzie mi na tym cały

dzień. - Może umówimy się dziś wieczorem? Wypilibyśmy parę drinków.

- Nie mogę. Dziś wieczorem mam obiad z klientem. Pewnie będę musiał za tego dupka zapłacić.

Zebrał się w sobie, zaciągnął się ostatni raz papierosem i zga-sił go w popielniczce. W jego wodnistych oczach widać było nie-pewność. Stewardowi wydawało się to dziwne. Wyglądało tak, jakby Griffith próbował powiedzieć coś wbrew własnej woli. Za-stanawiał się, czy przypadkiem też nie jest klonem, czy Griffith Alfa nie zginął na Szeolu, a Beta odmawiał mówienia o wojnie, ponieważ nigdy tam nie był.

- Zjemy jutro śniadanie? - zapytał Griffith.

- Jasne. Bardzo chętnie.

- Tutaj? O dziewiątej?

- Zgoda.

Griffith wymknął się z budki i machnął mu ręką w taki spo-sób, że wyglądało to prawie jak salutowanie. - Do zobaczenia jutro - powiedział i odszedł. Steward pa-trzył za nim, gdy się oddalał, uważnie przyglądając się tyłowi jego głowy.

U podstawy czaszki Griffitha widniało gniazdo implantu, wystające zza krótkich włosów. Steward poczuł satysfakcję. Upewnił się, że widzi oryginalnego Griffitha, a nie jego klona. Gniazdo implantu należało do standardowego wyposażenia Ice-hawks. Dzięki niemu żołnierz utrzymywał dwustronny kontakt z własną bronią, pojazdem i skafandrem. Bardzo wielu ludzi miało takie gniazda, lecz komiwojażer sprzedający oprogramo-wanie z pewnością czegoś takiego nie potrzebował; mógł demon-strować swoje produkty za pomocą hełmu i nie potrzebował do-datkowego ułamka sekundy, jaki dawało to gniazdo. A Griffith wciąż nosił implant, który sprzęgał się z jego odruchami i nadal programował je sztukami walki wręcz i taktyką bliskiego kon-taktu.

Steward obserwował odchodzącego Griffitha i czuł, jak w je-go mózgu tworzą się nowe połączenia. Griffith mógł zaprowadzić go do czegoś innego, czegoś, czego pragnął. Mógł zaprowadzić go do Stewarda Alfa.

Niezależnie od tego, jak długo o tym myślał, umysł podsuwał mu wciąż Mocnych. Zamieszkiwali oni kiedyś planetę, na której toczyły się Wojny Artefaktowe. Ich powrót zakończył wojnę. Na zdjęciach, które oglądał Steward, wydawali się nieatrakcyjni. Mi-mo to jednak Griffith ich kochał. Być może istniał po temu po-wód. Steward uzyskał dostęp do biblioteki i przeczytał wszystko, co udało mu się znaleźć. Choć było tego więcej niż w bibliotece szpitalnej, niewiele informacji wykraczało poza spekulacje. Wy-glądało na to, że ludzie, którzy ich spotkali, woleli nie mówić nic konkretnego.

Słowo „Mocni” było tłumaczeniem wyrazu obcych, który określał ich samych. Ów język stanowił kombinację trzasków i melodyjnego mruczenia, często poza progiem słyszalności. Żad-nemu człowiekowi nie udało się dotychczas przetłumaczyć tej mowy w taki sposób, by oddać jej pełną treść. Mocni zamieszkiwali Szeol i kilka innych odkrytych przez ludzkość planet, po czym je porzucali. Tysiąc lat później wrócili i zastali ludzi walczących w ruinach ich domów. Do tej pory nie wyjaśnili, dlaczego musieli wyjechać i dlaczego wrócili. Ograni-czyli się jedynie do ogłoszenia, że ogromna połać nieba - osiem-dziesięciosześcioletniowy stożek, którego wierzchołek znajduje się na Ross 986 - jest od teraz zamknięta dla ludzi. Przypuszcza się, że tam właśnie żyli Mocni, lub tylko chcieli, by ludzkość tak myślała. Ludzkość, pragnąca ich wiedzy i kontaktów handlowych, drżąca przed możliwością bycia uznanym za nieprzyjaciela, z ra-dością przystała na ten warunek.

Mocni przypominali nieco wyglądem centaury - poruszali się na czterech nogach i mieli dwie ręce. Niższa część ich ciała osią-gała wielkość kucyka, a wyższa była nieco mniejsza od człowie-ka.

Proporcje ciała nie upodabniały ich do ludzi czy koni: nogi by-ły za krótkie i zbyt silne, zakończone szeregiem strusich pazurów, natomiast górne kończyny zbyt cienkie, by przypominać cokol-wiek ziemskiego. Ich płaskie głowy nie miały w sobie kości, stano-wiąc jedynie wybrzuszenie mięśni, na szczycie którego znajdowa-ło się jedno nozdrze. Na głowie była para oczu, uzbrojonych jak u jaszczurki. Mocni widzieli cały horyzont, który mógł być przybli-żany jak w lornetce. Ich dwa mózgi mieściły się wewnątrz klatki piersiowej, przy czym ten dodatkowy leżał w środku pleców. Mię-dzy przednimi nogami znajdowała się kombinacja otworu gębowe-go, ośrodka mowy i nozdrza, a z tyłu skomplikowany organ do syn-tezy hormonów w aerozolu. Wzdłuż pleców, po obu stronach krę-gosłupa, ciągnął się szereg jaskrawych plam, które, podobnie jak trzecie oko salamandry, pełniły funkcje prymitywnego wzroku, słuchu i węchu. Najwyraźniej zapach był dla nich głównym ośrodkiem porozumiewania się; ośrodek syntezy wypuszczał w powie-trze hormonalny aerozol, który odbierało górne nozdrze. W ten sposób umieli przekazywać nastrój, emocje, i pewnie także inne, im tylko znane doznania. Mogli wysyłać i odbierać wiele informa-cji jednocześnie - treść emocjonalną poprzez hormony, główny przekaz przez struny głosowe, położone daleko w głębi ośrodka mowy, a podteksty przez jęki i melodyjne akcenty, powstające przy wydmuchiwaniu powietrza przez górne nozdrze. Kolorystyka ich ciał składała się z fioletów. Poszczególne osobniki miały barwę od ciemnopurpurowej aż po prawie czarną. Ich skóra była gładka, z wyjątkiem głowy i okolicy kręgosłupa, które pokrywało sztywne owłosienie. Włosy zawierały w sobie du-żo zakończeń nerwowych - najwyraźniej one także stanowiły swe-go rodzaju zmysł.

Mocni byli wszystkożerni i stałocieplni; każdy z osobna obu-płciow[^] i jajorodny. Co najmniej niektórzy z nich żyli bardzo dłu-go - dowody wskazywały, że część przywódców miała po kilka ty-sięcy lat. Przez większość czasu pozostawali nieaktywni seksual-nie, zaś sam kontakt wydawał się pozbawiony kontekstu emocjonalnego. Jaja dojrzewały w zbiorowych żłobkach, a przy-wiązanie uczuciowe potomstwa łączyło się z grupą, nie z biolo-gicznymi rodzicami. Niektórzy socjologowie uważali to za wielką zaletę. Inni twierdzili, że to niepokojąca cecha. Organizacja społeczeństwa Mocnych była trudna do uchwy-cenia i wysoce zrytualizowana. Stanowiła ekstremalną formę au-tokratyzmu. Wzajemnym kontaktom towarzyszyła ogromna licz-ba wypowiedzi hormonalnych i w języku ciała, które definiowa-ły status i rolę każdego osobnika. Powszechnie uważano, że uniwersalnymi wartościami były dla nich lojalność i odpowie-dzialność. Jeśli zdarzały się między nimi niezgoda czy niezado-wolenie, nigdy nie okazali tego przed ludźmi. W języku Mocnych nie miały odpowiednika następujące ter-miny: rząd, niezgoda, jednostka, sprawiedliwość, religia, postęp, prawo, wolność. Socjologowie z wyjątkową jednomyślnością prze-konywali ludzkość, że w tej sprawie nie należy wyciągać pochop-nych wniosków. Inna rasa - inne obyczaje.

Garstka ludzi odważyła się mówić, że rasie Mocnych grozi za-głada, że ich zrytualizowana i autokratyczna struktura społeczna spowodowała, iż stracili zdolności adaptacyjne, konieczne do ist-nienia ekspansywnej, dążącej do kolonizacji kultury. Inni doda-wali, że ludzkość, ewoluując jak polikorporacje, także zmierza y; tym samym kierunku. Jeszcze inni sprzeciwiali się tym teo-riom, przypominając o ogromnym stożku zakazanej przestrzeni kosmicznej. Jednak w ten sposób nie można było udowodnić nie-uchronności upadku Mocnych.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy wrócili Mocni, ekono-miczny i militarny kataklizm Wojny Artefaktowej doprowadził Polikorporacje Zewnętrzne do załamania. Te, które przetrwały, zorganizowały się na nowo w dwie polikorporacje handlowe: Con-solidated Systems, działający ze sztucznej planetoidy zwanej Osiedlem Ricot (dzieło Coherent Light, które przeżyło swego twórcę), oraz Brighter Suns, ze sztabem na Weście. Te dwa ośrodki były częściowo własnością

polikorporacji, które je stworzyły, a istniały jedynie po to, by za ich pośrednictwem prowadzić wymianę handlową z Mocnymi, którym najwyraźniej również opłacało się ich istnienie, ponieważ odrzucali wszystkie inne oferty handlowe - nawet te wysuwane przez ziemskie rządy na bardzo korzystnych warunkach.

Na Ziemi nie mieszkał już ani jeden Mocny. Przebywali tu przez kilka miesięcy, po czym nagle odlecieli. Mówiono, że okazali się wrażliwi na ziemskie bakterie. Consolidated Systems i Brighter Suns nie zdementowały tej pogłoski. Żyli teraz w hermetycznej izolacji na dwóch kosmicznych koloniach, zabezpieczeni przez służby gwarantujące całkowitą sterylność. Kontaktowali się prawie zawsze za pomocą urządzeń elektronicznych; bardzo rzadko ludzie i Mocni spotykali się twarzą w twarz. Sprzedawali leki, bakterie, technologie terraformowania i własną wiedzę, dobijając targu z inteligentną drapieżnością. W zamian żądali elektroniki, leków, bakterii, technologii terraformowania i wiedzy. Nie przestawali być tajemniczy.

Steward oglądał Mocnych na filmach nakręconych po ich pierwszym przybyciu na Ziemię. Byli zwinniejsi, niż na to wyglądali. Poruszaniu się towarzyszyły szybkie zwroty, podskakiwanie i wymachiwanie ramionami. Muskularna głowa zmieniała kształt jak balon, w który wiatr wiał z dwóch stron jednocześnie. Widok był odpychający i fascynujący. Griffith ich kochał. Steward nie

46-

wiuiuii!»

mógł zrozumieć dlaczego. Czuł, że to ważne, więc oglądał w kółko nagrania. Nie znalazł odpowiedzi.

Następnego ranka zobaczył Griffitha, który czekał na niego przed kawiarnią, paląc papierosa. Wyglądał na podekscytowanego. Ubrany był w wysokie buty, koszulkę polo i czarne dżinsy. Obok cicho przemknął automatyczny samochód, otoczony poświatą hologramu, który ogłaszał Dni Darwina.

- Cześć - powiedział Griffith. - Nie zdołałem dotrzeć do mojej przyjaciółki. Nie ma jej na planecie.

- Rozumiem. Dzięki, że próbowałaś.

- Będę o tym pamiętał. Wraca za tydzień. - Griffith machnął głową w kierunku ulicy. - Masz ochotę na spacer? Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Jasne - odparł Steward.

Ruszyli ulicą ignorując starszków sprzedających kupony na loterię. Na młodszych handlarzy było jeszcze za wcześnie - o tej porze nie wyszliby z łóżka. Griffith skręcił, kierując się w stronę jednego z nieregularnych parków. Gdy szli, lustrował Stewarda od stóp do głów. , - Jesteś chyba w dobrej formie. Pracujesz nad tym? - Tak, codziennie.

- Ja dałem już sobie spokój. - Griffith sięgnął ręką do kieszeni po chusteczkę i wytarł czoło. Przy okazji wypadł mu również inhalator, uderzając głośno o chodnik. Było to urządzenie używane przez chorych na astmę i ludzi, którzy w ten sposób zażywali nar-kotyki. Griffith natychmiast podniósł go z ziemi i bez komentarza schował z powrotem do kieszeni. Ponownie spojrzął na Stewarda mrużąc oczy.

- Nie masz już podrasowanych nerwów, prawda?

- Nie. Gdybym chciał mieć nitki, musiałbym za nie zapłacić. - Cóż - Griffith zamilkła na moment - chyba nie będą ci po-trzebne.

Steward spojrział na niego, lecz tamten odwrócił się i ruszył pod górę trawiastym stokiem. Steward zdusił w sobie uczucie przykrości i poszedł za nim. Gdy doszli na szczyt, Griffith ciężko dyszał. Ich oczom ukazały się sztandary powiewające na masz-tach, namioty, modele okrętów i konstrukcja obrazująca budowę DNA. Odległe głosy z megafonów zagłuszały się nawzajem. Neo-imagiści świętowali swoje Dni Darwina.

Steward postanowił, że dość ma gry, jaką toczy z nim Griffith.

- Do czegoż to mam nie potrzebować nitek, Griffith? - spytał. Ten podniósł rękę, dając mu do zrozumienia, by był cierpli-wy i odpalił drugiego papierosa od pierwszego.

- W porządku - powiedział. - Nie jestem tylko akwizytorem. Mam jeszcze inne zajęcie... na boku. - Spojrział na Stewarda i uśmiechnął się niepewnie. - Chyba mógłbym pomóc ci zarobić trochę pieniędzy na wkupienie się do Starbright. Steward poczuł, że wszystko to zaczyna być niepokojąco zna-jome. Przypomnił sobie, jak kiedyś, jeszcze w Marsylii, siedział na swoim elektrycznym skuterze, starając skryć się za osłoną ka-sku i obszerną białą kurtką. Rozmawiał wtedy z chłopcem i dziewczyną, którzy sprzedawali podejrzany towar - taki, który większość marsylskich frakcji uważała za ideologicznie niewła-ściwy. Chcieli dobić z nim targu, lecz on nie był pewien, czy chce mieć z tym do czynienia.

Patrzył teraz na Griffitha, zastanawiając się, co tak napraw-dę zdarzyło się na Szeolu. Czy to wszystko, co wiedział o młodym Griffisie, miało teraz jakiegokolwiek znaczenie. Griff fith mógł czuć do niego jakąś urazę jeszcze z czasów wojny i teraz planował się odegrać.

„Neoimagizm - mówił głos z megafonu - to więcej niż wyż-szy szczebel ewolucji. Więcej niż wizja życia pozbawionego ludz-kich ograniczeń. Więcej niż wszystko, o czym kiedykolwiek ma-rzyliście”.

- Czym się jeszcze zajmujesz? - spytał Steward.

Griffith spojrział na niego z nerwowym uśmiechem. - Miałem ogromny rachunek za leczenie - powiedział. - Sze-ol nie służył zdrowym, młodym ciałom.

- Wpadłeś w nałóg?

Griffith wyglądał za zaskoczonego. Pokręcił głową. - Nic z tych rzeczy. Nawdychałem się trochę toksyn nerwo-wych, trochę paskudnych drobnoustrojów. Uszkodzenie wątro-by, nerek, zapalenie trzustki. Zmasakrowane płuca. To dlatego potrzebuję inhalatora - zaśmiał się. - Nałóg. Boże, rozumiem już, dlaczego tak pomyślałeś. - Wypuścił z ust kłęb tytoniowego dy-mu. - W tym interesie jestem graczem trzeciej kategorii. Działam na małą skalę, tylko wśród przyjaciół.

- Jaki towar przewozisz?

- To zależy. - Griffith wzruszył ramionami. - Praca jest nie-regularna. Ja i moi znajomi chodzimy tu i tam, pytając, co komu potrzeba i co jest do wzięcia. Nie potrzeba wyolbrzymiać, to wszystko amatorska liga. - Rzucił okiem na słońce i ruszył przez park. Steward poszedł za nim.

- Teraz - kontynuował Griffith - mam paczkę, którą trzeba dostarczyć do Los Angeles. Zamierzałem zadzwonić do kogoś z propozycją, by się tego podjął, ale skoro już jesteś, pomyśla-łem, że zrzucę to na ciebie, oczywiście jeśli chcesz. - Co dokładnie trzeba zrobić?

- Polecieć do Los Angeles. Znaleźć pewnego faceta. Dać mu paczkę i zainkasować zapłatę. Twoja

dola wynosi dwa procent, mniej więcej jakieś dwa tysiące dolarów w walucie Starbright. To powinno pomóc ci dostać się do Starbright, jeśli właśnie tego chcesz.

Steward roześmiał się. Z każdą minutą sytuacja wydawała się coraz bardziej znajoma. Poczuł, jak wraca mu dawne wyczu-cie człowieka z Canards. Pasowało do niego jak stara kurtka. - Dwa procent to dwa tysiące w Starbright? - zapytał. - Nie wygląda mi to na amatorską ligę.

Griffith zaniepokoił się.

- Niech cię, daj mi zarobić. Ja kieruję całą operacją i biorę pięć procent. Istnieje duża konkurencja. Na miłość boską, to jest nawet legalne. Nie ma przepisu zabraniającego posiadania tego, co zawiera paczka, ani handlowania tym. Gliny mogą się zainte-resować, skąd to masz, ale spokojnie możesz im powiedzieć, żeby się odpieprzyli. Sam bym dostarczył paczkę, ale jestem tu uwią-zany na cały tydzień.

- W porządku. Rozumiem, o co ci chodzi. - Steward spojrział w niebo, mrużąc oczy przed nadmiarem światła. Smuga konden-sacyjna po promie suborbitalnym przecinała błękit, znacząc dro-gę dzielącą dwie orbitujące stałe gwiazdy. - Dlaczego pracujesz jako akwizytor, skoro możesz zarobić takie pieniądze po prostu lecąc do Los Angeles?

Griffith zmarszczył brwi.

- To przez tych pieprzonych ludzi, z którymi muszę się zada-wać. Dopóki robię to na niewielką skalę, nikt nie próbuje zająć mojego miejsca. Ale wielka liga rządzi się innymi prawami. Gdy-bym tylko tym się zajmował, całe to zwariowane smarkate tała-tajstwo wzięłoby mnie na cel. A są ode mnie szybsi, niech ich cho-lera. Nie to co kiedyś.

- Chcę wiedzieć, co jest w przesyłce - powiedział Steward.

Griffith popatrzył spod oka, po czym skinął głową.

- Masz prawo wiedzieć. To Piorun.

- Pamiętam, że gdzieś o tym czytałem. Ale od dłuższego cza-su nie jestem na bieżąco...

Griffith zaczął przechadzać się po trawniku. Strącił z papie-rosa popiół, który natychmiast zniknął w gęstwinie ciemnej zie-leni.

- No dobrze - zaczął. - To neurohormon wynaleziony przez Pink Blossom kilka lat temu. Jego nazwa handlowa brzmi Gene-sios 3; nazywa się go też witaminą B-44. Na ulicy mówią na to Pio-run albo Czarny Piorun. Stymuluje komórki nerwowe do napra-wy - to niewiarygodne, ale potrafi sprawić, że odrasta strzaska-ny kręgosłup. Kalecy zaczynają skakać.

- Dlaczego więc handluje się tym na czarnym rynku? - Dlatego, że wali do głowy. Całkiem przyjemny szmerek. Co więcej, jeśli bierzesz to wystarczająco długo, podnosi twój iloraz inteligencji o dwadzieścia punktów. Potem jednak Piorun zaczy-na obniżać poziom wazopresyny i oksytocyny w mózgu, co powo-duje spadek aktywności mózgu, więc potrzebujesz więcej witami-ny, by ją przywrócić, a więcej witaminy jeszcze bardziej upośle-dza funkcjonowanie mózgu, i tak dalej...

- Negatywne sprzężenie zwrotne. Uzależnienie. „Przyłącz się do wielkiej przygody!” - wezwał megafonowy głos z dalekiej uroczystości.

- Tak - odpowiedział Griffith. - O to chodzi. Nie uzależnia fizycznie, w każdym razie nie w klasycznym rozumieniu, ale uza-leżnia dość poważnie. Pink Blossom wzbrania się od produkowa-nia i dystrybucji tego specyfiku. A produkcja jest tak skompliko-wana i droga, że nielegalnym wytwórniami nie udało się jeszcze wytworzyć ilości, która umożliwiłaby sprzedaż ludziom po przy-

stępnej cenie. Ja jednak mam przyjaciela, który pracuje na pro-mie kursującym do Orlando. A on ma system. - A ty co jakiś czas dostajesz paczkę?

Griffith przytaknął.

- Tak to wygląda. Bierzesz tę robotę?

- Brzmi obiecująco. Kto ma być odbiorcą?

Griffith kolejny raz wytarł czoło chusteczką. - Facet z dziwną twarzą o imieniu Spassky. Niski facet, ma z piętnaście lat. Kieruje niezależną grupą i nosi Maskę Ulicy. - Spojrzał na Stewarda. - Widziałeś kiedyś takiego?

#4 - Ryk tornada

50-

Wnlter acn wiiimih*

II

H

vi

- Na wideo.

Był to modny od niedawna sposób chirurgicznego udziwnienia twarzy, połączony z pokryciem jej abstrakcyjnymi tatuażami. Ciekawy styl, ale zdecydowanie odpychający. - Nie da się tych skubańców odróżnić jednego od drugiego - powiedział Griffith. - Właśnie o to im chodzi. Taki miejski ka-muflaż.

- Ważne, że działa.

- Do diabła. Ja nie mogę na to patrzeć. Miałem okazję zobaczyć na Szeolu, jak wygląda prawdziwe okaleczenie. Steward zawahał się na moment, czując przenikającą go falę zimna. Przeniósł wzrok na świętujących oraz ich flagi. Wszystkie kolory i niebo zmieniły się, jak gdyby chmura przesłoniła słońce. Doznał wrażenia dziwnego ruchu, jakby za przestawieniem zwrotnicy znalazł się po zupełnie innej stronie rzeczy, jak-by przeszedł most zupełnie o tym nie wiedząc. - Zawiozę twoją paczkę - powiedział.

Griffith rzucił papierosa na ziemię i przydeptał.

- To dobrze - odparł.

- Chcę jeszcze czegoś, Griffith.

Mężczyzna nie spojrzał na niego, po prostu stał z dłońmi w kieszeniach oglądając szklany miejski horyzont i lustra odbijające kawałki nieba. Prowokował Stewarda, by to powiedział. - Szeol. Chcę Szeolu.

Griffith wzdrygnął się na dźwięk tych słów. Jak gdyby go zraniły.

- Tak - odparł. - Wiedziałem, że to powiesz. Stewardowi nagle zaschło w ustach. Próbował wywołać ślinę, ale mu się nie udało.

- Co mi odpowiesz? - spytał nieco zmieszany.

Griffith wciąż patrzył w dal.

- Jutro - rzucił. - Gdy dam ci paczkę.

Steward doznał ulgi. Czuł, że jest coraz bliżej.

- Muszę wiedzieć - powiedział. - Przykro mi.

Griffith spuścił wzrok, przypatrując się swoim butom.

- Nieprawda. Nie jest ci przykro.

Steward sięgnął do kieszeni koszuli po xanadu. Pragnął, by ta euforia potrwiała nieco dłużej.

- Masz rację - powiedział. - Nie jest mi przykro. Steward stał na dachu kondeku Ardaali. Była późna noc. Dywan w kolorze trawy, rozciągnięty na betonowym podłożu, dra-pał go w podeszwy stóp. Jedyne oświetlenie stanowiła migoczą-ca niebieskożłota poświata basenu i kolorowe lampiony, rozmiesz-czone za metalowymi cylindrami, w których rosły bezzapachowe krzewy.

Pot kapął na dywan. Steward uderzył pięścią przed siebie, powtarzając kolejno ruchy i próbując osiągnąć perfekcję w utrzy-mywaniu równowagi, płynności pracy mięśni, rytmie serca i odde-chu. Był skoncentrowany na stojącym przed nim niewidzialnym celu, fantomie, do którego kierował ową kontrolowaną agresję. Przychodził tu dość często, zwykle nocą, by długo trenować w samotności. W ciągu dnia było za dużo ludzi, zbyt wiele rzeczy dekoncentrowało go, ciągle znajdował się pod ostrzałem niespo-kojnych spojrzeń. W nocy towarzyszyła mu jedynie ciemność, nu-klearny błękit poświaty basenu, zimny i odległy szum miasta. Steward naprzemiennie uderzał nogą i ręką. Tętniła w nim adrenalina, ale pił wcześniej z Ardałą i teraz odczuwał tego skut-ki. Szumiało mu w głowie, i wiedział, że lada moment może stracić nad sobą kontrolę. Adrenalina walczyła z insuliną o władzę nad jego ciałem. Uczucie to było niepokojące, ale również w jakiś spo-sób podniecające, jak ciągła walka o panowanie nad własnymi od-ruchami, którą toczył za każdym razem, gdy sprzedawał towar ze swojego skutera nie wiedząc, czy klient zapłaci mu od ręki szpilką kredytową, czy raczej nożem; pamiętał, jak wówczas drżały mu rę-ce i nogi, lecz on tylko posłał owemu chłopcu uśmiech zza ciemnej osłony kasku i spytał go, czy ma przy sobie pieniądze... Na granicy pola widzenia zaczęły pojawiać się migające ko-lorowe plamy. Kryzys cukrowy nadchodził nieuchronnie niczym fala uderzeniowa. Steward postanowił stawić mu czoło, popłynąć na tej fali do ostatniego ataku na zen, na perfekcję. Przyjął po-zycję, wychylił się do przodu w kierunku celu. Kolano się ugięło, stopa uderzyła, równowaga przeniosła się po ciosie ku przodowi. Jedno ramię wystrzeliwało naprzód i cofało się, ustępując miej-sca drugiemu, przechodzącemu przez wyimaginowaną postać, która przez krótki halucynacyjny moment wydawała się krwawić jak rozdarta tętnica. A potem poczuł wstrząs uderzenia i ślizgacz wymknął się spod kontroli, spadając korkociągiem w stronę ciemności snu. Gdy ślizgacz spadał, Steward się śmiał. Był tam. W samym środku.

52-

wmier juii nuun

Los Angeles. Noc. Steward patrzył przez okno podchodzące-go do lądowania samolotu. Sieć przywiązanych do Ziemi stałych gwiazd maszerowała od leżących z prawej strony gór prosto do wznoszącego się oceanu.

Samolot zadrżał, gdy zaczął zmieniać konfigurację, hamując z prędkości naddźwiękowej do prędkości lądowania. Stewardowi wydawało się, że leżące w dole Los Angeles wyciąga po niego swe lustrzane palce.

Uśmiechnął się. Czuł się jak w domu, choć nigdy wcześniej tu nie był.

Wsunął paczkę do kieszeni. Miał ją przekazać Spassky'emu jutro rano.

- Piwo jest w lodówce - powiedział Griffith. - Rozgość się. Mieszkanie służbowe Lightsource we Flagstaff umebłowano w taki sposób, że przypominało pokój hotelowy: łóżko, proste krzesła, wideo, lodówka, aneks kuchenny. Podobnie wyglądały wszystkie mieszkania w tym budynku, w większości należące do korporacji. Steward usiadł na jednym z krzesel. Brązowy szorst-ki plastik uwierał go w ramiona.

Griffith zgasił papierosa i zniknął w łazience. Na wideo le-ciała bezgłośna reklama jakiejś wódki. Alkohol sfotografowano tak, że wyglądał jak płynny chrom. Zanim Griffith wrócił, dało się słyszeć

długo płynącą z kranu wodę. Walińczyk wyjął z lodów-ki schabala Negra Modelo i zerwał foliowe zamknięcie. - Chcesz trochę? - zapytał.

Steward odmówił. Obserwował Griffitha, jak ten podszedł do przykrytego kocem krzesła przed ekranem wideo. Rozsiadł się wygodnie i napił się ciemnego meksykańskiego piwa. Steward głęboko odetchnął.

- Opowiedz mi o Szeolu - powiedział.

Griffith patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- Nie chcę o tym mówić - odparł. - Wiesz przecież. - Mówiłeś, że mi opowiesz. - Steward poczuł na karku dziwny dotyk, jakby powiew wiatru od odległych eksplodujących gwiazd. - Muszę wiedzieć, co przydarzyło się tam... kapitanowi. Czym lub kim tam się stałem.

Griffith odwrócił wzrok.

- Wiem. Nie miałem zamiaru się wymigać. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że to nie będzie dla mnie łatwe. - W porządku, przepraszam.

Griffith mówił cicho, słowa padały powoli.

- Nie sądzę, byś mógł to pojąć. Nawet gdybym ci powiedział.

To po prostu... nie jest coś, co mógłby ci ktokolwiek wytłumaczyć. Steward po prostu na niego patrzył. Na wideo jakieś małe dziecko zakrzusło się kawałkiem jedzenia na przyjęciu urodzinowym. Dorośli biegali w panice, pozostałe dzieci płakały. Kolory tego cichego dramatu odbijały się na twarzy Griffitha. Bez odwracania wzroku w tamtą stronę, wyciągnął rękę i wyłączył wideo. Podniósł oczy na Stewarda. Był blady. - Niech będzie - powiedział - Powiem ci, co wiem.

Steward czekał w milczeniu.

- Musisz zrozumieć - zaczął Griffith - że w tym wypadku aspekt psychologiczny nie oddaje wszystkiego. Problem nie polega na zapominaniu ani próbach zaadoptowania się. Ożeniłem się, gdy wróciłem do domu. Była fajną kobietą. Poukładała własne życie tak, jak chciała. Wiedziała, co robi. Chcieliśmy mieć dzieci, ale za każdym razem ciąża kończyła się poronieniem... i całe szczęście, bo wszystkie byłyby potworami. Moje geny całkowicie się pomieszały. Od tego, co się tam stało. Przez bronie biologiczne i chemiczne, które atakowały chromosomy. Wiele z zabranych przez nas leków było eksperymentalnymi preparatami Coherent Light, a podane w podręcznikach dawki wzięto z sufitu. Niektóre z nich w ogóle nie działały, inne miały skutki uboczne. Część z nich uszkadzała chromosomy. Coherent Light to nie obchodziło. Grupa Icehawks też była eksperymentem i nawet jeśli się nam nie udało, dostarczylibyśmy przynajmniej ciekawych danych. Griffith przyłożył dłoń do piersi.

- Jestem naznaczony tym, co stało się na Szeolu, gdziekolwiek pójdę. Nie tylko na umyśle, ale także na poziomie mikroskopowym, w kodzie genetycznym, z którego jestem zbudowany. Za-truty. Mogę umrzeć na jakąś nową postać raka, i to będzie skutek Szeolu. Albo jakiś związek chemiczny, którym oddychałem lata temu, strawi mielinowe osłonki wokół moich nerwów i zostanę kaleką. To też będzie Szeol. Tak skończyli inni. Wszyscy nosimy w sobie tykające bomby zegarowe.

Był spocony. Otarł ręką czoło,

- Nie mogę zapomnieć. O tych mikroskopowych bombach zegarowych wewnątrz mnie. A bomby z kolei przypominają mi o całej reszcie. - Spojrzał na Stewarda - Masz szczęście, wiesz? Nie nosisz w sobie tego świństwa.

- Nie możesz sprawić sobie nowego ciała?

- Nie wykupiłem ubezpieczenia klonującego tak jak ty. Nie miałem rodziny. Po prostu zgarnąłem moją premię za niebez-pieczną akcję i przez cały tydzień przed odlotem hucznie się ba-wiłem. Teraz nie stać mnie na nowe ciało. - Spojrzał Stewardowi w oczy. - Wiedziałeś o tym?

Steward przytknął palec do skroni.

- Nie mam tych wspomnień. To była stara kopia.

Griffith ciężko westchnął.

- Rzeczywiście. Ciągle o tym zapominam. Jesteś przecież du-żo młodszy ode mnie. Nawet jeśli urodziłeś się przede mną. Ardala wyciągnęła się na poduszkach. Miała na sobie biały podkoszulek, paliła xanadu. Otwarty numer „Guys” leżał na jej brzuchu.

- Dwa tysiące w walucie Starbright - powiedziała. - Niezła dniówka.

- Niezła - zgodził się Steward. Przed sobą miał podręcznik, ale nie zaglądał do niego od dłuższej chwili. Ardala podciągnęła nogę i podrapała się w gołą łydkę.

- Domyślam się, że to nielegalne.

- Źle się domyślasz. Sprawdziłem w bibliotece za pomocą twojego komputera.

- Jeśli nie jest nielegalne, musi być niebezpieczne. - Możliwe - odpowiedział Steward marszcząc brwi. - Griffith twierdzi, że nie.

Ardala podała mu xanadu. Zaciągnął się.

- Dobrze znasz Griffitha? - spytała.

- Kiedyś znałem go bardzo dobrze.

Usiadła i nachyliła się w jego stronę, opierając łokcie na ko-lanach.

- Mówiłeś, że się zmienił.

- To prawda.

- A więc to niebezpieczne - podsumowała Ardala. Steward wzruszył ramionami i oddał jej papierosa; spojrze-ła na trzymanego w ręku xanadu, ale nie wzięła go do ust. - Jak się nazywa ta firma, dla której pracuje?

- Lightsource Ltd - odpowiedział Steward.

Pokręciła głową.

- Nie słyszałam o niej, ale sprawdzę u siebie. Na pewno cze-goś się dowiem.

Ponownie wzruszył ramionami. Zielone oczy Ardali zwężyły się w szparki.

- Zachowujesz się, jak gdyby zupełnie cię nie obchodziło, że twój stary znajomy ma zamiar wpakować cię w kłopoty - powie-działa.

- Daje mi jeszcze coś, czego bardzo potrzebuję. Przytknęła papierosa do warg, zaciągnęła się i niezadowolona uświadomiła sobie, że się wypalił. Wyrzuciła go do popiel-niczki.

- Daje ci szansę wydostania się w przestrzeń, tak? Pienią-dze? Wiele dobrego ci to przyniesie, gdy będziesz martwy. Spojrzał na nią.

- Daje mi Szeol - powiedział.

To ostatnie słowo zdawało się wisieć w powietrzu przez chwi-lę, jak kropla miodu u łyżki. Ardala pokręciła niedowierzająco głową i opadła na poduszki.

- To tak jakbyś dawał Szeolowi drugą szansę, żeby cię zabił.

Jakby pierwszego razu było ci mało.

Położył dłoń na jej kolanie.

- Nie potrafię sprawić, żeby ta sprawa stała się mniej nie-bezpieczna. Mogę się tylko przygotować. Jestem gotowy. Odwróciła się od niego. Widział, jak przełyka ślinę.

- Już po tobie - rzuciła. - Nie żyjesz.

Steward cofnął rękę i przeniósł wzrok na książkę.

- Będę za dzień lub dwa - powiedział.

- Tak ci się tylko wydaje - odrzekła Ardala nie odwracając się w jego stronę.

- Na początku było łatwo. Szeol został skolonizowany przez Far Ranger, ale Coherent Light jako pierwsza wprowadziła żołnierzy z Icehawks do układu Wolf 294. Ogłosili mobilizację, wypowiedzieli wojnę i polecieli. Wysłano tylko mężczyzn z Ice-hawks; bataliony żeńskie zatrzymano na miejscu, by ustrzec się przed sabotażem i być może także po to, by się z nimi zabawić. Kobiety nie były z tego zadowolone, bo po co w takim razie pr^e-56----- ~u.. „..... chodzący ten cały trening. Natomiast mężczyźni wkurzali się, zmu-szeni do rozstania ze swoimi dziewczynami. - Far Ranger miał zaledwie garstkę osadników na północnej półkuli i małą bazę na większym z księżyców. Pojmaliśmy cały ich personel i przejęliśmy wszystkie dane i artefakty. Potem ufor-tyfikowaliśmy bazę na księżycu, wysłaliśmy parę statków na orbitę, a ludzi na dół. Mieliśmy Icehawks i dwie brygady żołnierzy korporacji, których zwerbowano i wystrzelono z Ziemi dosłownie w ostatnim momencie. Był jeszcze personel pomocniczy oraz kil-kusetosobowa grupa archeologów, ksenobiologów i innych na-ukowców.

Griffith spuścił głowę i przesunął ręką po oczach, ścierając niewidzialny pot. Wpadł w bolesną zadumę, ton jego głosu zmienił się.

- Szeol okazał się... piękny - powiedział. - Gdy wylądowa-liśmy, na północnej półkuli, była pełnia lata. Mocni dbali o tę planetę przez tysiące lat... urządzili ją jak ogród, modelując gó-ry i rzeki. Rozrósł się i zmienił, ale intencję twórców wciąż było widać. Ta... harmonia, z jaką poustawiali to wszystko. Podniósł twarz.

- Mocni nie są tacy jak my - wodniste oczy Griffitha błysz-czały. - Są starsi. Lepszy. Oni wiedzą... wiedzą, jak należy żyć. Wszystko, co odkryliśmy na księżycu i planecie to potwierdza-ło. Byli dobrymi budowniczymi, ale pomimo to niewiele na po-wierzchni zachowało się w nienaruszonym stanie. Okazało się jednak, że zamieszkiwali zarówno na powierzchni, jak i w pod-ziemnych tunelach. Natrafiliśmy tam na cały podziemny świat, setki tysięcy korytarzy i pomieszczeń. Niektóre z nich zawały się, ale ogromna większość pozostała w doskonałym stanie. Ich zawartość starannie przenoszono do magazynów. Nawet na księ-życu były tunele, wciąż wypełnione powietrzem, którym mo-gliśmy oddychać. Mocni wiedzieli, że kiedyś wrócą. Jak pięk-nie tam było. Istna kraina marzeń - pokręcił głową. - A my urządziliśmy brudną wojnę. W tej całej wspaniałości, wśród te-go piękna...

Steward usiadł cicho na krześle z szorstkiego plastiku. W no-gach i rękach czuł mrowienie oraz lekkość, jak gdyby chwilę te-mu skończył rozgrzewkę i był gotów do działania, czekając tylko na sygnał, który każe mu stawić czoło nieznanemu wyzwaniu... Dobrze mu z tym było. Spróbował wyobrazić sobie czekającą pla-netę, zielononiebieską na czarnym tle gwiazd, zaskoczony perso-nel Far Ranger, puste korytarze, po których Icehawks, wyżsi od Mocnych, musieli poruszać się w kucki...

Griffith szukał papierosa.

- Pamiętam, że na początku mówiłeś... to znaczy kapitan mówił, że za bardzo się rozpraszamy, że staramy się zająć zbyt duży teren. Gdziekolwiek spojrzeć, aż piętrzyło się od artefak-tów. Mówił, że rozproszenie jest błędem w tej sytuacji. Mogliś-my skoncentrować się na mniejszym obszarze i zebrać tyle przedmiotów, że i tak nie byłoby wiadomo, co z nimi robić. Jed-nak pułkownik de Prey

uznał, że nie mamy innego wyboru. Na-sze plany opierały się na mapach Szeolu, które zdobyliśmy od Far Ranger. Mogły zostać wcześniej sfałszowane jeszcze w Układzie Słonecznym. A potem pułkownik odleciał do sztabu, by przekazać zdobyte dane. Powiedział, że wróci z posiłkami, jak tylko zda raport. Zwierzchnictwo przekazał majorowi Sin-ghowi. - Griffith smutno pokiwał głową. - Kapitan miał rację. Gdy nadszedł atak, to był właśnie Far Ranger. Mocno żeśmy oberwali.

Potem opowiadał o tym, co się później stało i Steward pró-bował zobaczyć oczyma wyobraźni, jak statki Far Ranger suną przez czerń kosmosu, jak gwałtownie otwierają się paki świa-tła, znacząc miejsca, gdzie wybuchały pojazdy Coherent Light. Myśliwce atmosferyczne spadały na pozycje Coherent Light wprost z jasnego nieba, pociętego przez wolno wędrujące smu-gi dymu po raketach defensywnych i prostolinijne błyskawice strumieni cząstek z miotaczy... Upadające bomby i rakiety eks-plodowały w półokrągłe łuny światła. Doskonale zielony krajo-braz buchał topiącymi wszystko płomieniami. Lądowały trans-portery z piechotą, wypluwając z siebie żołnierzy ubranych w barwy Far Ranger. W ruinach i tunelach rozbrzmiewały wy-strzały z ręcznej broni. Żołnierze rzucający się sobie do gardeł wśród gęstej roślinności. Ponaglające nawoływania na kanałach podczerwieni.

Zaraz potem przyszła powtórka - wszystko znów zaczęło się od początku. Najpierw bezgłośnie rozbłyski światła na niebie, potem wycie myśliwców, tym razem należących do Polikorporacji Derrotero, która przyszła zgarnąć swoją część łupu na Szeolu. Więcej błysków na niebie pojawiło się, gdy statki Far Ranger i Derrotero, połączone w krótkotrwałym sojuszu, próbowa-58-

Wollcr 3on Williams

ty odeprzeć atak Gorky. Potem zdrada ze strony Far Ranger i niespodziewany atak na Derrotero, jak tylko siły Polikorporacji Gorky zostały zmuszone do wycofania - atak, który osłabił Derrotero, ale nie wykluczył ich z gry. Następnie kontratak i statki Derrotero zapanowały na niebie. Tymczasem utrzymują-ce się z najwyższym trudem wojska Coherent Light przeszły do ofensywy przeciw Far Ranger w sojuszu z Derrotero, uzgodnio-nym na oczekaniu przez Singha. Zaraz jednak pojawiła się następna fala najeźdźców: połączone siły Polikorporacji Magnus i OutVentures, kończąc istnienie Derrotero w tym układzie pla-netarnym i wysadzając na powierzchnię Szeolu ogromną liczbę dobrze wyszkolonego wojska. Błysk na powierzchni największe-go z księżyców.

- Umieściliśmy taktyczny ładunek jądrowy pod bazą księży-cową na ewentualność jej utraty. De Lopez z detonatorem w rę-ku czekał ukryty w jednym z tuneli. Zabił wielu ludzi. Zniszczył statki, które wylądowały w bazie, by dokonać napraw. - Grif-fith przełknął ślinę. - Nie wiem, czy to dobrze, że pierwsi użyliś-my broni jądrowej. Może to był dla nich sygnał, że nie muszą już z nami postępować w cywilizowany sposób. Potem nastąpiła zima.

Griffith kończył drugie piwo.

- Nasi poborowi padali jak muchy. Byli dzielni i sprytni, ale nie trenowali razem wystarczająco długo, nie umieli ze so-bą współpracować, a od początku złe rozmieszczenie uczyniło ich łatwymi celami. Zostali rozdzieleni tak, by poszczególne od-działy nie mogły się nawzajem wspierać. Tylko Icehawks mie-li szansę utrzymać się pod tym naporem ludzi i broni. Mieliśmy dobre przygotowanie i wysokie morale. Zdolność działania. Mo-gliśmy prowadzić długotrwałą wojnę podjazdową dysponując niewielkim zapleczem. Co innego ci nowi: jak tylko stracili te swoje przytulne piankowe bunkry, grzejniki elektryczne i ze-stawy wideo, po prostu się rozpadli. - Pokiwał głową z przygnę-

bieniem. - Boże, ich w ogóle nie szkolono w warunkach zimo-wych.

Jego pergaminowa skóra zbladła jeszcze bardziej. W oczach miał czarną pustkę. Wpatrywał się tępo w krajobraz rozciąga-jący się w jego wspomnieniach. Smuzka dymu unosiła się z trzymanego w rękę papierosa, lecz on już dawno o nim zapo-mniał.

- Zima na Szeolu jest ciężka. Dlatego Mocni zbudowali ty-le tuneli. Musieli gdzieś się schować przed zimnem. To w prze-ważającej części płaska planeta, z dużą liczbą oceanów... Wiatry łatwo rozpędzały się do huraganowych prędkości, pchane siłą Coriolisa i Bóg wie czym jeszcze. Nic nie zdołało ich zatrzymać. Nagle nadciągały z wyciem znad prerii, jak Sąd Ostateczny pod-czas pikniku. Burze potrafiły trwać przez wiele dni, czasami na-wet tygodnie. Pierwsi ludzie z Far Ranger wylądowali na Szeolu właśnie w zimie. Wiedzieli, co robią nazywając tę planetę Sze-olem.

Popiół z papierosa upadł mu na spodnie. Spojrzał nieobec-nym wzrokiem i strzepnął go na podłogę. Z dzikim wyrazem twa-rzy wdusił niedopałek w popielniczkę.

- Co jakiś czas docierały do nas wiadomości ze sztabu. Sta-tek wchodził na chwilę do systemu, wyrzucał z siebie przekaz i natychmiast uciekał. Czasem jakiś statek z zaopatrzeniem da-wał radę przebić się przez blokadę. W końcu jednak zaprzesta-li prób dotarcia do nas. Nie wiedzieliśmy, że Coherent Light wkłada całą swoją energię, by wesprzeć wojnę, jaką w odległym układzie prowadził Far Jewel. Że dwa kobiece bataliony Ice-hawks, wraz z nowym poborem, wysłano właśnie tam, a nie nam na pomoc. Musieliśmy żyć z tego, co udało nam się zdobyć, lub z tego, co znaleźliśmy w tunelach. Próbowaliśmy też upraw na własną rękę.

- Pomimo trudnej sytuacji wciąż atakowaliśmy. Z tuneli. Ro-biliśmy wypadki na odizolowane strażnice pod osłoną burzy. Cza-sem atakowaliśmy tylko po to, żeby ukraść jedzenie. Musieliśmy zabijać wszystkich, którzy się poddali. Nie mieliśmy gdzie ich trzymać ani czym karmić. Gdy wróg kontratakował, chowaliśmy się w tunelach.

Griffith cały się trząsł. Ręce mu drżały, rozlewał piwo z bu-telki.

- Nie mogli nas wykurzyć z naszych kryjówek. Zbyt dużo kosztowałyby ich, żeby nas po prostu wykopać. To właśnie wtedy zaczęli używać przeciwko nam gazu. Robotów eksterminacyj-nych. I broni biologicznych. - Po twarzy Griffitha spływały łzy. Z trudem nabierał powietrza. - Wtedy wszystko się rozpadło. Wówczas zrozumieliśmy, że... poświęcono nas. Że Coherent Light nigdy po nas nie wróci.

60-

Walter 3on Wliuai

Cieplą noc przepelniała światło i dźwięki. Jazgotliwa muzy-ka wypływała na ulicę z małych sklepików, jakich wiele ścisnęło się obok siebie wzdłuż szerokiej promenady ze stopu i kryształu, w których odbijały się sylwetki przechodniów. Nad chodnikiem przesuwały się bezgłośnie jaskrawe hologramy. Steward miał na sobie grafitową kurtkę, narzuconą na czarny podkoszulek z ekra-nem ciekłokrystalicznym na piersiach, na którym trzycalowymi tęczowymi literami przesuwał się tekst wiersza Jacka Totema pod tytułem „551”...

„Nasze języki to elektrony, smakujące krzemowe serce Ame-ryki”. To była magia. Zaklęcie przywołania lokalnych demonów, wzywające je do pomocy Stewardowi.

Zmierzał na miejsce spotkania po spirali, próbując wyczuć nastrój tego miasta, panujące w nim stosunki i rytm życia. Nie mógł się równać wiedzą z żadnym miejscowym, lecz być może

posmakowanie tutejszego krzemowego serca dałoby mu jakie-kolwiek pojęcie, jak się tu mają sprawy. Na nogach miał adida-sy z czerwonymi kulkami po bokach - nie mógł się oprzeć chęci kupienia ich podczas ostatniej godziny pobytu w Arizonie. Reminiscencja tego, gdzie był kiedyś; i dlaczego teraz był wła-śnie tu.

Czując w kieszeni ciężar paczki, zastanawiał się, czy powinien zabrać ją na spotkanie. Griffith twierdził, że to bezpieczne. Nieokazanie odpowiedniego zaufania mogło sporo kosztować Griffitha, biorąc pod uwagę fakt, z jakimi ludźmi się zadawał. Ruszył błyszczącą ulicą rozważając wszystkie za i przeciw. Griffith leżał na łóżku. Paląc gapił się w sufit. Oddychał już swobodniej. Napad drgawek przeminął.

- Dotarła do nas wiadomość. Od pułkownika de Preya. Rozkazał Singhowi sprzymierzyć się z Far Ranger i Gorky przeciwko Magnus i OutVentures. Rozkazał nam przejść do ofensywy. Tam w sztabie oni nawet nie wiedzieli, że Gorky nigdy nie wyłą-dowali.

- Żyliśmy za biologicznymi śluzami w głębi tuneli. Nasze uprawy zostały zatrute. Za każdym razem, kiedy wychodziliśmy na zewnątrz, musieliśmy zakładać szczelne skafandry i nie mogliśmy zdjąć ich nawet na chwilę. Ludzie zaczęli chorować, ubywało im sił. Zostało tylko około tysiąca poborowych, w dodatku stracili cały ciężki sprzęt... Byli teraz po prostu partyzantami, jak Icehawks, tyle że źle wyszkolonymi. Ci z Far Ranger znaleźli się w jeszcze gorszej sytuacji niż my. Singh zdecydował się posłuchać rozkazów, natomiast ty, czyli kapitan, byłeś przeciwny. Mówiłeś mi, że od miesiąca nie mamy kontaktu z Coherent Light, i oni nie znają faktycznego stanu rzeczy. Jednakże Singh ufał pułkownikowi i twierdził, że Coherent Light musiała podjąć decyzję na podstawie nieznanych nam czynników, że pewnie zmierza już pomoc, albo że zawarto sojusze, o których nie wiemy i one są dla nas korzystne.

Obrócił się do Stewarda. Ten zobaczył w jego oczach podziw i zrozumiał, że Griffith nie mówi ani do siebie, ani do niego, lecz do człowieka, który już nie żył. Do kapitana. - Słyszałem, jak ty i Singh wydzielaliście się na siebie. Lecz gdy zobaczyłem cię po tej naradzie, byłeś spokojny. Pamiętam, że zacytowałeś mi wtedy panią Corman. Naszą starą nauczycielkę sztuk walki. Pamiętasz, jak Corman mówiła o zen? Powiedziała wtedy, że świat, rzeczywistość jest jak trąba powietrzna. Że wojownik zen nie walczy z wiatrem, lecz nie daje mu żadnego punktu oparcia. Że trąba przechodzi przez niego, pozostawiając go ta-kim, jakim był, niewzruszonym.

Mówisz do mnie, pomyślał Steward. Gdy mówisz do kapitana, zwracasz się do mnie. To znaczy, że jestem taki jak on. Poczul zimny dreszcz, a zaraz potem falę ciepła.

- Byłeś trochę chory, jak my wszyscy. Miałeś gorączkę. Albo bronie biologiczne przeciwnika, albo nasze własne szczepionki sprawiały, że zawsze mieliśmy gorączkę. Schudłeś, nie sypiałeś, biegałeś jak obłąkany. Wyglądałeś jak pieprzony duch, chłopie. Wszyscy tak wyglądaliśmy. Powiedziałeś wtedy, że nie wystarczy pozostać niewzruszonym i pozwolić trąbie powietrznej przejść przez siebie. Powiedziałeś, że jedyny sposób na przeżycie, to sa-memu stać się tornadem.

Stewardowi wydało się, że zagłębia wprost do wnętrza głowy Griffitha, że jego oczy są czarnymi dziurami prowadzącymi w pustkę, w miejsce, gdzie w czaszkę uderzał niewidzialny śnieg, a w uszach ryczał ryk tornada.

- Przeżyłem wojnę - mówił Griffith. - Byłem postrzelony i zagazowany, zaginałem w burzy śnieżnej. Nigdy jednak nie bałem się tak, jak wtedy, gdy usłyszałem twoje słowa. Wiedziałem, że jedynie ty zdajesz sobie w pełni sprawę, jaka naprawdę jest ta wojna. Że to zaakceptowałeś, i mimo wszystko

byłeś zdolny do działania. Jesteś szalony, myślałem, opętany walką i pośpiechem. Wiedziałem również, że jeśli mam się stamtąd wydostać, muszę pójść za tobą. Nie byłem sam. Nawet ludzie z innych jednostek próbowali dołączyć do kapitana. Usiłowali znaleźć wymówkę, by móc być przy nim. Zaczynali zdawać sobie sprawę, że jeśli ktoś ma wyjść z tego cały, to właśnie ty.

Przerwał, a gdy znowu się odezwał, w jego głosie brzmiała spokojna pewność.

- Ty byłeś tornadem, kapitanie - powiedział. - Reszta z nas po prostu za tobą szła. Lecz to ty byłeś tornadem. Ty byłeś Sze-olem.

Brakowało taksówek. Steward zauważył to już w pierwszej chwili. Mnóstwo prywatnych samochodów i jednośladów, ale zero taksówek.

Było tu wiele niedużych wspólnot, takich kondekobloków na małą skalę. Samowystarczalnych, o klarownych zasadach funkcjonowania. Budynki były stare, często nawet wiekowe. Fasady lśniły nowością tylko do poziomu pierwszego piętra. Mieściły się tam kluby, sklepy, butik, wszystkie siłące się na nowość. Tereny należące do gangów, pomyślał Steward. Miejsce, gdzie dzieciaki, które naprawdę rządzą Los Angeles, załatwiały swoje interesy. Nie widziało się tu wielu ludzi w wieku powyżej dwudziestu pięciu lat. Nie w nocy.

Większość z małych wspólnot mieszkalnych pełna była ludzi o twarzach pokrytych farbą i brokatem lub makijażem w kształcie motyli skrzydeł, oraz włosach uplecionych w drobne ekstrawaganckie warkoczyki. Na nadgarstkach, policzkach i wierzchnich stronach dłoni nosili zaimplantowaną biżuterię. Muzyka, którą puszczała, była głośna, natarczywa, pełna buntu i wyzywającej radości. Tuż obok jednak pojawiał się inny styl. Bardziej stonowany, cichszy. Muzykę tworzyła mieszanka skomplikowanych rytmów, sugerująca postawę dwuznaczną, wyrażoną.

Tutaj po raz pierwszy Steward zobaczył Maskę Ulicy. Metalowe implanty zębów z zastrzonego stopu. Usunięte uszy, w miejscu których widniały czarne pudełka skanerów audio. Ciemne okulary z ciekłokrystalicznym ekranem po wewnętrznej stronie, by ich właściciele mogli widzieć wszystko jak w wideo, albo też - gdyby rzeczywistość okazała się mało interesująca - przełączyć się na jeden z nadawanych programów. Wymieniano także oczy, lecz w ich miejsce nie pojawiały się implanty podobne do naturalnych, lecz metalowe skanery, wypełnienia z przezroczystego plastiku, białka wykonane z ciekłego kryształu, który sprawiał, że oczodoły mieniły się abstrakcyjnymi wzorami, zmieniając niespokojnie swój wygląd jak płynne srebro. Popularne wydawało się również spłaszczanie nosa. Twarz stawała się w ten sposób polem do popisu dla tatuażystów. Bywało, że całą powierzchnię głowy pokrywały monochromatyczne rysunki obwodów elektronicznych, równań matematycznych, miejskich krajobrazów.

Steward był zdenerwowany. Wysiłkiem woli opanował chęć ucieczki. Ci ludzie byli niepokojący.

Krótkotrwałe zjawisko, zawyrokował Steward. Ta ekstrawagancka moda na samookaleczenie w końcu przestanie pociągać większość ludzi. Lecz dopóki trwała, jej potęgę widać było wszędzie.

Znowu poczuł ciężar paczki z Piorunem, co sprawiło, że podjął decyzję. Nie miał zamiaru wchodzić do klubu pełnego tych ludzi, mając przy sobie coś wartego 100 K w walucie Starbright. Postanowił wyszukać jakąś firmę oferującą sejfy do wynajęcia na noc.

Wszędzie było ich pełno. Wydawało się, że mają tu pełne ręce roboty.

Griffith zamknął oczy. Leżał jak martwy na łóżku, z rozrzuconymi rękami i nogami. Mówił teraz bardzo cicho. Steward musiał mocno się wsłuchiwać, żeby go zrozumieć.

- Nasza ofensywa załamała się po dwóch dniach. Z Far Ranger było jeszcze gorzej niż z nami i nie mogli zapewnić nam odpowiedniego wsparcia. Kontratak starł nas na pył. Straciliśmy prawie dwa tysiące ludzi. Resztę ciężkiego uzbrojenia. Jedyne oddział kapitana przetrwał w stosunkowo dobrym stanie. By to osiągnąć, nie posłuchał rozkazów. Uderzyliśmy na nasze wstępne cele, po czym wystartowaliśmy zdobytym samolotem, zanim ruszył kontratak. Ukradliśmy nieco broni biologicznej i zrobiliśmy wypad na jedno z ich centrów dowodzenia. Włamaliśmy się do środka używając fałszywych kodów, które udało nam się zdobyć, i wpuściliśmy bakterie do wszystkich kanałów wentylacyjnych, jakie zdołaliśmy znaleźć. Potem uciekliśmy w powietrze. Takty-

ka ataku z doskoku. Tak naprawdę to jedynie w ten sposób mogliśmy cokolwiek im zrobić. Dopiero po kilku tygodniach wróciliśmy w miejsce, gdzie Singh umiejscowił swój sztab. Czasem zastanawiam się, czy kapitan w ogóle chciał tam wracać, ponieważ Singh podtrzymywał ofensywę, jak długo się dało, a kapitan po prostu nie wypełniał rozkazów. Być może Singh wierzył, że Gor-ky wrócą i nam pomogą.

- Od pułkownika de Preya nadeszły jednak nowe instrukcje - kontynuował. - W Coherent Light uznano, że Magnus są gotowi, by zadać cios w plecy OutVentures. Rozkazano nam dołączyć do Derrotero oraz Magnus i rozpocząć nową ofensywę. Nawet włączając naszych sprzymierzeńców, zostało nam tylko około ośmiuset ludzi. Kapitan miał pięćdziesięciu swoich. Poborowi, personel pomocniczy i naukowcy albo dołączyli do nas, albo zginęli. Zima powinna już się kończyć, ale nic na to nie wskazywało.

Griffith pokiwał smutno głową.

- Doszło do jeszcze jednej kłótni z Singhem. Nie dawał za wygraną. Twierdził, że wciąż wierzy. Coherent Light wie, co robi. Tym razem jednak kapitan również nie popuścił. Przejął dowództwo. Po prostu je wziął. Przy majorze Singhu nie został nikt, kto chciałby go słuchać.

- Tak po prostu - powiedział Steward. Jego słowa zabrzmiały zbyt głośno w panującej w pokoju ciszy. Niestosownie głośno. Pomyślał o Singhu. Inteligentny. Twardy. Niełatwo było go przeniknąć. Dobry żołnierz. Niezłomny. Steward nie wyobrażał sobie, by Singh mógł tak po prostu się poddać.

- Nie, nie tak po prostu - powiedział Griffith otwierając oczy.

Gapił się na sufit. Steward nie mógł nic odczytać z jego twarzy. - Byłem przy tym - mówił dalej. - Stałem tuż za kapitanem, gdy wyciągnął pistolet i strzelił majorowi Singhowi w głowę. Potem ja celowałem w sztabowców, gdy byli rozbrajani, by po rozdzieleniu porozysłać ich do innych jednostek. Nie widziałem... nie było żadnego innego sposobu. Nad nami ryczało już wówczas tornado, a Singh chciał się mu przeciwstawić. Nie rozumiał, że wszystko się zmieniło. To właśnie wtedy kapitan sam dał sobie awans, co uczyniło go jedynym oficerem, jakiego mieliśmy. Jedyńm, jakiego było nam trzeba. On nas z tego wyciągnął.

„Neoimagizm - mówił nagrany głos - to coś więcej niż filozofia. Coś więcej niż styl życia”.

Uliczny festyn neoimagistów kwitł na jednej z ulic. Małomówne dziewczęta w brokacie rozdawały literaturę. Należą do stowarzyszonego gangu, pomyślał Steward. Na holograficznych filmach

pokazywano osiedla orbitalne drugiej generacji, uśmiechniętych ludzi, eleganckie sylwetki mieszkańców, dostoso-wanych genetycznie do zerowej grawitacji, modele helisy DNA, którą można dowolnie samemu modyfikować według własnych zachcianek.

Nad ulicą obracało się logo Pink Blossom, głównego sponso-ra całej zabawy.

„Rekonstruujemy rasę ludzką” - mówił głos. To był kobiecy głos: przyjazny, ale bardzo stanowczy. Rezultat pracy oprogra-mowania, zaprojektowanego do przyciągania uwagi i wzbudza-nia zaufania.

Dni Darwina. Steward pomyślał o ludziach na dachach szkła-nych kopuł, którzy zrzucali w dół grube okna. Nieświadome na-rzędzia w rękach ewolucji. Rekonstruujący ludzką rasę w swój własny bezmyślny sposób - to był jedyny rodzaj ingerencji w ge-nom, jaki Steward mógł zaakceptować.

- Kapitan wiedział, że Magnus ma zamiar dość szybko ude-rzyć na OutVentures, razem z Derrotero. Pozwolił więc, by ci z Magnus myśleli, że do nich dołącza. Uzgadniając plany z Poli-korporacją Magnus, nawiązał jednocześnie potajemny kontakt z OutVentures i przekazał im słowo w słowo zamiary Magnus. Ci z Magnus zauważyli, że OutVentures czyni przygotowania, więc przyspieszyli swoje. Gdy tamci pochłonięci byli wzajemnym uprzedzaniem ruchów, my trzymaliśmy się w cieniu. Gdy zaczęli rozszarpywać się na kawałki, my ukryliśmy się w tunelach. Nie braliśmy w tym udziału. Byliśmy w ciągłym ruchu, podjeżdżając przeciwników i kradnąc im sprzęt, dzięki któremu mogliśmy prze-żyć. Gdy wchodzili za nami do tuneli, zastawialiśmy zasadzkę, po czym pojawialiśmy się w zupełnie innym miejscu. Kapitan nazy-wał to kłaniem trupa.

W poprzek lady przebiegał hologram: BUDUJEMY NASZ INTERES NA ZAUFANIU. UFAMY, ŻE ZAPŁACISZ Z GÓRY.

We framudze drzwi zainstalowano zaawansowany skaner, który

#5 - Ryk tornada

(1

potrafił wykryć praktycznie każdą broń, chyba że była zaimplan-towana bezpośrednio w ciele. Z sufitu zwisały precyzyjne lasery. Znajdujący się na zewnątrz szyld tego przybytku informo-wał: POŻYCZKI, SPRZĘT SPORTOWY. Wnętrze przypominało raczej lombard.

Zaufanie, pomyślał Steward. Dobrze.

Za ladą stała skrzyżowawszy ramiona chuda kobieta z brzyd-ką cerą, w wieku około trzydziestu lat.

- Miecz strunowy - powiedział Steward wskazując przedmiot na półce - Officier Suisse.

Na dźwięk jego francuskiej wymowy podniosła na chwilę gło-wę, po czym sięgnęła za siebie po broń. Miecz przypominał wiel-kością i kształtem wieloostrzowy scyzoryk. - Poczekaj pan chwilę - powiedziała. - Muszę przydeptać bezpiecznik. Niech pan nie wychodzi poza taśmę. - Waccord - odpowiedział Steward.

Weszła za osłonę z przezroczystego plastiku i wcisnęła nogą płytkę w podłodze. Gdyby ją teraz podniosła, znajdujące się w po-mieszczeniu lasery pocięłyby go na kawałki w ułamku sekundy. Steward upewnił się, że stoi wewnątrz kwadratu trzy na trzy metry zaznaczonego taśmą na podłodze, po czym włączył broń przyciskiem znajdującym się na jej końcu. Dotknął leżącego pod kciukiem przełącznika i z uchwytu wysunęło się jakieś siedem-dziesiąt pięć centymetrów stabilizowanej jednostrunowej linki, zakończonej małym, ołowianym ciężarkiem. Kilka razy machnął mieczem w powietrzu.

Nie wydawał żadnego dźwięku.

Ponownie pstryknął przełącznikiem i linka straciła swoją sztywność, zwisając z uchwytu pod własnym ciężarem. - Nie biorę żadnej odpowiedzialności za to, co się będzie dalej działo, kolego - odezwała się kobieta. - Jak odetniesz sobie głowę, to nie moja wina.

Steward zaczął poruszać biczem, z początku powoli, aż przypomniał sobie właściwe ruchy, których nauczone go w Ice-hawks. Nigdy nie odważył się używać tego, w Canards. Było wielce prawdopodobne, że poraniłby sam siebie tą nieprzewidywalną bronią.

Zaczął ruszać się szybciej, zakreślając linką szerokie łuki, zmieniając bicz na miecz i odwrotnie. Kobieta obserwowała go wzrokiem pozbawionym wyrazu.

Wyłączył miecz i położył go na ladzie. Cofnął się o kilka kroków. Kobieta rozbroiła zabezpieczenie.

- Jak przejść z tym przez skaner? - spytał Steward.

Sprzedawczyni wzruszyła ramionami.

- To zależy od skanera. Nie próbuj pan przejść z tym przez mój skaner.

Steward rzucił okiem na wiszące nad jego głową lasery.

- OK - odpowiedział.

Położył na ladzie obok miecza szpilkę kredytową, po czym odsunął się, by spojrzeć na coś, co znajdowało się pod szklanym blatem sąsiedniej witryny. Morskie pochodnie, palące się nawet pod wodą. - Wezmę też te pochodnie - powiedział.

Zamierzał po nie jechać specjalnie aż nad ocean. W następnym sklepieniu kupił obszerną torbę na zakupy, do której włożył pochodnie. Wykonano ją w Malezji, z białego lniwego płótna. Na jednej stronie widniał abstrakcyjny czarny wzór, a na drugiej słowa: DOSKONALE BIAŁY ZESTAW KÓŁEK. Pierwsze dwa słowa były czarne, a pozostałe czerwone. Steward nie miał pojęcia, co to wszystko znaczy.

Zarzucił sobie torbę na ramię. Jego podkoszulek rozmawiał z metalowymi ulicami.

Zdązał po zacieśniającej się spirali w kierunku klubu, który był celem jego podróży. Chwytał wibracje, zen tego miasta. - Wrócili Gorky, tym razem w sojuszu z Far Ranger. Wykonali ostatni ruch. Ich desant na planetę został odparty, więc przestali na zdobyciu księżycy i utrzymaniu go. Za pomocą swoich na-prowadzaczy masowych przechwytywali planetoidy, po czym zrzucali je na planetę wszędzie, gdzie dostrzegli oznaki życia. Magnus i OutVentures próbowali odpowiadać na atak atomówkami i rzeczywiście, część z nich dotarła do celu. Na Szeolu nie było prawdziwej wiosny. Zbyt dużo tego świństwa latało w atmosferze. W zamian mieliśmy coś w rodzaju połowicznej zimy, w której śnieżne burze przynosiły głównie deszcz. W tunelach i pod zaspami piętrzyły się stosy ciał.

Steward włożył torbę do wnęki, znajdującej się przed wejściem do klubu. Maszyna zaakceptowała depozyt, wypluwając kwit - kawałek papieru z kodem magnetycznym. Włożył go do kieszeni i wszedł do środka.

Uznał, że uruchomienie wszystkich alarmów w tym przybytku już na wstępie postawiłoby go w kłopotliwej sytuacji. Coś takiego z pewnością od razu zagwarantowałyby mu gorszą pozycję przetargową. Zdecydował się więc zgłosić miecz przy wejściu.

Na zewnątrz widniał holograficzny szyld CLUB BAG, wypisany literami, które wyglądały jakby zrobiono je ze stopionego brązu. Przez otwarte drzwi zobaczył, że we wnętrzu były betonowe podłogi i ściany z pianki w aerozolu. Wszystko pomalowane na czarno. Stoliki z przezroczystego plastiku miały chromowane nogi i wbudowane terminale komputerowe. Mniej więcej połowa

zgrupowanych tam ludzi nosiła Maskę Ulicy, albo przynajmniej skłaniała się wyraźnie w tym kierunku.

Siedzący przy stolikach obserwowali go, gdy przechodził przez drzwi. Tatuaze, napoje o dziwnych barwach, głowy kołyszące się w rytm muzyki. Steward rzucił okiem na tłum za sobą i podszedł do baru. Barman był człowiekiem w średnim wieku, z rozbudowaną klatką piersiową, potężnymi ramionami i ochrypłym głosem zawodowego boksera.

- Gwiezdna bestia - rzucił Steward w jego kierunku. Sopran odbijały się piskiem od ścian. Basy ginęły gdzieś po drodze. Ludzie tańczyli przed pustą sceną w rytm odtwarzanej z nagrania muzyki. Żaden z tańczących nie wydawał się zbyt zainteresowany tym, co robił.

Noc była młoda. Nic się jeszcze tak naprawdę nie zaczęło. - Nie wiem dlaczego nie poddaliśmy się. To było takie sensowne rozwiązanie. - Griffith potarł wąsy. - Chyba dlatego, że mieliśmy bardzo silne poczucie lojalności. Icehawks to byli ludzie z jajami. Nie mogliśmy sprawić sobie nawzajem zawodu. Chwilę później nie było już komu się poddawać. Wszyscy żyliśmy w tunelach jak dzikusy. Biliśmy się o jedzenie. Nie braliśmy jeńców, bo nie mieliśmy dla nich żywności; z tego samego powodu sami nie mogliśmy się poddać. Zabijaliśmy więc wszystkich, ponieważ nie było innego wyjścia. Większość z nich została niedawno zmobilizowana. Byli mięsem armatnim. Dziewczynki z Korei, dzieciaki z ulic Rio. Ginęli zaraz, jak tylko przylecieli. - Pokiwał smutno głową. - W końcu zaczęliśmy zjadać się nawzajem.

Steward popijał drinka i przyglądał się tłumowi. Przybywało ludzi. Rozmowy stawały się coraz głośniejsze, zagłuszając chwilami muzykę.

Wydawało mu się, że wie, który z nich to Spassky - niski, żywy dzieciak ubrany w niebieskie dzinsy, półbuty i jaskrawożółtą kurtkę z krótkim rękawem, obfitującą w paski i zamki błyskawiczne. Jego włosy zaplecione były w czarne afrykańskie ściegi, biegnące równoległymi rzędami wzdłuż głowy aż do twarzy, gdzie gładko przechodziły w postrzępione, schodzące pionowo w dół linie tatuażu. Miał zastrzone w szpic metalowe zęby, ułożone na przemienne, by wchodziły w zagłębienia dziąsła. Dzięki temu nie ranił się podczas zamykania ust. Oczy zasłaniały mu okulary z umieszczonymi z tyłu ekranami wideo.

Przy tym samym stoliku siedziała jeszcze dziewczyna i dwóch chłopców. Dziewczyna wisiała na ramieniu niskiego chłopaka, ignorując fakt, że ten nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Jej czoło pokrywały tatuaze, a przez środek twarzy przechodził bandaż. Steward domyślił się, że musiała dopiero co przejść operację zmiany nosa.

Chłopcy byli rośli - mierzyli co najmniej dwa metry wzrostu. Nosili ciężkie buty. Na ogolonych głowach widać było tatuaze. Jeden był gruby, drugi chudy. Gruby nosił okulary wideo, chudy miał przezroczyste implanty oczu, przez które można było zobaczyć obwody elektroniczne. Steward zastanawiał się, czy w mózgi tych ludzi wpleciono nitki bojowe i uznał, że istnieje duże prawdopodobieństwo. Spostrzegł, że ich głowy obracały się lekko za każdym razem, gdy zainstalowane w drzwiach skanery zapalały zielone światło dla kolejnego gościa. Nigdy nie patrzyli bezpośrednio w stronę wejścia. Gdyby to robili, wyglądaliby na zaniepokojonych. Jednak na pewno czekali na kogoś.

Muzyka nagle umilkła. Ci, co do tej pory tańczyli, stanęli, po czym z wahaniem udali się w kierunku krzeseł. Wyglądali na zagubionych.

Na scenę wszedł blady chłopak w wieku około piętnastu lat. Miał pryszczatą, zapadniętą klatkę

piersiową i był nagi. W rękę trzymał jakiś pakunek. Gdzieniedzie na sali rozległy się okla-ski. Z sufitu opuścił się mikrofon. Potop kolorowych świateł za-barwiał ciało chłopca pastelową zielenią.

- Niech czerwie śmierci wiją się w ich sercach! - wyrzecz-czał do mikrofonu. Głos załamał mu się na ostatnim słowie. Za nimi, pastelowy chłopiec szlochał na scenie, próbując przebić igłą swój napletek.

Maszyna wypluła torbę Stewarda. Chwycił ją i pobiegł. Griffith był blady. Wyglądał, jakby odpłynęła z niego cała krew, razem ze wszystkimi uczuciami i emocjami. - Wtedy właśnie wrócili Mocni i wszystko się skończyło.

W jednej chwili przyleciało ich całe mnóstwo. Setki statków. Ogromnych statków. Statki Polikorporacji Gorky nie odważyły się próbować z nimi czegokolwiek i po prostu uciekły z układu. Zostawili nas samych na powierzchni.

Ręce znów mu drżały. Sięgnął po chusteczkę, wydmuchał nos, po czym wstał i wyszedł do łazienki. Steward słyszał szum wody. Gdy Griffith wrócił, wyglądał znacznie lepiej - na twarz powróciły mu kolory. Usiadł w fotelu obok wideo i kilka razy głę-boko odetchnął.

- To stało się w czasie gdy kapitan i Icehawks prowadzili już otwartą walkę z wrogiem. Kapitan nie chciał tego kończyć, nie chciał pogodzić się, że to już koniec, chociaż mówiliśmy mu, że przecież nie będziemy bić się z całą obcą rasą. Był jak szaleniec, walczący o to, by wojna trwała dalej. Stał się tornadem, więc nie chciał pozwolić, by przestało istnieć. Myślałem, że będziemy mie-li powtórkę sytuacji z majorem Singhem, że będziemy musieli rozstrzygnąć to między sobą tu i teraz. Lecz nagle wpadłem na pomysł, jak go przekonać, jak sprawić, by posłuchał głosu roz-sądku. Powiedziałem mu, że jeśli będziemy dalej walczyć, nigdy już nie zobaczy Natalie.

Griffith wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze bardzo powoli.

- To go przekonało - powiedział, schylając głowę. - Odłożył swój pistolet i odszedł od nas do swojego małego centrum dowo-dzenia. Widziałem, że płacze. Po kilku minutach wyszedł i rozka-zał nam zniszczyć kody i broń. Wzięliśmy nasz transporter i uda-liśmy się tam, gdzie czekali Mocni. - Griffith zaśmiał się krótko. - Był tam de Lopez. Facet od bomby atomowej na księżycu. Spę-dził miesiące w swoim tunelu, słuchając wojny przez radio. Był spasiony, zdrowy, uśmiechnięty... Patrzył na nas, jakbyśmy nale-żeli do innego gatunku.

- Nie wiem, dlaczego Mocni po prostu nie zdusili nas jak robaki - ciągnął - szczególnie po tym, jak zobaczyli, co zrobiliś-my z ich planetą. Panował tam niezły bałagan; cała powierzch-nia została zryta kraterami, ograbiona i zatruta. A oni zaopie-kowali się nami. Nakarmili nas częścią własnego jedzenia, roz-dysponowali pozostałą resztkę ziemskich leków i ubrań. Spyta-li nas nawet, co zrobić z zabitymi. Było dla nich ważne, żeby wszystko przeprowadzić we właściwy sposób. Na początku ba-łem się ich. Przerazał mnie sposób, w jaki się poruszali, ich wy-gład, dźwięki, które wydawali, brzmiące niczym pozbawiona harmonii muzyka organowa. Tak naprawdę nie potrafiliśmy się jeszcze z nimi porozumiewać. Z czasem zrozumiałem jednak, że są od nas lepsi. Pod koniec pierwszego miesiąca nie chciałem już być gdziekolwiek indziej. Bardzo wielu z nas reagowało po-dobnie.

- Gdy wróciliśmy - mówił dalej Griffith - nie było już Cohe-rent Light. Ludzie odpowiedzialni za jej działalność siedzieli w więzieniach. Nikogo nie obchodziliśmy. Skończyły się firmowe szpitale i inne przywileje. Zostawiono nas samym sobie. Potem dowiedzieliśmy się, jak nas sprzedano. Coherent Light nie plano-wała wygrania tej wojny. Icehawks byli czymś w rodzaju karty przetargowej, za pomocą której chciano wywierać nacisk na inne polikorporacje. Szefowie

zdecydowali, że Far Jewel ma największą szansę zdobycia dominacji w jakimś innym układzie plane-tarnym, zaangażowali więc całą swoją logistykę, by wspomóc ich działania, w zamian za udział w łupach. Wszystkie ofensywy, które kazano nam prowadzić, miały na celu związanie przeciwników Far Jewel w układzie Szeolu, by nie mogły walczyć z nimi gdzie indziej. Gdy się dowiedziałem, po prostu podzieliłem się tą wiadomością ze wszystkimi. Jak wróciliśmy na Ziemię, zacząłem pracować dla Mocnych, podobnie jak wielu innych. Zatrudniono mnie jako tłumacza, choć tak naprawdę nie miałem do tego żadnych kwalifikacji. Potem Mocni odlecieli z Ziemi i zostałem bez pracy. W pewnym sensie utrata Mocnych była gorsza niż Szeol. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Przeleżałem w łóżku cały tydzień.

Byłem naprawdę chory.

W boczny zaułek, przez ulicę. Przejść na teren innego gangu, ale zygzakiem, trzymając się z dala od ich linii wzroku. Steward sięgnął do torby, wyjął miecz i wcisnął go do kieszeni kurtki. Wyłączył ciekłokrystaliczny wyświetlacz na podkoszulku, by zmieścić nieco swój wygląd. Obejrzał się za siebie. Dwie wysokie sylwetki poruszały się teraz znacznie szybciej, pokonując przestrzeń ulicy długimi, ciężkimi krokami. Nie zmyliły ich jego uniki, co oznaczało, że w okularach mają dobre skanery. Zatrzymali się, by włożyć kwity do wykrywacza broni przy drzwiach. Steward wolał nie wiedzieć, co za nie dostali. Możliwe, że nawet pistolety.

Teraz korzystał z silnej dawki adrenaliny. Pierwszy szok minął. Szedł spokojnie. Kończyny poruszały się płynnie. Był gotowy na zen.

Jeszcze jeden zaułek, tym razem wyłożony starym betonem.

Kończył się prostym skrzyżowaniem w kształcie litery T. Nie było tu żadnych świateł. Steward biegł, nadrabiając odległości, zanim chłopcy skręcą za róg. Gorące letnie powietrze paliło mu gardło. Dopadł do skrzyżowania i ślizgiem wsunął się za terminal śmieciowy. Wilgotna ceglana ściana uderzyła go w plecy, wybijając mu z płuc powietrze. Położył miecz na betonie obok siebie, po czym sięgnął do torby po morskie pochodnie. Pod dłońmi czuł chłód ich powierzchni. Trzymał po jednej w każdym ręku i czekał.

Ciężkie kroki, najpierw szybkie, potem wolniejsze. Jednak muszą mieć dobre skanery, pomyślał. Zauważyli ciepło jego ciała, oddechu za terminalem i wiedzieli, czego oczekiwać. Podkurczył nogi, gotów do skoku. Ostrożne kroki przybliżały się. Dzie-sięć metrów? Osiem? Pięć?

Steward poczuł, że na karku gromadzi mu się pot. Przeciągnął zapalnikami po starym betonie, upewnił się, że zadziałały i rzucił je w kierunku napastników, dokładnie w chwili, gdy zaczęły wypluwać z siebie ogień i kłęby dymu. Usłyszał dwa wrzaski, świadczące o tym, że skanery podczerwieni przeładowały się od nagłej eksplozji termitowego ciepła. Steward, drapiąc paznokciami o beton, chwycił miecz i skończył. Popłynął pomarańczowy dym. Chłopcy rzucili się w jego kierunku, atakując na oślep. Jeden z nich trzymał miecz neuronowy, drugi - jakiegoś rodzaju krótką broń ręczną. Ich odruchy, wspomagane wszczepioną elektroniką, zjednoczeniem nitki implantu i podrasowanych dróg nerwowych, były zbyt szybkie jak na możliwości Stewarda.

Uderzył w kierunku twarzy bliższego z nich. Linka owinięła się wokół głowy. Szarpnął. Rozległ się wrzask i w dym trysnęła krew. Drugi chłopiec zniknął w kłębach pomarańczowej mgły. Jyliec neuronowy zahaczał mu koło głowy. Obniżył pozycję. Uderzył biczem ponownie i poczuł, że znów owinięła się wokół czegoś. Wcisnął przełącznik. Linka powinna wyprostować się w miecz, przecinając na wskroś cokolwiek, wokół czego była owinięta, lecz zamiast tego Steward poczuł

opór. Możliwe, że okręciła się wokół jakiejś rury, czegoś zbyt twardego, by mogła to przeciąć. Krzyki odbijały się echem od ceglanych ścian. Oczy Stewarda łzawiły. Przełączył miecz jeszcze raz i coś wyrwało mu go z ręki. Instynktownie padł do tyłu. Przez miejsce, w którym jeszcze przed chwilą się znajdował, przemknął neuronowy miecz. Steward wstał i cofał się dalej, aż wymacał ręką ścianę. Posuwając się wzdłuż niej trafił na załom, i tam się przyczaił. Nie dusił go dym i wreszcie mógł oddychać. Wciągnął do płuc gorące letnie powietrze, szedł powoli uważając, by się nie potknąć i przecierał załzawione oczy. W całym Los Angeles nie było dość powietrza, by wypełnić jego bolące płuca. Puścił się biegiem, ścigany przez krzyki.

Sięgnął do torby i rzucił za siebie jeszcze jedną zapaloną pochodnię. Zaczynał znowu widzieć. W końcu zaułka dostrzegł mi-goczącą jasną poświatę.

Wypadł na ulicę. Oślepiły go światła. Nad jego głową przewijało się logo Pink Blossom.

Dni Darwina, pomyślał. Dni tornada.

Tuż przed nim stała taksówka. Jedyna, jaką widział w tej części miasta. Rzucił się do drzwi i wykrzyczał adres swojego hotelu.

Z zaułka wyszedł chudy. Miecz Stewarda wciąż wisiał okręcony wokół zbrojonego rękawa jego kurtki. Przetarł nos wierzchem dłoni i gapił się na jasne światła karnawału. Taksówka była już daleko.

- Nigdy potem nie widziałem już kapitana. Miał do kogo wracać; do Natalie, a ja byłem sam. W końcu dostałem pracę, ożeniłem się, pragnąłem dzieci. Moje zniszczone chromosomy bardziej niepokoiły mnie niż moją żonę. Ona po prostu wzruszyła ramionami i stwierdziła, że nie ma sprawy, nie będzie dzieci. Ja jednak chciałem stworzyć coś nowego, coś, co nie byłoby zatrute. Co chwila się rozklejałem, ale ona zawsze pomagała mi stanąć na nogi. W końcu przestała się starać. Nie mogę jej winić. Dała mi dużo więcej, niż otrzymała ode mnie.

Griffith zamilkł. Siedział z głową ukrytą w skrzyżowanych ramionach. Steward wstał z krzesła, czując jak krew powoli wypełnia jego zdrętwiałe kończyny. Przez chwilę zakręciło mu się w głowie.

- Dziękuję - powiedział.

- Gdybyś to nie był ty, kapitanie... - odrzekł Griffith - powiedziałbym każdemu, żeby się odpieprzył. Zaś tobie... tobie byłem to winien, chyba tak.

Mówił głosem wypranym z barwy, bez emocji. Skinął głową nie patrząc.

- Która godzina? - spytał.

- Druga.

- Cholera. Miałem spotkanie z klientem o wpół do drugiej - powiedział i wyprostował się, sięgając po telefon. - Przepraszam.

- To moja własna pieprzona wina, niech to wszyscy diabli. Czując na zebrach ucisk paczki, Steward skorzystał z okazji i wyszedł, pozostawiając Griffitha przy telefonie. Udał się do mieszkania Ardali. Przez chwilę chciał być sam. Usiadł na łóżku skrzyżowawszy nogi i pomyślał o Szeolu, wie-trze goniącym po bezkresnych preriach, zasypującym śniegiem wejścia do starych, wąskich tuneli... o ludziach przemierzających biel w skafandrach kamuflujących, które schładzały swą powierzchniową temperaturę zewnętrzną, by oszukać czujniki podczerwieni... o przygarbionych postaciach dźwigających broń, z twarzami skrytymi za filtrami przeciwwgazowymi i przeciwbakteryjnymi... o burzy, wyrastającej białą ścianą na dalekiej krawędzi płaskiego horyzontu i zbliżającej się jak chmura. O tornadzie, które zerwało się na Szeolu i stało się Stewardem. Westchnął zadając sobie pytanie, czy mógłby przywołać taki wiatr tutaj, by poniósł go poza strefę grawitacji aż do źródła jego samego, do głosu, który słyszał z zatartego nagrania - chropawego głosu ducha, który był nim, jego Alfą. Do tego, który przeszedł swoją własną drogę stawania się, znajdując w sobie siłę na mroźnych preriach i w zimnych tunelach, prowadzących do tajemnej kolebki Szeolu. Znalazł ją także w ryczącym wirze, którym stał się jego umysł.

W pokoju hotelowym było ciemno, tylko bezgłośny deszcz kolorów płynący z ekranu wideo nieco rozjaśniał mrok. Steward leżał na łóżku, gapiąc się w sufit. Włosy i skórę wciąż miał mokre po niedawnej kąpieli. Smużka dymu z xanadu wiła się przed jego oczami, nabierając zabarwienia - zielonkawego i bladorożowego - od wbudowanego w ścianę ekranu. Steward tajał, czując jak adrenalina odpływa z niego niczym woda do studzienki ściekowej.

Odbiornik telefonu przylegał do wyrostka sutkowatego czaszki, rozplaszczając przy głowie mokre, krótkie włosy. Sygnał z odbiornika trafiał wprost do ośrodka słuchu w mózgu, omijając niedoskonałe ucho.

- O Boże, Spassky to zrobił? - Głos Griffitha rozbrzmiewał w jego głowie nieskalaną czystością dźwięku. - Nieźle kogoś urządziłem, Griffith. Miecz strunowy mógł mu nawet odciąć głowę.

- Boże - usłyszał znowu.

Zaraz potem w jego czaszce Griffith zaniósł się głośnym kaszlem palacza. Steward skrzywił się. Kaszel ciągnął się bez końca. Nareszcie dał się słyszeć syk inhalatora. Gdy wrócił mu głos, mówił już innym tonem; szybciej, hałaśliwiej i z wyraźną wściekłością. - Co za bezczelny, narwany śmieć. Mam jeszcze przyjaciół.

Popamięta ten pieprzony dzień.

- Wydaje mi się, że nie za bardzo wiesz, kim są ci twoi przyjaciele - odpowiedział Steward. Kolorowy dym zwijał się przed nim w loki. - Wydawało mi się, że Spassky nie miał cienia wątpliwości, że może mnie sprzątnąć i zachować twoją przyjaźń. Zakładając, że twoja przyjaźń cokolwiek dla niego znaczy. Na chwilę zapadła cisza.

- Słuchaj, nic ci się nie stało, prawda?

- Żadnych obrażeń. - Pasemka marihuany z xanadu pełzły przez jego mięśnie, wypierając zanikającą adrenalinę i zmieniając nerwową czujność w innego rodzaju podekscytowanie. - I wciąż masz Pioruna.

- Zostawiłem go w maszynie depozytowej, zanim poszedłem na spotkanie. Nie spodobała mi się okolica. 78 —

-----*WOlier jon*

- Posłuchaj. Nawet nie myśl o wracaniu po ten towar. Będzie bezpieczny tam, gdzie jest.

- To mi odpowiada.

- Dam ci twoją dolę. Natomiast ty dasz mi klucz, a ja załatwię, żeby kto inny podjął paczkę.

- Jasne - powiedział Steward. - Załatwmy to w publicznym miejscu, zgoda?

- Cholerny narwaniec. Jak sobie życzysz. Przykro mi, że tak się stało.

Xanadu przynosił odprężenie mięśniom karku. Odchylił głowę do tyłu i oparł ją na poduszce, wyginając szyję w łuk. Zatrzeszczał kręgosłup. Ten dźwięk był bardziej osobisty niż ochryply głos Griffitha. Ułożył się wygodniej, czując jak zanika w nim poczucie ciała, jak zbliża się senność.

- Zadzwoń do ciebie jutro - powiedział Steward. - Dobra. Słuchaj, nie miałem pojęcia, co ten mały śmieć chce...

- Jutro - uciął Steward, a jego ręka powędrowała do telefonu i przerwała połączenie. Potem sięgnął do ucha, by zdjąć odbiornik. Samoprzylepna powierzchnia próbowała zabrać ze sobą część jego włosów, więc ostrożnie je odczepił. Wyjął z ust xanadu i wyrzucił do hotelowej popielniczki. Kolory z wideo hasały po suficie.

Steward zamknął oczy. Po dachu jego powiek przesuwały się światła - okulary wideo własnego pomysłu. Pragnął, by te światła spoiły się w lustrzane odbicie jego, leżącego na łóżku z rozrzuconymi ramionami i zamkniętymi oczyma. W samym środku, zawieszony w powietrzu.

Griffith wyglądał, jakby miał gripę. Oczy mu poczerwieniały, męczył go ciągły katar. Cały się trząsał. Przy każdej próbie zaciągnięcia się papierosem dostawał niekontrolowanego ataku kaszlu. Nie zamówił nawet śniadania, tylko kawę. Opryskliwa kelnerka sprawiała wrażenie, jakby chciała wyrwać mu z pleców kości.

- Proszę - Griffith przesunął po stole szpilkę kredytową. - Dwa tysiące Starbright, plus pięćset. Nazwijmy to premią za nie-bezpieczną misję, zgoda?

- Dzięki. - Steward wziął szpilkę i udał się do publicznego telefonu przy męskiej toalecie. Wrzucił monetę, włożył szpilkę i przelał dolary na konto, które założył sobie w Canyon State Insured. Zadzwoił ponownie minutę później, upewniając się, że pieniądze znalazły się we właściwym miejscu i nie zniknęły, a jego hasło nadal działało. Oprogramowanie Canyon State nie powinno dopuścić do takiej sytuacji, ale czasem zdarzają się różne rzeczy.

Uznał, że pieniądze Griffitha są w porządku, nawet jeśli jego wiedza o współnikach w interesach miała sporo braków. Wrócił do stolika. Griffith znowu kaszlał.

- Lepiej by było, gdybyś zainwestował w nowe ciało - powiedział Steward.

- To droga inwestycja - skrzywił się Griffith.

- Wygląda mi na to, że masz zewnętrzne źródła dochodu. - To wszystko tylko przechodzi przez moje ręce. Mam z tego same koszty, spłaty... gówniany interes. Zresztą, nie chcę o tym gadać.

Steward sięgnął do kieszeni i wyjął szpilkę ze swojego pierścienia.

- Proszę. Miejsce nazywa się SourceBank. Hasło brzmi MALAFIDES.

Griffith wywracał kieszenie w poszukiwaniu czegoś do pisania.

- Lepiej będzie, jak to zapiszę - powiedział. Zapisał na plastikowej serwetce wielokrotnego użytku i scho-wał ją do kieszeni. Po drugiej stronie sali kelnerka posyłała im piorunujące spojrzenia.

- Zamierzam spędzić resztę dnia w łóżku - powiedział. - A ju-tro wyjeżdżam. Postaram się jednak zadzwonić do mojej znajo-mej w Starbright.

- Będę wdzięczny. Dziękuję.

Steward pił kawę, czując jak światełka w jego ciele zapala-ją się wolno, tworząc długi ciąg zieleni. Miał nadzieję, że znajo-ma Griffitha w Starbright jest lepszym przyjacielem niż ludzie, z którymi zetknął się w Los Angeles.

Steward leżał na podłodze w mieszkaniu Ardali, bez koszuli, z rękami pod głową. Właśnie wrócił z przechadzki i taka pozycja wydała mu się najlepszym sposobem na wytracenie ciepła. Słabe strumyki chłodnego powietrza wędrowały po jego piersi. Z ekra-nu wideo paplał do niego „Inkwizytor Obcych”. 80----- wunei wvu Jeden z robotów sprzątających Ardali przybliżył się do Ste-warda, ale zawrócił, gdy wyczuł jego obecność. Natrafił na parę leżących na podłodze dzinsów, zawahał się na moment, po czym odjechał tą samą drogą, którą przyjechał. Steward pomyślał, że musiał przyzwyczać się do takich sytuacji. Drzwi otwały się na oścież i weszła Ardala. Rzuciła neseser w przedpokoju i stanęła nad Stewardem. Schyliła się, by rozpiąć paski swoich butów na wysokich obcasach. Gapił się na jej twarz, teraz o rysach zmienionych pod wpływem wysiłku. - Lightsource to zabawna firma - powiedziała. - Nie rekrutu-je ludzi. Nie znalazłam na to żadnych śladów w dokumentach. - A więc jest niewielka - odpowiedział Steward. Kopniakiem pozbyła się jednego pantofla i poruszając palca-mi stóp usiłowała zrzucić drugi.

- Tak czy owak jest prywatna. Tylko tyle udało mi się dowie-dzieć. Aha, i ma siedzibę w Los Angeles.

Kopnęła pantofel. Wylądował tuż przed robotem sprzątającym, który zawahał się na moment, po czym skierował się w inną stronę. - Oni rzeczywiście zajmują się doradztwem w problemach komunikacyjnych - powiedziała. - Dzwoniłam do znajomego, któ-ry pracuje dla Macrodata.

- Dzięki - odparł Steward.

- Dlaczego więc twój przyjaciel wysłał cię z paczką do bazy własnej firmy? Mógł ją przecież sam dostarczyć. - Pewnie brakowało mu czasu. Albo chciał wyświadczyć mi przysługę.

- Swoistą przysługę - wtrąciła Ardala.

Steward usiadł i przeciągnął się. Zatrzeszczały kręgi szyjne. Owe odgłosy odbiły się echem w jego czaszce. Pomyślał, jak by to było, gdyby nie dał się tak wykończyć, na pewno nie znałby tego uczucia pękania kości przy każdej zmianie pozycji. - To już skończone - powiedział. - Cokolwiek to wszystko znaczyło, nie mam już z tym nic wspólnego. - Dostałeś swój Szeol. Tego właśnie chciałeś, prawda? - spytała.

Steward zatoczył ciałem do przodu, stając na podszwach stóp. Inkwizytor na ekranie majstrował coś przy paznokciach u nóg więzionej dziewczyny.

- Dziwi mnie, że administracja twojego kondeku pozwala tu puszczać coś takiego - powiedział.

- „Inkwizytor Obcych” jest emitowany przez kanał Network Noir, będący wyłączną własnością Partii Przeznaczenia. Admini-stracja naszego kondeku kupuje czas pracy sztucznej inteligen-cji w

Marketplex; na niej pracuje nasz program inwestycyjny. A Marketplex oficjalnie przyjął ideologię Partii Przeznaczenia. Kanał Network Noir był częścią umowy. My go udostępniamy, w zamian mogąc korzystać z ich sztucznej inteligencji. Steward gapił się na ekran. Stopy dziewczyny były małe i pulchne. Przy kręceniu ujęcia zadbano o to, by wyglądały jak różowy obiekt miłości. Wąskie strumienie krwi spływały w arty-stycznych zawijasach.

- Wyrywanie paznokci służy filozofii Partii Przeznaczenia? - spytał.

Ardala wzruszyła ramionami.

- Demonstruje delikatność ciała w porównaniu z metalem.

Idę się wykapać.

Steward wyłączył wideo i przyglądał się, jak ciekłokrystaliczny ekran zamienia się w stale ewoluujący kalejdoskopowy wzór. Z łazienki dochodził szum lejącej się wody. Poszedł do kuchni i nalał sobie kieliszek wina. Robot sprząający dostał się tu przed nim i najwyraźniej utknął w ślepym zaułku, utworzonym przez szafki i lodówkę. Steward popchnął nogą białą plastikową obudowę i maszyna za chwilę ruszyła szczęśliwa w kierunku pokoju, a on poszedł w jej ślady. Usłyszał, jak woda w łazien-ce przestała lecieć, a potem jak Ardala zanurza się w wannie. Patrzył na podniesione włókna dywanu, w miejscu, gdzie przejechał robot. Śledził pokreconą ścieżkę, wzdłuż której natrafiał na ciała, śmiecie, meble.

Poruszał się jak szczur w labiryncie. W zaprogramowany sposób. Wykonując czynność, której nie potrafił pojąć; zastępując w tym ludzi, których istnienie było poza granicami jego wiedzy i których obecności doświadczał jedynie za pośrednictwem stóp, zagradzających mu od czasu do czasu drogę. Steward wyrztał przez okno tarasu, wykonane ze spolaryzowanego szkła. Widział piramidy i prostopadłościany kondekobloków, z których każdy służył celom swoich budowniczych. Ich zadaniem było wspomaganie regeneracji sił, chronienie przed niekorzystnymi czynnikami zewnętrznymi oraz programowanie ideologiczne bądź religijne, jeśli zaszła taka potrzeba. Każdy z nich był samowystarczalny na tyle, na ile umożliwiało to tech-#6 - Ryk tornada nika, i maksymalnie odporny na przecieki zewnętrznej rzeczywistości.

Stewardem nagle owładnęło przecucie, graniczące z pewnością, że jego pieniądze właśnie zniknęły, stały się nierzeczywiste. Podszedł do telefonu i skontaktował się z Canyon State Insured. Pieniądze cały czas leżały na koncie, wraz z pomijalnie małym procentem, jaki przyrósł od południa. Przerwał połączenie i poszedł do łazienki. Ardala leżała zanurzona po brodę w wodzie. Jej ekstrawagancki makijaż tworzył zaskakujący kontrast z opalonym ciałem. Steward usiadł na krawędzi wanny i zaproponował jej wino. Podziękowała i pociągnęła łyk z kieliszka.

- Mam już pieniądze - powiedział. - W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wzbogaciłem się dziesięciokrotnie. - To wciąż za mało, by dostać się do Starbright - odparła.

- Ale wystarczy, żeby oddać ci to, co jestem winien.

Ardala przymknęła oczy i oparła się o piankowy zagłówek.

Wyprostowała nogę, dotykając mokrą stopą uda Stewarda.

- Nie jesteś mi nic winien - powiedziała.

- Przynajmniej dwa tygodnie czynszu.

- Włóż pieniądze do funduszu naszego kondeku. Dostaniesz dużo lepszy procent. Nasza sztuczna inteligencja należy do najlepszych.

- Gdybym to zrobił, nie mógłbym ich wyciągnąć w razie potrzeby - odparł.

Ardala otworzyła swe zielone oczy i spojrzała na niego. Trąciła go stopą. Plama wilgoci na jego

spodniach zrobiła się jeszcze większa.

- Gdziez się zatem wybierasz, mój były gangsterze, że tak szybko będziesz potrzebował tych pieniędzy? - spytała. - W przestrzeń - odpowiedział.

- Mrzonki.

- Tam są wszystkie odpowiedzi.

- Tak ci się tylko wydaje - skwitowała Ardala. Steward przyglądał się jej. Zauważył mokre kosmyki jasnych włosów przyklejone do szyi.

- Chyba jednak jestem ci winien trochę pieniędzy, Ardala - powiedział.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę, po czym znów oparła się o zagłówek i przymknęła powieki.

- Rób jak uważasz - odpowiedziała.

Steward popił wina.

- We wszechświecie nastały teraz Dni Darwina - powiedział. - Całe kultury odpadają w toku ewolucji. Zniknęły wszystkie Polikorporacje Zewnętrzne, a razem z nimi ich monopol. W tej sytuacji każda instytucja, każda ideologia czy filozofia, która ma nadzieję osiągnąć jakąś przyszłość, pcha się w przestrzeń międzygwiazdną. Zawsze więc istnieje możliwość wybuchu kolejnych Wojen Artefaktowych, w których weźmie udział jeszcze większa liczba grup, z jeszcze bardziej nieprzewidywalnym skutkiem. A wokół cały czas będą Mocni, gotowi po nas posprzątać.

- Paranoja staje się sposobem na życie - mówił dalej Steward. - Mamy w kosmosie setki małych społeczności, oddalonych od siebie o zaledwie kilka tysięcy klików. Izolacja sprawia, że ich członkowie stają się śmieszni. Zamknięci w ciasnym opakowaniu swoich tajemnic handlowych i zabezpieczeń, boją się innych społeczności, o których nic nie wiedzą. Neoimagiści wolą hodować własnych obywateli w sztucznych macicach niż przyjmować kogoś z zewnątrz wraz z obcą ideologią. Dziś patrzy się na ludzi jak na zanieczyszczenie. Zresztą, czym są kondekobloki, jeśli nie naśladowaniem tego sposobu myślenia? - przerwał na chwilę. - Stworzyliśmy maszyny, które są inteligentniejsze od nas i daliśmy im władzę. Pomiatają nami, podając powody, których nawet nie jesteśmy w stanie pojąć. To nie ludzie ewoluują, tylko ich maszyny. Ich instytucje. Przeraza mnie taki stan rzeczy. Ludzie zaczynają szukać kryjówek.

Podniósł się, czując trzaski w kręgosłupie. Oparł ręce na brzegu umywalki i pochylił się do przodu, patrząc na swoją twarz w lustrze. Ciemna skóra, ciemne oczy, gęste czarne brwi. Z ust powoli padały wyważone słowa:

- Większość ludzi tłoczy się w mrowiskach, jak ten kondek. Podporządkowują swoje życie strategiom inwestycyjnym, religiom lub chcą powrotu do przestarzałych form egzystencji jak feudalizm. Neoimagiści próbują wytworzyć w sobie zmiany ewolucyjne, zanim przyjdą kłopoty. Z kolei ci z Partii Przeznaczenia podczepiają się do maszyn, które będą żyły dłużej niż oni, z nadzieją, że sztuczna inteligencja wypełni pustkę między nimi i tym, czego nie rozumieją. Wydaje im się, że są bezpieczniejsi, bo przetwarzają dane z większą szybkością niż konkurencja. Lecz dane to po prostu liczby, pewien rodzaj spojrzenia na świat. Partia Przeznaczenia myli je z rzeczywistością. A przecież to tylko ich założenia, ujęte w uporządkowaną formę.

Steward usłyszał plusk wody. Ardala zajęła wygodniejszą pozycję w wannie.

- Jaka strategia jest zatem właściwa, o Przewspaniały? - spytała, po czym dokończyła, zniżając jednostajnie głos przy każdej sylabie. - Były Canards. Były Icehawk. Były psychicznie chory.

Spojrzał na siebie.

- Pozostawać w centrum. Szukać takich prawd, które coś zna-czą. Śledzić wiatry przemian.

Albo raczej stać się wiatrem przemian. Jego głos wydawał się dochodzić z lustra, od jego ciemniejszej kopii. Steward za-milkł na chwilę, zastanawiając się, czy ten głos należał do niego i czy Ardala go słyszała.

- Twoje prawdy są w kosmosie, dobrze mi się wydaje? - spy-tała bezbarwnym głosem. Steward rzucił swojemu odbiciu zatro-skane spojrzenie i odwrócił się od lustra.

- Na to wygląda - odpowiedział.

- Cały ten nonsens z bezpiecznym życiem to nie dla ciebie.

Ty pragniesz być tam, sam na sam ze sobą w środku huraganu. - Bezpieczeństwo to mrzonka. Jeśli czegoś udało mi się na-uczyć, to właśnie tego. - Oparł się tyłem o umywalkę i wypił łyk wina. - Jutro rano sztuczna inteligencja twojego kondeku może zostać wykiwana przez jakiś inny program inwestycyjny i stracić cały kapitał do ostatniego grosza. Potem kondek trafi w ręce ja-kiejś firmy Krishna i staniesz przed wyborem: albo żyć według za-sad aszramu, albo stracić wszystko, co sobie wypracowałaś. Co wtedy zrobisz?

- Nauczę się kontemplować mój pępek. Lub coś w tym ro-dzaju.

Steward uśmiechnął się do swojego kieliszka. Ardala prze-kręciła się w wannie kładąc się na boku z twarzą do ściany. Ste-ward patrzył na jej mokre ramię i upięte do góry włosy. - Mam zamiar się zdrzemnąć, filozofie - powiedziała. - Poza tym, skoro tak bardzo zależy ci, żeby oddać pieniądze, zaproś mnie na kolację. Może być trochę tańca, coś takiego jak na South Rim. Tańczyłeś kiedyś na szklanej podłodze, pod którą jest ka-nion głęboki na kilometr?

- Jeszcze nie.

- Może uda mi się nauczyć cię czegoś na temat bezpieczeń-stwa. Aha, kolacja jest tam naprawdę droga. To powinno cię sku-tecznie zniechęcić do oddawania mi pieniędzy. Uśmiechnął się znowu i popił wina.

- D'accord - odpowiedział.

Griffith mówił pewnym głosem, pozbawionym już oznak cho-roby. Steward ściszył ścieżkę dźwiękową szkoleniowego nagra-nia Ardali.

- Cześć - powiedział Griffith. - Są wieści na temat Spas-sky'ego.

- Mam nadzieję, że nic dobrego.

Samoprzylepny odbiornik najwyraźniej miał problemy z przyleganiem do skóry. Steward musiał przytrzymać go kciu-kiem.

- Ktoś podszedł do niego od tyłu na ulicy z przesyłką gaus-sowską kalibru 0.66. Wywalił mu kręgosłup na zewnątrz przez klatkę piersiową i opancerzoną kurtkę.

- Brzmi ciekawie. Niezła robota - skomentował Steward. - Zgodna ze standardem Icehawks. Ten mały skurwiel bę-dzie potrzebował cholernie dużo Pioruna, żeby zlepować gnaty z po-wrotem do kupy. A ja nie zamierzam mu tego sprzedawać. - To dobrze. Dzięki za polepszenie mi nastroju. - Steward rozparł się wygodnie na kanapie Ardali.

- Rozmawiałem też z moją znajomą ze Starbright. Przyszła jej kolej, by wyznaczyć kogoś do programu przysposobienia za-wodowego i chce się z tobą spotkać.

Steward wyprostował się. Czuł, jak przyspiesza mu serce.

- Gdzie?

- Jej prom wylądował wczoraj rano w porcie Grań Sabana. Szykuje jej się dwutygodniowy wyjazd, ale na razie jest w Wil-lemstad na Curacao. W hotelu Spindrift. Nazywa się Reese. Za-dzwoń do niej.

- Dobrze. Mógłbym tam być jutro, gdybym zabrał się subor-bitalem z Vandenberg do Hawany.

- Steward, a tak przy okazji... - w głosie Griffitha po raz pierwszy pojawiła się nuta wahania - jest taki zwyczaj... aaa... że w podobnych sytuacjach daje się prezenty. Tysiąc Starbright po-winno wystarczyć.

- Będę o tym pamiętał. Wielkie dzięki.

- Daj spokój, przecież przysługi dla przyjaciół nic mnie nie kosztują.

- Dziwi mnie, że sam nie korzystasz z tej okazji. Biorąc pod uwagę, jak bardzo chcesz wyprowadzić się z Ziemi... - Nie przeszedłbym testów fizycznych. Zbyt dużo siedzi we mnie utajonych szeolskich robaków.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Ach rzeczywiście. Przepraszam cię, chłopie. - Nie twoja wina. - Ton głosu Griffitha stracił nieco ze swej rzeźkości, chociaż czynił wysiłki, by włożyć w słowa więcej energii. - Słuchaj, zadzwoń za parę dni i daj mi znać, jak dogadałeś się z Reese. Podam ci numer, pod którym będziesz mógł mnie złapać.

Steward sięgnął po pióro, którym przed kilkoma minutami podkreślał ważne fragmenty w podręczniku, i zapisał numer. - Dzięki, przyjacielu - powiedział.

- Nie ma problemu - odparł Griffith i rozłączył się. Steward odsunął kciuk od odbiornika przy uchu, pozwalając, by spadł mu na ramię i potoczył się dalej, po czym złapał go i odłożył na miejsce w zestawie telefonicznym. Wyjrzał przez okno na taras, który już zalewały poranne promienie słońca. Popatrzył na rzędy kondekobloków, a potem na przyciemnione przez polaryzator niebo. Szukał jasnych stałych gwiazd osiedli orbitalnych, lecz nie dojrzał żadnej. Nieważne, pomyślał.

Jeżeli mu się poszczęści, będzie tam niebawem. Steward nigdy wcześniej nie był w Willemstad, ale krajobraz widziany z wodolotu, który zabrał go z pływającego portu, wyglądał znajomo. Błękitną zatokę otaczały budynki przypominające kostki błyszczącego lodu - wypoczynkowe kondeki dla tych, którzy nie potrafią znieść myśli, że wokół nich nie będzie tysiąca innych ludzi. Wodolot zwolnił, opadając na wodę z głuchym łupnięciem, i wpłynął w kanał. Jego brzegi odbijały wycie turbin. Okoliczni mieszkańcy i turyści przyglądali się pojazdowi tępym wzrokiem. Od strony pobliskich budynków płynęły dźwięki muzyki. Kanał prowadził do Shottegat - małego jeziora, chłodzonego i ocienianego przez otaczające je wieżowce. Gmach odprawy celnej stał w cieniu nieopodal. Była to tymczasowa konstrukcja z pianki, ograniczona dwiema flagami: go-dłem narodowym Curacao i sztandarem Frekonomicystów. Kolejna mała społeczność, pomyślał Steward, przyjmująca ideologię rodem z przestrzeni, znów najprawdopodobniej po to, by chronić się przed sąsiadami. Curacao nie stanowiło liczącej się siły, Frekonomicyści - jak najbardziej.

Opuściwszy budynek celny, wziął taksówkę i udał się do hotelu Spindrift, który znajdował się dość daleko za miastem, odseparowany od zbitki kondeków przy zatoce. Pomimo bliskości otwartego morza, wyspa wydawała się sucha. Gdziekolwiek spojrzeć pełno było ciernistych krzaków i kaktusów. Przejrzyste i rześkie powietrze wypełniało przestrzeń pod żywo błękitnym nieboskłonem. Steward zapłacił kierowcy swoimi nowymi dolarami Starbright i poszedł do hotelu między drzewami divi-divi. Był to stary kamienny budynek, pokryty nowym polaryzowanym dachem z błyszczącego stopu, z którego strzelał w niebo nierówny las anten. Szumiał w nich powiew pasatu. Steward poczuł go na koszuli.

Recepcjonista był otyłym, czarnoskórym mężczyzną. W jego zaplecionych włosach świeciły koraliki fluorozujących bakterii. Napis na podkoszulku informował o przynależności do Klubu „Muszla Sint Kruis”. Miał nieobecne spojrzenie. Przy jego uchu tkwił odbiornik telefonu.

Steward położył na ladzie niewielką torbę podróżną, zdjął okulary przeciwsłoneczne i wsunął je do

kieszeni koszuli. - Moje nazwisko Steward - powiedział. - Dzwoniłem wczyniejszej.

Recepcjonista posłał mu uśmiech, lecz wciąż patrzył w punkt położony setki kilometrów dalej.

- Witamy, panie Steward. Zarezerwowałem dla pana pokój numer siedem. Pani Reese zostawiła dla pana wiadomość w tele-fonie.

- Dzięki.

- Jadalnia jest czynna od piątej trzydzięci do ósmej trzy-dzieści. - Recepcjonista podał mu czas orbitalny, myśląc zapew-ne, że gość, będąc znajomym pani Reese, dopiero co przyleciał z orbity.

Steward wziął szpilkę otwierającą drzwi do jego pokoju i za-mierzał sięgnąć po torbę, gdy nagle zauważył coś pod recepcyjną ladą. Zawahał się na moment, po czym zwrócił się do mężczyzny z wyrazem niedowierzania na twarzy.

88-

wuieei «ivh mi

- Czy to coś jest tym, jak mówi podpis?

- Boliwijska kokaina, proszę pana. Osiem dolarów Antyli Mniejszych za gram albo dwa dolary Starbright. - Jest autentyczna? To nie syntetyk? Nie substytut?

- Prosto z gór, proszę pana. Dwa gramy?

Steward żuł gumę i gapił się na zawiniątka, powkładane do miniaturowych zielonych kopert. Obok stały automatyczne inha-latory na sprężone powietrze.

- Myślałem, że już nikt tego nie produkuje. Czy to przypad-kiem nie uzależnia, lub coś w tym rodzaju? - Nie umiem panu odpowiedzieć, proszę pana. Nie mam w zwyczaju oszukiwać swoich zmysłów chemikaliami. Steward spojrział mu w oczy.

- To dobry zwyczaj - powiedział i zabrał torbę z lady.

- Bóg jest miłością, proszę pana - odparł recepcjonista. Po drodze do pokoju Steward uznał, że rozpoznanie Curlacao ma już za sobą.

Pokój okazał się mniejszy, niż przypuszczał. Ściany pomalo-wano na biało, by wyglądał na obszerniejszy. Stało tam łóżko wodne i sponiewierana komoda z plastiku jowiszowego. Podłogę pokrywały maty z plecionej trawy. Na jednej ze ścian siedział nieruchomy płaski gekon. Ciekłokrystaliczny ekran wmontowa-no w sufit, by można było oglądać wideo z łóżka. Pomyślano rów-nież o gnieździe kamery, gdyby ktoś wolał oglądać siebie. Telefon mrugał do niego czerwonym światełkiem. Podniósł odbiornik. Usłyszał głos Reese - mówiła głębokim altem. - Cześć, tu Reese. Mam zamiar spędzić cały dzień na nurko-waniu, ale jeśli jesteś wolny w czasie obiadu, to spotkajmy się 0 szóstej w jadalni.

Steward rzucił okiem na zegarek. Za trzy godziny. Spojrział na płaskiego gekona na ścianie, posmakował woni wpadającej przez okno ożywczej bryzy. Przypomnił sobie Port Royal, dotyk ciepłej wody, pieśniarzy wykrzykujących swoje hymny na cztery strony świata, ziggurat po drugiej stronie zatoki, górujący czernią nad błyszczącym miastem... Przechodził wtedy trening „zając i utrzymać”, wiążący się z tygodniami maszerowania po niekoń-czących się metalowych korytarzach i upalnych ulicach miasta. Uczył się, co jest ważne przy działaniach bojowych w warunkach miejskich.

Zając i utrzymać, pomyślał. Zaliczył ten kurs, lecz dziwnym zrzędzeniem losu wszystko, co miało

wtedy znaczenie, już wiele lat temu przeciekło jakoś między palcami, a on sam znalazł się o milion kilometrów od miejsca, w którym pragnął być, stojąc w białym pokoju i gapiąc się na jaszczurkę z nadzieją, że się po-ruszy i trochę go rozerwie. Całe jego obecne życie sprowadzało się do zbierania okruchów po kimś innym, czemu towarzyszyła nadzieja, że wystarczy ich, by ulepić coś, co da się nazwać życiem. Reese to środek do osiągnięcia celu, myślał Steward. Podobnie jak inni: Ashraf, Ardala, Griffith - szczeble drabiny, po której zamierzał wydostać się poza zasięg grawitacji, zostawiając za sobą karaibskie pasaty, by dotrzeć tam, gdzie wieją zupełnie inne wiatry, gdzie znajdzie ludzi dla niego ważnych: Natalie, de Preya, a także Curzona, jak na razie będącego tylko nazwiskiem. Ludzi, w których widział odbicie siebie samego. I odbicie Stewarda Alfa.

Gekon wciąż trwał w bezruchu. Steward rzucił torbę na łóżko i obrócił się do okna, patrząc na drzewa divi-divi i rozciągający się za nimi ocean. Wydawało mu się, że na plaży nie ma nic oprócz piachu, kamieni i jaszczurek. Pomimo to postanowił, że pójdzie tam na spacer.

Steward oglądał kiedyś u Ardali nagranie wideo, będące instrukcją jak należy się przygotować na spotkanie z przyszłym pracodawcą. Doradzano tam, jak się ubrać, jak zachowywać, jak siedzieć, jak uśmiechać. W filmie występowali dwaj mężczyźni, ubrani w tradycyjne czarne, pozbawione klap marynarki - jeden młody, drugi nieco starszy. Ten starszy miał na nogach onuce, ślad krótkotrwałej mody, która pojawiła się tuż po wojnie. Steward pamiętał, że starania tego młodego o przyjęcie do pracy uwieńczone zostały sukcesem po tym, jak okazało się, że obaj interesują się tenisem halowym. Na wideo nazwa-no to nawiązaniem porozumienia z rozmówcą. Z tego, co zdołał sobie przypomnieć, nagranie nie dostarczało żadnych wskazówek, jak przeprowadzić spotkanie z operatorem systemu sterowania międzyplanetarnego frachtowca na tarasie hotelu/ba-ru na karaibskiej wysepce, by gładko przyjął łapówkę za załatwienie pracy.

No i dobrze, pomyślał. Sztuki przekupstwa najlepiej uczyć się na żywo.

Gdy nadeszła Reese, Steward, ubrany w tropikalną biel, siedział na tarasie jadalni i popijał trzecią już piña colada. Reese wyglądała na trzydzieści parę lat i była o kilka centymetrów wyższa od niego. Miała kręłą budowę ciała i mały biust. Zmierzała ku niemu długim, zdradzającym pewność siebie krokiem. Jej krótkie, ciemnobrązowe włosy przybierały w słońcu miedziany odcień. Nosila bawełniane sznurkowe spodnie w białym kolorze, sandały i jaskrawą koszulkę bez rękawów. Steward dostrzegł jeszcze ciemne włosy pod pachami oraz srebrne zapinki na uszach. Z zapinek zwisały błyszczące dyski, silnie kontrastowe na tle jej szyi, co pozwalało zatuszować widoczne na policzkach od-ciski od maski i rurki do nurkowania. W ręku niosła bladozłote-go drinka w wysokiej, wypełnionej lodem szklance. - Spróbuj latającej ryby z grilla - powiedziała. - Sałatka z muszlami też jest niczego sobie.

- Zjem i to, i to - odpowiedział - Od rana nic nie jadłem. Wstał, żeby się przywitać. Podali sobie dłonie. Steward zobaczył, jak jej biceps przesuwa się pod skórą kocim ruchem. - Tylko my mieszkamy w tym hotelu? - spytał. Reese rozejrzała się po sali, pełnej stolików przykrytych białymi lnianymi obrusami.

- Mamy sezon ogórkowy - powiedziała. - Poza tym jest jeszcze wcześniej.

Usiedli na krzesłach. Słońce mocno świeciło na tarasie, więc Steward nosił ciemne okulary. Reese patrzyła na niego bez mrużenia oczu. Steward uznał, że jej ciemnoszare oczy to sztuczne implanty.

- Jesteś dość młody, jak na przyjaciela Griffitha - zauważyła Reese.

- To nowe ciało. Jestem klonem.

- Griffith też powinien sprawić sobie szybko nowe ciało - stwierdziła Reese. - Ilekcóć go widzę, za każdym razem gorzej wygląda.

- Jak się poznaliście?

Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech.

- Razem wylądowaliśmy na bruku. Po Wojnie Artefaktowej.

Steward zeszywniał.

- Byłaś na Szeolu?

- Nie, byłam na Archaniele. W układzie Ross 47. Z Far Je-wel. Tam nie było tak źle.

Steward pociągnął ze swojej szklanki i rozluźnił się.

- Griffith i ja służyliśmy w tej samej jednostce - powiedział. - Słyszałam. - Postawiła swojego drinka na obrusie i patrzyła na niego przez chwilę ze zmarszczonym czołem. - Przechodziłeś trening próżniowy?

-Tak.

- W skafandrze radiacyjnym?

-Tak.

- Jak dawno temu?

- Z tego, co pamiętam, jakieś osiem, dziewięć miesięcy te-mu. Tak naprawdę jednak przed wielu laty. Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Twoja wcześniejsza... osobowość... czy on nie aktualizował zapisu pamięci?

Steward był lekko zdziwiony, że pojęła to tak prędko.

- Przegapiłem jakieś piętnaście lat.

- Mój Boże - powiedziała. - Przypuszczam, że nie poinformowałeś cię dlaczego?

- Obawiam się, że nie.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Mam nadzieję, że jesteś mniej zapominalski niż on. - On nie zapomniał. Wydaje mi się, że nie chciał, żebym pamiętał pewne rzeczy.

- Ach tak, rozumiem. - Reese kręciła się niespokojnie na krześle. - Chyba wszyscy mamy takie wspomnienia. Pociągnęła łyk złotawego płynu.

- Spodziewam się zatem, że nie są ci znane parametry napędu inercyjnego Fiat-Starbright FSVTI? Bo właśnie z nim będziesz miał do czynienia na „Maksie Bornie”.

Steward poczuł ulgę.

- Właściwie to znam FSVII - odpowiedział. - Niektóre statki Coherent Light używały tego napędu.

Znał jedynie te parametry, które miały zastosowanie przy sa-botażu. Dawało mu to jednak niejakię pojęcie o tym, jak zbudowane były owe silniki.

Na twarz Reese wyplął szeroki uśmiech.

- Jeśli tak, wszystko staje się łatwiejsze.

- Obawiałem się, że zadasz mi jakiś zgrabny nowy system, o którym nigdy nie słyszałem.

- Bardzo wiele statków ma już te nowe systemy napędowe.

92-

Walter 3on Williams

Ale „Born” to leciwe monstrum. Ma już sześćdziesiąt lat, a oni ciągle go modernizują. - Pociągnęła łyk ze szklanki. - Tak przy okazji muszę ci coś powiedzieć. „Born” nie jest własnością Star-bright -

to latający dorywczo frachtowiec, należący do spółki 0 nazwie Taler. Starbright ma natomiast w posiadaniu jego system napędowy, wydierżawiony na czas nieokreślony właścicielowi statku. Dlatego obsługa napędu to pracownicy Starbright. Resztę załogi wystawia Taler. Dobrze, że „Born” ma przynajmniej swój własny komputer i system telemetryczny, bo w przeciwnym razie byłaby na pokładzie jeszcze jedna grupa techników.

Usłyszana wiadomość nie zdziwiła zanadto Stewarda. Często zdarzało się, że dzierżawiono drogie urządzenia, takie jak złożone systemy napędowe, zamiast je kupować. Postępowały tak z reguły mniejsze spółki transportowe, prowadzące działalność w obrębie stref granicznych.

- Domyślam się, że dzięki temu napędowcy cieszą się sporą dozą autonomii - powiedział Steward.

Reese skinęła głową.

- Coś w tym rodzaju - odparła.

Steward pomasażował nasadę nosa w miejscu, gdzie uciskały go okulary.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym poruszyć - oznajmił. - Mam korzystną inwestycję, która może cię zainteresować.

Reese wyglądała na rozbawioną. Położyła jedną nogę na pustym krześle.

- Jakiego rodzaju?

- To takie specjalne konto, na które przelewają ci na początek tysiąc dolarów Starbright. A potem robisz z nimi, co zechcesz. Reese wybuchnęła śmiechem.

- W porządku. - Jej srebrne zapinki błyskały słonecznym światłem. - Poprzedni gość oferował mi tysiąc trzysta Pink Blossom, ale musiałabym go przeszkolić. Chyba warto mieć święty spokój za trzysta. Hej, tam! - zamachała do kogoś, pewnie do kelnerki. - Umieram z głodu. Czy byłaby pani uprzejma?... Kelnerka miała około szesnastu lat. Ciemną twarz dziewczyny pokrywał trądzik; zakiet zdobiły sceny z plaży, palmy i zielone znaki firmowe Heinekena. Gdy zamawiali, Steward patrzył, jak rysunki z odblaskowego zakietu odbijają się na twarzy Reese. Kelnerka posłała im uśmiech i zniknęła w czeluściach hotelu.

Reese dokończyła drinka i powiedziała:

- Najważniejsze w tej pracy jest to, że potrzeba do niej kogoś, kto dobrze czuje się sam ze sobą przez dłuższy czas. Będziesz spędzał całe miesiące zamknięty w butelce z zaledwie czterema innymi osobami. Jeśli jesteś jednym z tych, którzy potrzebują ciągle mieć przy sobie ludzi, doprowadzisz wszystkich do szaleństwa.

Steward wzruszył ramionami.

- Mogę być samotny jak przechodzień na ulicy. - Griffith mówił to samo o tobie, ale ja czasem nie wiem, co sądzić o znajomych Griffitha.

Steward uśmiechnął się.

- Wiem, co masz na myśli.

Skarciła go wzrokiem.

- Jesteś wierzący?

- Jestem kimś w rodzaju agnostyka zen.

- Ludzie, którzy przez całą podróż paplają o Bogu, sprawiają, że trwa ona dłużej, niż powinna. A jak tam z ideologią? - Wydawało mi się, że Starbright nie ma oficjalnej ideologii.

- To prawda, nie ma. A ty?

- Ja też nie.

- Palisz?

-Tak.

Spojrzenie Reese stało się chłodne.

- Rzucisz. To warunek zatrudnienia. Jestem alergiczka i nie mam zamiaru tego znosić.

- Już raz rzuciłem.

- Mam na myśli rzucenie na zawsze. Nie życzę sobie dymków, gdy akurat nie będzie mnie w pobliżu. Jeśli już miałabym na po-kładzie ćpuna, to wolę, żeby brał porka niż nikotynę. Wpuszcza-nie świństwa w żyłę przynajmniej nie zanieczyszcza powietrza. - Mogę rzucić palenie.

Reese nie wyglądała na przekonaną.

- No dobrze. Co się zaś tyczy wynagrodzenia i prawa głosu, przez pierwsze trzy lata będziesz uczniem. Pieniądze są gówniane, ale przynajmniej dostajesz pokój, wikt i opiekę zdrowotną. Po upływie tego okresu otrzymasz obywatelstwo i jeden głos. Jest jeszcze fakultet giełdowy, który się kumuluje, tak że po każdym 94----- dziesięciu latach dostajesz dodatkowe trzy głosy. Kupując więcej akcji uzyskasz więcej głosów, ale trzymając się podstawowego pięćdziesięcioletniego planu, zdołasz dodać szesnaście głosów do zdrowia politycznego naszej plutokratycznej demokracji. Rów-noważą to oczywiście dziesiątki tysięcy głosów należących do przewodniczącego, rady nadzorczej i głównych udziałowców, ale na tym polega polityka. W Starbright i tak panują bardziej libe-ralne stosunki niż gdzie indziej.

- Jak szybko rośnie wynagrodzenie?

- Zawsze jest gówniane. Jak chcesz robić pieniądze, nie idź na operatora napędu. Do tej pracy nadają się tylko ci, którzy nie mogą żyć bez latania. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że to coś w ro-dzaju kompromisu.

- A co z ubezpieczeniem klonującym?

- Jest, ale drogo kosztuje. Jeśli koniecznie musisz to mieć, przyjdzie ci zastawić się na trzydzieści lat. Reese nachyliła się bliżej. - Na większości statków są jednak inne możliwości zarob-ku, na bazie prywatnej inicjatywy. Jeśli w ładowni zostaje dość miejsca, wolno ci zabrać ze sobą ograniczoną ilość dóbr osobi-stych. Mówi się o nich „lokaty”. Płacisz właścicielom statku we-dług masy lokat. Jeśli jednak zależy ci na robieniu pieniędzy na boku, uzbierasz w ten sposób tyle, że po trzydziestu, czterdziestu latach będziesz mógł spokojnie przejść na emeryturę. Dziewczyna w odblaskowym zakiecie powróciła, niosąc sa-łatkę z muszlami i drugiego drinka. Reese zignorowała ją. - Jeszcze o jednym powinnam ci wspomnieć - powiedziała. - Nie pieprzę się z ludźmi z załogi. Nie robi tego nikt na statku. Ta-ka panuje zasada. Jeśli uważasz, że nie można ci się oprzeć, lub masz zamiar coś sobie udowodniać zaczepiając każdą napotkaną kobietę, to nie jest praca dla ciebie. Jeśli zaś poczujesz, że tracisz kontrolę nad hormonami, mamy na pokładzie furę leków, które mogą ci pomóc.

Steward podniósł oczy na kelnerkę, żeby sprawdzić, czy się dobrze bawi. Odwzajemniła jego spojrzenie wzrokiem bez wyrazu. - Jeszcze jednego drinka? - spytała.

- Nie, już nie. Dziękuję.

Zabrała pustą szklanekę i odeszła. Steward spojrzał na Reese. - Umiem z tym żyć - powiedział. - Kiedyś umiałem. Przeży-łem długi lot, gdy byłem w Icehawks.

- Wielu osób sobie z tym nie radzi. Jak tylko załoga bierze się do przytulania, zaczynają się sympatie

w pracy, to nie jest ko-rzystne.

- Rozumiem, o co ci chodzi - przytaknął Steward zabierając się do sałatki.

- Po prostu trzeba było to powiedzieć.

- Ta sałatka jest całkiem, całkiem. Dzięki za sugestię. Oczy Reese zwięziły się, ale nic nie powiedziała. Odprężona, spoczęła na oparciu krzesła. Pokręciła głową. - Nie jesteś taki, jak myślałam. Trudno cię przejrzeć. - Jak dostanę tę pracę - odpowiedział - będziesz miała mie-siące, żeby mnie rozpracować.

- Tak sądzę. - Patrzyła przez ramię w kierunku plaży. - Jak na razie, czy podoba ci się Curacao? - zapytała. - Kupa kamieni i jaszczurek. Więcej nie udało mi się zoba-czyć.

- Niektóre części wyspy są naprawdę piękne.

Steward spojrział w jej szare oczy.

- Znajdziesz potem chwilę, żeby pokazać mi kilka z nich? - spytał.

Reese roześmiała się.

- Hej - powiedziała - jak umówię się z tobą na randkę, bę-dziemy mieli się dość przez te wszystkie miesiące. Po co zaczynać właśnie teraz? Chcę zachować własne tajemnice jeszcze przez chwilę.

- Wedle życzenia.

Steward obserwował kobietę, jak sączyła złotawego drinka i doszedł do wniosku, że nie będzie miał z nią kłopotów. Zależa-ło jej na szefowaniu, co było dobrą cechą, ale przy tym nie robi-ła z tego wielkiej sprawy, co było jeszcze lepsze. Jej pewność sie-bie wskazywała, że nie chodzi jej o to, by zdobyć nad nim przewa-gę. Z taką osobą mógł spędzić naprawdę dużo czasu, nie nudząc się ani chwili.

Uznał także, że podoba mu się sposób, w jaki przyjęła łapów-kę. Jakby to była część umowy, rzecz uzgodniona. Nie, jakby to jej się należało. Stać ją było nawet na śmiech. Podobnie jak Reese, Steward miał standardy dla ludzi, z któ-rymi przyszłoby mu żyć.

Po wyrazie twarzy Reese poznał, że kelnerka niesie im kola-cję. Dziewczyna postawiła przed nimi talerze i zapytała, czy mo-głaby jeszcze w czymś pomóc.

- Poproszę o kawę - powiedział Steward, a ona uśmiechnęła się i skinęła głową.

Gdy przyniosła, Steward podziękował jej.

- Bóg zapłać - odpowiedziała.

Następnego ranka, przed śniadaniem, Steward poszedł po-trenować na plażę. Piach dawał złudne oparcie stopom i szybko męczył mięśnie łydek. Okazał się jednak ciekawym podłożem do ćwiczeń z zakresu utrzymywania równowagi i koordynacji. Po-dobnie było z kopnięciami z obrotu, które i tak ze swej natury silnie angażowały ucho środkowe: obrót, przykurcz, spojrzenie przez ramię i uderzenie rozpędzoną stopą w powietrze. Budował rytm. Serce, płuca, ciało i umysł pracowały w zsyn-chronizowany sposób. Równowaga stała się drugą naturą, nawet na tak zdradzieckim gruncie. Morze było białym szumem w jego głowie, tłem dźwiękowym pustego wszechświata, nicością wypeł-nioną jego ruchem.

Wykonał obrót, przykurcz, odwrócił głowę i ujrzał Reese okrążającą cypel. Robiła wymach nogą do przodu, po czym cofa-ła, wbijając ją w piasek. Miała na sobie ciemnozielony jednoczę ściowy kostium do pływania. Biegła boso.

Znów skręcił się, obrócił, przyciągnął nogę i kopnął. Wszyst-ko w rytm.

Ćwiczy sprint oddechowy, uznał Steward.

Kolejny obrót i kopniak. Z uderzającej stopy poleciała fala piachu.

Minęła go bez słowa, nie dając nawet do zrozumienia, że do-strzegła jego obecność. Biegła pochłonięta przez swój własny rytm. Promienie słońca lśniły w jej miedzianych włosach, na rę-kach i nogach.

Steward kopnął ponownie, i jeszcze raz. Piach lepił się do spoconej skóry.

Na dziś wystarczy, zdecydował.

Griffith przywitał go, jak tylko wyszedł z koleoptera, który przywiózł go z Vandenberg na lotnisko w Los Angeles. Miał na so-bie ciemną jedwabną koszulę, narzuconą na sprane dzinsy. Wy-glądał zdrowo, wręcz tryskał energią.

- Gratuluję nowej pracy - powiedział i wyciągnął rękę na po-witanie.

- To wszystko twoja zasługa. Dziękuję.

Griffith uśmiechnął się.

- Miałem swoje powody - powiedział tajemniczo.

Steward spojrzał na niego zdziwiony.

- Tylko mi nie mów, że chcesz, żebym dostarczył paczkę ja-kiemuś gościowi z Tytana.

- Nie, nie o to chodzi. Chcę, żebyś odebrał kilka paczek. - Dostrzegł cień groźby w oczach Stewarda.

- Nie - dodał prędko - to nie to, o czym myślisz.

- Ciekawe, o ile się pomyliłem.

- Chodź ze mną do kawiarni, to ci powiem. Ale przedtem... grasz w szachy? - spytał zniecka Griffith. - Znam ruchy figur. Niewiele poza tym - odparł Steward.

- Przynajmniej masz jakieś pojęcie. To dobrze. O pierwszej w nocy, w małej i ciemnej kawiarni nie było praktycznie nikogo. Połowę sali odgrodzono liną, zza której do-chodził szum automatów szorujących podłogę. Griffith kupił dwa kubki kawy i zapłacił. Zaprowadził Ste-warda do małego stolika w rogu. Usiadł i zapalił papierosa. - No dobrze. Sprawa wygląda tak - zaczął.

- Zaraz mi pewnie powiesz, że to nie jest nawet nielegalne, nieprawdaż? - przerwał mu Steward.

Griffith był zaskoczony.

- Nie jest. Wolałbyś, żeby było? - spytał.

Steward nie odpowiedział. Czuł głód nikotyny. Zignorował to odczucie i wypił łyk kawy.

- Widzisz - kontynuował Griffith - ja i moi znajomi zajmuje-my się zwykle przekazywaniem informacji. Przewóz towaru, jak w zeszłym tygodniu, to tylko chałtura.

Steward spojrzał na niego.

- A tak na marginesie, jak liczna jest ta grupa? - spytał. - Licząc tych na niepełnym etacie, kilkaset osób. Głównie weterani Wojny Artefaktowej. Nie mam kontaktu z wieloma z nich, w każdym razie osobistego.

- Jeśli jest was kilkaset osób, na pewno jesteście znani. Są na was akta. Być może wiele akt w wielu miejscach. Griffith wzruszył ramionami.

- Może i są. Kogo to obchodzi? Nie łamiemy żadnych praw. - Figurowanie w czyichś aktach może

zaszkodzić karierze za-wodowej - stwierdził Steward.

#7 - Ryk tornada

- Praca operatora napędu - skontrolował Griffith - to żadna kariera. Raczej ślepy zaułek, w który ludzie wchodzi, bo chcą uciec w przestrzeń i nie mogą znaleźć przyzwoitej pracy. - Wymiana informacji. Czyli szpiegowanie, mam rację? - Człowieku, będziesz tylko listonoszem. Listonosze nie wiedzą, co jest w listach, które roznoszą. Nie trafiają do więzienia za przewóz poczty.

Steward wpatrywał się w swój kubek. Zapach tytoniu wyzwalał u niego ślinotok.

- Wyłumacz mi, o co w tym chodzi - powiedział.

Griffith zaśmiał się.

- Dobra, chłopie. Właściwie to bardzo proste. Wiesz, jacy są szachiści. Mają swoje grupy dyskusyjne na komputerach w bar-dzo wielu miejscach, zgadza się?

- Nie zdziwiłbym się, gdyby to była prawda. - Dobrze. Wielu z tych ludzi puszcza na listę dyskusyjną swoje zadania szachowe, by inni je rozwiązywali, tak? Albo grają ze sobą w szachy przez łącza komputerowe.

- Mów dalej.

Griffith uśmiechnął się, zaciągnął się papierosem i wypuścił dym.

- W porządku. A więc działa to tak. Idziesz na stację, znajdujesz terminal albo telefon, wchodzisz na taką listę dyskusyjną i szukasz pewnego zadania szachowego. Masz ze sobą szpilkę pamięciową, którą wtykasz do terminalu. Posyłasz nieprawidłowe rozwiązanie, które ci wcześniej przekazujemy, a następnie hasło. Komputer wrzuci do twojej szpilki określone dane. Wyciągasz ją i wracasz na statek. Potem spędzasz trochę czasu przy pokładowym nadajniku: nakierowujesz odpowiednio antenę i wystrzelisz te dane pod adres na Antarktydzie, który podam ci później. Niedługo potem informacja trafia na rynek i dostajesz swoją dolę, dziesięć procent, przelewane na wybrane przez ciebie konto, gdziekolwiek między Ziemią a Neptunem. - Dlaczego gość, który kradnie dane, nie może sam tego wysłać? - spytał Steward.

- Ponieważ nie ma szans na uzyskanie nieograniczonego dostępu do sprzętu nadawczego. Wiele z osiedli orbitalnych obawia się wywiadu elektronicznego, więc monitoruje bardzo starannie wszelkie transmisje. Nie mogą jednak kontrolować anten statków, które przypadkiem zadokowały w ich stacji. - Griffith pokazał zęby w szerokim uśmiechu. - Sprytne, nie? Steward zmarszczył brwi, starając się znaleźć lukę w tym rozumowaniu.

- Nie muszę nawet widzieć faceta, z którym się kontaktuję?

_ spytał. - Ani z jednej, ani z drugiej strony?

Griffith skinął głową.

- Na tym polega piękno tego rozwiązania. Co więcej, jeśli pobierasz zadanie szachowe poprzez publiczne linie stacji, a nie przez jakieś lewe podłączenie z pokładu statku, nie są w stanie dojść, kto to robi, nawet jeśli skontrolują cały Układ Słoneczny. - Muszę o tym pomyśleć.

Z twarzy Griffitha nie schodził grymas uśmiechu.

- Daj mi znać, zanim polecisz. Przekażę ci zadanie i hasło. Uzgodnimy też warunki płatności. I jakąś drogę kontaktu. Od czasu do czasu zadanie i hasło ulegają zmianie. - Pomyślę o tym - powiedział Steward patrząc, jak Griffith wdusza peta w popielniczkę. Wiedział, że ta zwłoka, upieranie się przy konieczności przemyślenia sprawy, były mu potrzebne tylko dlatego, by zachować pewien szacunek wobec siebie samego. W końcu zgodzi się na plan Griffitha. Nie potrafił znaleźć w nim żadnego błędu. Nie musiałyby widywać dalszych znajomych Griffitha, chyba żeby sam miał na to ochotę. No i

zarobiłby trochę pieniędzy.

Ważniejsze jednak było, że miałby kontakt z tym, co się naprawdę dzieje na świecie. Utrzymałby formę, bo przynajmniej przez część czasu musiałby oglądać się przez ramię. I gdyby się okazało, że przyjdzie mu coś zrobić tam, w próżni, nie bałby się, że całkowicie wyszedł z wprawy.

Uznajmy to za trening, pomyślał.

Samolot z Los Angeles wylądował o szóstej rano. Steward zła-pał taksówkę na lotnisku i spróbował zdrzemnąć się na tylnym siedzeniu, lecz kofeina wciąż krążyła w jego żyłach, nie pozwalając zasnąć.

Gdy otworzył drzwi do mieszkania Ardali, zobaczył ją, jak stała w drugim pokoju, ubrana do pracy. Oglądała ściszone wideo, podtrzymując jednocześnie jedną ręką odbiornik telefonu za uchem. Rzuciła Stewardowi szybkie spojrzenie i położyła pa-

100-
wunei jvii wi

lec na ustach. Wszedł do pokoju i zobaczył jej pięcioletnią siostrzenicę, leżącą na kanapie i przykrytą żakietem ciotki. Ardala odłożyła odbiornik i przeszła do przedpokoju, gdzie mogli porozmawiać.

- Lisa ją zabierze, zanim wyjdę do pracy - wyjaśniła. - Chciała mieć noc dla siebie.

- Dostałem tę pracę - powiedział Steward.

Jej oczy zwięzły się w szparki.

- Gratulacje. Masz, czego chciałeś, prawda? - Czeka mnie egzamin wstępny. Ale mając załatwioną rozmowę kwalifikacyjną, wystarczy mi, że zdam; nie będę musiał znaleźć się w dwu procentach najlepszych. Nie sprawi mi to większego trudu.

- Przestrzeń. Wolność. Przeznaczenie. Przygoda. Próżnia - wymieniła Ardala, podkreślając pompatyczność słów gestami rąk. - Jak takie miejsce może kojarzyć się z wolnością, skoro nawet nie możesz otworzyć drzwi i odetchnąć świeżym powietrzem? - Mam tydzień do egzaminu - odpowiedział Steward. Arda-la nie spuszczała z niego wzroku. On zaś podziwiał kunsztowny makijaż jej oczu. Drżenie jasnej powieki zdradzało napięcie. - To mógłby być przyjemny tydzień - rzucił. Nastąpiła chwila milczenia. Ardala obejrzała się za siebie w stronę pokoju.

- To prawda - powiedziała. - Mógłby.

Wyciągnął ręce i dotknął jej ramion. Na twarzy dziewczyny pojawił się wymuszony uśmiech.

- Dobrze - powiedziała. - D'accord.

- D'accord - powtórzył za nią Steward, a jego myśli błądziły już gdzie indziej. Zamknięte miejsce przemierzające bezkres ciemności, ruch i prędkość gdzieś w środku doskonałej pustki.

Stacja Charter. Wcześniej był tu wrzecionowaty Stały Kom-pleks Orbitalny Mitsubishi w Punkcie Lagrange 4, lecz w ciągu stu lat eksploatacji jego sylwetka powiększyła się i obrosła kos-micznymi pąklami nowych modułów mieszkalnych, doków, labo-ratoriów i baterii słonecznych. Wokół stacji kilka skąpanych w światłach statków czekało na dokowanie, a na jej końcu tkwił nowy, ogromny kompleks mieszkalny drugiego stopnia, w któ-rym nie było siły ciężenia. Charter wisiała w czarnym aksamicie, pozbawionym powietrza i przetykanym diamentami. Spowijała ją słaba poświata reflektorów, a na srebrzystych ścianach odbija-ły się błękit i biel Ziemi oraz szarość Księżyca. Stacja Charter miała skomplikowaną osobowość prawną. Sy-tuacja w kwestiach własności i rejestracji była nie tyle niejasna, ile zawiła do granic możliwości. Zarówno moduły, jak i sprzęt dzierżawiono bądź wypożyczano na dłuższy czas różnym polikor-poracjom lub poszczególnym osobom; te, które pozostały, firma sama wykorzystywała do swoich niezamierzenie tajemniczych ce-lów. Charter była przede wszystkim stacją przydrożną - miej-scem, do którego ludzie wpadają po drodze, przy okazji. Miej-scem, gdzie robiło się interesy.

Tutaj panowała atmosfera dyscypliny i świadomości celu, niepasująca do chaotycznej plątaniny prawnej właścicieli, dzier-żawców i mieszkańców. Przebywali tu poważni ludzie, zajmują-cy się poważną pracą - nie odczuwało się typowego dla Ziemi braku konkretności. Steward przypomniał sobie, że kiedyś, gdy był w Coherent Light, żył takim życiem: ukierunkowanym, zdy-scyplinowanym... Poczul satysfakcję wypływającą z tej myśli - pozwalała mu patrzeć na siebie jak na skomplikowany mecha-nizm, stworzony do poszerzania ludzkich możliwości, ewolucji w kierunku kolejnego szczebla egzystencji. Stał z boku, obserwu-jąc zaabsorbowanych interesami ludzi i wsłuchując się w szmer ich rozmów, których tematy obracały się wokół transakcji, posu-nięć, współpracy, konkurencji... sieć powiązań tworząca życie poza Ziemią.

Rzeczy, które na Ziemi były tylko modą, poza studnią grawi-tacyjną stanowiły niezbędny element codzienności. Gadżety z Masek Ulicy, implanty, czujniki i narzędzia wmontowywane bezpośrednio do ciała, miały tu swój cel, zupełnie nie związany z upodobaniami - umożliwiały wykonywanie pracy. Istniał pe-wien styl obnoszenia się z nimi i ich używania, ale u jego pod-staw leżała zasada praktyczności. Inne style, które rzadko spoty-kało się na Ziemi, tu były powszechne. Niektórzy chirurgicznie powiększali sobie czaszkę, by zmieścić w niej dodatkową tkankę mózgową. Towarzyszył im zawsze świst zamontowanych wokół 102-szyi systemów doładowania, które zapewniały ich mózgom dosta-teczny dopływ tlenu. W czaszki wszczepiano również łącza kom-puterowe, a niekiedy nawet całe komputery, porozumiewające się z mózgiem w skomplikowany sposób. Inni szczylic się posia-daniem dodatkowych rąk lub palców, zaimplantowanych lub bę-dących wynikiem ingerencji w kod DNA. Poza tym, istniała jesz-cze cała kolonia ludzi drugiego stopnia - przystosowanych gene-tycznie do życia w warunkach całkowitego braku ciężenia - którym z ramion wyrastała druga para rąk, a trzecia w miejscu, gdzie powinny być nogi. Ludzie ci pływali w przestrzeni rozciąga-jąc się jak żaby.

„Max Bom” nie był połączony ze stacją, lecz spoczywał w pewnej odległości od niej. Grupa techników z Chartera doko-nywała na nim rutynowego przeglądu technicznego śluz. Pojazd był stary. Jego panele kontrolne tworzyły dziwną mieszan-kę sta-rego i nowego - od części zainstalowanych jeszcze zanim Steward się urodził, po najnowocześniejsze systemy sterowania, dorzuc-o-ne podczas ostatniej modernizacji. „Born” nigdy nie przewoził pasażerów i nie miał powodu, by ładnym wyglądem przyciągać klientów, nie krył też swojego wieku. Wiązki światłowodów wa-lały się po podłodze w pomieszczeniach operatorów. Wiekowe pikowane obicia, pokrywające większość

twardych powierzchni trzymały się tylko dzięki taśmie klejącej, a ściany kabiny Stewarda zdobiła wielowarstwowa tapeta ze zdjęć i hologramów pornograficznych, pozostawionych przez poprzednika. W czasie gdy trwał przegląd techniczny śluz, przedziały mieszkalne od czasu do czasu narażone były na dekompresję, więc Reese i Stewarda umieszczono tymczasowo na stacji w niedrogich kabinach gościnnych, które z powodu ich sześciokątnego przekroju nazywano trumnami. Ułożone jedna na drugiej, tworzyły piętrową strukturę, rozdzieloną rusztowaniami i przejściami. W każdej z nich znajdowała się prycza, składany stół, toaleta, wideo i terminal komputerowy. Na stacji przebywał jeszcze jeden członek załogi „Borna” - kobieta o nazwisku Ca-iro, pełniąca funkcję głównego inżyniera. Steward został jej przedstawiony tuż po przybyciu na statek, i od tamtej pory jej nie widział.

Nawet poza statkiem nie miał czasu na lenistwo. Chociaż zdał niezbędne testy, by dostać się do Starbright, musiał dokładniej poznać napęd, który miał obsługiwać. W rozmowie z Reese nadał, że wie więcej, niż rzeczywiście wiedział, i teraz nie chciał jej zawieść. Spędzał większość czasu w łóżku, naładowany lekami, które miały pomóc jego długoterminowej pamięci w przyswojeniu danych dotyczących „Borna”, jego systemów i typowych fanaberii. Starbright była polikorporacją bez ideologii, zajmującą się prawie wyłącznie transportem i systemami napędowymi. Panowała w niej doskonała organizacja - podobnie celowa i pozbawiona zbędnych elementów, jak jeden z ich myśliwców atmosferycznych. Istniała po to, by przeżyć, a przeżywała dzięki dostarczaniu na rynek najnowocześniejszych systemów pokładowych, pojazdów kosmicznych i personelu.

Steward nie wychodził często na zewnątrz, nawet gdy miał wolny czas. Leki nigdy całkowicie nie przestawały działać, wpływając na jego percepcję w dziwny, nieprzyjemny sposób. Odkrył, że pamięta drobiazgi, o których normalnie by zapomniał. Owe nieistotne drobiazgi były przy tym niezwykle natrętne: język Reese, poruszający się za błyszczącymi wargami; jego własne odbicie, zniekształcone w kawałku wygiętego stopu; trudna do zniesienia składowa harmoniczna dźwięku wydawanego przez czyjeś doładowanie mózgu; profil brunetki, którą podziwiał w wysoko grawitacyjnej sali do ćwiczeń i która nagle odwróciła się, by spojrzeć na niego - jej otoczone żółkniejącymi sińcami oczy wypełniała niewytłumaczalna nienawiść...

Pracował więc ciężko, minimum piętnaście godzin na dobę, i zdał test w rekordowym czasie. Z powodu leków spał niespokojnie. Część jego umysłu pracowała nawet wtedy. Sypiał więc mało, zamiast tego ucząc się grać w szachy. Gromadził w pamięci rozegrane partie, zastanawiając się nad strukturą tej gry, nad tym, że jej zasady stanowiły z natury zamknięty układ, odporny na prawa entropii i degradację uporządkowanych struktur. Każda figura miała swoje miejsce i coś sobą reprezentowała, będąc zbiorem konkretnych możliwości, określonych przez swoją pozycję względem innych figur i zmieniających się po każdym ruchu. Kontemplując grę pomyślał, że on sam również znajduje się w sześciokątnej bryle pokoju hotelowego i tkwi w sieci wzajemnych powiązań międzyludzkich, które modyfikują jego sytuację. Poczł się dziwnie blisko swojego pierwowzoru, Alfego, który był częścią innej, być może podobnej gry...

Leki w końcu przestały działać, dzięki czemu zasnął na dwa dni. Obudził się z tą samą myślą w głowie, lecz minęło tamto odczucie, że znajduje się w skomplikowanej strukturze zależności. Zastąpił je gwar stacji, tak złożony i bogaty, że nie odbiegał zbyt nio od białego szumu, przenosząc jedynie tło nieznaczących informacji. Nie miał już wrażenia, że to wszystko ma swój sens, powiązany z jego osobą; jakby stracił umiejętność odróżniania sygnału od tła.

Włóczył się po stacji, próbując odzyskać to stracone uczucie. Mijane miejsca wydawały mu się

obce, ludzie dziwacznymi, a jakiegokolwiek porozumiewanie się niemożliwe, ponieważ słowa ginęły w szumie. Zatrzymał się w barze, gdzie zamówił kawę, kurczaka i kukurydziane tortille dziwiąc się, że barman rozumie jego słowa. Rozlał połowę kawy w drodze do stolika. Próbował podstawić talerz, ale płyn przelał się przez brzeg. Nie przyzwyczaił się jeszcze do życia w wirówce. Jedząc patrzył na swoje odbicie w chromowo-stopowej ścianie, niezdolny do oglądania cze-gokolwiek innego. Powoli światelka w jego umyśle zaczęły migo-tać zielenią. Poczuł, że wraca do normalności i kontaktu z rzeczywistością. Wypełniający wszystko szum wreszcie się co-fał. Wziął jeszcze jedną kawę i tym razem udało mu się uniknąć rozlania. Poczuł się bardziej rozluźniony. Może by tak wziąć prysznic i pochodzić jeszcze trochę po stacji? Poszedł z powro-tem do swojej trumny i zastał tam Reese. Czekwała na niego, sie-dząc na łóżku. Miała na sobie wymięty szary kombinezon i buty antypoślizgowe.

- Steward, nie czytasz nawet cholernych wiadomości? - po-wiedziała. - Za czterdzieści minut dokujemy „Borna”. Przez dłuższą chwilę gapił się na migającą diodę swojego ko-munikatora.

- Przepraszam - odpowiedział.

Reese wstała, schylając się z powodu niskiego sufitu. - Bierzymy taksówkę z Doku 61 - oznajmiła. - Nie zrobisz do-brego pierwszego wrażenia.

W trakcie dokowania „Borna” Steward robił wszystko, żeby powstrzymać się od ziewania, ale ani razu mu się nie udało. Sie-dział w pomieszczeniu sterowniczym w centrum statku, mając na głowie hełm, który doprowadzał odczyty systemu zasilania wprost do ośrodka wzroku w jego mózgu, i jednocześnie monito-rował jego stan w trakcie wykonywanych przez operatora czynno-ści. Steward włączył wewnętrzny obwód zasilający i przygotował go do manewru. Było to zadanie niewymagające i pozbawione niespodzianek. Nie wykorzystywano przy nim głównych genera-torów i silników, lecz niewielką liczbę baterii, wystarczającą do pracy radaru, komputera manewrującego i systemów podtrzymy-wania życia. Reese siedziała przypięta do fotela tuż za nim, z dru-gim hełmem na głowie. Jej zadanie, polegające na monitorowa-niu silników manewrowych i korekcyjnych, rzadko wymagało więcej uwagi. Steward podejrzewał, że tylko oni dwoje znajdowa-li się na pokładzie, ponieważ kontrakt Starbright wymagał, by byli obecni zawsze, ilekroć „Born” wykonywał jakąkolwiek ope-rację, mogącą narazić jego drogocenne silniki. - Chwytki załączone - poinformowała Cairo, główny inży-nier statku. Pod nieobecność kapitana, który wciąż przebywał na urlopie, Cairo kierowała statkiem podczas dokowania. - Śluza w trakcie zapowietrzania. Przygotować się na niskie ciążenie sta-cji. Śluza zapowietrzona. Stożek dokujący odsunięty. Sprzężenie zasilania ze stacją włączone. - Na chwilę zapadła cisza. Grawita-cja szarpała uchem wewnętrznym Stewarda. Pomieszczenie lek-ko zachwiało się i uspokoiło.

- Wszystko zielone - powiedziała Cairo. - Wygaszamy grata. - Zostawić włączone numer cztery-A i siedem - powiedziała Reese.

- Cztery-A i siedem - powtórzył Steward, jak z podręcznika. Doskonale wiedział, które baterie obsługują zasilanie awaryjne systemów podtrzymywania życia. Światelka na panelach i w jego głowie zaczęły zmieniać kolor z zielonego na bursztynowy, ozna-czający stan czuwania. - Przełączam na zasilanie ze stacji. - Świa-tła na statku nieznacznie pojaśniały.

- Wygaszanie zakończone. Cztery-A i siedem ustawione w stan awaryjny - potwierdził Steward. Rozpiął pasy bezpieczeń-stwa, pozwalając im opaść. Spojrzał w górę i zobaczył, że wiązka światłowodów wyskoczyła z przytrzymującej ją gumowej obej-my, więc wepchnął kabel z powrotem na jego miejsce. - Opuszczam mostek dokowania - powiedziała Cairo. - Zała-dunek rozpoczyna się

za trzydzieści minut. Wcześniej jednak chciałabym widzieć Stewarda w salonie.

Cairo była kobietą niewielkiej postury. Urodziła się w ko-smosie i szczyciła się faktem, że nigdy nie postawiła nogi na ni-czym większym niż planetoida. Była chuda jak patyk i miała ostre rysy twarzy. Jej ciemne włosy, krótko ostrzyżone, jak u większo-ści ludzi pracujących w kosmosie, tu i ówdzie przeświecały siwiz-ną. Na kościach policzkowych lśniły implanty z marsjańskich dia-mentów, a z wierzchów jej dłoni promieniste blaski rzucały rubi-ny impaktowe. Ludzie żyjący w warunkach braku grawitacji czę-sto mieli wszczepione klejnoty, bo uważali, że biżuteria jest nie-bezpieczna - mogła się o coś zaczepić. Gdy Steward wszedł do salonu, Cairo siedziała na jednym z polepionych taśmą foteli i pi-ła kawę z tuby w kształcie żarówki. Steward obliczył odległość, podskoczył i pozwolił, by słaba grawitacja sprowadziła go powo-li na wolny fotel.

- Chciałaś mnie widzieć? - spytał.

Cairo spojrzała na niego ciemnymi, skupionymi oczyma.

- Steward - powiedziała - czy odczuwasz niepokój duchowy? W Stewarda powoli wlewało się zdziwienie. Przez chwilę za-stanawiał się, czy nie przegapił jakiegoś istotnego kontekstu te-go pytania.

- Nie - odpowiedział.

- Taler mianował mnie oficerem moralnym na „Bornie” - wytłumaczyła się Cairo. - To mniej więcej to samo, co komisarz polityczny. Jestem odpowiedzialna za indoktrynację ideologicz-ną i spotkania samokrytyczne.

- Jestem pracownikiem Starbright, a nie Talera - zapropono-wał Steward. - W naszym kontrakcie jest napisane, że nie musi-my uczyć się na wasze wykłady.

W spojrzeniu Cairo dostrzegł irytację.

- Znam treść kontraktów - odpowiedziała.

- Przyszło mi tylko na myśl, że powinienem o tym wspo-mnieć.

- Nie prosiłam cię, żebyś pojawiał się na spotkaniach. Ale wymaga się ode mnie, abym oznajmiła ci, że coś takiego istnieje. Tak na wszelki wypadek, gdybyś odczuwał niepokój duchowy czy potrzebował porady i współczucia.

- Dobrze - odpowiedział Steward. - Dzięki. Cairo wskazała palcem skrzynkę na dokumenty w pobliżu głowy Stewarda. Wypełniające ją kartki przytrzymywały paski rzepa*.

- *To publikacje Frekonomicystów - powiedziała. - Są do*

- Tkanina mocująca zwana w Polsce rzepem, zrobiła ogromną karierę w świecie Stewarda. Jej oryginalna anglojęzyczna nazwa brzmi Velcro. wzięcia. Nikt nie każe ci ich czytać, ale jeśli miałbyś ochotę, to nie ma przeszkód.
- Domyślam się, że mam do dyspozycji także kolekcję na-grań wideo.

Spojrzała na niego wzrokiem bez wyrazu.

- Nie będę już więcej poruszać tego tematu. Teraz podpiszę świstek, który stanowi potwierdzenie, że to zrobiłam i moje do-ssier w Taler wzbogaci się o kilka punktów za dobre sprawowanie. - Jeśli chcesz, mogę podpisać oświadczenie, że wykonałaś swoje zadanie celująco.

Jej twarz stężała.

- W twoim kontrakcie jest również napisane, że nie musisz być obecny w trakcie załadunku. A to oznacza, że mam przed so-bą szesnastogodzinną zmianę. Do zobaczenia za dwa dni. - Chyba przeprowadzę się na statek - powiedział Steward, z trudem opanowując kolejne ziewnięcie. - Zaczynam mieć dość mojego pokoju hotelowego.

Cairo wzruszyła ramionami.

- Jak uważasz. Ale przez te czterdzieści trzy dni, zanim zado-kujemy na Weście, będziesz miał jeszcze bardziej dość kabiny na statku.

Stewarda przeszył lodowaty dreszcz. Ziewanie minęło jak rę-ką odjął.

- Na Weście? - powtórzył.

- Priorytetowy ładunek kryształów bezgrawitacyjnych.

Zmieszczą się również inne rzeczy, bo zostanie sporo miejsca. Również lokat, jeśli reflektujesz. Rozkazy przyszły w ciągu ostat-nich dwadziestu czterech godzin. Zmieniamy kurs w czasie lotu, a nasza firma zbija grubą kasę - zaśmiała się. - Ty naprawdę nie przeczytałeś wiadomości, zgadza się?

- Pochłonęło mnie studiowanie systemu zasilania.

Pokręciła głową.

- Zwykle ludziom zabiera to więcej czasu. Za diabła nie wiem, co masz zamiar zrobić z czasem podczas lotu na Westę. Chyba przyjdzie ci poczytać trochę mojej literatury.
- Zawsze zostają jeszcze leki.

Cairo wstała, uważnie dbając o zachowanie równowagi przy niskim ciężeniu.

- Na twoim miejscu - powiedziała - zabawiłabym się trochę przed odlotem.

- Niewykluczone, że tak zrobię - odpowiedział Steward, lecz Cairo manewrowała już w kierunku wyjścia do przedziału towa-rowego i nie dała po sobie poznać, czy usłyszała jego odpowiedź. „Zabawa” Stewarda okazała się być studentką o nazwisku Torner, aktualnie na czwartym trymestrze, która utknęła na Charterze wskutek czterdziestoośmiogodzinnego opóźnienia przesiadki. Podążała do szkoły górniczej Seven Moons na Księży-cu. Przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny obejrzała wszyst-kie dostępne na stacji widoki i na kolejne zapragnęła towarzy-stwa.

Miała ciemne włosy zaplecione w warkocze, oliwkową cerę, diamentowy kolczyk w nozdrzu i wijący się wokół jednej kostki tatuaż. Steward spotkał ją zaraz po zejściu z „Borna”, w barze o nazwie „Mi Minor”, gdzie zaaplikował sobie pewną kombinację kofeiny i alkoholu. Gdy wszedł, Torner grała na stojących na wprost wejścia automatach, ubrana w ciemne sztruksowe spodnie,

błękitną koszulę w cienkie paski i zakiet bez kołnierzyka. Zamawiając coś dla siebie zauważył, że gdy maszyna zaczyna się kręcić, ona porusza się w rytm jakiejś wewnętrznej muzyki. Obracające się światełka kładły się migotliwymi plamami na jej profilu. Rozległ się brzęk i maszyna coś z siebie wypluła. - Cholera - powiedziała dziewczyna zdegustowanym tonem. Jej akcent brzmiał twardo na spółgłoskach. Rozejrzała się wokół siebie, dostrzegła spojrzenie Stewarda i pokazała mu paczkę playersów.

- Ten automat płaci w towarze - powiedziała. - Palisz?

- Próbuję się oduczyć.

- Ale gówno. Wyjątkowo tanio wychodzi im ten automat. Wetknęła papierosy z powrotem do kieszeni i spojrzała na jego drinka.

- Co pijesz?

- Kawę po irlandzku.

- Ja całe popołudnie piłam ryczące tygrysy. Chyba spróbuję dla odmiany kawy po irlandzku.

Usiadła na stołku obok niego i położyła na stole szpilkę kre-dytową, by przyciągnąć uwagę barmana. Oboje pili powoli, wy-mieniając się historiami z własnego życia. Pochodziła z dawnego osiedla Mennonitów w obrębie Pasa, które splajtowało w trakcie finansowej transformacji po Wojnie Artefaktowej i później gło-sowało za przystąpieniem do Seven Moons. Do czasu pójścia na studia nigdy nie opuszczała domu. Stewardowi wydawało się, że dziewczyna próbuje to szybko nadrobić.

- Słuchaj - powiedziała. - Ty jesteś z Ziemi. Chciałabym czegoś się dowiedzieć. Gdy pytałam innych, po prostu mnie wy-śmiewali.

- Spytaj mnie - zaproponował Steward.

Zmarszczyła brwi w skupieniu.

- Chciałabym wiedzieć, jak to jest z wiatrem. Nigdy nie by-łam w miejscu z wiatrem. Czy na Ziemi wieje on bez przerwy? - W zasadzie tak. Czasem powietrze stoi w miejscu, ale zwy-kle trwa to niedługo.

- Jak to się czuje? Czy podobnie, jakby stało się przed wen-tylatorem?

- Coś w tym rodzaju - nigdy wcześniej się nad tym nie zasta-nawiał. - Z wyjątkiem tego, że prędkość wiatru bezustannie się zmienia. Sprężarka w wentylatorze jest ustawiona na stałą prędkość.

- Uhhh - przekrzywiła głowę i spojrzała na niego. - Czy on... zupełnie tego nie wiem.. ma jakiś specyficzny zapach lub coś ta-kiego? Czy raczej odpędza od ciebie zapachy, tak że nigdy do cie-bie nie dochodzą?

- Wiatr pachnie tymi zapachami, które są dostępne. Drzewa-mi albo kwiatami, ziemią, śmieciami, oceanem. - Sama organika - powiedziała wykrzywiając nos.

- Wszystkim, co leży na wierzchu.

- O rany. Brakuje ci tego?

Zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Tak, brakuje. Właśnie to sobie uzmysłowiłem. Skończyła kawę i wytarła górną wargę. Znow spojrzała na niego.

- Masz ochotę zatańczyć?

Tym razem Steward nie zastanawiał się ani chwili.

- Dlaczego nie? - odpowiedział.

Poszli w inne miejsce, do klubu położonego na samym końcu dawnego wrzeciona Mitsubishi, gdzie panowała niska grawitacja. Torner zapłaciła za drinki, zdjęła swoje antypoślizgowe pantofelki i

zaczęła tańczyć bosą do muzyki todo. Pod luźno wiszącymi mankietami spodni pojawiał się tatuaż. Nieco później poszli do pokoju Stewarda niosąc zrazy wołowe w gorącym sosie z masła orzechowego. Torner zasnęła na pryczy Stewarda. Jej bosa nogi zwisały z posłania. Spała owinięta we własny żakiet, z którego kieszeni wystawały pantofelki.

Kofeina nie pozwalała Stewardowi na drzemkę. Siedział na krześle przy stoliku i kontemlował widok śpiącej dziewczyny. W jej diamencie dostrzegł odbicie migającego światełka sygnalizującego wiadomość. Postanowił jej wysłuchać. Były tam dwie wiadomości od Reese, obie na temat priorytetowej przesyłki na Westę i dokowania, którego tak skutecznie unikał. Znalazł jeszcze automatyczne zawiadomienie hotelowe, dotyczące terminu zapłaty, oraz przekaz, który nie zawierał dźwięku. Wyświetlił go na ekranie terminalu i zobaczył swoje zadanie szachowe wraz z hasłem. Towarzyszyła mu notka od Griffi-tha, w której życzył mu szczęścia.

Zadanie nosiło nazwę: „Demon Ciołkowskiego”. Oczywisty błąd, tkwiący w rozwiązaniu podanym przez Griffitha, był jasny nawet dla niedoświadczonego oka Stewarda. Hasło brzmiało „Marszałek Stalin”. Nie miał pojęcia, co to mogło znaczyć. Zastanawiał się, czy przypadkiem „Marszałek” nie jest jakimś tytułem albo imperatywem.

Steward wywołał na swoim terminalu indeks adresów na Charterze, wszedł w szachową listę dyskusyjną i zaczął przekopywać się przez wiadomości. Było tam multum zadań szachowych. Jedno z nich nosiło nazwę „Demon Ciołkowskiego”. Steward poczuł nagłą suchość w ustach.

Począł gorączkowo grzebać w swojej torbie w poszukiwaniu szpilki pamięciowej. Znalazł ją, wetknął do terminalu i nadał fałszywe rozwiązanie. Komputer odpowiedział mu, że się myli. Wpisał więc „Marszałek Stalin”.

Komputer zawahał się przez chwilę, po czym dioda przy szpilce zapaliła się, sygnalizując przenoszenie danych. Steward przyglądał się temu odrętwiałym wzrokiem.

Dlaczego na Charterze, zastanawiał się. Charter był wolnym, otwartym portem. Jakikolwiek sabotaż nie miał tu racji bytu. Nie istniały tajne dane. Chyba żeby ktoś przelatywał jakimś statkiem i podrzucił tajne dane na stację. Możliwe, że własny system komunikacyjny tej osoby był na podsłuchu i nie mógł użyć nadajnika statku.

Dlaczego jednak nie mógł wysłać sygnału, używając do tego celu anten Chartera? Było ich tu kilkadziesiąt, wiele z nich udośćniono do użytku publicznego. Osoba posiadająca dane mogła jednak nie znać adresu odbiorcy na Antarktydzie. Ale w zasadzie dlaczego miałyby go nie znać?

Bez względu na to, jak dane dostały się do stacji, szpilka Stewarda właśnie je odbierała. A odebrane, miały dla niego istotną wartość. Dioda zgasła, komputer podziękował mu i zapytał, czy ma ochotę spróbować jeszcze raz rozwiązać zadanie. Steward odpowiedział przecząco i wylogował się.

Wyciągnął szpilkę z gniazda i położył ją na dłoni, patrząc jak przetacza się w poszukiwaniu punktu równowagi. Bogactwo uwięzione w nici o zmiennej sieci krystalicznej, źródło przyszłego zysku. Wykorzystanie tych danych wymagało jednak podłączenia szpilki, a z nią również Stewarda, do rozległej sieci ludzi, zaangażowanych w kradzież danych i dystrybucję czarnorynkowych towarów - ludzi, których działalność nie służyła jego zamiarom... Poza tym nie był pewien, czy powinien się na to zdecydować, czy da się całkowicie zerwać raz nawiązane połączenie. Torner zamamrotała coś przez sen i przewróciła się na plecy. Steward zamknął szpilkę w dłoni, a dłoń schował za plecami. Torner przetarła ręką czoło i otworzyła ciemne oczy, a następnie zamrugała i spojrzała na

Stewarda. Uśmiechnęła się. - Cześć. Chyba zasnąłam - powiedziała i usiadła, kręcąc głową z niedowierzaniem. Dopięła guzik u koszuli. - W tym przybytku chyba raczej nie ma obsługi, prawda?

Steward uśmiechnął się.

- To nie ten gatunek hoteli - odpowiedział.

- Pomyślałam, że moglibyśmy zamówić butelkę. I coś do jedzenia - spojrzała na ekran terminalu. - Co robiłeś? Praca? - Zadania szachowe - odparł i pokręcił głową. - Chyba za dużo wypilem, bo nie mogę ich rozwiązać.

Schylił się i wrzucił szpilkę do torby, a następnie wyłączył monitor. Torner manipulowała ręką nad głową, próbując zmienić prędkość wypływu powietrza z otworu wentylacyjnego. - Popatrz - powiedziała i spojrzała na niego. Po jej czole szalały kosmyki włosów. - Wiatr. Coś w tym rodzaju. Steward wstał z krzesła i położył się obok niej na wąskim łóżku. Poczł na twarzy silny powiew. Ciemne oczy dziewczyny były tuż obok.

- Powyobrażamy sobie, że jesteśmy na plaży, dobrze? - zaproponowała. - Gdzieś na Ziemi. Myślisz, że nam się uda? 112-----.....-----

- Nie widzę powodu, dlaczego miałoby tak nie być - odpowiedział.

Nachylił się bliżej i pocałował ją. Nie zamknęła oczu. Steward także. Nie przypominała w niczym Natalie, a on nie wiedział, czy powinien się z tego cieszyć, czy nie. Wspomnienia przychodziły jednak bez względu na wszystko, jak pocałunki motyli... piasek, ocean, słona bryza, Ziemia, zielone oczy blisko jego twarzy. Przymknął powieki i dał się ponieść wspomnieniom. Na krótką chwilę stał się wiatrem.

Po jakimś czasie nie istniał już dla niego żaden dobry powód, dla którego miałby tego nie robić.

Adres na Ziemi Marii Byrd nie był jeszcze widoczny dla anteny „Borna”, więc Steward zdecydował się odbić sygnał od satelity geostacjonarnego Pink Blossom, wiszącego nad południowym Atlantykiem. Włożył szpilkę do pierwszego gniazda, nakierował antenę i wcisnął przycisk WYŚLIJ. Przeniósł wzrok na szczyt Mont Everestu, spowity pozawijanymi smugami chmur - obrazek powieszony na ścianie przez nieobecnego w tej chwili oficera komunikacyjnego.

Zanim Steward zdjął palec z przycisku, było już po transmisji. Rozliczne powiązania, do tej pory istniejące tylko potencjalnie, zaczęły budzić się do życia. Czymkolwiek były i cokolwiek znaczyły.

Składane drzwi otworzyły się z hukiem za jego plecami. - Co ty kombinujesz przy moim sprzeczku? - usłyszał kategoryczny głos. Steward spojrzał przez ramię i opanował odruch, by wyciągnąć szpilkę z gniazda.

Z mocno opalonej twarzy patrzyła na niego para niebieskich oczu. Zielona tropikalna bluza zdawała się wypełniać połowę kabiny radiowej „Borna”.

- Wysyłam pocztę - rzucił Steward.

- Tak właśnie myślałem.

Pojawiła się duża dłoń. Cała pokryta piegami. Steward potrząsnął nią na powitanie.

- Nazywam się Fischer. Oficer komunikacyjny - przedstawił się mówiąc z lekkim środkowoeuropejskim akcentem. - Steward. Pomocnik operatora napędu.

- Domyśliłem się. - Fischer nachylił się nad konsolą i spojrzł na wskazania przyrządów. Steward dostrzegł złącze komputerowe zaimplantowane u podstawy jego czaszki. Zapewne rozmawiał ze swoim sprzętem bez używania słów. - Użyłem anteny numer dwa - powiedział Steward. - W takim

razie wszystko jest w porządku. Wolałbym jed-nak, żebyś więcej tego nie robił. - Wyszczrzył zęby w stronę kon-soli. To był ostrzegawczy uśmiech wilka. - Mogliśmy przegapić przekaz od naszych szefów - warknął - ważny rozkaz, by przestu-diować kolejny numer „Tygodnika Frekomicystycznego”, w którym mają być nowe wytyczne. Czy nałożenie przez Seven Moons cła na stop zmiennokrystaliczny da się wytłumaczyć wzglę-dami ideologicznymi, czy jest oznaką ukrytego dewiacjoniz-mu. Chłopie, to wiadomość na skalę galaktyczną, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Steward wyciągnął szpilkę i schował ją do kieszeni. Fischer gapił się na odczyty przyrządów i wydawało się, że tego nie za-uważył. Steward spojrzał na jego łuszczące się czoło. - Byłeś na plaży? - spytał.

Fischer pokręcił głową.

- Nie, na Alasce. Wszedłem na lodowce. Znasz kogoś w Asunción?

- Na Antarktydzie.

- Aha - puknął się palcem w głowę. - Pokręciły mi się przed-rostki przekaźnikowe. - Spojrzał na Stewarda. - A więc, kto to jest, ten na Antarktydzie?

- To tylko skrzynka kontaktowa. Mam przyjaciela, który cią-gle podróżuje. Tak jak my.

Na widok licznika czasu transmisji Fischer lekko zamrugał oczami.

- Czterdzieści cztery nanosekundy. To trochę długo jak na list. W głowie Stewarda rozległ się cichy, ale niepozostawiający wątpliwości alarm. Musi zniszczyć zawartość szpilki, jak tylko wróci do kabiny.

- Wysłałem mu kopię programu wideo, który zgrałem z sieci stacji.

- Mam nadzieję, że to coś jest ideologicznie poprawne. Pink Blossom to poletko neoimagistów. Nie lubią, jak odbija się od ich satelitów dziwne przesyłki.

- Dla mnie neoimagiści sami w sobie są dziwni - powiedział Steward.

#8 - Ryk tornada

Fischer uśmiechnął się.

- Żebyś wiedział, chłopie.

Pacnął w konsolę przez ramię Stewarda, chowając antenę w kadłubie.

- SuTopo jest na pokładzie. Za kilka chwil możesz zapukać do drzwi jego kabiny. Ale najpierw daj mu szansę się rozpakować. - Nie omieszka - odpowiedział Steward. Alarm w jego gło-wie wciąż nie zanikał.

Kabinę kapitana wypełniała mieszanka woni z pięciu drze-wek bonsai, zajmujących półki na przeciwległej ścianie. Ich cera-miczne doniczki zabezpieczono przed zmianami ciężenia. Z góry zwisały lampiony, przymocowane do sufitu za pomocą przyssa-wek.

Kapitan „Borna” był niskim, muskularnym Jawajczykiem w średnim wieku. Wokół jego nadgarstków wiły się skomplikowa-ne, ciemne tatuaże. Nosił przepisową marynarkę ze stójką, uszytą z jakiegoś ciemnego materiału i czarny kapelusz pitji. Na kapelu-szu naszyto oznakę rangi - konstelację trzech czteroramiennych gwiazd na tle czerwonego trójkąta, będącego symbolem Talera. U środkowego palca lewej ręki zamiast paznokcia miał ciekło-krystaliczny ekran komputerowy. Prawdopodobnie zmieniono mu także oczy, by mógł czytać na tak mikroskopijnym monito-rze. Steward zastanawiał się, gdzie zainstalowano klawiaturę. W jego głowie, podłączoną za pomocą nici bezpośrednio do mó-

zgu? W głowie kogoś innego, by SuTopo mógł odbierać wiadomości z innych miejsc? Steward pomyślał, że robi się bardziej para-noidalny niż to absolutnie konieczne. Bez sensu było montowanie odbiornika w paznokciu, skoro można go podczepić bezpośrednio do nerwu słuchowego.

- Witam na pokładzie - odezwał się SuTopo.

- Dziękuję. Bardzo się cieszę, że tu jestem. Kapitan stał w rozkroku, wspierając się pod boki. Miał przy-mknięte oczy. Mówił łagodnym głosem.

- Cairo twierdzi, że ciężko pan pracuje.

- Przywykłem do tego.

SuTopo zmarszczył brwi.

- To się przydaje. Jednakże najważniejszą umiejętnością na statku takim jak ten jest zdolność do przyjemnego tracenia czasu.

Steward pomyślał, że na tym właśnie polega rola drzewek bonsai.

- Równie dobrze mogę nic nie robić - odpowiedział. - Przy-znaję, że przyjąłbym to z ulgą.

Oczy kapitana nieznacznie się otworzyły.

- Ma pan kwalifikacje wojskowe - ocenił SuTopo. Było to proste stwierdzenie faktu. - Wszechstronne wyszkolenie na wy-sokim poziomie.

Steward nie potrafił odczytać z wyrazu twarzy SuTopo, jaki jest jego stosunek do tego, o czym właśnie mówi. Nie wiedział nawet, czy dla kapitana ma to jakiegokolwiek znaczenie, czy raczej był to po prostu dziwny sposób prowadzenia rozmowy. - Zgadza się - odparł. - Ale nie chcę ich już więcej wykorzy-stywać.

- Rozumiem - powiedział SuTopo. - Wybrał pan zupełnie no-wą drogę życia. / - Tak - potwierdził Steward. Zastanawiał się, czy kapitan przypadkiem nie próbuje go w coś wciągnąć. SuTopo skinął głową, jakby upewniając się o czymś. - To dobrze - przyznał i sięgnął ręką nad głowę, by popra-wić jeden z lampionów. Wyglądało to tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że prowadzi tylko luźne dywagacje, bez odnoszenia się do kogokolwiek w pokoju. - Zdarzało się już, że jedna polikor-poracja wprowadzała własnych agentów do drugiej. Spółki trans-portowe, jak Starbright i Taler, są szczególnie preferowane w tym względzie, ponieważ agenci są w ciągłym ruchu. To byłby wielki wstyd, gdyby „Max Born” został wplątany w jakieś kłopo-ty w związku z członkiem załogi, który wyszedł na stację i uczy-nił coś, czego nie powinien.

- To się więcej nie powtórzy - powiedział Steward. - Miło mi to słyszeć - odparł SuTopo i odwrócił się, by spoj-rzeć na ścianę drzewek. - Zna się pan na bonsai? - spytał. - To moja pasja.

- Nie znam się na szczegółach - wyjaśnił Steward. - Ale po-dziwiam rezultaty.

SuTopo podszedł bliżej do jednej z doniczek i schylił się, by przyjrzeć się drzewku.

- To jest wiąz górski - powiedział. - Posadził go mój pradzia-dek, więc ma prawie sto lat. A styl nazywa się chokkan. Prosty, dostojny pień ma przynosić ukojenie.

- Jest całkiem ładny. Kojący, jak się pan wyraził. SuTopo zwrócił się ku kolejnemu drzewku. Wyraz jego twa-rzy wyraźnie zmiekkł.

- A to cyprys arizoński. Podarunek od żony. Mieszka na osie-dlu Apollo w Kompleksie Moskva. Przy każdym spotkaniu przy-noszę jej drzewko. Wymieniamy się nimi, by patrząc na drzewa móc myśleć o sobie nawzajem.

Steward spojrział na bonsai, tkwiącące w prostych, poszklwio-nych z zewnątrz doniczkach.

- Ma pan jeszcze jakąś rodzinę? - spytał.

- Dwie córki. Dorastały na osiedlu Talera i teraz mają dobre stanowiska w spółce. Miałem jeszcze syna. Zginął na Archaniele - powiedział SuTopo i zamilkł.

- Przykro mi, sir. Nie wiedziałem, że Taler też brał w tym udział.

- Nie brał - SuTopo mówił głosem przepełnionym łagodno-ścią. - Mój syn poszedł własną drogą.

Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć kolejnej skarłowacia-łej rośliny, lecz zatrzymał się o centymetr od niej. - Trzymam ten świerk Yeddo na jego pamiątkę - powiedział.

- Coś przynajmniej żyje jego imieniem.

Steward pomyślał, że SuTopo to jeszcze jedna ofiara wojny, a przecież nie brał w niej udziału. Podobnie jak on żył wspomnie-niami, których nie doświadczył.

- Piękna myśl - powiedział.

SuTopo rzucił mu przez ramię surowe spojrzenie, najwyraż-niej urażony słowami, które mogły zabrzmieć jak opinia na te-mat jego pomnika.

Gdy kapitan obrócił się ku Stewardowi, jego twarz miała su-rowy, nieprzenikniony wyraz. Strzepywał rękami przód marynar-ki, wygładzając wszelkie zagniecenia.

- Za pozwoleniem, muszę przejrzeć raporty przygotowane przez Cairo. I sprawdzić rozmieszczenie towaru w ładowni. - Oczywiście. Miło mi było pana poznać, sir. Idąc korytarzem w stronę swojego pokoju zastanawiał się nad istnieniem pewnych akt i tym, jak były rozpowszechnione. Znajomi Griffitha mieli zapewne setki życiorysów, rozrzuconych po biurach bezpieczeństwa wszystkich polikorporacji w kosmo-sie. Również kodowanie zadania szachowego nie stanowiło takiej tajemnicy, jak się Griffithowi wydawało. Czy rzeczywiście gdzieś w aktach Stewarda znajdowała się już mała ostrzegająca notka:

Znany współpracownik Griffitha, prawdopodobnie kurier? I właśnie wtedy, w jednej zatrzymanej chwili, Steward uzmy-słowił sobie, jak głupio postąpił. Ściągnął zadanie szachowe przy użyciu terminala w pokoju hotelowym zarejestrowanym na Star-bright. Jeśli ktoś monitorował transmisję, nazwisko Stewarda, jako jednego z niewielu pracowników Starbright przebywających na stacji, musiało pojawić się na wyświetlaczu służby bezpieczeń-stwa wypisane błyskającymi czerwonymi literami. Na Charterze jednak takie rzeczy się nie zdarzały, przynaj-mniej sądząc na podstawie posiadanych przez Stewarda informa-cji. To miejsce było jak sito - zabezpieczenia Chartera od lat sta-nowiły temat do żartów, nawet wtedy gdy Steward był jeszcze w Icehawks. Taler to co innego. Mogli sprawdzać pracowników Starbright za pomocą własnego systemu bezpieczeństwa, by upewnić się, czy pracujący na statkach Talera personel Star-bright nie nosi się z zamiarem zrobienia czegoś, co przysporzy im kłopotów. Prawdopodobnie nie traciliby jednak czasu na monito-rowanie podejrzanych zadań szachowych, licząc na to, że ktoś im znany spróbowałby po nie sięgnąć. Steward w końcu uznał, że Ta-ler jest w porządku. A SuTopo pewnie mówi do słuchu każdemu nowemu człowiekowi ze Starbright.

Odetchnął z ulgą. Jego wyczyn prawdopodobnie pozostał nie-zauważony, lecz na tak poważnym korporacyjnym osiedlu jak Westa mógłby się dla niego źle skończyć. W Starbright wcale nie byliby zadowoleni z pracownika, który naraził się dużej polikor-poracji. Mogliby go nawet odesłać z

powrotem na Ziemię z wilczym biletem - no, może z wyjątkiem rekrutacji - i spaprana kartoteką.

Cholerny Griffith, pomyślał Steward. Mógł mnie załatwić na dobre.

Nie. Steward natychmiast się poprawił. To ja mogłem załatwić się na dobre.

Wszedł do swojej kabiny, włożył szpilkę do terminalu i zapisał ją losowym sygnałem. Gdyby jakaś służba bezpieczeństwa grzebała w jego rzeczach, nic by już nie znaleźli. Spojrzał na ściany pokoju, z których patrzyły na niego przesadnie powiększone kobiece krocza. Jak do tej pory nie miał czasu zabrać się do oczyszczenia kabiny z pornograficznych zdjęć. Ulga i niepokój ustąpiły powoli chęci zapalenia papierosa. Na samą myśl o tytoniu dostawał ślinotoku. Przyhamował to pragnienie, próbując skoncentrować się na wizji siebie samego na wolności, otoczonego izolującą warstwą próżni. Za czternaście godzin rozpędzi „Borna” w kierunku Pasa i nikt już nie będzie próbował go gonić.

W głowie Stewarda buchały płomienie. „Born” pędził wokół Księżyca, przyspieszając stałym ciągiem półtora g. Wykorzystywali słabe przyciąganie Księżyca, by uzyskać efekt procy, dzięki któremu „Born” popędzi poza orbitę Marsa w kierunku Pasa. Silniki miały działać jeszcze przez trzy dni, przez cały czas stopniowo przyspieszając statek.

Jeśli cokolwiek miałyby pójść źle, stałoby się to najprawdopodobniej w czasie kilku pierwszych nerwowych godzin, kiedy panowały wysokie przeciążenia. Przez początkowy krytyczny okres dwunastu godzin Steward i Reese byli podłączeni do siebie nawzajem oraz silników, komór spalania, wysokoprężnych pomp chłodzących, powierzchni kontrolnych, mierników tempa podawania paliwa, obwodów awaryjnych... w ich głowach wisiały graficzne odpowiedniki całych systemów, podpalając mózgowie ośrodki zmysłów. Paliwo płynęło im wzdłuż języków, elektrony mknęły przed oczyma, a w uszach brzmiał jednostajny biały szum fuzji chemicznej.

Reese wzięła pierwszą czterogodziną zmianę, podczas której on pozostawał obserwatorem. Patrzył, jak kobieta wydaje precyzyjne rozkazy ogromnym silnikom produkcji Starbright. Potem przysłała kolej na Stewarda i przez kolejne cztery godziny Reese stała za jego plecami, gotowa w każdej chwili przełączyć sterowanie na siebie jednym myślowym poleceniem, w razie gdyby nie radził sobie z sytuacją lub wykonał zły ruch. Steward próbował zachować komfort psychiczny przy pracy > płynąć w myślach wraz ze strumieniem zen, którym był ciąg silnika. Decyzje przychodziły same, bez oporu - jego pamięć długoterminowa najwyraźniej przyswoiła sobie wszystkie niezbędne informacje, a same decyzje nie należały do trudnych. Wyłączyć silnik korekcyjny, który zaciął się na maksymalnej mocy, skompensować rosnący przechył statku za pomocą precyzyjnego odpalenia innego korektora, poinformować o zmianie komputery korekcji położenia, śledzić pracę pozostałych dysz, by ten sam problem nie pojawił się powtórnie... podstawowe czynności, które mógł wykonywać bez żadnego przygotowania. W Icehawk miał okazję poćwiczyć trochę na symulatorze myśliwca atmosferycznego. Większość rzeczy, których się tam nauczył, mógł wykorzystać tutaj - w uproszczonej wersji, bo Księżyc nie posiadał atmosfery i miał stosunkowo niską grawitację. Zauważył wyciek z uszczelnienia przewodu hydrazynowego, więc przełączył dopływ na linię zapasową. Jedna z pomp podających paliwo robiła się gorąca i musiał często sprawdzać jej temperaturę.

Robota była prosta, ale poczuł ulgę, gdy przyszedł koniec zmiany. Odpuściły mu zaciśnięte do tej pory mięśnie szczęki. Jednak dopiero gdy poczuł ból obtartych do żywego ciała dłoni, zrozumiał, jak kurczowo musiał zaciskać je na pasach uprząży. Rozluźnił się, patrząc na spis czynności wykonywanych przez Reese i cieszył się, że może zostawić jej podejmowanie decyzji i ustalanie

priorytetów.

- Idę się przespać - powiedziała Reese na końcu swojej drugiej zmiany. Dziwnie było usłyszeć ważną informację za pośrednictwem uszu, a nie hełmu. - Jeśli wyniknie jakiś poważny kłopot, od razu wygaszaj. Nie możemy sobie teraz pozwolić na tracie czasu na reperacje. Pompa paliwowa już ostygła, ale miej na nią oko.

Steward poniosł ciężką od podwyższonej grawitacji rękę i machnął jej, dając znać, że usłyszał. Reese skinęła głową i prze-siadła się na miękki fotel windy, która poniosła ją przez służę grodziową na pokład mieszkalny. Drabiny były w warunkach wy-sokiego g zbyt niebezpieczne. W razie upadku kości stóp pękały jak zapalki.

W głowie Stewarda buchały płomienie. Czuł, że znowu się spina, walcząc z półtora g, jakby spodziewał się jakiejś katastro-fy. Podczas sprawdzania odczytów zauważył, że w kilku laserach komunikacyjnych przegrzewa się pompa energetyczna, więc przełączył je na zapasowe i przez następne dwie godziny obserwo-wał jedynie równy rząd zielonych światełek - doskonale stabilny ciąg oddalający go od Ziemi i jej kilkudziesięciu lśniących, me-talowych księżyców... Stopniowo przyszło rozluźnienie. Mięśnie poddały się przeciążeniu i spadkowi pobudzenia. I wtedy coś zaczęło się psuć. Zorientował się znacznie wcze-sniej, zanim pokazały to przyrządy; wyczuł niepokojącą fluktu-ację systemu, chwilowy skok mocy, który pojawił się gdzieś żale-dwie na ułamek sekundy, ale popłynął na inne obwody jak fala, rozprzestrzeniając się w formie automatycznych prób kompen-sacji przepięcia, podejmowanych przez osiągnięte systemy... Steward przyjrzał się bliżej zaatakowanym obwodom, starając się określić miejsca, w których łączą się z innymi i naturę ich wzajemnej relacji. Potem jego uwagę przykuł kolejny problem i nagle oba zlały się w jedno. Zaczął odcinać systemy jeden po drugim, patrząc, jak reaguje na to całość. Tak doszedł to sedna. Pompa paliwowa wciąż się przegrzewała. Teraz była rozgrza-na do białości, gotowa stopić się i schlapać całą komorę silników litową papką. Czujnik, który monitorował jej temperaturę, prze-stał działać już jakiś czas temu - stopiony przez wysoką tempera-turę, albo, co bardziej prawdopodobne, wadliwy od samego po-czątku - dlatego nie zadziałał żaden z automatycznych obwodów, które powinny wyłączyć pompę. Topiący się czujnik posyłał prze-pięcia w sieć zasilania, ale były one za słabe, by spowodować re-akcję systemu.

Steward uruchomił zapasową pompę i wyłączył przegrzaną. Wystarczyło wykonać tę prostą czynność i minęło całe niebezpie-czeństwo związane z uszkodzeniem dwóch elementów silnika. Później ktoś będzie musiał wcisnąć się w skafander próżniowy i wyjść do pozbawionej powietrza komory silnika, by wymienić czujnik i zdemontować pompę w celu dokonania naprawy. To jednak mogło poczekać, aż skończy się przyspieszanie, i było cał-kiem nieistotne w porównaniu ze skutkami niekontrolowanego spalania, spowodowanego przez nieregularności w dopływie pa-liwa.

Przez resztę zmiany nie udało mu się zrelaksować ani na chwilę.

- Można powiedzieć, że zarobiłeś na swoją pensję - stwierdzi-ła Reese, gdy przyszła na kolejną zmianę.

- Dzięki.

- Takie intuicyjne działania to powód, dla którego tu jesteś-my - mamrotała Reese zapinając się w pasy fotela sterownicze-go. Wtyczka interfejsu już tkwiła w gnieździe jej hełmu. Przeję-ła kontrolę nad silnikami. -Moduły sztucznej inteligencji, na ja-kie Starbright może sobie pozwolić na tak małym statku, nie ra-dzą sobie z procesami myślowymi tego typu. - Dzięki - powtórzył Steward. Pomimo że

zdjął już z głowy hełm, jaskrawe odczyty przyrządów wciąż tkwiły w jego ośrodkach widzenia. - Mogę już iść do łóżka?

Reese uśmiechnęła się do niego.

- Słodkich snów, chłopie.

- Baw się dobrze - rzucił na pożegnanie.

Po trzech dniach pracy silników przy rozpędzaniu i krótkiej korekcie kursu w trakcie lotu, personel Starbright nie miał wiele do roboty. Statek dryfował spokojnie w stronę Pasa, a oni spokojnie reperowali to, co popsulo się w trakcie długotrwałego przyspieszania.

Jak tylko wyłączono silniki, wirówka statku wytworzyła na kilka dni sztuczne ciężenie na poziomie osiemdziesięciu procent normalnej ziemskiej grawitacji, by dać odpocząć ludziom, zmęczonym silnym przeciążeniem w trakcie rozpędzania. Potem podniesiono je do normalnego ciężenia Ziemi.

Po kilku dniach lotu Steward otrzymał kodowaną wiadomość ze swojego banku w Ulan Bator: na jego koncie pojawiło się tyśiąc pięćset dolarów Seven Moons. Była jeszcze jedna wiadomość, wysłana jawnym tekstem, zawierająca dwa słowa od Griffitha: „Szczęśliwy początek”.

Steward oglądał wideo, uczył się gotować chińskie potrawy w doskonale zaopatrzonej kuchni „Borna” i poświęcał dużo czasu na ćwiczenia, przechodząc codzienne treningi sztuki walki i budując masę mięśniową na przenośnym atlasie. On i Reese często ćwiczyli razem, urządając sobie sparingi w małej sali gimnastycznej statku. Steward doskonalił ruchy, mając za przeciwnika coś więcej niż tylko cień... Reese była od niego lepsza i szybsza. Korzystała w pełni ze zmiennokrystalicznych nitek, które wspomagały jej układ nerwowy, dając w walce błyskawiczny refleks i zwielokrotnienie czułości zmysłów. Steward został zmuszony do prowadzenia ataków w subtelniejszy sposób, dzięki czemu nauczył się wielopunktowych kombinacji uderzeń i zmyłek, które umożliwiały mu przedarcie się przez jej obronę. Jednak, zanim mu się udało, zawsze trochę obrywał.

Inni też trenowali, bo utrzymanie dobrej formy było kluczem do przetrwania długich okresów przeciążenia. Fischer wydawał się najbardziej zainteresowany aerobiką i budowaniem mięśni na atlasie, ponieważ te ćwiczenia mogły mu się przydać w jego hobby - górskiej wspinaczce. Cairo wolała raczej różne odmiany gimnastyki, natomiast SuTopo przemierzał nieskończone, mierzalne kilometry na automatycznej bieżni; jego twarz zawsze była bez wyrazu, a ruchy niezmiennie. Biegał dzień w dzień, od dziesiątej zero zero do jedenastej zero zero, czasem robiąc powtórkę wieczorem. To były jedyne chwile, kiedy Steward widział go bez pitji. Według pojawiania się kapitana w sali gimnastycznej można było ustawiać zegarek.

Fischer okazał się człowiekiem przyjacielskim i ciekawskim, który zawsze próbował porównywać życie Stewarda na Ziemi ze swoją młodością spędzoną na orbicie. Nosił rzucające się w oczy ubrania i zawsze otwierał szeroko usta, gdy się śmiał, pokazując kwadratowe, żółte zęby. Przebywanie w przestrzeni nie służyło jego bladej skandynawskiej cerze; musiał przyjmować preparaty karotenowe, żeby nadać swojej twarzy jakiś kolor. Cairo była dość nieprzystępna, ciągle czymś zaabsorbowana i nie rozstawała się z wyciskaną tubą kawy. SuTopo bardziej istniał, niż był, stanowiąc ciche źródło autorytetu, jak panujący monarcha. Z wyjątkiem sparingów w sali gimnastycznej i okresów wspólnej pracy, Steward prawie nie widywał Reese. Gdy jednak mu się to udało, ich spotkanie wyglądało jak dalszy ciąg sparingu - wypowiedzi pełne były pułapek słownych, docinków, insynuacji... Pomimo że razem pracowali, wiedział o niej bardzo niewiele. Wiedział o drzewkach bonsai SuTopo, górach Fischera, lecz, co Reese robiła, gdy była zupełnie sama, pozostawało tajemnicą. Często przebywała w swojej kabinie, ale wtedy zawsze zamykała drzwi.

Nigdy nie zaprosiła Stewarda do środka. Jednakże mimo powściągliwości we wzajemnych kontaktach myślał o niej jak o najbliższej osobie. Chociaż mało się znali i był między nimi pewien dystans, łączyły ich przyjaźń i wzajemny szacunek. Bardzo starał się nie rozwijać za bardzo tej zażyłości i nie wzbraniał się, że-by stroić sobie z niej żarty. Uznał, że właśnie tak postępują przyjaciele.

Steward zdziwił się, jak wiele warstw zdjęć pornograficznych zalepiało ściany jego pokoju. Naliczył jakieś sześć czy osiem. Oderwanie ich i pomalowanie na nowo kabiny zajęło mu bardzo dużo czasu.

Po dwóch tygodniach w kosmosie zaczął żałować, że usunął wszystkie zdjęcia. Porno dostarczyłoby mu przynajmniej względnie przyjemnego tematu do myślenia.

Po czterech tygodniach był szczęśliwy, że jednak zdarł ze ścian to świństwo. Te same zdjęcia dzień w dzień stałyby się równie nudne i frustrujące. Zaczynał rozumieć, dlaczego jego poprzednik ciągle doklejał nowe fotografie.

Pomyślał o drzewkach SuTopo i zdjęciu Everestu Fischera. Drzewka bonsai symbolizowały to, czego SuTopo pragnął, za czym tęsknił - jego rodzinę, przeszłość, wspomnienia... Everest dla Fischera także był obiektem pożądania. Steward zastanawiał się, jaki przedmiot najlepiej pasowałby u niego, nadając kształt jego własnym tęsknotom.

Nie miał zdjęcia Natalie ani żadnych innych rzeczy z poprzedniego życia. Ashraf nie zalecał mu niczego w tym rodzaju. Chciał mieć jej zdjęcie, przypominające mu o tym, co stracił i co pragnął odzyskać.

Tkwiał w nim jednak jeszcze jeden obraz, obraz ekranu wi-deo migający szumem interferencyjnym, a za nim twarz; głos, który był jego głosem; wiedza, której nie sięgał, ale która nadchodziła, przybliżała się z każdą sekundą podróży „Borna” w kierunku Pasa... twarz, która stawała się coraz wyraźniejsza, im bliżej znajdowała się Westa - wydrążona planetoida, w której Alfa poszedł szukać pułkownika de Preya.

Poprosił komputer o mapy i historię Westy. Liczba danych wprowadziła go w zdumienie. Dostał szczegółowe mapy, na których uwzględniono najświeższe poprawki, jak położenia centrów energetycznych, wodociągowych, wentylacyjnych i komunikacyjnych, śluz i stref ochrony, wraz ze szczegółami procedur bezpieczeństwa i przepisami lokalnego prawa. Bardziej przypominało to opracowania strategiczne, jakie znał z Icehawks, niż turystyczną broszurę. Jego uznanie dla służb wywiadowczych Talera znacznie wzrosło.

Pierwsza skolonizowała Westę polikorporacja Far Ranger, która prowadziła tam eksploatację górniczą, a potem zmieniła wyrobiska na największe osiedle w obrębie Pasa. W środku planetoidy mieszkało naraz osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Liczba ta obniżyła się o jakąś jedną trzecią po Wojnie Artefaktowej, gdy na szczątkach Polikorporacji Zewnętrznych powstała Brighter Suns. Nowi właściciele usunęli ludzi z połowy osiedla, wprowadzając w ich miejsce Mocnych. Ludzie i Mocni mieszkali więc razem, oddzieleni strefą bezpieczeństwa i ekranami biologicznymi. Środek rozrastającej się wyeksploatowanej dziury przeznaczono na doki i stocznie, generatory mocy oraz różnego typu działalność przemysłową, głównie produkcję i rafinację metali i kryształu. Większość tych instalacji przemysłowych, w szczególności energetycznych i hutniczych, przeniesiono na powierzchnię planetoidy. Była tam również duża, sześciotysięczna kolonia drugiego stopnia, gdzie ludzie żyli w warunkach nieważkości, jeśli nie liczyć minimalnego ciężenia powodowanego przez samą Westę. Wszyscy koloniści drugiego stopnia pracowali przy produkcji materiałów

bezugrawitacyjnych. Standardowa ludzka po-pulacja mieszkała w jednej z części kolonii, gdzie dwie ogromne wirówki wytwarzały ziemskie ciężenie.

Wciąż prowadzono roboty górnicze. Westa była dużą plane-toidą o średnicy ponad trzystu kilometrów i tylko niewielką jej część skolonizowali ludzie. Najważniejsze kiedyś górnictwo teraz ustąpiło jednak miejsca działalności importowo-eksportowej. Kontrolując połowę transakcji handlowych z Mocnymi, Westa wyrosła na najlepiej prosperującą stację handlową w obrębie Pasa.

O samych Mocnych niewiele wiedziano i mówiono. Dostęp do zajmowanych przez nich obszarów podlegał ścisłej kontroli i był możliwy tylko poprzez trzy śluzy: dwie dla personelu i jed-ną dla towarów. Zresztą cała Westa była szczególnie strzeżona - komputery systemu bezpieczeństwa bacznie obserwowały wszyst-kie miejsca publiczne, a przy ogromnych zyskach płynących z handlu z Mocnymi Brighter Suns mogła sobie pozwolić na naj-lepszych policjantów. Z korporacyjnymi żołnierzami Brighter Suns nie mógł się równać nikt w ludzkim kosmosie. Ich rozkazy były proste: wszystko miało drugorzędne znaczenie w porówna-niu z bezpieczeństwem i dobrem Mocnych, a także z handlem, który umożliwiała ich obecność na Weście. Monitorowano miej-scowe rozmowy telefoniczne, a komunikacyjny dostęp do świata zewnętrznego podlegał ścisłej kontroli. Istniało kilka poziomów ochronnej biurokracji, z których najwyższy nosił nazwę „Ren-seignment General”, czyli po prostu „Ogólna Informacja”. Na wi-dok tej nazwy Steward się uśmiechnął, bo przywiodła mu na myśl romanse szpiegowskie, które czytywał w dzieciństwie. Spraw-czym ramieniem „RG” był Wydział Pulsar, elitarna jednostka kontrwywiadowcza. Ciekawe, że komputer pokładowy „Borna” dysponował nawet strukturą organizacyjną Pulsara. Działała tam jeszcze jedna, mocniej utajniona jednostka, która zajmowała się wywiadem na zewnątrz i szpiegostwem gos-podarczym. Nazywali się Grupą Siedem. W komputerze nie było wykresów organizacyjnych ani żadnej innej informacji z wyjąt-kiem tej, że istnieli.

Polikorporacja Brighter Suns została założona przez inną po-likorporację w ściśle określonym celu - kontynuowania wymia-ny handlowej z Mocnymi i kontroli dostępu do nich, by nie wy-buchła nowa wojna o podłożu ekonomicznym. Brighter Suns nie miała suwerenności na żadnym innym kawałku Ziemi poza We-stą, ponieważ zabraniała tego konstytucja. Nie przeszkadzało im to jednak być najbogatszą z istniejących polikorporacji i posia-dać jedną z największych flot handlowych. Więcej pracowników Brighter Suns przebywało poza Westą niż na niej, prowadząc sta-cje handlowe i porty kosmiczne w całej ludzkiej przestrzeni kos-micznej.

Kiedyś mieszkał tam pułkownik de Prey, człowiek na usłu-gach Brighter Suns. Alfa odnalazł go i prawdopodobnie zabił, przyplacając to własną śmiercią już na miejscu lub potem, z ręki Curzona. To też była część historii Westy, która jednak nie zna-lazła się w komputerze Talera.

Steward próbował przemyśleć to wszystko i zaplanować ja-kąś strategię działania, ale szybko zrezygnował. Pomimo całej zgromadzonej tu informacji nie dowiedział się wystarczająco du-żo. Postanowił rozpocząć przeszukiwanie zbiorów danych o We-ście, zanim podejmie konkretne decyzje.

A co ze sposobem Griffitha? Jeśli monitorowano tam wszyst-kie połączenia, coś takiego mogło wiązać się z większym niż gdzie indziej ryzykiem. Nie chciał sięgać po zadanie szachowe aż do końca pobytu; wówczas jakiegokolwiek podejrzenia wobec jego osoby już mu nie zaszkodzą.

Nie zamierzał być chciwy.

Przyszła pora hamowania, także trwająca trzy dni. Dla Ste-warda i Reese oznaczało to kolejne

czterogodzinne zmiany, po których byli kompletnie wyczerpani. Pasy przytrzymały ich bezwładne ciała, wdzięczne za powrót do stanu nieważkości. Steward chciał wyjść ze statku jak najszybciej, ale okazało się, że zupełnie nie ma na to siły. Poszybował więc w górę do swojej kabiny, by się przespać. Reese poszła w jego ślady, kierując się w stronę własnego pokoju. Spotkali czekającego na nich SuTopo. Wiślał do góry nogami przed drzwiami Stewarda. Jego pitji było wciąż na swoim miejscu.

- Dajcie mi wasze paszporty - powiedział. - Załatwię nam wszystkim formalności celne.

- Dzięki.

- Musicie także zgłosić się do Cairo, by pobrała wam krew. Mają tu bzika na punkcie kontaminacji i żądają próbek krwi całej załogi, zanim wpuszczą kogokolwiek na stację. - Już miałam nadzieję, że zachowali moją analizę z poprzedniego razu - wymamrotała Reese.

Wystawiony przez Starbright paszport Stewarda był kartonikiem z czarnego plastiku, na którym umieszczono godło polikorporacji. W środku znajdowała się zaprogramowana na stałe nitka, zawierająca jego oficjalną tożsamość, wzory linii papilarnych i tęcza oraz informacje dotyczące jego zdrowia, które mogłyby się przydać lekarzom pogotowia. Najwyraźniej nie było tam danych na temat jego krwi, których potrzebowała Brighter Suns. Steward wszedł do swojej kabiny po paszport i oddał go SuTopo.

- Życzę miłego urlopu - powiedział mu Steward. - Myślę, że wcześniej niż ja zejście ze statku - odparł SuTopo, chowając paszport Stewarda do kieszeni i starannie zapinając ją na rzepa. - Muszę pilnować wyładunku. - Przykro mi - powiedział Steward, próbując wykrzesać z siebie odrobinę szczerzej sympatii. Popłynął za Reese do izolatki, gdzie Cairo wbiła mu w ramię strzykawkę i umiejętnie wyssała nieco krwi. Potem powrócił do pokoju, położył się na łóżku i przykrył siatką przytrzymującą.

Zamknął oczy. Pod powiekami pulsowały mu odczyty silników. Sen przyszedł, zanim zdążył sto razy odetchnąć. Spał mniej więcej siedem godzin. Potem wziął prysznic, wciągnął na siebie podkoszulek z wierszem Jacka Totema, sztruksy i dzinsową kurtkę. Zanim wyszedł, sprawdził jeszcze, czy nie ma wiadomości - nie miał zamiaru zrobić po raz drugi tego samego błędu. Znalazł niewyraźną wiadomość od Fischera, pełną rozbrzmiewających w tle brzęków i śmiechów. Dotyczyła fajnej imprezy w miejscu o nazwie Time Zero. Niczego poza tym nie było. Podążył w kierunku okrągłego korytarza pasażerskiego, który łączył statek ze śluzą Westy.

Jego paszport już zapewne załatwił formalności celne, więc nie zastanawiając się długo Steward położył kciuk na płycie opatrzonej znakiem firmowym Brighter Suns. Śluza otworzyła się. Wszedł do środka i wcisnął przycisk, który informował mecha-nizm zamka, że człowiek znajduje się już w środku. Drzwi za nim zamknęły się z sykiem. Po stronie stacji zapaliły się zielone światła i drzwi stanęły otworem. Wpadł prosto do hałaśliwej, obłożonej ciemnym stopem hali, w której przy brzęczeniu dzwonek alarmowych i stłumionym syku dysz odrzutowych przenoszono wielkie nieważkie pudła ładunku.

Steward odnalazł wzrokiem hologramy, wskazujące drogę do zamieszkaną przez ludzi części Westy, po czym odepchnął się od drzwi śluzy i poszybował w kierunku odległego o sto metrów wejścia do tunelu.

Dryfując powoli przez hol usłyszał nagle syki: jeden za plecami i drugi z boku. Obrócił się i zobaczył dwóch lecących w jego stronę ludzi. Obaj nosili obszerne, ocieplane kurtki w czarnym

kolorze, zapięte aż po szyję. W rękę trzymali małe gazowe dysze, dzięki którym mogli swobodnie poruszać się po całym pomieszczeniu. Jeden trzymał wolną rękę w kieszeni. Obserwowali go spokojnie i bez zainteresowania.

Zmierzali ku niemu kursem kolizyjnym, lecz Steward nie przejął się tym faktem - wszak obaj mieli dysze, za pomocą których mogli w każdej chwili zmienić kierunek lotu. Gdy jednak nieco się zbliżyli, zauważył, że ich pufiaste kurtki, choć skrojone na wzór cywilnych, przypominają model noszony przez wojskowych i ochronę, który jest wyposażony w wewnętrzne kieszenie, zawierające zwykle kuloodporne wkładki ze stopu lub ceramiki.

Czuł, jak podnosi mu się adrenalina. Ci ludzie go ścigali i byli już prawie przy nim.

Rozejrzał się dookoła. W pobliżu nikogo nie zauważył, a dwaj mężczyźni przybliżali się w zastraszającym tempie. Mógł powygiąć się trochę w nadziei, że zmieni trajektorię, ale tamtych dwóch również mogło z łatwością zrobić to samo i dopóki przebywali w stanie nieważkości, mieli nad nim przewagę. Stewardowi pozostało przetrwać pierwsze zderzenie i oprzeć się plecami o ścianę. Wtedy dopiero może mieć jakiegokolwiek szansę. Spojrzał za siebie na dwóch ścigających go mężczyzn. Byli o dziesięć metrów od niego, a z wyrazu ich twarzy jasno wynikało, iż wiedzieli, że się ich spodziewa. Rozglądali się na boki obliczając kąty i trajektorie. Steward przyciągnął do siebie nogi i ręce; czekał. Dryfowali ku niemu wolnym, niespiesznym lotem. Próbował kopnąć pierwszego z nich, dzięki czemu mógłby odepchnąć się i zwiększyć dystans. Tamten jednak był na to przygotowany i Steward kopnął tylko powietrze. Drugi złapał go za rękaw, po czym wyjął drugą rękę z kieszeni. Miał na niej czarną rękawicę paraliżującą i Stewarda ogarnęła panika. Ponownie uderzył nogą i udało mu się uwolnić rękaw. W tej samej chwili zobaczył jednak jak z tryumfalnym uśmiechem na zaciśniętych wargach mężczyzna podnosi pięść i uderza go w kolano. Wszystkie neurony w ciele Stewarda nagle spudłowały i w jego mózgu zapłonęło laserowe światło. Uderzenie prądu usztywniło mu mięśnie i wyrwało powietrze z płuc. W oczach zakręciły się łzy. Próbował krzyczeć, poruszyć się, lecz jego ciało było już bezwładne. Popadał w coraz większą panikę. Dwaj mężczyźni ciągnęli go już w stronę tunelu.

Jeden z nich trzymał w rękę strzykawkę do zastrzyków podskórnych. Spojrzał na Stewarda i wykrzywił twarz w uśmiechu. - Do widzenia, dupku - powiedział.

Steward poczuł ukłucie igły, przebijającej jego sztruksowe dzinsy i skórę na udzie, a potem palący ból. Chciał zapytać ich dlaczego, ale w końcu uznał, że nie warto.

I tak wkrótce nie będzie już nic wiedział.

Steward dyszał ciężko przez opuchnięte, suche usta. Spróbował oblizać wargi, ale nie znalazł tam ani odrobiny wilgoci. Wydawało mu się, że przy każdym ruchu pęka mu język. Za oczami czuł ostry ból. Skóra na karku była wilgotna. Ostrożnie zaczął otwierać sklezione powieki.

Było gorzej, niż się spodziewał. Znajdował się w metalowym sześcianie o boku długości trzech metrów. Ściany z brudnosrebrnego stopu pokrywały ciemne plamy. W jednej ze ścian znajdowały się drzwi, zaopatrzone w szczelinę do podawania jedzenia, mocno obudowane wywietrzniki i dwa silne światła, również za ekranami, by nie można ich było dosięgnąć od strony Stewarda. Leżał na podłodze rozciągnięty na przykrótkim piankowym materacu, zamkniętym w poszwie z ciemnego plastiku. Przykrywały go dwa koce. Nie widział żadnych mebli, z wyjątkiem umywalki i toalety. Był nagi.

Czuł się bardzo ciężki. W pomieszczeniu panowało wysokie ciśnienie, około 1.3 g. Takie kabiny zaprojektowano specjalnie; służyły do wyczerpania sił więźniów.

Prawdopodobnie go obserwowano. Suchość w ustach powodowała ból. Rozwagał przez chwilę, czy ma dla niego jakieś znaczenie, iż będą wiedzieli, że się obudził, po czym zdecydował, że nie ma sensu udawać nieprzytomnego. Wstał ostrożnie, czując, jak strzela mu kręgosłup i kolana. Na plastikowej poszwie materaca widniała mokra plama, w miejscu gdzie wypocił narkotyk. Zauważył także dwa ślady oparzeń nad jednym kolaniem - tam dotknęły go elektrody rękawicy paralizującej. Oddychanie sprawiało mu duże trudności. Niewykluczone, że obniżono zawartość tlenu w powietrzu, znów po to, by wyczerpać jego siły. Steward przysunął się do umywalki, żeby wypłukać usta. Był bardzo spragniony. Przystawił usta do kranu i pił przez długą chwilę. Woda była bez smaku, prosto z odzyskiwarki. Gdy wyprostował się, po piersi ściekała mu strużka wody. Starł ją otwartą dłonią. Ciężenie wisiało mu kamieniem u nóg, kręgosłupa i nerek. Steward wrócił na materac; przeciągnął się, rozprostowując kręgosłup i całe ciało. Próbował poskładać myśli, odbudować swą psychiczną zbroję.

Skończył ćwiczenia bez przeszkód. Czuł się już nieco lepiej.

Głowę wypełniał mu pulsujący ból.

A co mi tam, pomyślał. Odepchnął materac i koce pod ścianę, po czym zaczął regularną gimnastykę. Przy szesnastej wysoko grawitacyjnej pompce znowu zaczął się zastanawiać, czy dobrze robi, ale było już za późno. Nie mógł teraz dać swoim obserwatorom satysfakcji, by widzieli jego słabość. Wypompuwał więc jeszcze czterdzieści, starając się trzymać styl aż do końca, po czym wstał, by zrobić kilka podskoków w półprzysiadzie. - Więzień Steward - zabrzmiał bezbarwny męski głos zza jednego z ekranów. - Uklęknij na kolanach z twarzą w stronę ściany przeciwległej do drzwi. Złącz ręce na plecach. - Jedną chwilę - odpowiedział Steward, nie przerywając ćwiczeń.

#9 - Rvk tornada

- Uklęknij na kolanach - głos był tak samo bezbarwny jak poprzednio. - Odwróć się plecami do drzwi. Złącz ręce na plecach. - Dziewięć, dziesięć - dokończył Steward. Zastanawiał się, ile razy powtórzą polecenie, zanim wezwą ludzi z rękawicami pa-raliżującymi. Po chwili zdecydował jednak, że to nie najlepsza chwila, żeby się o tym przekonać. Posłuchał rozkazu i uklęknął z rękami na plecach.

Otworzyły się drzwi. Po odgłosach kroków doliczył się dwóch, może trzech strażników. Czyjeś ręce chwyciły go za nadgarstki. Ktoś w pośpiechu wkładał mu przez głowę jakieś ubranie; poczuł jak okrywa mu plecy i opada na łydki. Potem założono mu kaj-danki. Ruszył dłońmi i wyczuł, że kajdanki zamiast łańcucha ma-ją sztywny metalowy pręt.

- Wstań - głos brzmiał dziwnie. Był jakoś filtrowany, tak że przypominał głos z telefonu.

Wstał i spojrzał na strażników, dwóch mężczyzn i kobietę, która stała za ich plecami. Na obu rękach miała rękawice para-liżujące. Wpatrywała się w niego oczami okraszonymi makija-żem, przypominającymi skrzydła motyla. Wszyscy troje byli od niego wyżsi i dobrze umięśnieni. Mieli kamienny wyraz twarzy i nosili szare mundury, przykryte obszerną zbrojoną kurtką. Głowy przykrywały plastikowe hełmy z opuszczonymi osłonami twa-rzy. Gdyby Steward chciał któreś z nich uderzyć, na pewno poła-małby sobie palce. Dziwne brzmienie głosu wynikało z tego, że dźwięk dochodził z głośnika umieszczonego przy pasie, dokąd trafiał ze znajdującego się wewnątrz hełmu mikrofonu. Zanim go skuli, założyli mu od tyłu długą koszulę z cien-kiej bawełny. Jeden z mężczyzn podszedł do Stewarda i okręcił go koszulą, przymocowując końce na rzepy. Steward zauwa-żył, że na bladoniebieskim materiale widniał jego numer i na-zwisko, wypisane świeżymi, czarnymi literami przy użyciu sza-blonu.

Strażnik rzucił na podłogę przez nim parę plastikowych san-dałów na płaskiej podeszwie. Steward wsunął w nie nogi. - Odwróć się - rozkazał strażnik.

- Domyślam się, że nie na miejscu jest moje pytanie, dla-czego jestem tu przetrzymywany. - Steward był świadom, że za coś takiego w dwóch trzecich ludzkich więzień dostałby na od-lew po twarzy. Chciał wiedzieć, jakie mieli rozkazy. - Odwróć się - powtórzył mężczyzna, nawet nie mrugnawszy okiem. Pewnie powiedziano strażnikom, by podchodzili do niego ze szczególną pobłażliwością.

Odwrócił się i poczuł, że strażnik chwycił za pręt rozdzielają-cy jego nadgarstki. Miał zamiar zapamiętać wszystko, co od tej pory zobaczy.

- Idź za mną.

Korytarz był zbudowany z gołego stopu. Oświetlały go jarze-niówki, umieszczone we wnękach sufitu. Strażnicy poprowadzili Stewarda obok niewyróżniających się niczym drzwi kolejnych sześciu cel - Steward nie omieszkał ich policzyć - a potem przez pancerne więzienne drzwi. Stało tu biurko i był kolejny strażnik, tym razem bez hełmu. Podał jakieś dokumenty do podpisu jedne-mu z eskorty Stewarda. Prawdopodobnie w ten sposób więzień został przekazany w jego ręce. Za biurkiem były drzwi windy. By ją uruchomić, jeden ze strażników musiał włożyć swój plastikowy identyfikator w szczelinę obok przycisków. Pojechali cztery pię-tra w górę. W miarę, jak wznosili się w gigantycznej wirówce, Steward czuł się coraz lżejszy. Zatrzeszczały mu stawy kolanowe. Korytarz tętnił życiem; byli tam strażnicy i zapewne jacyś urzędnicy, nieciekawi ludzie odziani w cywilne ubrania. Sufit i podłogę wykonano ze stopu, zaś ściany otynkowano i pomalowa-no na beżowo. Mijali wiele zamkniętych drzwi, z których każde opatrzone były numerem i elektronicznymi zamkami szyfrowy-mi.

Znaki na ścianach zawierały ostrzeżenia dotyczące spraw ochronności, bezpieczeństwa pracy i wskazówki proceduralne. Na jednej ze ścian wisiała tablica z poprzypinanymi karteczkami informacyjnymi, a tuż obok niej ekran wideo; na nim informacje - możliwe, że te same - bez przerwy się przewijały. Eskorta wprowadziła Stewarda do dużego pokoju, pełnego biurek, przy których siedzieli ludzie. Steward zauważył, że pod nogami ma trudno ścieralny dywan, sufit pokrywa izolacja dźwiękoszczelna, a na biurkach panuje nieopisany bałagan. Słyszał ści-szone rozmowy i stukanie w klawiatury konsol. Dystrybutory ka-wy i napojów wbudowano w ścianę.

- Stój - powiedział mężczyzna trzymający kajdanki Stewarda. Steward stanął.

Strażnik, który szedł na początku, opuścił ich i podszedł do pustego biurka. Podniósł osłonę hełmu, by powiedzieć coś do ko-biety przy sąsiednim biurku, która w odpowiedzi skinęła głową i wskazała w kierunku ściany, gdzie jakiś mężczyzna wciskał przy-ciski na dystrybutorze kawy. Strażnik podszedł do niego. Gdy tam-ten odwrócił się, Steward zobaczył mniej więcej czterdziestolet-niego mężczyznę średniego wzrostu z wyraźnie zarysowanym brzu-chem. Miał na sobie ciemne spodnie, obszerną pikowaną kurtkę i błękitną koszulę. Łysiał nieco na czubku głowy, a otaczające ły-sinę włosy miał krótko przystrzyżone. Strażnik stanął obok niego i przepisowo zameldował się. Mężczyzna wypił łyk kawy z pianko-wego kubka, skrzywił się, po czym spojrzał z daleka na więźnia. Po plecach Stewarda przeszedł ostrzegawczy dreszcz. W spoj-rzeniu mężczyzny dostrzegł gniew, inteligencję i jakąś dzikość. Złamię cię jak trzcinkę, mówiły oczy. Steward patrzył na niego i widział pustkę.

Mężczyzna ponownie skinął głową i powrócił do biurka. Ze stojącej tam pełnej papierów skrzynki wyjął szpilkę kluczową i włożył ją do kieszeni. Wystukał numer na swoim telefonie, po-wiedział kilka słów, po czym wziął ze stołu teczkę z aktami i ru-szył w kierunku Stewarda.

- Dwunastka - rzucił strażnikom i minął więźnia, nawet na nie-go nie spojrzawszy. Steward nie potrafił rozpoznać jego akcentu. - Odwróć się - rozkazał strażnik za jego plecami. Steward drepcząc w miejscu wykonał polecenie i pozwolił się poprowa-dzić wzdłuż tego samego korytarza w przeciwnym kierunku. Docierała do niego woń kawy niesionej przez łysawego męż-czyznę. Dostał ślinotoku.

Łysawy wyjął szpilkę z kieszeni i wcisnął ją do jednego z zamków zamontowanych w drzwiach. Wklepał kod na klawiaturze i elektromagnetyczne zasuwki ustąpiły z głuchym odgłosem. Odsunął się od drzwi, wkładając szpilkę z powrotem do kieszeni. - Posadźcie go na krzesło - rozkazał. Strażnik wprowadził Stewarda do środka i polecił usiąść.

Krzesło wykonane było z czarnego plastiku, pochodzącego z którejś z gazowych planet. Nie miało oparcia i było przyśrubo-wane do podłogi. Pręt w kajdankach został przymocowany do za-instalowanego z tyłu krzesła metalowego uchwytu. Przed Ste-wardem stało małe biurko. Łysawy usiadł po drugiej stronie. Steward zobaczył w oczach mężczyzny odbicie światełek kontrol-nych, monitorujących jego stan przez kajdanki i analizę wskaź-ników stresu w głosie.

Był monitorowany. Spróbował walczyć z nagłą suchością w ustach, ale bez rezultatu.

Nie miał do dyspozycji niczego z wyjątkiem samego siebie. Nie mógł liczyć na jakąkolwiek pomoc. Nie miał pancerza ani broni. Musiał je w jakiś sposób zbudować.

Nie mam żadnej taktyki, pomyślał. Tworzę byt i pozbywam się taktyki. Stary wiersz zen.

Nie mam zamku. Niewzruszony duch jest moim zamkiem. Nie mam miecza. Z godności, która jest

ponad wszystkim i poza wszystkim, z myśli czynię mój miecz. Wszechświat był wrogi; uznał więc, że stworzy swój własny. Postanowił zbudować w myślach konstelacje, przypomnieć sobie gwiazdy i ich wzajemne położenie. Jedna po drugiej, aż jego głowę wypełni niebo. Najpierw Skorpion. Próbował sobie przypomnieć, jak wiele gwiazd miała ta konstelacja i jak były poukładane. Antares, M4, M7 i gotowe. Pamiętał je z zajęć z nocnej nawigacji.

- Zostawcie nas samych - powiedział łysawy mężczyzna. - Zawołam was, kiedy skończę.

Strażnicy wyszli. Stopowe drzwi zamknęły się za nimi. Steward myślał o gwiazdach, a łysawy wpatrywał się w niego w lodowatej ciszy i popijał kawę. Steward celowo westchnął i napiął mięśnie rąk, sprawdzając, do jakiego stopnia może zmieniać pozycję. Próbował nie myśleć o tym wzroku, który czuł na sobie i o metalowym pudle, w którym był uwięziony. Próbował nie zareagować, gdy po długim milczeniu, przerywanym jedynie szumem wentylacji, mężczyzna wreszcie przemówił. - Jestem pułkownik Angel - powiedział. - Pracuję dla Wydziału Pulsar. A ty jesteś moją kolacją.

Achernar, myślał Steward. Na końcu rzeki Erydan.

Wolf 294; Szeol.

Angel próbował przyciągnąć jego wzrok spojrzeniem. Aldebaran, pomyślał Steward. W Orionie. Nie, w Byku. - Przede wszystkim - powiedział Angel - Procureur polecił traktować twoją sprawę jako podpadającą pod Kodeks Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To oznacza, że możemy cię trzymać, jak długo zechcemy, a wszystkie dokumenty zostaną na zawsze utajnione. Nie będziesz mógł z nikim rozmawiać, nawet z adwokatem; z nikim. Nie potrzebujemy zgody sądu na aresztowanie ani żadnych innych formalności. Właśnie wpadłeś w ciemny dół i tylko ja mam drabinę, po której możesz z niego wyjść. Steward spojrzał na pułkownika. Z perspektywy wypełniającego jego głowę wszechświata Angel wydawał się niesamowicie odległy.

- Jak sądzę, Kodeks nie pozwala ci poinformować mnie, o co jestem oskarżony?

Na skroni Angela dostrzegł pulsującą żyłkę.

- Na początek wielokrotne morderstwo.

Więcej niż jedno? Steward był zdziwiony.

- Sabotaż, szpiegostwo, napad na akredytowanych członków Poselstwa Handlowego Mocnych. Oraz mniejsze wykroczenia, jak kradzież i unikanie kontroli celnej.

- Kiedy niby miałbym to zrobić?

- Dziewiętnastego lutego. Tego roku.

Steward zmusił się do uśmiechu.

- Akurat. Byłem zupełnie gdzie indziej.

Na Angelu nie zrobiło to wrażenia.

- I pewnie możesz to udowodnić. Masz świadków i całą resztę, zgadza się? I nigdy nie opuściłeś Ricot.

- Nigdy nie byłem na Ricot. W lutym tego roku leżałem w komorze kriogenicznej we Flagstaff w Arizonie. W Stanach Zjednoczonych. Angel nie zareagował. - To na Ziemi, kosmito - dodał. - Ciągłe trafiają się te nowe ciała. Widzę, że jesteś młodszy, niż powinieneś być.

- Nie pamiętam niczego, co działo się po tym, jak skończyłem dwadzieścia dwa lata. Wrzucasz mnie więc do dołu za przestępstwa, których popełnienia nie mogę pamiętać - Steward znów się uśmiechnął. - Chyba wyszedłeś na głupka przed swoim Procureur.

- Ci w Consolidated byliby idiotami, gdyby po tym, co zrobiłeś, nie dali ci nowej tożsamości.

- Ale nie dali. O to mi właśnie chodzi. Mój Alfa, czyli ten, którego szukacie, zmarł na Ricot w marcu tego roku. W Consoli-dated Systems nie są mną zainteresowani. Więc nie dali mi nowej tożsamości. Czy sądzisz, że gdybym dla nich pracował, zostawili-by mi stare nazwisko i linie papilarne?

Wyraz twarzy Angela nie zmienił się.

- Granie na zwłokę nic ci nie da, Steward - powiedział. - Twoją jedyną nadzieją na wydostanie się stąd jest współpraca. - Sprawdź to. Wydobądź moje akta ze szpitala.

- Akta można sfalszować.

Steward wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwalały mu na to kajdanki. Drzwi za Angelem otworzyły się i wszedł jeszcze je-den mężczyzna. Na jego widok niewidzialne palce przejechały Stewardowi po brzuchu, wzbudzając strach, który przeobraził się nagle we wściekłość. Mężczyzna był wysoki, miał podłużną głowę i wąskie oczy. Steward rozpoznał w nim tego, który uderzył go rękawicą paralizującą podczas aresztowania. Przybyły oparł się o ścianę i nic nie mówił. Cały czas trzymał rękę w kieszeni kurt-ki, jakby wciąż miał na niej rękawicę.

Chciałbym, żebyśmy mieli chwilkę dla siebie, pomyślał Ste-ward. Chwilkę, w której nie miałbyś swojej rękawicy ani dysz odrzutowych, ani żadnych innych gadżetów. To nic, że masz nade mną dwadzieścia kilogramów przewagi.

W oczach Angela zamigotały czerwone światełka.

Steward wziął głęboki wdech. M44, pomyślał. W Raku. To technika prowadzenia przesłuchania; pierwsza zasada mó-wi, że trzeba wyizolować przesłuchiwanego - to najważniejsze. Sprawić, żeby czuł się osamotniony. Wrzucić go nagiego do meta-lowej skrzynki. Bez przerwy świecić mu w oczy lampami, żeby nie wiedział, czy jest noc, czy dzień, by stracił poczucie czasu. Przespacerować się z nim po posterunku bezpieczeństwa, by po-czuł się jeszcze bardziej samotny, jak jednostka, która wpadła w tryby ogromnej maszyny. Potem zamknąć go w małym pomiesz-czeniu i powiedzieć, że jedyną drogą do wydostania się z tej ma-szyny jest posłuszeństwo. Można jeszcze dołożyć świeżej porcji strachu, umieszczając go w towarzystwie bardzo dużego faceta, za którego sprawą doświadczył silnego bólu... Przez kontrast z dużym i złym, Angel stanie się tym dobrym. Steward uzależni się od niego, by unikać styczności ze złym. Bę-dzie starał się go zadowolić, okazać mu swoje zaufanie. Dać mu wszystko, czego zażąda.

Znał wszystkie posunięcia, dokładnie wiedział, co robi An-gel. Nie znaczyło to jednak, że technika Angela nie odnosi skut-ków. Jedyne sposoby, by nie dać się złamać, to trzymać się z dala od tego, zachować integralność przez ucieczkę w prywatny kos-mos pełen prywatnych gwiazd.

W tym pokoju odbywa się więcej niż jedno przesłuchanie, pomyślał, i on jeden zdawał sobie z tego sprawę. Angel i jego partner wiedzieli, co stało się na Weście, i próbowali uzyskać in-formacje, których im brakowało. On wiedział jeszcze mniej i nie mógł im powiedzieć nic nowego. Lecz same ich pytania mogły Stewardowi coś powiedzieć, musiał więc sprawić, żeby je zadawa-li. Zaprotestował, że jest niewinny, ponieważ wydałoby się dziw-ne, gdyby tego nie zrobił. Tak naprawdę jednak chciał, by prze-słuchanie trwało nadal, chciał, by mówili o tym, co, według ich przypuszczeń, Steward powinien wiedzieć. By to osiągnąć, mu-siał ich zainteresować, przekonać jakoś, że dysponuje wiadomo-ściami, o które im chodziło. Musiał udawać, że wie o sprawach, o których oni nie wiedzieli.

Angel zgniótł w dłoni piankowy kubek i rzucił go na biurko. Wziął skoroszyt, otworzył go i zaczął

przeoglądać. Steward zauważył na okładce napis: AKTABEZP:STEWARD.1. - Co miałeś zamiar tu robić, Steward? - spytał. - Szedłeś na spotkanie? Odwiedzić kogoś znajomego? Czy raczej chciałeś sprawdzić rozmiar zniszczeń, jakie spowodowałeś ostatnim razem?

- Szedłem - powiedział Steward - do miejsca o nazwie Time Zero.

- Spotkać się z kimś?

- Spotkać się z Fischerem. To oficer komunikacyjny na „Bor-nie”. Zadzwoił do mnie, mówiąc, że tam jest fajna impreza - spojrzał na Angela i uśmiechnął się. - Jestem pewien, że nagrywaliście rozmowy między statkiem i stacją. Przesłuchajcie je. Może to przekona pana Procureur, że masz wystarczające kompetencje do swojej pracy.

Partner Angela wyjął rękę z kieszeni. Miał na niej rękawicę paraliżującą, w której trzymał inhalator. Włożył go do ust i wciśnął wyzwalacz.

Świetnie, pomyślał Steward. Cymbał ma astmę.

- Kogo znasz na Weście? - przerwał milczenie Angel. Steward przeniósł wzrok na Angela, próbując włożyć w to spojrzenie jak najwięcej jadu.

- Ty mi to lepiej powiedz. Ty tu jesteś pieprzonym ekspertem.

- Z kim się spotykałeś w lutym?

Odpowiedział mu tylko spojrzeniem.

- Z czyjzego polecenia tu byłeś?

Mira. W Wielorybie. Człowiek towarzyszący pułkownikowi zdejmował kurtkę.

- Czy rozkaz pochodzi od kogoś wysoko postawionego? Czy może od Curzona?

Na dźwięk tego nazwiska coś w Stewardzie podskoczyło. Angel na pewno zobaczy to na swoich światłkach. Będzie myślał, że trafił na jakiś ślad.

Partner Angela trzymał kurtkę w ręku i obchodził powoli biurko, zmierzając w stronę Stewarda.

Procjon, myślał Steward. W Małym Psie.

- Czy Curzon pracował na własną rękę? Czy Rada o tym wiedziała? A Przewodniczący?

Drugi mężczyzna stał już za plecami Stewarda. Był tak blisko, że swędział go kark. Nagle zarzucił mu na głowę kurtkę i przycisnął ją do ciała. Steward poczuł woń potu, plastiku i własny kwaśny oddech. Wpadł w panikę. Próbował zrzucić kurtkę, szarpiąc ją zębami. Angel mówił dalej beznamiętnie.

- Czy Premier wiedział? Czy to był jego pomysł? Steward słyszał w uszach swój własny ogłuszający puls. Poczł na ramieniu dotyk rękawicy - dwie twarde elektrody wgniatające się w ciało przez cienką koszulę. Walczył z tkaniną, która go dusiła, próbując przypomnieć sobie, w jakiej konstelacji była Fomalhaut.

Wciągnęła ją pustka, pomyślał.

- Odpięrz się, Angel.

Na chwilę zgasły wszystkie światła.

Po kilku przesłuchaniach Steward nie mógł spać leżąc na plecach, bo pokrywały je blizny od rękawicy. Tracił czucie w prawej ręce, co skłaniało go do zastanowienia nad neurologicznymi skutkami powtarzających się porażań prądem elektrycznym. Angel wciąż wracał do tych samych pytań. Z kim na Weście Steward współpracował? Kto posłał go na Westę i za czyją wiedzą? Czy

brał w tym udział Premier? Pułkownik nigdy nie próbował sztuczek, nie stosował retoryki, po prostu wracał do tych samych pytań. Pełna monotonia. Gdy zanadto się znudził zadawanymi przez siebie pytaniami, jego zawsze gotowy partner aplikował przesłuchiwanemu wstrząs.

Steward nie potrafił odpowiedzieć na pytania, nawet gdyby chciał. I w dodatku nie otrzymywał żadnych nowych pytań. Zastanawiał się, dlaczego nie stosowali narkotyków. W Ice-hawks był poddawany działaniu narkotyków i głębokiej hipnozy, gdy uczył się technik wytrzymywania przesłuchań. Tego typu opór można było jednak łatwo przełamać, jeśli wykazało się wystarczającą cierpliwość. I choć zeznania w stanie odurzenia były niepewne - podejrzany mógł wypaplać nie tylko to, co wiedział, ale również ze szczerym zapałem wymyślać nowe informacje lub mówić śledczemu to, co mu się wydaje, że powinien mówić - narkotyki dałyby z pewnością lepsze rezultaty niż wszystko, czego Angel do tej pory próbował. Zaś staranne wypytywanie mogło pomóc odsiać prawdę od halucynacji.

Możliwe, że pułkownik był po prostu przywiązany do klasycznych metod. Może traktował użycie narkotyków jak oszukiwanie w grze.

Albo po prostu lubił smród przypalanego ciała. I nagle przyszło mu do głowy, że może już próbowali użycia narkotyków, gdy był nieprzytomny. I nie podziałały. Premier, pomyślał Steward. To była jedyna rzecz, jaką na tym zyskał, jedyny nowy element. Zastanawiał się, czy Premier to ktoś z aparatu bezpieczeństwa Consolidated Systems. Rozejrzał się po celi, rozprostował ramiona i natychmiast się skrzywił; zaprotestowało jego poparzone ciało. To był jeden z tych przypadków, kiedy nie obudził się na dźwięk głosu strażnika, rozkazującego mu uklęknąć w stronę ściany z rękami na plecach.

Mały pokaz buntu byłby chyba na miejscu. Zrolował materac i zaczął robić pompki. Na pięściach. Krzycząc przy każdym podniesieniu. W końcu, z trudem chwytając oddech, wystawił palec w kierunku monitorów, ukrytych za ekranami frontowej ściany. - To dla ciebie, Angel - wydyszał.

Napił się wody z kranu i zaczął markować walkę. Dwa jasne reflektory dostarczały mu dwu cieni jako przeciwników. Oba zataczały się jak pijane. Coś stało się z jego równowagą. Elektryczny skobel odskoczył z hukiem i otworzyły się drzwi. Steward zrobił obrót i od zbyt nagłego ruchu zakręciło mu się w głowie. Stał z wciąż podniesionymi pięściami i ujrzał w drzwiach jednego ze swoich strażników - kobietę, którą widział pierwszego dnia. Nie miała hełmu, a rozpięta kurtka odkrywała noszoną pod spodem bluzę od munduru. Była blondynką o kwadratowej twarzy. Jej ukryte pod motylim makijażem oczy wydały się niezmiernie odległe. W rękę trzymała jego elegancko poskładane ubranie.

Rzuciła je na materac.

- Ubierz się - powiedziała. - Wychodzisz stąd.

Zaskoczony opuścił nieco gardę.

- Jak to? - powiedział.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, po co cię tu trzymali. To nie mój interes - zrobiła krok w tył za drzwi. - Sprawdź kieszenie, czy wszystko jest tak, jak było. Musisz podpisać oświadczenie. Zapukaj, gdy będziesz gotowy.

Drzwi znowu się zamknęły.

Steward stał, ciężko oddychając. Kręciło mu się w głowie, widział niewyraźnie przez zapocone oczy. Zawahał się chwilę, po czym zaczął powoli zakładać bieliznę, wciągnął spodnie, potem buty.

Sprawdził kieszenie. Spojrzał na podkoszulek i kurtkę, my-śląc: Może mi się uda. Zarzucił jedno i drugie na rękę, po czym za-pukał.

Drzwi otworzyły się znowu i Steward zrozumiał, że nie były zamknięte na zamek. Kobieta zmierzyła go wzrokiem. - Masz zamiar założyć ten podkoszulek?

- Podoba mi się, jak wyglądam, ze śladami poparzeń na ca-łych plecach.

Strażniczka zmarszczyła brwi.

- Zresztą, to twoja sprawa.

Podążył za nią do biurka w końcu korytarza, gdzie podpisał oświadczenie. Zabrała go do windy, potem ruszyli długim bežo-wym korytarzem. Minęli pokój numer dwanaście i weszli do ob-szernego pomieszczenia, w którym gwarny tłum ludzi stukał w konsole i rozmawiał przez telefon.

Steward przystanął i spojrzął na nich, zastanawiając się, ilu z nich wiedziało, co dzieje się w pokoju numer dwanaście. Możli-we, że wszyscy. Możliwe, że dla tych ludzi była to po prostu część codziennej pracy - mieli sesję tortur przed popołudniową prze-rwą na kawę.

- Tędy - kobieta zatrzymała się i odwróciła do niego. Ste-ward rozglądał się spokojnie po sali. Angela i jego partnera nie było. Może to nie ich zmiana.

- Chciałbym napić się kawy - powiedział i skreślił w bok.

- Hej - ostrzegła strażniczka.

- Brighter Suns jest mi winna kawę, do cholery! - odpalił Steward bardzo głośno. Ludzie patrzyli na niego, widzieli oparze-nia, odwracali się. Nikt się specjalnie nie przejął. Przeszedł obok biurka Angela i rzucił okiem na leżące na nim rzeczy. Było tam to, o co mu chodziło, dokładnie w miejscu, gdzie widział to pierw-szego dnia, dnia pierwszego przesłuchania. Leżało na wierzchu pliku dokumentów i skoroszytów, opatrzonych klauzulą „ściśle tajne”.

Steward trochę zataczał się przy chodzeniu. Z jego równowa-gą wciąż było coś nie tak. Za którymś razem jednak nieco prze-sadził i zanim zdał sobie z tego sprawę, prawie upadał. Odzyskał równowagę w ostatniej chwili. W porządku, pomyślał. Powoli i ostrożnie.

Wcisnął przycisk kawy z podwójną śmietanką i obrócił się, by popatrzeć na salę. Wszyscy spoglądali w dół, zafascynowani nagle czymś, co widniało na ekranach terminali. Steward wybuchnął śmiechem. Wziął swoją kawę i ruszył z powrotem w kierunku przejścia, udając zawrót głowy. Tylko strażniczka zerkała w jego stronę - będzie musiał jakoś ukryć przed nią ten ruch. Podniósł kubek do ust i wszedł prosto w biurko Angela, po-tykając się i rozlewając kawę po wszystkim, co tam leżało.

- Cholera - zaklął i rzucił swoją kurtkę i podkoszulek na pla-mę, jak gdyby chciał ją zetrzeć. Machał ubraniem po biurku, aż poczuł pod ręką właściwy przedmiot, chwycił go, po czym cofnął gwałtownie rękę, jakby właśnie zdał sobie sprawę z tego, co robi. - Pieprzyć to - zaklął głośno. - Niech ma ode mnie mokre biurko na pożegnanie.

Strażniczka już biegła w jego stronę. Spoglądała raz za ra-zem to na biurko, to na Stewarda.

- Skończyłeś już? - spytała.

- Rozlała mi się kawa.

- Nie chcesz stąd wyjść czy co?

Zgniół piankowy kubek i wrzucił go do kosza na odpady.

- Dobrze - powiedział. - Chodźmy.

Zmierzając ku wyjściu z najwyższym trudem powstrzymywał śmiech.

W poczekalni, położonej tuż przy wejściu do kompleksu wię-ziennego, czekała na niego cała załoga

„Borna”. Wszyscy mieli na sobie mundury, Reese - błękitny Starbright, a pozostali - ciemnoszare kurtki Talera. Był tam jeszcze jeden mężczyzna w barwach Starbright, którego nie rozpoznawał. Przy kołnierzyku jego munduru widniały fioletowe naszywki. Steward widział takie pierwszy raz w życiu. Gdy wszedł, wszyscy wstali. Reese podeszła do Stewarda i wierzchem dłoni pogłaskała delikatnie jego ramiona. Poznał po jej oczach, że była wstrząśnięta. Zaraz potem zaskoczenie zmieniło się w złość. - Żle cię traktowano?

Spróbował być bezceremonialny.

- Zdaje się, że to zależy od tego, jakie masz zdanie na temat tortur - spojrzał na nich wszystkich po kolei. - Jak długo tu byłem?

- Sześć dni.

- Wydawało mi się, że dłużej.

Reese wskazała wzrokiem na obcego mężczyznę w mundurze Starbright.

- To jest pan Lal - wyjaśniła. - Jest konsulem Starbright. Uścisk ręki Lala był stanowczy. Mundur dobrze do niego pasował.

- Cieszę się, że udało mi się stąd pana wyciągnąć - powiedział Lal.

- Nie sądzę, by właśnie pan przyczynił się do tego - odpowiedział Steward. - Przypuszczam, że raczej uwierzyli w końcu w moje zeznania.

Lal jakby się zawahał.

- Chciałbym, żeby sfotografował pan moje plecy - mówił dalej Steward. - Torturowano mnie tutaj.

- Nie możemy się mieszać w wewnętrzne procedury Brighter Suns - odparł Lal.

- Nie będą więc mieli nic przeciwko, jeśli kiedyś w przyszłości ktoś ze Starbright potorturuje sobie ich obywatela, prawda? - powiedział Steward. - Pieprzę to. Sam osobiście złożę zażalenie. I nagłośnię to. - Spojrzał na innych - Zabierajmy się stąd. Minął Lala i wyszedł. Kątem oka zobaczył szeroki uśmiech na twarzy Reese. Inni poszli za nim.

Drzwi były opancerzone i pokryte monitorami. Widniało na nich coś w rodzaju eksplodującej gwiazdy w środku spiralnej galaktyki. Wydział Pulsar. Ulicę na zewnątrz zrobiono z ciemnego, zimnego stopu. Sklepienie było błyszczące i odbijało ludzi na dole.

Kilka osób przemykało się w obie strony. Na Weście zaczynała pracę następna zmiana.

- Wiesz, Lal był bezużyteczny - powiedziała Reese. - Musiałam przez cały czas stać mu nad głową. Jak tylko dowiedział się, że sprawa trafiła do Wydziału Pulsar, powiedział, że nie ma żadnej nadziei.

- Jakoś mnie to nie dziwi - odparł Steward. - Szkoda, że nie mogłeś zobaczyć kapitana. - Reese spojrzała na SuTopo. - Nigdy nie widziałam go tak wściekłego. Thukł pięścią w biurko gliniarza i ryczał na niego, że rozwała mu harmonogram.

Steward obrócił się do niego.

- Dziękuję.

SuTopo odpowiedział uśmiechem.

- To mój zawód.

- Nie twój, tylko Lala - odpowiedział Steward.

- Co u diabła zrobił twój Alfa, że są tacy wściekli na niego?

- spytała Reese.

- Zabił paru ludzi. Tak powiedzieli.

- Rzeczywiście, to chyba wszystko tłumaczy. Reese wpadła w rytm jego marszu. Szła tuż za nim, trochę z boku. Steward rzucił okiem w drugą stronę i zobaczył Fischera, jak z uśmiechem pod nowym blond wąsem rozpinął mundur, uka-zując zielono-czerwoną tropikalną koszulę. SuTopo szedł nieco dalej za nim, także z boku, z poważną miną pod swoim pitji. Ca-iro była po przeciwnej stronie niż Reese.

Tworzymy klin, pomyślał Steward, klin maszerujący równym krokiem przez trzeci poziom głównej wirówki Westy. Steward szedł na szpicu, rozcinając obywateli Brighter Suns na dwie czę-ści. Czuło się w tym świadomość przynależności, braterstwa bro-ni. Choć wiedział, że nie potrwa to długo - ich cele różniły się od jego celów i odwrotnie - dobrze było wiedzieć, że istnieli tu lu-dzie, którzy dla niego wpakowaliby się w kłopoty, którzy walczy-liby o niego, przynajmniej w niektórych przypadkach. Był jeszcze jeden aspekt tryumfu Stewarda. Wciąż trzymał w ręku szpilkę pułkownika Angela, klucz, którego jego prześla-dowca używał do uzyskiwania dostępu do zabezpieczonych miejsc, jak pokój numer dwanaście czy tajne pliki komputero-we. Wszelkie zabezpieczenia - mówiono Stewardowi na wykła-dach - są skuteczne tylko do takiego stopnia, jak ludzie, którzy przy nich pracują. Angel nie dbał dostatecznie o swój klucz, więc Steward miał zamiar otworzyć nim jak najwięcej drzwi. - Dajcie mi najpierw jakiś środek przeciwbólowy - powie-dział Steward. - Potem idę spać.

Cairo wcisnęła przycisk odcinający fonię w kamerze, zapisu-jącej wygląd oparzeń na jego plecach w strukturze molekular-nej zmiennokrystalicznych nici. Przesunęła się w inne miejsce i zrobiła kolejne ujęcie.

- Tak - powiedziała Reese - najpierw zadbaj o siebie. - Napiszę zażalenie, jak wstanę - powiedział Steward. - Po-tem wyślę jeszcze te zdjęcia do paru agencji informacyjnych na Ziemi. Może niektóre z nich oprą się naciskowi Brighter Suns. - Chcesz, żeby obejrzał cię lekarz? - spytała Cairo. Steward rozprostował prawą rękę wciąż z objawami niedo-władu.

- Może - odparł. - Zobaczę, jak będę się czuł, gdy się obudzę. Cairo spojrzała w wizjer kamery, przeglądając zarejestrowa-ne zdjęcia.

- Mam sześć - powiedziała. - Chyba powinno wystarczyć, jak myślisz?

Steward skinął głową.

- Chyba tak - pomasaował nasadę nosa i ziewnął. - Izolatka i do łóżka.

- Pozwól, że założę ci na to jakiś opatrunek - powiedziała Reese podnosząc się z miejsca.

- Taka liczba opatrunków tylko by mi zawadzała - odparł. - Po prostu umyję to pod prysznicem, zanim położę się spać. - Auu - jęknęła Cairo.

- Jesteś pewien? - spytała Reese patrząc mu w oczy.

Przytaknął i znowu ziewnął.

- Muszę się tylko przespać. Tylko tego mi trzeba.

Powoli skinęła głową.

- W porządku. Ale jeśli będziesz czegoś potrzebował...

- Nie będę. Idź na stację i wybaw się za wszystkie czasy.

Uczcij to. I wypij parę za mnie.

Steward zszedł korytarzem do izolatki. Zaopatrzył się na póź-niej w jakiś środek dezynfekujący i

bandaże. Włożył pierwszy lepszy lek przeciwbólowy do pneumatycznej strzykawki, przystawił ją do ramienia i pociągnął za spust. Potem przeszedł do kolejnej szafki i wysypał sobie na rękę trochę pobudzającego narkotyku.

Jeszcze przez jakiś czas musiał pozostać przytomny.

Połknął pigułki na sucho i skierował się do swojego pokoju. Gdy już się tam znalazł, wziął prysznic i zgolił sześciodniowy zarost, zostawiając sobie ciemne wąsy. Wziął garść pustych szpilek pamięciowych. Włożył ciemne spodnie, których nogawki były spięte na wysokości kostek. Sycząc z bólu wdział koszulę z wysokim kołnierzykiem. Na nogi wsunął sandały. Zarzucił jeszcze ciemną marynarkę bez kołnierza, która wyglądała jak od munduru, tyle że bez dystynkcji. Przejrzał się w lustrze i uznał, że może uchodzić za młodego działacza Brighter Suns. Włączył swój terminal i drukarkę, a następnie wczytał mapę Westy z pokładowego komputera. Zrobił kopie interesujących go obszarów i wyłączył terminal. Szpilki pamięciowe trafiły do zwykłej skórzanej saszetki, razem z kluczem Angela. Zakończywszy przygotowania, podszedł do drzwi, uchylił je lekko i nasłuchiwał. Wiekowy statek syczał z przewodów wentylacyjnych. Żadne inne dźwięki nie dochodziły.

Steward wymknął się z pokoju, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Zażyty wcześniej narkotyk zaczął działać. Uśmiechnął się i podszedł do włazu, dającego dostęp do niższych pokładów statku. Otworzył go i zszedł do pozbawionej ciężenia maszynowni. Odepchnął się od drabinki, kierując się w stronę głównej zewnętrznej śluzy. Tam odnalazł swój skafander próżniowy. Złapał go i popłynął w stronę mniejszej śluzy dla personelu. Czasami Cairo używała głównej śluzy do rutynowych przeglądów technicznych i Steward nie chciał na nią wpaść. W rufowej śluzie podłączył swoje butle do kompresora i ustawił jego dźwignię na ładowanie. Chciał być pewny, że w starych butlach będzie miał wystarczająco dużo powietrza.

Przeszedł przez śluzę i wypłynął na zewnątrz, czekając, aż jego oczy przywykną do ciemności. Westa leżała pod nim, świecąc bladą poświatą. Na powierzchni pełno było kropek reflektorów, a ich światło odbijało się w błyszczących kadłubach dziesiątków statków transportowych, które wyglądały jak butle tlenowe, wetknięte w twarde ciało planetoidy. W uszach słyszał echo własnego oddechu. W mięśniach czuł siłę narkotyku. Dryfował powoli w dół, używając co jakiś czas dysz odrzutowych i jęcząc, gdy kołnierz uszczelniający dotykał do ran. Przemknął między błyszczącymi cielskimi olbrzymich transportowców i wyleciał z doków nad skalną powierzchnię planetoidy. Teren wokół niego pokryty był migającymi skupiskami czerwonych i białych światełek, z których każde wysyłało wzór identyfikujący poszczególne kopuły produkcyjne, stacje radarowe i śluzy. Po chwili zorientował się w tym układzie i skierował w stronę białego światła oznaczającego śluzę. Wylądował na pasie rzepa, otaczającym właz wejściowy. Jego buty przyczepiły się do małych haczyków podłoża, a kolana zamortyzowały uderzenie. Na śluzie widniał napis: POZ 1, P 33, WŁAZ 7. Dzięki niemu mógł dostać się do głównego tunelu transportowego Południe 33, zamiast do silnie strzeżonego kompleksu przemysłowego, gdzie musiałby się rejestrować lub potwierdzać tożsamość. Nachylił się nad panelem zamka, słysząc w swoim małym wewnętrznym świetle skafandra dziwny dźwięk odrywanego rzepa, i wydał polecenie otwarcia włazu. Śluza otworzyła się bez dodatkowych komentarzy.

Wszedł do wnętrza i znalazł się w obszernej komorze wstępnej, zaopatrzonej w izolację przeciwradiacyjną. Pomieszczenie to zbudowano na wypadek dekompresji P 33. Na wieszakach wisiały dwa awaryjne skafandry próżniowe. Powiesił swój obok skafandrów Brighter Suns, wygładził marynarkę i otworzył ciężkie wewnętrzne drzwi. Wszędzie wokół przemieszczali się ludzie, korzystając z przesuwających się po suficie pętli lub idąc od jednego pasa rzepa do drugiego. Steward

włączył się do ruchu łapiąc jedną z pętli, która dowiozła go do poprzecznego tunelu, gdzie mieszkańcy Brighter Suns przesiadali się na ruchomy chodnik, który wiódł do jednej z gigantycznych wirówek mieszkalnych. Narkotyk kipiał w jego żyłach. Zaczął przesuwać się do przodu z jednej pętli chodnika na drugą, ciesząc się wysiłkiem. Tak mi-nał ogromne wejście do centralnej wirówki Westy. Jak tylko znalazł się w środku, zszedł niżej na poziom 0.8 g, gdzie ciężenie wydało mu się najodpowiedniejsze. Znajdowały się tu głównie biura, zajmowane przez różne polikorporacyjne maszyny biurokratyczne. Trwała druga zmiana i nie było wielu przechodniów. Narkotyk sprawiał, że Steward miał ochotę prze-taćzyć całą drogę po korytarzu. Poczul, że jego twarz sama aż rwie się do uśmiechu i utrzymanie poważnego wyglądu sprawia-ło mu nie lada trudności.

#10 - Ryk tornada

Wszedł do punktu wynajmującego sprzęt komputerowy i wci-snął szpilkę kredytową do jednej z maszyn. Wywołał biuro infor-macyjne Brighter Suns i zaczął przeglądać skangazety poczynając od dziewiętnastego lutego - dnia, w którym, z tego, co mówił An-gel, zginął pułkownik de Prey. Nie znalazł żadnych zawiadomień o nagłych zgonach, żadnych nekrologów, żadnej wzmianki o kimś o nazwisku Steward.

Natrafił natomiast na nagłące tytuły i publiczne ogłoszenia, dotyczące alarmu o skażeniu na terenie Poselstwa Handlowego Mocnych. Nie podano co prawda żadnych szczegółów, ale część Westy zajmowana przez Mocnych została zamknięta, zmobilizo-wano służby dekontaminacyjne i cały handel zamarł. Ogłoszono coś w rodzaju stanu wojennego, który odwołano pięć dni później. Skangazety podlegały ostrzejszej cenzurze niż zazwyczaj, lecz pu-blikacje innych polikorporacji, które choć były cenzurowane w trakcie tych pięciu dni, pojawiły się potem w całości, przebą-kiwały coś o jakichś ziemskich bakteriach, które przedostały się do części Mocnych i spowodowały tam liczne zachorowania. Ste-ward przypomniał sobie plotkę, że Mocni opuścili Ziemię, ponie-waż okazali się podatni na ziemskie choroby. Z tego, co pisały gazety wynikało, że nie powstały żadne trwałe uszkodzenia. Przewodniczący Poselstwa, Mocny zwany Sa-muelem, wyraził głębokie podziękowania dla administracji stacji za szybki odzew i skuteczne działania podczas alarmu. Śluzę otwarto ponownie dwudziestego czwartego i rozpoczął się nor-malny handel.

A więc to tak, pomyślał Steward. Alfa został prawdopodob-nie wysłany przez Curzona z zamiarem spowodowania jakiegoś skażenia w strefie Mocnych. Jakakolwiek była natura tego skaże-nia, nie trwało ono jednak zbyt długo - normalną działalność han-dlową przywrócono po kilku dniach. Oczywiście, biorąc pod uwa-gę całkowitą izolację tej strefy, mogła się tam rozwinąć straszli-wa epidemia, która uśmierciła setki przybyszów, a informacje o tym po prostu ocenowano.

Ktoś za jego plecami wywrócił na podłogę stos wydruków i Steward mało nie wyskoczył z krzesła. Narkotyk czynił go ner-wowym. Posłał przez ramię pewny siebie uśmiech i powrócił do swojego zajęcia.

W pewnej chwili zrozumiał, że handel nie musiał powrócić do tego samego poziomu, że informacja o przywróceniu normalnych stosunków była przesadzona. Zmienił dział najważniejszych in-formacji na dział odlotów i przylotów. Jak można było się tego spodziewać, liczba odlatujących statków dramatycznie spadła w czasie alarmu, i skoczyła z powrotem do góry, gdy alarm odwo-łano. Zliczył codzienne sumy odlotów, otrzymując średnią od trzy-dziestu pięciu do czterdziestu statków dziennie, po czym zrobił to samo dla okresu po dwudziestym czwartym. Był tam wyraźny spadek, wynoszący jakieś cztery czy pięć mniej odlotów na dzień, w porównaniu ze średnią, nawet tydzień po odwołaniu alarmu.

Steward zastanawiał się, czy taki spadek wymiany handlowej na Weście wystarczyłby, żeby zmotywować Consolidated Systems do ataku. Straty, które poniosła Brighter Suns, były zapewne niebotyczne, lecz nawet przy nowym, mniej efektywnym tempie wpły-wał do kasy niebagatelny strumień pieniędzy, a poza tym cała sy-tuacja była z natury przejściowa, bo Mocni natychmiast posłaliby po nowy personel. Co ważniejsze jednak, taki jawny atak musiał-by pociągnąć za sobą działania odwetowe. Steward zastanawiał się, czy Consolidated Systems miała lepsze zabezpieczenia biologiczne od Brighter Suns, skoro nie obawiali się ich kontrataku. Być może cała sytuacja miała szerszy aspekt, pomyślał Ste-ward. Możliwe, że celem ataku było skłonienie obcych do zwąt-pienia w zdolność Brighter Suns do ochrony ich przed zagroże-niami biologicznymi. Może przekonałoby to

Mocnych, że warto od tej pory robić większość interesów z Consolidated Systems. Steward wylogował się, wyciągnął z komputera szpilkę kre-dytową i wyszedł na cichą w czasie drugiej zmiany ulicę. Zreali-zowanie kolejnego punktu jego planu wymagało bardziej ustron-nego miejsca.

Szedł wzdłuż ciemnego stopu, oglądając nazwy i emblematy firm, dekorujące długą ulicę. Zdecydowawszy, że Czwarte Biuro Satelitarne Przedstawicielstwa NovaDiv Communications wyglą-da najbardziej obiecująco, wkroczył pewnym krokiem do budyn-ku i mijając hol skłonił się starszemu, jak zwykle źle poinformo-wanemu strażnikowi. Ten odwzajemnił ukłon. Od wewnątrz Czwarte Biuro Satelitarne wydawało się skła-dać głównie z małych kabin; każda z nich była wyposażona w biurko i terminal komputerowy. Większość pozostawała pusta. Steward wybrał pierwszą lepszą kabinę, zamknął za sobą drzwi i włączył terminal.

Włożył szpilkę Angela do terminalu i zażądał odczytu jej zawartości. Był tam skomplikowany numer identyfikacyjny i dwanaście list numerów telefonicznych, przez które pułkownik docierał do różnych biur Wydziału Pulsar i ich plików. Wśród nich, pod numerem szóstym, znajdowała się nazwa AKTA OSOBOWE. Brzmiała obiecująco. Kazał komputerowi wykręcić numer z pozycji szóstej. Narkotyk pobudzał jego nerwy i Ste-ward miał trudności z trafianiem w odpowiednie cyfry na kla-wiaturze. Dostrzegł kabel interfejsu zakończony samoprzylep-nym dyskiem i przyłożył go sobie za uchem. Myślowne polecenia będą szybsze.

Komputer NovaDiv skończył wybierać numer i monitor wy-czyścił się, by wyświetlić napis: WITAMY W FAR RANGER C--71. Światelko aktywności nad szpilką zapaliło się na moment, po czym na ekranie ukazała się następna wiadomość:

TOŻSAMOŚĆ POTWIERDZONA. PROSZĘ WYBRAĆ OPCJĘ

I WPISAĆ POPRAWNE HASŁO. Nie było listy opcji. Kto poprosiłby o nieprawidłową bazę danych natychmiast ściągnąłby na siebie operatora, który włączyłby się na linię i zapytał, co ten ktoś tu robi.

Z tego, co Steward wiedział, systemy komputerowe Far Rangera opierały się na języku programowania o nazwie C-Ma-trix. Steward nie znał tego języka, z wyjątkiem kilku komend, które wpojono mu podczas treningów penetracji danych. Miał nadzieję, że owa wiedza wystarczy, by doszedł tam, gdzie chce. Kazał maszynie wykonać DIVE, standardową komendę, przez którą programiści C-Matrix uzyskiwali dostęp do samego jądra interpretera tego języka. Światelko wczytywania nad je-go szpilką znów zapaliło się na chwilę i nagle znalazł się w środ-ku. Najwyraźniej Angel miał zezwolenie na podglądanie pro-gramów w C-Matrix.

Steward odetchnął z ulgą. Obawiał się, że nie uda mu się dotrzeć dalej, niż mu na to pozwoli szpilka, lecz C-71 Far Ran-ger był starym modelem, pamiętającym jeszcze czasy obecności Polikorporacji Zewnętrznych na Weście. Na szkoleniach dla Ice-hawks mówiono o włamywaniu się do tego typu maszyn. Wydał komputerowi komendę LDC, by wyświetlić spis możliwych rozkazów. Przeglądanie dużego pliku zajęło mu tro-chę czasu; długa kolumna rozkazów przewijała się w jego gło-wie, wysyłana do ośrodków wzroku przez kabel interfejsu. Ekran wideo był już nieprzydatny. Okazało się, że istnieje ze-staw instrukcji, zawierających specjalne przedrostki. Wśród nich były również zaczynające się od PULSAR, a między nimi PULSAR*PLIKBEZP.

Bingo!

Steward nagle zdał sobie sprawę, że jego palce wybijają na udzie rytm, a nogi tańczą po dywanie. Ten diabelski narkotyk podkreślił go do tego stopnia, że skakał jak marionetka. Zignoro-wał ten efekt uboczny i powiedział komputerowi, że chce edyto-wać program C-Matrix, który obsługuje PLIKBEZP. Zakres zabezpieczeń programowych jest zawsze kwestią równo-wagi - brzmiał mu w głowie głos jednego z jego dawnych instruk-torów - Każdy plik można zabezpieczyć lepiej, dodając coraz więcej poziomów zabezpieczeń, lecz z czasem zabezpieczenia zaczną zajmo-wać coraz więcej miejsca w systemie i będą utrudniać normalne ko-rzystanie z niego przez standardowy personel. W pewnym stadium zaawansowania zabezpieczenia zawsze powodują obniżenie efektyw-ności. Wyważenie równowagi między bezpieczeństwem i jakością do-stępu to prawdziwa sztuka. Dla człowieka z zewnątrz, który próbu-je się włamywać, poznanie tej równowagi to cel podstawowy. Pulsar był jednostką, która z natury utrzymywała paranoję instytucjonalną na wysokim poziomie, więc PLIKBEZP zawierał zapewne cały szereg min-pułapek - podprogramów, które albo przerwałyby jego połączenie, albo poinformowały po cichu ko-goś z Pulsara, że ktoś bawi się ich plikami, i tym samym umożli-wiły wyśledzenie Stewarda. Te pułapki nie mogły być jednak zbyt wyszukane, bo w przeciwnym razie Angel miałby problemy z dostaniem się do swoich plików.

Równowaga, pomyślał Steward. Bezpieczeństwo kontra wy-goda. Jak dobrze strzeżony był PLIKBEZP? Steward ostrożnie przeglądał zawartość programu. W jego umyśle powstawały symboliczne algorytmy. Niektóre z nich już na pierwszy rzut oka wydawały się bzdurne. Rozpoznał program najlepiej, jak umiał, śledząc każdą linię, która miała coś wspól-nego ze ciągiem PULSAR*. Dzięki szkoleniom rozpoznawał część tego, co widział, na przykład pętle warunkowe, w których kryła się pułapka. Za każdym razem, gdy natrafił na szukany ciąg, mo-dyfikował go w ten sposób, by przyjmował jego własne hasło, brzmiące: ANGEL. Miał nadzieję, że dzięki temu pułkownik bę-dzie miał trochę kłopotów, gdy włamanie wyjdzie na jaw. Steward wiedział, że jego przeróbki nie pożyją

długo. Firma taka jak Pulsar trzymała na pewno kopię centralnych programów zabezpieczających i co jakiś czas - co kilka dni, albo nawet na każdej zmianie - porównywano ją z działającym programem w celu wykrycia ewentualnych rozbieżności. Modyfikacje Stewarda zostaną zatarte i jakaś osoba zostanie o tym poinformowana. Pracował uważnie, w głębokim skupieniu. Gdy doszedł do siebie, zdał sobie sprawę, że spędził tu dwie godziny, chodząc w kółko po pokoju, w granicach, na jakie pozwalał mu kabel in-terfejsu. Pomieszczenie śmierdziało potem. Bolały go łydki. Roz-prostował nogi, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Usiadł ponownie i włożył jedną z przyniesionych szpilek pamięć-ciowych do terminalu.

Otarł pot z czoła i wyszedł z poziomu edycji C-Matrix do po-czątkowej procedury logowania. Podał hasło ANGEL i zażądał pliku FILESECUR:STEWARD.1. Gdy C-71 wysłał mu plik, wy-buchnął śmiechem. Nawet na niego nie spojrział, po prostu zgrał na szpilkę. Wywołał listing katalogu PLIKBEZP i znalazł pliki DEPREY.1, CURZON, AC.1 i CURZON, CD.1, które również przesłał do siebie. Nie było nic zaczynającego się od PREMIER. Trafił jednak na ANGEL.1 i poczęstował się również tym plikiem. Przeszukał jeszcze raz cały katalog. Zainteresowały go na-zwy FILESECURPERSONNEL.1, -.2 i -.3, więc je również zabrał. Może to lista szpiegów albo klasyfikacje według poziomu upraw-nień. Szpilka zasygnalizowała, że jej zmiennokrystaliczna nie wypełniła się po brzegi. Wyciągnął ją i włożył nową. Były tam setki plików. Zaczął kopiować je jak leciało, wkła-dając tylko nowe szpilki. Pomyślał, że może sprzedać to Griffi-thowi i pozwolić mu odbić sobie wszystkie stracone lata. Gdy wypełnił ostatnią szpilkę, wstał i przez parę minut pa-trzył na migoczący monitor. Zastanawiał się, czy powinien pozo-stawić własne przeróbki, po czym zdecydował, że nie. Choć myśl o panice, jaka wybuchłaby w Pulsarze, a przede wszystkim ogar-nęła Angela, w momencie wykrycia dokonanej przez Stewarda kradzieży, sprawiała mu dużo uciechy, te dane będą miały więk-szą wartość, jeśli Brighter Suns nie dowie się, że je ukradziono. Wszedł więc znów do trybu edycji i przywrócił program do jego pierwotnej postaci. Potem oderwał interfejs od skóry. Powoli zaczęła przenikać do niego rzeczywistość. Bolał go pę-cherz. Narkotyk przestał już działać i pozostało mu tylko nerwo-we drżenie i uczucie pełzającej skóry. W gardle zalegała mu fleg-ma. Oddychanie sprawiało ból. W prawej ręce i ramieniu nie miał czucia, co znów nasunęło mu myśl o uszkodzeniu nerwów. Wrzu-cił szpilki do kieszeni marynarki i zapiął ją na rzep. Potem zarzu-cił marynarkę na ramię i poszedł szukać ubicacji. W biurze nie było prawie nikogo, a światła zostały przyciem-nione. Niedługo pewnie przyjdzie trzecia zmiana. Odnalazł toale-tę, wszedł i spojrział na swoje odbicie w lustrze. Oczy zapadły się w czerwono-fioletowe doły. Za uchem wy-raźnie było widać okrągły odcisk samoprzylepnego dysku od ka-bła interfejsu. Pod pachami i na piersi miał plamy od potu. Umył twarz, przeczesał palcami włosy i wziął jeszcze jedną pigułkę, że-by jakoś dotrzeć na „Borna”. Założył marynarkę, uważając na po-parzone miejsca i wyszedł do holu, usilnie starając się pokazać, że bawi go podskakiwanie przy zmniejszonym ciężeniu. Starego strażnika zastąpił jego młodszy kolega. Mężczyzna skinął głową, gdy Steward wchodził do holu. - Ciężko pracujemy? - spytał.

- Inwentaryzacja - odpowiedział Steward, posyłając mu zmę-czony uśmiech. Podeszedł do przezroczystych plastikowych drzwi i popchnął. Nie ustąpiły. Poczul dreszcz niepokoju. Spojrział na strażnika. Mężczyzna szukał czegoś w okolicy pasa.

- Muszę je otworzyć - wyjaśnił.

Niepokój minął równie szybko, jak przyszedł. Strażnik otwo-rzył wyjście i Steward mógł wyjść na zewnątrz. Powiedział mu do widzenia, z trudem opanowując śmiech.

Nieco dalej zatrzymał się przy pojemniku na śmieci, wyjął szpilkę Angela, położył ją na stopowej podłodze i rozgniół no-gą. Zebrał resztki i wyrzucił do śmietnika. Angel zauważył stratę nazajutrz i po tym fakcie posiadanie jej byłoby niezwykle niebezpieczne. Oprogramowanie Pulsara zostało zmodyfikowane, by zgotować odpowiednie przyjęcie każdemu, który użyłby tej szpilki.

Ukryje resztę szpilek w jednej z ładowni, tej wypełnionej towarami. Nie miał zamiaru ich dotykać aż do czasu opuszczenia Westy.

I nie zamierzał już opuszczać statku. Dopiero gdy zadokują w jakimś innym miejscu, gdzie Angel nie będzie mógł go dostać.

Minęły cztery dni, od kiedy Pulsar pozwolił mu odejść. Steward leżał na łóżku, oglądając transmisję „Czwartego Milenium” Kawaguchiego. Był to klasyczny wizjonerski dramat imagistów sprzed stu lat, osadzony w zmanierowanej przyszłości i opowiadający o tym, jak genetycznie zmienione postludzkie społeczeństwo staje w obliczu konfrontacji z okrutnymi ludzkimi prymitywami, powracającymi z jakiejś dawno zapomnianej kolonii - komedia obyczajowa, przetykana propagandą i wstrząsającymi scenami przemocy. Pink Blossom, polikorporacja neoimagistów, wyprodukowała niedawno rozwiniętą wersję tego filmu jako środek do propagowania ich wizji przyszłości. W głównej roli obsadzono aktora powietrznego teatru kabuki, Kataokę XXII. Brighter Suns, jako polikorporacja nieposiadająca ideologii, retransmitowała ten program przez łącze z Westy. Film podobał się Stewardowi, choć podejrzewał, że w tej wersji położono większy nacisk na przedstawienie postludzkiego punktu widzenia, co wynikało z obecnych re-aliów politycznych. Pink Blossom zanotowała ostatnio spadek tempa rozwoju i najwyraźniej uznała, że propagowana przez nich wizja jutra wymaga nieco świeżego blasku, bo personel nie podchodzi do swojej pracy z wystarczającym entuzjazmem. Podczas oglądania wideo Steward rozprostowywał prawą rękę. Cucie powróciło. Żadnych trwałych uszkodzeń, pomyślał. Ktoś zapukał do drzwi kabiny.

- Proszę - powiedział, przestawiając wideo na nagrywanie.

Weszła Reese.

Był zaskoczony jej zniecierpliwioną miną.

- Wstawaj z łóżka, chłopie - powiedziała. - Dostaliśmy rozkaz stawienia się na Weście za godzinę.

Wchodzimy do Poselstwa Mocnych.

Steward usiadł. W głowie brzęczał mu alarm.

- Po co? - spytał.

- W doku stoi statek Starbright - odparła Reese. - Zachorowali im operatorzy ładunku i wysiadło parę autoładowarek. To specjalna przesyłka i Starbright nie chce, żeby zajmowali się nią wyłącznie nasi pracownicy. Wezwano nas, żebyśmy pomogli w ręcznym załadunku statku.

- Dlaczego my?

- To przez te próbki krwi. Wykazały, że możemy pracować z Mocnymi.

Steward wyłączył wideo. Ogarnęła go wściekłość. - To podstęp, żeby wyciągnąć mnie na stację. Sprowokują jakąś rozróbę i znowu skończę w celi. Albo mnie zamordują. Reese oparła się plecami o pikowaną przegrodę i skrzyżowała ręce na piersiach. i - Mało prawdopodobne - stwierdziła. - Raz pozwolili ci odejść. Dlaczego mieliby znowu cię aresztować? Steward zastanowił się przez chwilę. Musiał wymyślić jakiś inny powód poza tym, że był podejrzany o kradzież szpilki Angela. - Może dopiero teraz upewnili się co do swojej decyzji. Wstał z łóżka i zaczął chodzić po pokoju. - Albo chcą mnie uśmiercić i potrzebowali tyle czasu, żeby znaleźć sposób, który nie obciąży ich winą. - W głowie rozpętało mu się istne tornado. - Słuchaj, pójdę do naszej apteczki i wezmę coś, co sprawi, że się rozchoruję. A ty po prostu powiesz naszym szefom, że jestem chory. Reese pokręciła głową.

- Uspokój się - powiedziała - Złożyłam zobowiązanie wobec naszych przełożonych. Jak się nie pojawisz, może to kosztować Starbright miliony dolarów we własnej walucie. Spojrzał jej w oczy.

- Jak się pojawię, będzie to kosztowało Starbright obiecującego młodego praktykanta.

Reese znów pokręciła głową.

- Zajmę się tym. Pójdę do telefonu i dowiem się, skąd pochodzi ten rozkaz. Pogadam z naszym konsulem... - Z Łałem? Tym dupkiem?

- Nie przerywaj mi. - Steward aż podniósł na nią wzrok, za-skoczony jadowitością jej głosu. Piorunowała go spojrzeniem. - Uzyskam jakieś gwarancje od personelu Westy. Będą na ciebie uważać.

Steward roześmiał się. Reese dotknęła palcem jego twarzy. - Ja się tym zajmę, Steward. Jeśli zbliżysz się do apteczki, na-piszę na ciebie raport. Ustawiłam się w kolejce po kłopoty, żeby wydobyć cię z Wydziału Pulsar i nie mam zamiaru pozwolić, żebyś znowu zniknął, ale nie mam także ochoty narażać naszego społeczeństwa na milionowe straty. Spakuj się więc na trzy dni roboty, a ja pójdę zadzwonić. Dam ci znać, jak to wszystko wyjdzie. - Oni mnie zabiją, Reese - powiedział patrząc jej prosto w oczy.

- Nie mam zamiaru im na to pozwolić.

- Nie sądzę, żeby ci się to udało.

Nie mógł nic odczytać z jej twarzy.

- W takim razie okaże się, że się myliłam, prawda? Zamknęła za sobą przesuwane drzwi. Przez chwilę Steward mógł jedynie gapić się na nie. Coś tu nie grało, to dziwne zachowanie Reese. Widziała przecież, w jakim był stanie, gdy wypuści-li go z Wydziału Pulsar. Przyszło mu na myśl, że może Brighter Suns zapłaciła jej, by pomogła w zabiciu go. Chwycił torbę i zaczął z furią pakować do niej swoje rzeczy. Trwało to kilka minut. Potem chodził po pokoju jak szalony, przemierzając go tam i z powrotem, choć miał tylko trzy kroki szerokości. Pracował palcami, jakby między nimi znajdowała się gru-ba szyja Angela.

Po jakimś czasie nieco się uspokoił i próbował zmusić umysł do zaakceptowania tego, co wydawało się nieuchronne. Zrezy-gnował z planu wywołania choroby, choć mógł to zrobić w świetle wysłanego przez siebie zażalenia, bo leki prędzej czy później przestałyby działać i trafiłyby do Poselstwa Mocnych tak czy owak.

Po prostu musiał być przygotowany. Zmienił pas na taki, który miał cięższą metalową sprzączkę, na wypadek, gdyby musiał go użyć jako broni. Wsunął nóż za taśmę biegnącą po wewnętrznej stronie jego dzinsów na wysokości pasa w taki sposób, że nie-mieszczący się centymetr rękojeści przykrywała marynarka. Nie miał innej broni - służbowy nóż nie był niedozwolony, a na jego pas nikt nie spojrzy dwa razy, natomiast cokolwiek innego wzbudziłoby podejrzenia. Musiał być gotowy na wszystko, czego mogli użyć ludzie z Pulsara: rękawicę paraliżującą, pistolet na strzałki czy trujący aerozol.

Steward zmienił marynarkę na grubsze okrycie, by lepiej chroniło przed atakami. Założył parę izolowanych rękawic, którymi mógłby zablokować uderzenie rękawicy paraliżującej. Po-szedł do szafki z wyposażeniem dla załogi, skąd wziął hełm strażacki z kevlaru, wyposażony z tyłu i z boku w płytki, które chronią kark i szyję, a z przodu w odłączaną przezroczystą osłonę. Usiadł na łóżku i czekał. Wsłuchiwał się we własny oddech. Wczuwał się w krew krążącą w jego kończynach. Próbował przygotować się, by umiał stawić czoło chwili, w której nadejdzie unicestwienie. Pójdzie w ślady swojego Alfego trochę wcześniej, niż przypuszczał.

Jedna strzała, pomyślał, jedno życie. Krótka przejażdżka od cięciwy do celu.

Reese nie było pół godziny. Gdy wróciła, w ręku miała wydruk. Spojrzawszy na jego hełm uśmiechnęła się. - Rzuć na to okiem, samuraju - smyrnęła papier w jego stronę.

Znajdowały się tam dwa dokumenty. Pierwszy był oświadczeniem konsula Starbright - Steward uśmiechnął się szyderczo na widok podpisu Lala - że został zapewniony przez Brighter Suns, iż przeciw Stewardowi nie toczy się żadne śledztwo. Drugi zawierał podpis przedstawiciela bezpieczeństwa Brighter Suns i tekst mówiący, że jego firma nie jest już zainteresowana osobą Stewarda, że nie jest prowadzone w jego sprawie dochodzenie oraz że może wchodzić i wychodzić ze stacji, ilekroć będzie miał na to ochotę.

Skrzywił się, złożył dokumenty i schował je w kieszeni kurtki.

- Wyprodukują wielkie epitafium - powiedział. - No, Steward, wstawaj z wyrka - odezwała się Reese. - Mam dość twoich wątpliwości.

Wstał i zarzucił torbę na ramię.

- A więc prowadź. Ja będę zabezpieczał tyły. Gdy szybował rękawem łączącym statek z Westą, w pewnej chwili poczuł grawitację planetoidy i wpadł w panikę. Miał uczucie, że spada głową w dół. Żółć napłynęła mu do gardła. Połknął ją z dziką wściekłością i usiłował się opanować. Zanim odzyskał spokój, ryknął wokół niego hałas hali rozładunkowej, złożony z dźwięków gwizdków i syren, zderzeń i okrzyków ludzi. Nerwowo rozglądał się na wszystkie strony, szukając dziwnych rzeczy i dużych postaci w obszernych kurtkach.

- Będę szedł wzdłuż ściany, dobrze? - powiedział, przypominając sobie własną bezsilność, gdy dryfował przez ogromną przestrzeń. W odpowiedzi Reese pokręciła głową i wskazała mu logo Starbright, widniejące na długim i wąskim promie tunelowym, trzymającym się stopowej ściany hali dzięki wbudowanym elektromagnesom. Za kierowcą znajdowało się osiem siedzeń. Prom wyglądał jak alpejski bobslej.

- Mamy własny transport - oznajmiła Reese. Steward odepchnął się nogami od ściany i jak pocisk przeleciał dziesięciometrową odległość dzielącą go do promu. Zamortyzował zderzenie rękami i wślizgnął się na siedzenie tuż za kierowcą. Ten spojrzał na niego.

- Masz zamiar coś podpalić czy co? - powiedział do Stewarda.

- Po prostu jestem świadom zagrożeń, kolego.

- Jak sobie chcesz.

Reese wskoczyła zgrabnym ruchem na siedzenie za Stewardem. Przypięli się pasami i kierowca odczepił pojazd od ściany. Zatrąbiwszy klaksonem, by dać znać innym, że będzie przejeżdżał, poprowadził prom przez halę wyładunkową i wleciał do wąskiego, jednokierunkowego tunelu. Tam zaprogramował cel po dróży i oddał sterowanie komputerowi komunikacyjnemu Westy, kładąc nogę na wyłączniku bezpieczeństwa i zakładając ręce na piersi. Gdy naprowadzacz masowy zaczął rozpędzać prom w tunelu, jak igłę w pistolecie gaussowskim, Stewarda aż wgniotło w fotel. Nad hełmem słyszał wycie pędzącego powietrza. Półskliwe okruchy miki i niklu migotały w świetle reflektorów pojazdu. Poczuł, że się spina w oczekiwaniu na zderzenie. Zwykły wypadek i po sprawie. Wystarczy przejąć kontrolę nad naprowadzaczami masy za pomocą centralnego komputera i wpakować ten bobslej prosto w tył transportera urobku. Prom zaczynał zwalniać z sykiem. Pasy wpiły mu się głęboko w ramiona i brzuch. Po chwili stanęli. Kierowca zdjął nogę z przycisku i poprowadził pojazd przez kolejną olbrzymią halę, tym razem pustą, w kierunku niewielkiej służby.

- Dalej nie jadę - oznajmił. - Nie wolno mi wchodzić do Poselstwa. Chyba mam jakieś bakterie. Wasza praca polega na rozładowaniu statku transportowego Mocnych, ułożeniu wszystkiego na paletach i przeniesieniu pod dużą służbę towarową. Stąd my już możemy to zabrać.

Wewnątrz hełmu Stewarda gromadził się pot. Wciąż szukał wzrokiem nieprzyjaciela, lecz hala była pusta. - Zostaniesz poddany dekontaminacji po drugiej stronie śluzy - odezwał się kierowca. - Nie ma się czego obawiać. Tylko po to, żeby się upewnić, że nie wniesiesz niczego na skórze i ubraniu. Nad śluzą zapaliło się zielone światło. Powietrze w środku miało silną antyseptyczną woń. Ze ścian wystawały chromowane dysze, wyglądające jak lufy automatycznej broni, a za ekranami czekały baterie lamp ultrafioletowych. Syntetyczny głos polecił Stewardowi i Reese zdjąć ubrania i włożyć je do otwartych schowków. Drobne przedmioty osobiste miały trafić do pojemnika, kryjącego się za niewielką, odchylaną klapką. Steward ściągnął hełm i rzucił go do schowka. W locie wyfrunął ze środka jego pot, tworząc słone, połyskliwe kuleczki. Gdy hełm uderzył w pikowaną ścianę, rozległo się zgłuszone stuknięcie. Steward czuł się jak w potrzasku, uwięziony we wnętrzu olbrzymiej maszyny, która prędzej czy później będzie próbowała go zabić. On zaś nie miał wyboru i musiał przez to wszystko przechodzić, czekając na moment, który nie zostanie wybrany przez niego, i pomimo to być gotowy.

Rzeczywistość nabierała ostrego, surrealistycznego wyglądu, zupełnie jak w koszmarze. Wszędzie gdzie patrzył, kryło się potencjalne zagrożenie: woń chemikaliów, rząd lśniących dysz, miała kabina z baterią ekranowanych światel, takich jak te, które pamiętał z celi Wydziału Pulsar. Jego serce waliło jak młot ko-walski, a on podejmował nadludzki wysiłek, by je opanować. Oboje z Reese rozebrali się do naga i złożyli ubrania w przeznaczonych na to miejscach. Trudno mu przyszło rozstać się z nożem - trzymał go do ostatniej chwili i musiał kilka razy głęboko odechnąć, zanim się zmusił, by włożyć go do pojemnika. Gdy to w końcu zrobił, czuł na sobie wzrok Reese. Syntetyczny głos powrócił, polecając im, żeby włożyli leżące na podłodze okulary z filtrem UV i unieśli się pośrodku śluzy z rękami podniesionymi nad głowę. Mieli powiedzieć „OK”, jak będą gotowi.

Po wykonaniu polecenia zapaliły się lampy ultrafioletowe, szybką, intensywną dawką zabijając bakterie na skórze. Następnie skierowały się na nich chromowane dysze i omiotły ich ciała łagodną mgiełką środka odkażającego. Steward starał się nie drżeć pod jedwabistym dotknięciem aerozolu. Kiedy rozpylanie zakończyło się, włączono silne wentylatory, które wyssały dezynfekującą mgiełkę z pomieszczenia, wprowadzając w jej miejsce ciepły, wysuszający wiaterek. Zakreślił się w prawie nieistniejącym polu grawitacyjnym, wystawiając całe ciało na ciepłe powietrze. Z rękami nad głową wyglądał jak łyżwiarz wykonujący obrót na lodowisku.

Wentylatory stanęły i drzwiczki schowków otworzyły się z wyraźnym szczęknięciem. Syntetyczny głos polecił im się ubrać i wyjść drzwiami oznaczonymi migającym światłem. Reese odepchnęła się nogami od ściany i poszybowała przez śluzę do jednego ze schowków, a następnie otworzyła go i wyjęła ze środka ubranie. Steward zauważył na jej ciele starą bliznę, przecinającą dolną część pleców.

Ubrania były suche, ciepłe, i śmierdziały środkiem odkażającym. Zostały elegancko złożone. Wszystkie kieszenie były otwarte - jacyś ludzie, lub roboty, przetrząsnęli je w poszukiwaniu niebezpiecznych przedmiotów. Niczego nie brakowało. Steward, z ustami wyschniętymi ze zdenerwowania, sięgnął do pojemnika na przedmioty i podniósł klapę. Jego nóż czekał na swoim miejscu. Szpilka kredytowa wyfrunęła na zewnątrz. Chwycił nóż i dopiero potem sięgnął po ubranie. Reese spojrzała na niego, wskazując wzrokiem jakieś urządzenia pod ścianą. - Wygląda mi to na skanery rentgenowskie - powiedziała. - Szukali implantów.

- Ja ich nie mam - odparł Steward.

- Ja mam kilka prętów w kostce. Dzięki temu się trzyma. Cie-kawe, czy mnie o to zapytają.

Reese kręciła się niezdarnie w powietrzu, próbując wciągnąć spodnie. Wyciągnęła rękę, oparła ją o ścianę, by się zatrzymać i zapięła rozporek na rzep.

- Bakterie jelitowe pewnie im nie szkodzą - powiedziała. - Nie dali nam czopków.

- Mogą jeszcze dać w następnym pokoju.

Skończyli się ubierać. Reese wcisnęła przycisk otwierający drzwi wyjściowe. Odsunęły się zgrabnie w jedną stronę i do ślu-zy wpadła obca bryza.

Powietrze w Poselstwie Mocnych było gęste i aromatyczne, a także chłodniejsze niż w części Westy zamieszkałej przez lu-dzi. Przepęłniała je organika, gazowa zupa, łaskocząca delikat-nie w skórę. Steward poczuł na języku smak zbliżony do droż-dży. Czytał, że Mocni używają hormonów do porozumiewania się, ale nie zdawał sobie sprawy, iż znajdzie się ich w powietrzu tak dużo, że chodzenie w nim będzie przypominało pływanie we mgle.

Wyszedł za Reese do sąsiedniego pomieszczenia i serce w nim podskoczyło, bo zobaczył mężczyznę w mundurze służby bezpieczeństwa Brighter Suns, który stał pod ścianą z nogami na pasie rzepa. Steward spał się, gotowy do walki, nagle niesamo-wicie świadomy ucisku noża na bocznej części brzucha. Strażnik trzymał w ręku skaner. Miał jasnopomarańczową skórę, świad-czącą o nadużywaniu preparatów karotenowych. - Pani Reese? - powiedział mężczyzna. - Jeśli można, chciał-bym rzucić okiem na pani kostkę.

Steward ostrożnie przesunął się w róg pokoju, opierając ple-cy o ścianę, a nogi stawiając na pasku rzepa na podłodze. Reese podpłynęła do strażnika i zawisła na ścianie w pobliżu jego stóp. Tamten wyciągnął rękę ze skanerem i przesunął nim parę razy obok kostki Reese. Szukał materiałów wybuchowych, implantu, albo zasobników z niebezpiecznym materiałem biologicznym. Gdy skończył, uśmiechnął się i cofnął skaner. - Wszystko w porządku - powiedział. - Wasz kierowca czeka po drugiej stronie drzwi.

Steward odepchnął się mocno od ściany w kierunku kolej-nych drzwi, mając nadzieję, że uda mu się zaskoczyć strażnika. Dopadł do wyjścia, wcisnął przycisk otwierania i wypadł na ze-wnątrz jak tylko drzwi zaczęły się rozsuwać. Dźwięk, który go ota-czał, przypominał zawrodożenie rozstrojonych organów. Włosy sta-nęły mu na karku. Pomieszczenie, w którym się znalazł, było ogromne i pełne Mocnych.

Coś skręciło się w jego wnętrzościach. W powietrzu dawał się wyczuć kwaśny posmak - w przedsionku śluzy był mocno przy-tłumiony. Mocni kompletnie go ignorowali. Ich centauropodobne ciała poruszały się z olbrzymią prędkością po ogromnej hali, na-pędzane kopnięciami ich silnych tylnych nóg. Zarówno przednie nogi, jak i patykowate ręce wystawiali na wprost, by zamortyzo-wać impet zderzenia. Oczy w ich giętkich głowach ani na chwilę nie przestawały się poruszać. Dźwięki organów wydobywały się z górnych nozdrzy, odbijając się echem od kamiennych i stopo-wych ścian. Steward nie zdawał sobie sprawy, że będą mieli tak duże rozmiary. Choć byli niżsi od niego, masa ich ciała przewyż-szała ludzką co najmniej dwukrotnie. Owa wielkość wywołała przerażające wrażenie.

Byli też nieprawdopodobnie szybcy. Ich głowy się chwiały, a ciała, ręce i nogi poruszały się z nieludzką płynnością, gdy zbliżali się do siebie i odgrywali swoje rytuały posłuszeństwa i władzy.

Reese wolno wypłynęła z otworu drzwi. Jej głowa kręciła się, jakby była na obrotowej podstawie, badając rozbrzmiewającą piskliwym echem salę.

- O Boże - usłyszał Steward.

- Myślałem, że do nich przywykłaś. Przecież zetknęłaś się z nimi na Archaniele.

Była blada.

- Nie lubię Mocnych. Pomimo że uratowali nasze tyłki na wojnie.

Nawoływanie organów wibrowało w uszach Stewarda. Wzdrygnął się i pomyślał o Griffisie.

- Niektórzy ludzie ich kochają - powiedział.

- Ja do nich nie należę.

Z drzwi wyłonił się strażnik. Na jego twarzy malował się wszystkowiedzący uśmiech. Steward pomyślał, że pewnie często miał okazję widywać tę reakcję u ludzi, którzy pierwszy raz znaleźli się na terenie Poselstwa. Mężczyzna zaszalował im niedbale i skoczył na drugą stronę sali, w kierunku wyjścia opatrzonego jasnopomarańczowym holograficznym numerem. Rozległ się dwukrotny dźwięk klaksonu. Reese spojrzała w dół i pociągnęła Stewarda za rękaw.

- Nasz prom - oznajmiła.

Steward oderwał oczy od Mocnych i ujrzał czekający w dole prom, mniejszy od poprzedniego, bo mający jedynie cztery miejsca i niecierpliwego kierowcę, ubranego w kombinezon Starbright.

- Przepraszam, że was poganiał - powiedział, gdy zaczęli sadzić się na swoich miejscach - ale sprawa jest pilna. - Jego akcent przypominał odrobinę południowoamerykański. - Automatyczne rozładowniki Mocnych rozpadły się zupełnie, a kupa naszych ludzi wróciła z czerwona po zjedzeniu jakiegoś zepsutego żarcia w barze.

- Nie ma sprawy - powiedziała Reese. - I tak nie miałam nic do roboty.

Steward posłał jej piorunujące spojrzenie.

Kierowca zawrócił. Miał niebiesko-czarną skórę i diamenty w łukach brwiowych oraz kościach policzkowych. Miejsce, w którym powinno znajdować się lewe ucho, zajmował implant odbiornika radiowego, wykonany z czarnego plastiku. - Tak przy okazji, nazywam się Colorado - powiedział. Steward spojrział mu w oczy, zastanawiając się, czy to on jest zabójcą. Mężczyzna sprawiał wrażenie zbyt prostodusznego, ale to o niczym nie świadczyło.

- Miło mi cię poznać - odparł Steward.

Colorado zatrąbił klaksonem i odpalił wodorowe dysze manewrowe pojazdu. Przewiózł ich przez salę, kierując się na zielony migający symbol holograficzny.

Kolejne pomieszczenie miało gigantyczne rozmiary - tak duże, że koniec wielokilometrowego doku ginał w mgiełce organicznego smogu, wytwarzanego przez Mocnych. Obcy przenosili tu i tam z pomocą robotów ogromne paki ładunku przy prawie całkowitym braku ciężenia. Prom wjechał na nie zautomatyzowany pas ruchu i trąbił przez połowę drogi, zanim zahamował. Jego elektromagnesy przywarły do żelaznej płyty, leżącej obok dwudziestometrowej, kwadratowej bramy doku. Czulo się tu inny zapach. Znacznie ostrzejszy.

Steward zaczął rozpinąć pasy.

- Cały ładunek jest przeznaczony dla Starbright - wyjaśnił Colorado. - A automatyczne ładowniki w statku Mocnych są bezużyteczne. Słyszałem tylko, że noszą się z zamiarem ukrzyżowania oficera technicznego albo głównego inżyniera; nie wiem, jak to się tam nazywa. Naszym zadaniem jest wejść do ładowni, chwycić kontener własnymi rękami, wytaszczyć go przez rękaw do doku i postawić na

palce. I tak aż do końca. Stąd zabiorą to już ro-boty stacji. - Spojrzał na Stewarda i uśmiechnął się. - Miałeś do-bry pomysł, żeby wziąć swój kask ochronny. Ci, którzy nie mają, muszą udać się do magazynu.

Steward przepracował półtorej zmiany, pocąc się niemiło-siennie w hełmie i kurtce; nikt nie próbował go zabić. W powie-trzu pachniało ozonem. Niemalże czuł iskierki, przy każdym ru-chu wyskakujące mu z włosów na rękach. Oprócz dziewięciu lu-dzi, w skład brygady wchodziło jeszcze czterech Mocnych, którzy uwijali się jak demony. Poruszali się bezgłośnie, jeśli nie liczyć piskliwych zawodzeń organowych, które wznosiły się w dziwnych minorowych akordach, ilekroć pojawiał się ich przełożony, by sprawdzić postęp prac.

Ładunek, czymkolwiek był, składał się z jednakowych konte-nerów ze stopu, wyposażonych w urządzenia umożliwiające spry-skiwanie zawartości środkami dezynfekującymi lub promienio-waniem przed przetransportowaniem ich poza strefę Poselstwa. Żelazne płyty, umieszczone na bokach kontenerów, służyły do przytrzymywania ich przy podłodze ładowni lub magazynu za po-#11 - Ryk tornada mocą elektromagnesów. Praca Stewarda polegała na przymoco-waniu nadtlenkowych dysz manewrowych do kontenera, wyłączeniu magnesów i wyprowadzeniu go z ładowni na umocowaną w ścianie doku paletę. Było to niełatwe zadanie - niektóre kon-tenery ważyły do sześciu ton. Grawitację można było zaniedbać, ale pędu już nie, bo tak masywny kontener mógł uszkodzić ścia-nę ładowni, jeśli by w nią uderzył. Steward prowadził swoje kon-tenery z największą ostrożnością.

Pod koniec drugiej zmiany zostało jeszcze dużo do zrobie-nia. Opróżnili jedną ładownię i zabrali się do drugiej. W niena-ruszonym stanie czekała jeszcze trzecia.

Po pracy Colorado zabrał Stewarda i Reese do ludzkiego osiedla wewnątrz olbrzymiej wirówki Poselstwa. Przyszło im po-dzielić się małym, dwupokojowym apartamentem gościnnym. Otrzymali również kupony na posiłki w miejscowym barze. Boga-ty aromat Mocnych był tu już tylko elementem tła. - Zostałbym, żeby pokazać wam okolicę i wypić drinka - po-wiedział Colorado - ale jestem śmiertelnie zmęczony. Pracowa-łem przez dwie i pół zmiany. Przepraszam, że będę tak nietowa-rzyski.

- Nie pójdziesz z nami nawet do baru? - spytał Steward.

Pokręcił głową.

- Dzwoniłem do mojego mieszkania z doku i kazałem mu ugotować obiad. Zamierzam zjeść i walnąć się do łóżka. - A zatem do jutra.

Bar jest w porządku, pomyślał Steward. Przybytek był całko-wicie zautomatyzowany. Steward wybrał przypadkową pozycję z menu, by uniknąć trucizny. Usiadł plecami do ściany i jadł, zachowując czujność.

Reese przyglądała mu się z cichym rozbawieniem. Jej zacho-wanie go irytowało.

- Zamierzasz zdjąć hełm, gdy będziesz kładł się spać?

- Być może.

- Gdyby im zależało - powiedziała - mogli równie dobrze wejść na pokład „Borna” i cię zabić. Przecież o tym wiesz. Zastanowił się przez chwilę nad tym, co usłyszał, po czym skinął głową. Reese miała rację.

Nie przeszkodziło mu to jednak zablokować drzwi krzesłem, gdy kładł się spać. Włożył nóż pod poduszkę. Następnego dnia miał pracować na dwie zmiany, z godzinną przerwą na posiłek. W trakcie przerwy, w barze przyłączył się do niego Colorado ze swoją przyjaciółką o nazwisku

Navasky, wysoką dziewczyną w wieku około szesnastu lat, z włosami blond i bladą cerą, jak również z pewną doskonałością szczegółów i de-likatnością, charakterystyczną dla ludzi o zmodyfikowanym ko-dzie genetycznym. Miała twarz pomalowaną na żółto, z czerwo-nym paskiem na spojeniu nosa.

Wcześni imagiści odważnie wkroczyli w dziedzinę inżynie-rii genetycznej, mając nadzieję, że uda im się jednym susem wyskoczyć z więzienia ludzkiego ciała prosto we wspaniałą i nieprzewidywalną przyszłość - okres, w którym osiągnięcia imagizmu zakrzywiały się do nieskończoności, „postludzkiej jednostki” zbudowanej z „postludzkich sylab”. Stworzyli praw-dziwe cuda: podwyższyli inteligencję i zdolność pojmowania, ale zadbali też o adaptację do nieziemskich środowisk i o ludzi drugiego stopnia, żyjących wiecznie w warunkach całkowitego braku ciężenia - prawdziwych mieszkańców kosmosu. Posu-wali się jednak za szybko i nie docenili kruchości ludzkiego DNA, z którym eksperymentowali. Ich superinteligentne, su-perintuicyjne istoty okazały się podatne na schizofrenię, epi-lepsję, ataki paranoi. Ich układy immunologiczne nie potrafi-ły oprzeć się nawet najpośledniejszym bakteriom. Imagiści nie rozumieli ograniczeń ludzkiej struktury genowej - że podbi-cie jednej cechy może się odbywać kosztem innych. Ludzie drugiego stopnia żyli sobie z powodzeniem w swoich pozbawio-nych ciężenia osiedlach i przydawali się do produkcji dóbr ze-rograwitacyjnych, lecz ich mocniejsi przodkowie lepiej spisy-wali się przy dużych przeciążeniach, jakie panowały w przy-spieszających statkach. A to właśnie owe statki są motorem napędzającym handel, transportując towary aż za orbitę Sa-turna.

Neoimagiści prezentowali skromniejsze podejście do świa-ta. Delikatność Navasky stanowiła dowód, że jej umysł zmie-niono w minimalnym stopniu. Była przy tym wystarczająco sil-na, by wraz z Colorado i Stewardem rozładowywać ładownie statku Mocnych. Dostała się do Starbright na stypendium, co znaczyło, że zaliczała się do tych najlepszych dwu procent ludz-kości. Zaczynała na samym dnie handlowego interesu, lecz jej celem była ranga kapitana statku kosmicznego. Zanim zaczęła jeść, wprawiła Stewarda w zdumienie czyniąc pokłon przed talerzem i odmawiając modlitwę. Steward nie miał pojęcia, kto był jej adresatem.

- Poprawili mi przewodzenie w ośrodkach mowy - powie-działa podczas posiłku, omawiając swoje geny, przeszłam specjal-ne szkolenie w zakresie teorii stosunków towarzyskich. Zmiany genetyczne miały uczynić ze mnie skutecznego dyplomatę, a przecież właśnie takimi umiejętnościami musi się często wyka-zywać kapitan statku. Podczas długich lotów brak kontaktu trwa całymi miesiącami, a jak jest na misji eksploracyjnej, nierzadko musi negocjować ze statkami innych polikorporacji. Albo obcy-mi, jak im się trafi jakaś nowa rasa.

- Rozumiesz język Mocnych? - spytał Steward. Navasky zmarszczyła brwi. Popijała herbatę z tuby i zasta-nawiała się nad odpowiedzią.

- Sporo rozumiem - powiedziała po chwili - ale nie wszystkie znaczenia i konteksty. Tylko proste rzeczy. Ich idiomatyka pełna jest odniesień i schematów, których ludziom nie udało się jeszcze rozwikłać, nawet przy pomocy Mocnych - na jej twarzy pojawił się pewny siebie uśmiech. - Ale ja dopiero zaczynam. Gdyby nie ten ładunek, siedziałabym teraz na wykładzie - obróciła ramię i zrobiła minę. - Nie jestem przyzwyczajona do dźwigania. - Nie te geny - podsumował z uśmiechem Colorado. Nava-sky roześmiała się i objęła go.

Steward również się uśmiechnął. Wszyscy byli teraz rozluź-nieni, więc może jego pytanie nie wyda się nikomu dziwne. - Właśnie sobie przypomniałem, że kilka miesięcy temu czytałem o biologicznym alarmie na Weście. Chodziło o jakieś skażenie.

Colorado zrobił dziwną minę. Navasky odstawiała tubę z herbatą. W jej oczach widział zdenerwowanie. Od kiedy Orbital So-viet padł ofiarą serii biologicznych ataków, mieszkańcy kosmosu wykazywali powszechną tendencję do traktowania tematu skażenia z dużą dozą paranoi, a neoimagistyczna przeszłość Navasky czyniła ją zapewne szczególnie wyczuloną na bakteriologiczne epidemie.

- Byłam wtedy po drugiej stronie - wyjaśniła. - Nie dostałam pozwolenia, więc nie mogłam wejść na teren Poselstwa - spojrzała na swojego przyjaciela. - Ale Colorado tam był. Mężczyzna utknął wzrok w talerzu.

- To był zły czas - powiedział. - Nie było mnie w pobliżu w najgorszym momencie.

- Komuś coś się stało? - spytał Steward.

Colorado skinął głową.

- Kilka osób. Epidemia wybuchła w zasadzie tylko na terenie Mocnych. Cały czas organizują tu próbne alarmy. W momencie gdy ogłoszono alarm każdy wiedział, że ma pozostać w pokoju albo biec do najbliższego schronu przeciwradiacyjnego. Załogi statków Mocnych po prostu zamknęły za sobą wszystkie śluzy, lecz reszta, Mocni żyjący na Weście... Im nieźle się dostało. Mówi się, że policja Mocnych strzelała do wszystkich zarażonych Mocnych. Zresztą i tak było dużo trupów, z tego, co mi mówiono. W całym Poselstwie czuło się woń - wzruszył ramionami - chyba ciał Mocnych. Chyba tak. Okropne. Musiało ich tam leżeć bardzo wiele. - Nie powinniśmy o tym rozmawiać - wtrąciła Navasky i rzucała przez ramię nerwowe spojrzenie.

- Zginęło też kilku ludzi. Pewnie zostali stratowani na śmierć przez galopujących Mocnych. Mówią, że Mocni wpadli w szal, jak dowiedzieli się, że są zakażeni. Spowodowali sporo szkód w swoich własnych kwaterach. Gdy wróciliśmy do pracy, w dokach też panował okropny bałagan.

- Ale to nie trwało długo - dodała Navasky.

- Tylko kilka dni...

- Tylko kilka dni. Najwyraźniej wszyscy zakażeni Mocni zachorowali w ciągu godzin, więc epidemia szybko się wypaliła. Teraz nie wpuszczają już żadnego człowieka do swoich kwater, żeby przypadkiem nie przyniósł czegoś ze sobą. Steward żałował, że nie może tego nagrać. Jego mózg gotował się, próbując wszystko zapamiętać. Gdyby tylko nie był tak bardzo zmęczony...

- Poza tym, jest teraz ten nowy Samuel - powiedziała Nava-sky. W głowie Stewarda coś zaskoczyło, jak elektroniczny przekaznik. Jakimś sposobem wiedział, że to jest ważne. Colorado spojrzał na Navasky z pytaniem w oczach. Obróciła swoje ciemne oczy na Stewarda.

- Samuel to Naczelnik Poselstwa Mocnych - wyjaśniła. - Wiesz, Mocni nie posiadają imion we własnym języku; mają tylko tytuły, jak na przykład Drugi Kuzyn Do Spraw Utylizacji Śmieci - roześmiała się, a Steward jej wtórował, próbując zachęcić ją do dalszej wypowiedzi. - Wszystkim ważnym Mocnym - ciągnęła dalej - nadano ludzkie imiona, ponieważ utrzymują sto-sunki z pracującymi dla nich ludźmi. Te imiona są jedynie próbą stworzenia czegoś w rodzaju ludzkiej osobowości medialnej, tak by ludziom łatwiej było się do nich odnosić. Teraz, gdy spędziłam już trochę czasu w towarzystwie Mocnych, nauczyłam się ich od siebie odróżniać. Widziałam Samuela na taśmach nagranych przed epidemią i jestem pewna, że to już nie ta sama osoba... To znaczy Mocny.

Steward nachylił się do niej bliżej.

- Myślisz, że umarł? - spytał.

Navasky najwyraźniej przestraszyła się napięcia w jego głosie, więc odchylił się z powrotem na

oparcie, wziął głęboki wdech i spróbował się uspokoić, rozluźnić naprężone mięśnie ramion i barków, zachowywać się, jakby odpowiedź nic dla niego nie znaczyła.

- To chyba dość prawdopodobne - odpowiedziała, lekko zbita z tropu.

Navasky posiadała wszechstronne wykształcenie, a także genetyczną adaptację w kwestii czytania w umysłach ludzi, jak również przekonywania ich i manipulowania nimi. Zobaczyła w Stewardzie coś dziwnego, co kazało jej się zastanowić. Musiał ją szybko skłonić do mówienia - zanim dojdzie do wniosku, że Steward jest szpiegiem, który sprawdza ją na zlecenie szefów ze Starbright, czy nie wypaple jakichś tajnych informacji. Uśmiechnął się, próbując rozwiać podejrzenia dziewczyny. - Chciałbym dowiedzieć się czegoś - powiedział - o organizacji społecznej Mocnych. Co się dzieje, gdy umiera Naczelnik Poselstwa?

- Są całkowicie zhierarchizowani. - Wyraz twarzy Navasky zdradzał wahanie i lekką podejrzliwość. Wyrażała się precyzyjnie, bacznie zwracając uwagę na każde słowo, by nie wymknęło się spod kontroli. Steward przeklinał w duchu własną lekkomyślność. - Tylko Samuel jest upoważniony do podejmowania pewnych decyzji. Gdyby teraz wypłynęło coś ważnego, musiałby odwołać się do swoich przełożonych spoza tej stacji w celu rozstrzygnięcia.

- A jego szefowie są przez miesiące pozbawieni wszelkiego z nim kontaktu - dodał Steward.

Navasky skinęła głową. Steward miał przeczucie, że nie udałoby się od niej wyciągnąć więcej, niż jest skłonna powiedzieć. Pił wodę z wyciskanej tuby i rozmyślał. Biologiczny atak Alfy ściał głowę hierarchii Mocnych, czyniąc ich niezdolnymi do radzenia sobie z każdym poważniejszym problemem lub potencjalnym kryzysem. Zdziętkował także populację Mocnych, obniżając efektywność kolonii jako całości, spowalniając tempo przepływu towarów na czekające statki. Posiłki są już zapewne w drodze, a tymczasem Mocni ściągają kogo się da z załogi dokujących statków. Steward zastanawiał się, jaka sprawa była na tyle ważna, że skłoniła Curzona i Consolidated Systems do przeprowadzenia takiego ataku właśnie w tym momencie. Zablokowali Starbright na co najmniej rok. Dlaczego ów rok był tak istotny? - Czy to wszystko ma dla ciebie jakieś specjalne znaczenie?

Dlaczego pytasz? - spytał Colorado.

Steward wzruszył ramionami.

- Znam kogoś na Ziemi, kto spędził sporo czasu z Mocnymi i kto ich naprawdę uwielbia. I nie może polecieć w kosmos, bo ma jakąś tam chorobę - wyjaśnił.

Navasky wciąż mu się przyglądała, próbując odczytać mowę jego ciała, zabarwienie głosu. Colorado natomiast wyraźnie się odprężył.

- Tak, tu też mamy takich miłośników Mocnych - powiedział kręcąc głową. - Dziwni ludzie. To chyba nawet nie jest uwielbienie. To tak jakby Mocni byli tym, czego potrzebują. Navasky zdjęła dłoń ze stołu i położyła ją na udzie Colorado. Spojrzał na nią zaskoczony. Zaciśnęła usta i wskazała nieznacznym ruchem głowy za siebie. Colorado wyglądał na przestraszonego i za chwilę jego oczy uciekły od Stewarda jak zamykająca się migawka aparatu. Nachylił się nad talerzem. Steward zrobił to samo. Czuł na sobie inną parę oczu. Reese obserwowała go, jak spieszenie kończył posiłek. Obserwowała go od początku. I niewątpliwie wyciągnęła z tego własne wnioski. Tworzyli grupę osób ubranych w jednakowe kombinezony, podobne do pozbawionych kołnierzyka mundurów Starbright, tylko że nie szare, lecz ciemnopurpurowe. Przez ich piersi i plecy przebiegał złowieszczy jasnoczerwony pasek wyglądający jak oznaka zakonu rycerskiego. Stali przy sąsiednim doku, skupieni wokół jednego ze stopowych kontenerów średniej wielkości. Właśnie dopiero co otworzyli ten kontener i kilku z nich rozgarniało piankę ochronną, wyciągając z niej małe plastikowe pudełka.

Steward zauważył ich, gdy prowadził obok swoją sześciotono-wą skrzynię. Rozglądając się bez przerwy na boki, uruchamiał na przemian dysze i trąbił klaksonem, by upewnić się, że droga jest wolna i wszyscy dookoła go widzą. Ludzie w ciemnopurpurowych strojach, przytwierdzeni do sufitu komory doku za pomocą przy-ssawek, nie zwracali na niego uwagi. Jeden z nich, niski, ciemno-skóry mężczyzna z beczkowatą klatką piersiową, wziął jedno pu-dełko, podszedł do swoich towarzyszy i otworzył je. Ze złością pa-trzył na zawartość.

Nagle Steward poczuł, że jego umysł obmywa fala olśnienia. Obrazy tłoczyły się przed oczami pamięci w przyspieszonym tem-pie. Sereng. Icehawks. Szkolenie terenowe. Wisi na sznurowej drabince, kręcąc się w kółko przy trzydziestowężłowym wietrze. Na nogach ma nepalskie buty z rakami, wbite w giętki szczebel o kilka centymetrów od swojego nosa. Sereng, prawie ginący pod swoim plecakiem, lecz uśmiechnięty. Przy pasie ma ogromny za-krzywiony do wewnątrz nóż, który wygląda jak zaostrzona i za-mieniona w stal łopata jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia. Jego oczy błyszczą spojrzeniem ostrym jak jego nóż.

Stewardowi zrobiło się gorąco. Zmęczenie nagle ustąpiło. Przeskakiwał wzrokiem od Serenga do stopowej palety. Zatrzy-mał swój kontener, obrócił go i opuścił łagodnie na przeznaczone dla niego miejsce. Pokazał drugiemu, by włączył elektromagne-sy trzymające kontener przy palecie i poczuł potężne uderzenie, gdy ogromna skrzynia wylądowała na żelaznych płytach. Zaraz potem odczepił zestaw dysz do manewrowania i odepchnął się mocno w kierunku patrzącego w pudełko Nepalczyka. W locie przyciągnął nogi, by się obrócić i wylądował na stojąco na pa-skach rzepa tuż przed Serengiem.

Mężczyzna podniósł wzrok. Miał nieco pełniejszą twarz, niż Steward pamiętał, i mniej sprężyste ciało. Patrzył na Stewarda nieobecny-m spojrzeniem, zamyślony, nie okazując zdziwienia. Zapuścił wąsy. Głos był jednak wciąż ten sam.

- Kapitan - powiedział.

- Witaj - odezwał się Steward. - Wieki cię nie widziałem. Co robisz tak daleko od domu?

Sereng w milczeniu zamknął pudełko. W środku było coś lśniącego, z cewkami i miejscem na baterię - mała jednostka chłodząca, nieprzekraczająca rozmiarem pudełka papierosów. - Jestem członkiem Poselstwa Mocnych - odpowiedział Se-reng. - Obywatel-em ich społeczeństwa. Nie poznałeś po mundurze?

Steward nie krył zaskoczenia. Sereng był żołnierzem, a nie handlarzem czy dyplomatą. Nie rozumiał, jaki pożytek mogliby mieć z niego Mocni.

- Nie znam się jeszcze na mundurach Brighter Suns. Pracu-ję w Starbright. Jestem tu przez przypadek. Sereng skinął głową.

- To dobra praca - powiedział. - Cały czas jestem z Mocnymi.

To mi pasuje.

Coś było nie tak z oczami Serenga. Jakby przesłaniała je ja-kaś mgła. To nie takie oczy Steward pamiętał. W okolicy łokcia Stewarda zabrzmiał tubalny głos. Steward aż podskoczył. Stał tam Mocny. Z jego dolnej skrzynki głosowej dobywała się precyzyjna, szlachetna angielszczyzna, jak zapo-wie-dź spikera na wideo.

- Wykroczenie - mówił głos. Ręce Mocnego poruszały się szybko, kreśląc w powietrzu skomplikowane wzory. Steward wzdrygnął się, czując kwaśny zapach przybysza. - Nie wolno ci rozmawiać z personelem Poselstwa. To naruszenie twojego kon-traktu. Twoja polikorporacja

zostanie ukarana. - Proszę o wybaczenie. Znam tego człowieka od lat. Nie miałem pojęcia, że jest członkiem Poselstwa.

- Czyż nie wytłumaczono ci znaczenia munduru? Ten mężczyzna jest członkiem Poselstwa w trakcie kwarantanny. Poślę notę protestacyjną do konsula Starbright.

Wspaniale, pomyślał Steward. Tego mu tylko brakowało, żeby stać się powodem kolejnego incydentu, o którym dowie się Lal.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Nota protestacyjna nie będzie konieczna. Zostałem poinformowany i ostrzeżony - obrócił się przez ramię. - Przepraszam, że zawracałem ci głowę, Sereng - powiedział, lecz Nepalczyka już tam nie było. Szedł właśnie z powrotem w stronę grupy zgromadzonej przy kontenerze. - Idź już, idź - powiedział Mocny. Jego ręce wykonywały nożycowe ruchy obok kolan Stewarda, jakby chciały poprzecinać mu ścięgna. Steward zobaczył Colorado, zmierzającego ku niemu z wyraźnym pośpiechem.

- Tak, oczywiście. Bardzo przepraszam - powiedział Steward, ustępując Mocnemu.

Wielka dłoń Colorado spoczęła ciężko na jego ramieniu.

- Co się z tobą dzieje? - spytał, ciągnąc Stewarda do siebie.

- Nie słyszałeś o tych cholernych czerwonych paskach?

- Nie, nie słyszałem. A co?

Colorado był wściekły.

- A to, że ktoś tu się podłożył. Twoim obowiązkiem było pójść na wykład na temat kontaktów z personelem Mocnych. - Jeden z nich jest moim starym przyjacielem. Czy oni naprawdę są obywatelami Mocnych?

Colorado spojrzał na stojącą nieopodal grupę. Jego palce mocniej zacisnęły się na ramieniu Stewarda. - Pewnie, że są, do cholery. To jedyni ludzie, którym wolno wchodzić do części wirówki, w której mieszkają Mocni. To właśnie ci szaleńcy.

- Ci, co ich kochają.

Colorado splunął. Kulka śliny poleciała w głąb pomieszczenia i zniknęła w oddali.

- Ci, co mają ser zamiast mózgu.

Steward podniósł wzrok, bo między nim i rzędem jupiterów, oświetlających tę część doku, przemknął jakiś cień. To była Reese. Owinęła wokół siebie pasy uprząży do manewrowania i unosiła się nad nim, ustalając pozycję krótkimi strzałami nadtlenku z dysz. - Jakies kłopoty, Steward?

Spojrzał na nią.

- Znałem przedtem jednego z tych facetów. Służyłem z nim w Icehawks. A teraz jest jakimś nietykalnym tabu. - Ludzie w purpurowych kombinezonach z paskiem - powiedział Colorado. - Trzymaj się od nich z daleka. - Oczy mu się zwięzły. - Powiedziałeś: Icehawks? - zapytał.

- Jestem starszy, niż na to wyglądam.

Reese zgięła się wzdłuż, by przyrzeć się grupce ludzi między rozkraczonymi nogami.

- Ja też znam kogoś z nich - stwierdziła z zaskoczeniem. - Wysoka z rudymi włosami. Była w oddziale rozpoznawczym na Archaniele. - Zamilkła na moment. Gdy spojrzała na Stewarda, w jej oczach czaiło się pytanie. - Czy to możliwe, że oni wszyscy są byłymi żołnierzami? Do czego Mocni

ich potrzebują? - Pracują dla Samuela - odparł Colorado. - Budują jego wi-zerunek medialny, aranżują przekaz informacji dochodzących z przestrzeni Mocnych, negocjują umowy handlowe. - Ale po co mu byli wojskowi? - spytała Reese. - Cholera wie - odparł Colorado. - Podobno nigdy nie opusz-czają Poselstwa.

Steward milczał. Myślał o oczach Serenga.

W kabinie Stewarda znalazło się coś nowego. Podobnie jak SuTopo miał bonsai, Fischer - swoje góry, a poprzedni lokator - wargi sromowe anonimowych kobiet, Steward uprzedmiotowił wszystkie swoje aspiracje w jednym obrazie. Wyciął go z jakiegoś czasopisma w dniu, gdy „Bom” opuścił Westę. Obraz przedstawiał zestaw wideo w białej plastikowej obudowie. Na ekranie widniała poszarpana mgła linii interferencyjnych. Za nimi można było dostrzec, lub wyobrazić sobie, jakąś niewyraźną treść.

Kwintesencja pragnień Stewarda.

Miał ten obraz w swoich myślach, wymieszany z odczytami silników, które wciąż pulsowały mu w głowie, które nie znikwały nawet po sześciogodzinnym śnie. Wysokie ciśnienie związane z przyspieszaniem statku mieli już za sobą i „Born” był w trakcie pięćdziesięciodwudniowej podróży powrotnej na Chartera. Ziemia i Westa oddaliły się znacznie od siebie od czasu poprzedniego lotu, w związku z czym tym razem miał on trwać dłużej. By dać wszystkim odpocząć po długich trzech dniach z półtora g, wirówka „Borna” została zablokowana i Steward wisiał nieważki w swojej siatce, z rękami unoszącymi się przed nim jak nogi martwego zwierzęcia.

Chciało mu się pić. Cały składał się z ognisk bólu. Odczyty silników nie chciały wyjść z głowy.

Ale żył. Zabójcy nie pojawili się i Steward delektował się intensywnością bólu, pragnieniem, zimnym ogniem odczytów w paśmie wzrokowej. Wszedł i wyszedł z Westy, miał kilkanaście szpilek przemyconych danych i czuł już dotyk ręki Alfego na swoim ramieniu, widział jego twarz za szumem interferencyjnym, rzuconym mu w oczy przez wroga i jego służby. Zaczynał być coraz bliżej prawdy.

Czas zrobić kolejny krok. Czas sprawdzić, co jest na szpilkach.

Zamknął drzwi kabiny i przekręcił zamek. Potem odłączył swój komputer od centralnego komputera statku, na wypadek gdyby Taler miał jakiś program podglądający, co robią pracownicy Starbright przebywający na ich statkach. Gdy już wszystko przygotował, włożył pierwszą szpilkę i przeglądał ją, aż trafił na FILESECUR-.STEWARD.1. Czuł isierki w opuszkach palców. Po to właśnie wykradł się na Westę.

Wziął głęboki oddech i wyświetlił zawartość pliku. Pierwsza strona zawierała ostrzeżenia, że ktokolwiek będzie czytał te akta bez odpowiedniego poziomu upoważnienia, narazi się na różne kary - więzienie, terapię modyfikacji zachowania, a nawet egzekucję. Część informacji zawartych w pliku miała najwyższą klauzulę tajności.

Po plecach Stewarda przebiegł dreszcz rozkoszy. Uśmiechnął się. Zapowiadało się doskonale.

Po stronie ostrzeżeń następowała część medyczna, gdzie znalazł historię leczenia, statystyki analiz lekarskich, wczesny życiorys. Cały tekst przepełniony był odnośnikami do wyników badań medycznych i psychologicznych zawartych w dalszych częściach pliku. Potem na ekranie pojawił się jego życiorys z okresu po Szeolu.

Steward nie umiał czytać prędkiej.

Steward Alfa po powrocie z Szeolu pracował w wielu miejscach na Ziemi, lecz nigdzie nie odnosił sukcesów. Miał zatargi z prawem, głównie zarzuty o napaść. Tuż przed urodzeniem dziecka Natalie dostała pracę w New Humanity i wyprowadziła się na orbitę Księżyca. Rok później, wciąż żyjąc w kosmosie, rozwiodła się z nim.

Myśli przepływały przez głowę Stewarda jak szeroka oceaniczna fala: roześmiana Natalie, przelatująca długim łukiem na drugą stronę bezgrawitacyjnej ładowni statku zmierzającego na Ricot; jej włosy przysłaniające twarz, jej zielone oczy skupione i pełne radości. Z tego, co wiedział, stacja New Humanity była pozbawionym grawitacji osiedlem, należącym kiedyś do imagistów i ich ludzi drugiego stopnia. Krążyła po wolnej orbicie wokół Księżyca. Wiedział wreszcie, gdzie mieszka Natalie. Tylko dla tej jednej informacji warto było to zrobić.

Czytał dalej.

Po rozwodzie Alfa zaczął pracować w dziale ochroniarskiej dla niewielkiej firmy o nazwie SonnenSystem Elite. Wynajmowali się jako ochrona osobista i wykonywali usługi wywiadowcze dla wielu małych korporacji, które nie miały jeszcze statusu narodów i nie posiadały własnych służb bezpieczeństwa. Alfa otrzymał zadanie zbudowania struktury zabezpieczenia przed penetracją dla małej, ale ambitnej firmy Sivi Source, specjalizującej się w implantach mózgowych, które umożliwiały ludziom natychmiastowe tłumaczenie wszystkich języków ludzkich i maszynowych. Sivi była paranoidalną firmą - na polu jej działalności istniała poważna i nie zawsze uczciwa konkurencja. Po serii dobrze sprzedanych nowatorskich produktów, Sivi sprzedała się Consolidated Systems i jej pracownicy musieli przenieść się na orbitę, by tam prowadzić prace nad problemem komunikacji ludzi z Mocnymi. Mniej więcej w tym czasie Steward Alfa został zwerbowany do aparatu bezpieczeństwa Consolidated Systems - najwyraźniej stał się nieoceniony dla Sivi po tym, jak udało mu się zniweczyć wiele dokonywanych przez konkurencję prób penetracji i dzięki swej skuteczności wpadł w oko ludziom z Consolidated. Wykupili jego kontrakt z SonnenSystem i zabrali go do centrali na Ricot.

Od tego momentu rozpoczyna się jego powolna droga w górę w hierarchii służby bezpieczeństwa Consolidated, spowodowana najwyraźniej dobrym wykonaniem rutynowych zadań. Wynalazł kilka metod, zapewniających Mocnym biologiczne bezpieczeństwo. Wymyślił sposób na kontrolowanie ogromnej rzeszy obcych obywateli, których pełno było na Ricot w każdej chwili. Poślubił tam też kobietę o nazwisku Wandis, która była inżynierem specjalizującym się w hodowli mozaikowych kryształów Penrose'a. Niedawno skończyła Ricot College i była o 10 lat młodsza od Stewarda Alfa.

Do akt załączono jej zdjęcie. Wandis miała jasne, krótkie włosy i ciemne oczy. Wokół jej lewego oka lśniły implanty kilku-nastu klejnotów, ułożone w promienistą gwiazdę. Uśmiechała się. Otaczała ją aura delikatności.

Steward patrzył na nią ze zmarszczonym czołem. Na widok tej twarzy nie odczuwał żadnych emocji. Alfa znalazł sobie ko-goś, kto stanowił maksymalne przeciwieństwo wszystkiego, czym była Natalie.

W ciągu kilku lat Alfa wspinał się na tyle wysoko w hierarchii Consolidated Systems, że przyciągnął uwagę hierarchii Brighter Suns. De Prey, w owym czasie pułkownik w Wydziale Pulsar, rozpoznał jego nazwisko i fotografię w aktach Wydziału i dokonał próby zwerbowania. Sam de Prey uzupełnił akta Stewarda o wyjaśnienie przyjętej przez siebie strategii rekrutacji. Gdy Steward zobaczył słowa pułkownika, poczuł, jak przenika go chłód. Głos de Preya odbijał się echem w jego głowie, gdy przebiegał wzrokiem stronę i wchłaniał każde zimne, doskonale przemyślane zdanie.

Polityka rekrutacyjna Icehawks skierowana była na konkretny typ ludzi, wystarczająco inteligentnych, by umieć myśleć, działać i przeżyć pod nieobecność swoich przełożonych, lecz zarazem posiadających silną potrzebę poświęcenia się wyższemu celowi - w szczególności założeniom i celom Coherent Light. Icehawks nie mieli być zawodowymi najemnikami, żołnierzami, czy zabójcami, lecz inteligentnymi i fanatycznymi wojownikami, dla których nie liczyło się nic poza

dobrem Coherent Light. Szczególnie często podejmowano próby werbowania jednostek pozbawionych korzeni, głównie obywateli żyjących na Ziemi na-rodów, których nie dosięgła indoktrynacja innych polikorporacji, i którzy pochodzili z miejsc, gdzie chaos i przemoc były codziennością. Ludzie tego pokroju mogli, na zasadzie kontrastu, postrzegać Coherent Light jako siłę służącą przywróceniu prawa i porządku. Indoktrynacja członków Icehawks nie koncentrowała się na treningu ideologicznym, lecz na budowaniu kultu religijno-militarnej mistyki. Mistycyzm zen, opierający się na percepcji ulotnej „prawdy” jako podstawy wszystkiego, prawdy wyzutej z prawideł moralnych, stanowił użyteczne narzędzie w tym procesie indoktrynacji.

Steward pomyślał o doktorze Ashrafie, przypominając sobie jego wrogość wobec używania zen w szkoleniu Icehawks. To były słowa Ashrafa, sparafrazowane w zimny i precyzyjny sposób przez pułkownika de Preya.

Sukces tej indoktrynacji widać najwyraźniej w wynikach kampanii na Szeolu, gdzie Icehawks byli posłuszni rozkazom do tego stopnia, że posuwali się nawet do samobójczych ataków na cele wskazane przez Coherent Light, pomimo iż zwykły instynkt przeżycia już dawno nakazywałby zupełnie inne zachowanie. To, że Steward pierwszy wyzwolił się z nakazów wpojonych mu w czasie treningu i stał się ogniskiem rebelii skierowanej przeciwko zwierzchnikom, którzy wciąż pozostawali lojalni wobec Coherent Light, jest nie tyle oznaką słabości techniki indoktrynacji, ile skutkiem obecności innych czynników w jego psychice. Steward znalazł się wśród ludzi, którzy przetrwali okres społecznego chaosu, jaki nastąpił po załamaniu się programu Far Jewel w Europie, i któremu towarzyszyło masowe niszczenie instalacji Far Jewel na terenie Europy.

Na Szeolu najwyraźniej powrócił do wcześniejszych wzorów zachowania, opartych w większym stopniu na walce o przetrwanie niż na lojalności. Można to interpretować jako porażkę indoktrynacji, lecz biorąc pod uwagę ekstremalne okoliczności wojny na Szeolu, indoktrynacja musiała zawieść w tym czy innym punkcie.

Steward warknął ze złością. Wymówki de Preya były zbyt rozwlekłe i zupełnie niepotrzebne. Jego indoktrynacja doprowadziła do śmierci ponad dziewięćdziesiąt procent jego własnych ludzi.

Choć koncentrowanie się na ideologii przetrwania dobrze służyło Stewardowi na Szeolu, było wyraźnie mniej skuteczne po powrocie na Ziemię. Wydaje się, zresztą nie tylko w przypadku Stewarda, że bezwzględna strategia przetrwania nie wystarcza do radzenia sobie ze stresem, związanym z nagłą utratą status quo, wymaganiami rodziny, upadkiem Coherent Light, pojawieniem się Mocnych i powrotem na ojczystą planetę, która w niewielkim stopniu podźwignęła się z ruin od czasu, kiedy ją opuszczał. Niewykluczone, że jego frustracja obróciła się do wewnątrz i doprowadziła do obarczenia samego siebie winą za własne niepowodzenia, co z kolei zniszczyło jego małżeństwo i całe nowe życie. Podłożem tych wydarzeń mogła być także ukryta chęć wyswobodzenia się spod ciężaru rodzinnych obowiązków.

Na czole Stewarda błyszczały kropelki potu. - Bezдушny sukinsyn - powiedział, a w jego myślach pojawiła się twarz de Preya. Pazury wyobraźni porwały ten obraz na strzępy.

Praca w SonnenSystem stała się przypuszczalnie punktem zwrotnym w jego życiu. Wydaje się, że Steward, z braku innych zobowiązań, poświęcił się całkowicie nowemu zajęciu. Wyjątkowe sukcesy, które tam odniósł, przyciągnęły uwagę służby bezpieczeństwa Consolidated Systems. Przyjmując nową ofertę pracy mógł mieć nadzieję, że jego dawne poczucie lojalności i zaangażowania w sprawy Coherent Light trafiło właśnie na podatny grunt i może się ponownie

rozwinąć. Jednakże doniesienia doty-czące jego pracy w Consolidated Systems wskazują, że zamiast brać udział w budowaniu nowej przyszłości, na co mógł poten-cjalnie liczyć, wykonywał niezbyt inspirujące zadania. Robił to przy tym z dużą kompetencją, jeśli nie entuzjazmem. Próby rekrutacji Stewarda do Brighter Suns powinny ba-zować na poczuciu celowości, jakie człowiek ten miał, gdy pra-cował w Coherent Light. Agent werbujący musi starać się roz-budzić to uczucie lub przynajmniej tęsknotę za nim. Ostrożne napomknięcie o nazwisku de Preya może pomóc w przypo-mnieniu Stewardowi jego dawnego środowiska i dawnych przyjaciół...

Stewarda rozśmieszyło, że pułkownik określa się w trzeciej osobie. Pomyślał o pedantycznym wizerunku, jaki kreował przed swoimi Icehawks, wizerunku kogoś więcej niż tylko do-wódcy - nauczyciela i przewodnika, poświęcającego się całkowi-cie, by uczynić swoich żołnierzy najlepszymi... a oto jego praw-dziwa twarz, odsłaniająca zimną próżność tego człowieka, który przywdziewał maskę bohatera tylko po to, by móc manipulować podwładnymi. Czuł niesmak. Zaczął czytać dalej i nagle osłu-piał.

Należy również podjąć kroki, zmierzające do ustalenia, czy Steward jest uzależniony od wijki i czy żywi urazę do Consolida-ted jako sprawcy tego uzależnienia, czy też jest im za nie wdzięczny.

Uzależniony od wijki. Te słowa wibrowały mu w głowie, więc wypowiedział je bezgłośnie, sprawdzając ich brzmienie na języ-ku. Serce zaczęło bić mu szybciej. Cofnął się natychmiast do czę-ści medycznej. Zapalenie wyrostka, szkarlatyna, malaria... aaa, jest. Znamię wijki. Uzależnienie od wijki. Przy obu pozycjach wid-niało T, czyli Tak. Pod spodem znajdowała się notka, odwołują-ca czytelnika do uzupełnienia na końcu pliku. Informacje dotyczące istnienia i etiologii uzależnienia od wijki są dostępne wyłącznie dla posiadających co najmniej Upo-ważnienie XVI Stopnia lub Upoważnienie XII Stopnia (Medycz-ne). Naruszenie tego przepisu może być ukarane więzieniem, re-habilitacją psychiczną, egzekucją lub poważniejszymi karami. Wszystkie przypadki rozpowszechniania informacji o uzależnie-niu od wijki mają być natychmiast zgłaszane do Wydziału Pul-sar lub innych funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa Brighter Suns.

Egzekucja lub poważniejsza kara? Steward wybuchnął śmie-chem. Myśli strzelały w jego głowie jak błyskawice letniej burzy. Zerwał się na równe nogi i zaczął szybko chodzić po pokoju. Po-trzebował teraz ruchu, bo pasował do zamieszania w jego my-ślach.

Najpierw sądził, że wijka to jakiś narkotyk produkowany przez Consolidated, coś, co nie trafiło jeszcze na rynek, ale było testowane na ich pracownikach, niewykluczone, że bez ich wie-dzy, i że to coś powodowało uzależnienie, prawdopodobnie nieza-mierzone. Potem jednak wpadł na to, że skoro i Consolidated Sys-tems, i Brighter Suns posiadają ten specyfik, najprawdopodob-niej pochodzi on od Mocnych i jego istnienie trzymane jest w tajemnicy, bo daje to dwóm polikorporacjom jakąś tajemni-czą przewagę. Może narkotyk powoduje radykalne podwyższenie inteligencji, wzmacnia intuicję, albo w jakiś korzystny sposób zmienia zachowanie.

Wijka, pomyślał i zaraz potem przypomniały mu się słowa kierowcy promu z Westy: „Nie wolno mi wchodzić do Poselstwa. Chyba mam jakieś bakterie”.

Pod wpływem owej myśli nagle wszystko stało się jasne. To było jak strumień wody, który wznosił się stopniowo wzdłuż krę-gosłupa, by w końcu wybuchnąć w jego głowie falą skojarzeń i przecuć, owiniętą w tych kilka znanych mu faktów. Przez mo-ment stał osłupiały; chciał poukładać te myśli i sprawdzić, czy na pewno to wszystko ma sens.

Mocni ponoć opuścili Ziemię z powodu wzajemnego skażenia.

Każdy, kto wchodził na Westę, miał robione badanie krwi.

Czyżby po to, żeby szukać śladów wijki?

Niektórym ludziom nie wolno było wchodzić na teren Poselstwa, ale medycznej przyczyny tego zakazu dokładnie nie wyjaśniano.

Inni kochali Mocnych bardziej, niż nakazywał rozsądek. Niektórzy z nich mieli nawet ich obywatelstwo. I z tego, co mówiono, ludzie ci nigdy nie opuszczali Poselstwa, jeśli już tam się znaleźli.

W spojrzeniu Serenga dostrzegł błogie zadowolenie. Steward uzmysłowił sobie, że Mocni uzależniali ludzi. Nasycaли powietrze wokół siebie hormonalnymi aerozolami, a część z nich wywoływała u ludzi niepożądane efekty. Gdy Mocni przywieźli żołnierzy Icehawks na Ziemię, wielu na tyle długo przeżyło w ich towarzystwie, że wystąpiło u nich uzależnienie. Griffith do nich należał i o tym nie wiedział. Jego życie po powrocie było pasmem klęsk, a on nigdy nie zrozumiał dlaczego. Tak samo uzależniony był Sereng, lecz on z kolei posiadał umiejętności, których Mocni potrzebowali. Został więc zabrany na Westę, by żyć wspólnie z nimi. Podatność na uzależnienie musi być przekazywana genetycznie, stąd badanie krwi i znamie wijki - testy sprawdzają chromosom, który prowadzi do nałogu.

Znamie wijki. T. Uzależnienie od wijki. T.

Zimna fala grozy ogarnęła Stewarda. Czuł, że dostaje gęsiej skórki. Miał znamie i przez trzy dni przebywał z Mocnymi. To dlatego ludzie z Pulsara nie mieli ochoty go więzić. Zamiast tego posłali go do Mocnych i czekali na zmianę zachowania lub pojawienie się uzależnienia. Gdy to się stanie, zrobi wszystko, co mu rozkażą, byle znaleźć się wśród Mocnych. Serce panicznie tłukło mu się w piersiach. Kilka razy głęboko odetchnął i usiadł przed monitorem, z którego płynęły jadowite informacje wymierzające karę za posiadanie wiedzy o uzależnieniu od wijki. Lub poważniejszymi karami. Zaczynał rozumieć, co kryły w sobie te słowa.

Potem strach stopniowo ustąpił i umysł Stewarda skupił się na poszukiwaniu rozwiązania problemu. Nie doznał żadnych niezwykłych wrażeń w czasie bytności w Poselstwie. Dużo fizycznie pracował i nie czuł się spowolniały ani rozkojarzony. Objawy uzależnienia, cokolwiek były, musiały być bardzo subtelne.

Steward podniósł nagle wzrok na monitor i ujrzał na jego ciemnej powierzchni swoje własne niewyraźne odbicie. Jego samopoczucie nie zmieniło się ani o jotę. Nie tęsknił za Mocnymi, ani nie chciał teraz z nimi przebywać.

Nie był uzależniony. A to znaczyło, że jego teoria nie miała sensu.

Kręciło mu się w głowie. Schował ją między kolanami i wykonał głęboki, drżący wdech. Pot kapął na leżącą na podłodze wykładzinę. Steward sam nie wiedział czy to dobrze, czy źle, że zdał sobie z tego sprawę. Do tej pory myśli układały mu się w doskonały logiczny ciąg, a teraz sprawdził konkluzję na sobie i wszystko się rozsypało.

Nie mógł odrzucać wyniku eksperymentu na sobie samym. A więc uzależnienie od wijki było czymś zupełnie innym. Steward zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, patrząc oczami umysłu na stworzoną przez siebie wadliwą konstrukcję teoretyczną. Wysilał szare komórki, ale nic innego nie zgadzało się tak dobrze.

W końcu uznał, że uzależnienie od wijki miało coś wspólnego z Mocnymi, a raczej z czymś, co sprowadzali. Możliwe, że Mocni wytwarzali narkotyki, odczynniki chemiczne lub hormony na

zamówienie Brighter Suns oraz Consolidated Systems i owe sub-stancje uzależniały tych, którzy z nimi pracowali. Możliwe, że Mocni eksperymentowali na ludziach, podając im różne leki, w nadziei, że dowiedzą się czegoś o ludzkości, na przykład, jak można ją kontrolować. Możliwe, że Consolidated i Brighter Suns wiedziały o tym, ale nie potrafiły temu przeciwdziałać bez przerywania handlu z Mocnymi - jedyne go powodu usprawiedliwiającego ich istnienie - i dlatego polikorporacje starały się ograniczyć liczbę ludzi, którzy mieli z kontakt z obcymi. Steward doszedł do wniosku, że jego rozważania prowadzą donikąd. Powrócił więc do lektury.

Po swoim raporcie de Prey zamieścił podanie do Komisarza Bezpieczeństwa Korporacyjnego Brighter Suns, w którym prosi Wydział Pulsar o pozwolenie podjęcia próby zwerbowania Stewarda Alfa. Choć pułkownik przyznał, że rekrutacja podwójnych agentów leży zwykle w gestii Grupy Siedem, chciał, by dla niego uczyniono specjalny wyjątek. Podając powód napisał, że jego dawna znajomość ze Stewardem pomoże w zakończeniu przedsięwzięcia sukcesem. Dalej następował list protestacyjny szefa Grupy Siedem, a potem zgoda Komisarza na przyznanie de Preyowi owej misji. Wydział Pulsar wyraźnie napawał się tym zwycięstwem, skoro pozwolili zostawić w aktach biurowe podchody de Preya.

Następne strony zawierały doniesienia, składane przez agentów Brighter Suns, obserwujących Stewarda Alfa w Poselstwie Mocnych na Ricot. Alfa najwyraźniej znudził się ograniczeniami życia na terenie Poselstwa, bo widywano go pijanego; spędzał też mało czasu z Wandis. Spróbowano ostrożnych kontaktów i nie spotkano się z niechęcią. Jeden z agentów zaczął poczynać sobie śmieiej. Alfa wyraził zadowolenie z faktu, że pracowałby znowu z pułkownikiem de Preyem. Agent podkreślił w rozmowie, że Consolidated wykorzystywała jego uzależnienie do swoich własnych celów, starając się uzależnić go od siebie, natomiast personel Brighter Suns prowadzi dużo mniej ograniczone i bardziej aktywne życie. Wspomniał nawet o możliwości detoksykacji, która uwolniłaby Stewarda Alfa od jego nałogu, lecz on odniósł się obojętnie do tego pomysłu.

W końcu agent poprosił Alfę, by coś dla niego ukradł - tylko po to, by przekonać się o szczerości jego zamiarów. Zgodnie z poleceniem Alfa skopiował część pracy, którą jego żona przyniosła ze sobą do domu. Był to tajny dokument dotyczący nowej metody hodowania kryształów Penrose'a. Consolidated Systems odpowiedziała wpłaceniem czterech tysięcy dolarów Starbright na kodowane konto w banku na Antarktydzie. Potwierdzenie tego przelewu zostało wręczone Stewardowi razem z numerem konta. Powiedziano mu przy tym, że choć pieniądze są do jego dyspozycji przez cały czas, jest na Ricot intensywnie monitorowany i będzie miał trudności z ich wydaniem.

Potem nastąpiły trwające tygodniami targi. W końcu Alfa zgodził się zdradzić Brighter Suns za sumę dziesięciu tysięcy dolarów Starbright, przelaną na kodowane konto, awans na wysokie stanowisko w Wydziale Pulsar i zapewnienie przelotu na Westę. W zamian zobowiązał się dostarczyć dużą liczbę tajnych dokumentów ze swojej własnej instytucji i z miejsca pracy Wandis, a także własną wiedzę o osobowościach i przekonaniach większości wysoko postawionych osób z kręgów służby bezpieczeństwa Consolidated Systems. Alfa wspominał również, że projektując system ochrony banków danych Sivi Source, zaprojektował przy okazji także dodatkowe wejście na własne potrzeby. Sivi wciąż była przodującą firmą na rynku pewnych typów implantów i konkurencja z Brighter Suns wprost nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie miała okazję poczęstować się ich danymi. Niektóre biuletyny wewnętrzne Wydziału Pulsar zaczęły wypowiadać się o tym w gratulacyjnym, tryumfującym tonie. Jeden zero w meczu z Grupą Siedem.

Ustalono plan ucieczki i Alfa odleciał w kierunku Pasa na pokładzie małego promu towarowego.

Zaproponowano mu zabranie żony, ale odmówił bez zastanowienia. Wandis miała pozostać na Ricot,znaczona na całe życie piętnem żony zdrajcy. Raport agenta, który mu towarzyszył, wskazywał, że jego uzależnienie od wijki wprawiało go w znaczny dyskomfort w trakcie podróży, lecz podano mu środki uspokajające, które zadziałały bardzo korzystnie. Jak tylko przybył na Westę, pokazano mu urządzone z przepychem kwatery na terenie Poselstwa Mocnych, co wyraźnie poprawiło mu samopoczucie. Potem zabrano go na przesłuchanie z wykorzystaniem narkotyków, prowadzone przez specjalistów Brighter Suns.

Przesłuchanie z wykorzystaniem narkotyków. To dlatego pułkownik Angel użył rękawicy paraliżującej. Narkotyki nie zadziałały za pierwszym razem i Angelowi pozostały bardziej be-średnie metody.

Reszta pliku była próbą wyjaśnienia i zatuszowania katastrofy, która później nastąpiła. Steward Alfa, jako nowo mianowany wysoki rangą oficer służby bezpieczeństwa przydzielony do Poselstwa, poprosił o widzenie z Naczelnikiem Poselstwa Mocnych - Premierem...

Czy Premier wiedział? Czy to był jego pomysł? Dwa pytania Angela, powtarzane w kółko do znudzenia.

...Alfa uzyskał pozwolenie na spotkanie i gdy znalazł się na miejscu, wypuścił w powietrze zarodniki, które kilka godzin później spowodowały, że Premier zaczął w niekontrolowany sposób rozsiewać hormon, który dla całej kolonii oznaczał atak z zewnątrz. Inni również zostali zakażeni i gdy hormon zaczął się rozprzestrzeniać po kolonii, Mocni stali się niezwykle po-budzeni. Premier i inni członkowie sztabu Poselstwa Mocnych, znajdujący się w centrum infekcji, atakowali się nawzajem i za-bijali. W tym momencie został ogłoszony alarm i wszystkim lu-dziom polecono udać się do schronów. Jedna trzecia stanu li-czebnego Poselstwa - prawie ośmiuset Mocnych - zginęła w ciągu zaledwie dwóch dni aktywności patogenu. Zanim epidemia stała się niemożliwa do opanowania, Alfa odwiedził de Preya w jego biurze i zabił go czterema strzałami z wytłumionej bro-ni dużego kalibru. Podejmowane próby reanimacji nie odniosły rezultatu. Alfa następnie uciekł z Westy w nieznanym do tej po-ry sposób.

Straty, jakie ponieśli Mocni, zostały znacząco zredukowane dzięki temu, że zastępca Premiera, Premier-po-Prawej, odleciał do przestrzeni Mocnych zaledwie kilka dni przed wybuchem epi-demii i zdołał uniknąć katastrofy. Nie udało się jednak ograni-czyć strat osobistych de Preya. Jego ubezpieczyciel - mieszcząca się na Ziemi spółka LifeLight, będąca w przeszłości częścią Cohe-ment Light - nie zdołała wszczepić jego pamięci nowemu klonowi. Zmiennokrystaliczny zapis wspomnień okazał się wadliwy. De Prey musiał więc pozostać martwy.

Dobra robota, Curzon, pomyślał Steward. Alfa nie mógł za-aranżować awarii pułkownikowego kłona. To musiała być robota agentów Consolidated na Ziemi.

Uśmiechnął się. Jego własna firma ubezpieczeniowa była in-ną spółką, również wywodzącą się z Coherent Light. Lecz gdyby trafił na LifeLight, mógłby przechodzić wskrzeszenie dokładnie w tym samym czasie co de Prey. Ciekawe, co pomyślałby sobie de Prey, gdyby zobaczył swego zabójcę w sali rehabilitacji fizycznej na tej samej stacji?

Przejrzał pobieżnie resztę pliku. Były tam długie protokoły z przesłuchań, prowadzonych przez Angela, wewnętrzna kore-spondencja Brighter Suns, podająca w wątpliwość fakt, że Ste-ward jest klonem nie posiadającym pełnej pamięci, a także po-twierdzenie ze szpitala w Arizonie, że ich archiwum nie zostało zmodyfikowane. Pod ostatnim rozkazem widniał podpis Angela, rozmazany

wściekłą ręką pułkownika. Twarz Stewarda zakwitła szerokim uśmiechem.

Wyszedł z pliku i otworzył de Preya. Znamię wijki. N. Absol-went psychologii i nauk wojskowych. Kończył St. Cyr - uczelnię specjalizującą się w szkoleniu korporacyjnych najemników. Zdjęcie młodego mężczyzny ze szczupłą twarzą, ostrożnymi oczyma i głową w berecie. Temat pracy dyplomowej: „Fanatyzm wo-jowników: Studium walki pozbawionej moralności”. Jakość tej pracy oraz szybki awans de Preya w ciągu krótkotrwałej i zakończzonej pełnym sukcesem akcji Far Jewel w Seczuanie sprawiły, że zwróciła na niego uwagę Coherent Light i później zasponsorowała jego odejście z Far Jewel. Była to jedna z wielu zdrad, jakie w tym czasie dotknęły Far Jewel. Far Jewel nie umiała odczytać zdrad jako zapowiedzi rychłego upadku ich programu „W stronę Ziemi”; upadku, który lada chwila miał ogarnąć Europę szalem Petit Galop.

Pilotażowe próby wdrażania technik indoktrynacji de Preya, połączone z jego doświadczeniem bojowym, zdobytym w czasie polikorporacyjnych bójek na Ziemi po załamaniu się Far Jewel, wykazały wysoką wartość jego metod. De Prey został awansowany na podpułkownika i dostał polecenie sformowania dwóch batalionów Icehawks. Wkrótce potem otrzymał kolejny awans i zlecenie na kolejne cztery bataliony.

Podczas Wojny Artefaktowej de Prey miał wysoki autorytet w Coherent Light i często zasiadał w różnych radach. Prowadzona przez niego polityka zmierzała do przekonania zwaśnionych polikorporacji, że Coherent Light ma zamiar zająć Szeol. Wydaje się, że zastraszająca eskalacja działań wojennych była jak najbardziej po jego myśli, podobnie jak kompletne zniszczenie większości powierzchni Szeolu. Gdy planeta przestałaby nadawać się do zasiedlenia, mógłby nie zgodzić się na jej efektywne wykorzystanie przez zwycięską polikorporację. Potem jednak Coherent Light przestała istnieć i de Prey przeszedł na stronę Seven Moons, razem z informacjami, które pomogły Seven Moons zgarnąć sporą część tego, co pozostawiła po sobie Coherent Light. Seven Moons należała do tych kilku polikorporacji, które pomagały założyć Brighter Suns; w tym czasie de Prey przeszedł do Wydziału Pulsar. Zajmował się tam kontrwywiadem oraz zapobieganiem rebeliom i akcjom sabotażowym, a więc dokładnym przeciwieństwem tego, co robił z Icehawks. Kilka dokumentów wskazywało, że zawarł porozumienie z wysokimi funkcjonariuszami Wydziału. W razie gdyby Pulsar i Renseignement General postanowili zorganizować swoje własne biuro wywiadu zewnętrznego, stając tym samym do jawnej rywalizacji z Grupą Siedem, de Prey miał dostać pozwolenie na wskrzeszenie Icehawks jako narzędzia walki korporacyjnej dla siebie i Brighter Suns.

Steward uznał, że to ciekawe. Z jego znajomości konstytucji Brighter Suns i Consolidated Systems wynikało, że nie wolno tym polikorporacjom utrzymywać sił militarnych, które wykraczałyby poza małą jednostkę policyjną o ograniczonych kompetencjach. Prawo zabraniało im również posiadania jakichkolwiek obszarów poza Westą i Ricot. Najwyraźniej Brighter Suns zamierzała zmienić swoją konstytucję, skoro szykowali się do organizowania armii. Ale na jakiej podstawie mogli sądzić, że inne polikorporację im pozwolą? Czy to owe plany miał pokrzyżować atak Stewarda Alfa?

Stewardowi przyszło na myśl, że implikacje wypływające z tego dokumentu mogą bardzo zainteresować inne polikorporacje.

Spojrzał na zdjęcie ekranu wideo, symbol naklejony nad jego łóżkiem. O co chodziło Curzonowi?, spytał sam siebie. I co planowała Brighter Suns, że Consolidated musiała temu zapobiec? Plik de Preya kończył się kolejną stroną na temat fatalnej wpadki LifeLight, więc Steward otworzył plik A. C. Curzona. To była kobieta, przedstawiciel handlowy jakiejś niewielkiej polikorporacji,

prowadzącej eksploatację górniczą w obrębie Pasa, więc Steward zajrzał do pliku Carlosa Dancera Curzona, który z kolei okazał się Dyrektorem Naczelnym Dyrektoriatu Zewnętrzno-Policji Consolidated w stopniu brygadiera. Co oznaczało, że to on dowodził szpiegami Consolidated Systems. Plik nie spełnił oczekiwań Stewarda, bo był bardzo krótki. Curzon już urodził się ze stanowiskiem - jego rodzice pełnili wysokie funkcje w aparacie bezpieczeństwa Outward Ventures. Oboje przepadli razem ze swoją korporacją i uznano ich za zmarłych. W momencie upadku Outward Ventures Curzon uciekł na Stację Charter, załapując się na statek pełen zdążających na Ziemię uchodźców i wyskoczył po drodze. Wiadomo było o nim, że rozpoczął wtedy negocjacje z kilkoma polikorporacjami w sprawie informacji, jakie wyniósł z Outward Ventures. Potem nagle zniknął z Chartera i rozeszła się pogłoska, że Outward Ventures, ścigająca swoich zdrajców z coraz większą pasją, zabiła go, by utrzymać w tajemnicy ukradzione przez niego dane. Jednakże trzy lata później Curzon ujawnił się na Ricot, już jako szef Dyrektoriatu Zewnętrznego.

Plik zawierał kilka zdjęć, przedstawiających grubego mężczyznę z kwadratową twarzą, niskim czołem i cienkimi brązowymi włosami. Dokładny wiek Curzona nie był znany, przypuszczano jednak, że przekroczył czterdziestkę. Brakowało również informacji na temat orientacji seksualnej i stanu cywilnego. To samo dotyczyło jego przekonań religijnych i ideologicznych, jego znajomych i popleczników w hierarchii Consolidated, ewentualnych modyfikacji genetycznych i implantów mózgowych (nawet jeśli je miał, to nie było to oczywiste). Nieznane pozostawały również zasoby finansowe jego organizacji.

Steward rozmasował bolące skronie. Zyskiwał nowe informacje, ale jak na razie żadna z nich nie wniosła nic do jego problemu. Reszta plików została wybrana losowo i musiały tam być dziesiątki tysięcy stron danych, lecz najprawdopodobniej ich znaczenie dla sprawy Stewarda było jeszcze mniejsze niż to, co właśnie czytał.

Wyszedł z pliku Curzona i napisał program przeszukujący, który przetrawiłby ten ogrom danych, zapamiętując miejsca wystąpienia pewnych słów, jak „Curzon”, „Premier” czy „Premier--po-Prawej”. Uruchomił go i rozparł się wygodnie na krześle, przyglądając się jego pracy.

Zapowiadało się na kilka długich dni.

Następnego dnia, gdy Fischer ćwiczył w sali gimnastycznej, Steward poszedł do kabiny radiowej i ustawił antenę numer trzy na wysłanie zakodowanej wiadomości do Griffitha. Napisał mu, że na Weście nie znalazł „Demona Ciołkowskiego”, ale sam za-troszczył się o zdobycie paru tajnych plików. Zakodował pierwsze pięćdziesiąt z nich, wyłączając swój własny, i nadał je na Ziemię. Potem starannie usunął wszystkie ślady transmisji z rejestratorów Fischera. Nie sprawiło mu to trudności - nadajnik był standardowym modelem prostej konstrukcji, przeznaczonym do zwykłego użytku, i jego projektanci nie przewidywali, że ktoś będzie go używał do tajnych przekazów.

Program przeszukał wszystkie pliki, ale uzyskane wyniki nie dostarczyły Stewardowi nowych informacji. Napisał Griffithowi, że kategorycznie nie zgadza się na sprzedaż tych danych do Brighter Suns i Consolidated Systems. Zaznaczył również, że plik de Preya może dać do myślenia klientom i właścicielom Brighter Suns, odkrywając dążenia Westy i dalekosiężne plany Brighter Suns. Następnego dnia Griffith przesłał w odpowiedzi jedno słowo: „Niesamowite”.

Dwa dni później Steward sprawdził swoje konto bankowe.

Powiększyło się o osiem tysięcy dolarów Starbright. Przeszukał jeszcze raz pliki, śledząc odniesienia do siebie, de Preya i Mocnych. Dzięki temu dowiedział się wiele o isticie bi-zantyjskiej

naturze polityki wewnętrznej Brighter Suns, a także o najróżniejszych sposobach - zwykle nieskutecznych - jakich chwyтали się ludzie z zewnątrz, by zarobić trochę pieniędzy na Mocnych. Niektóre pliki zawierały informacje o zidentyfikowa-nych lub podejrzanych szpiegach. Steward wystrzelił wszystko na Antarktydę w pakietach po pięćdziesiąt sztuk i patrzył, jak rośnie jego konto.

W momencie gdy zlicytowano ostatni plik, jego dochód z au-kcji wyniósł ostatecznie ponad pięćdziesiąt sześć tysięcy dola-rów. Był bogaty, ustawiony na całe życie. Jego obecna praca stra-ciła wszelki sens, chyba że miałby ochotę trochę sobie polatać - mógł z łatwością wykupić się z tego kontraktu w każdej chwili. Przelał pieniądze na szereg kont w różnych miejscach na Ziemi i zainwestował sporą część w bezpieczny fundusz powierniczy. Zaczynał się powoli przyzwyczajając do pieniędzy, rynku pa-pierów wartościowych - wszystkiego, co było skutkiem jego umo-wy z Griffithem.

Czuł się dziwnie, jakby nierealnie. Nigdy przedtem nie był bogaty.

Wszedł na mostek dokowania i wyjrzał przez wzmocnianą szklaną półkulę na rozciągający się na zewnątrz, wypełniony gwiazdami wszechświat. Wydawały się teraz bliższe. Obrócił głowę, szukając Ziemi i Księżyca. Znalazł. Dwa globy błyszczwały sza-rością i bielą na usianym diamentami, czarnym tle, otoczone kon-stelacją sztucznych gwiazd. Pomyślał o New Humanity, gdzie mieszkała Natalie, o tym, jak blisko Chartera była ta stacja, że bi-let na prom intraorbitalny kosztuje tylko sto dolarów. Przeplływały przez niego wspomnienia śmiechu, odległej mu-zyki, gładkości skóry. Zwinna postać, szybująca w kontrolowa-nym obrocie przez puste wnętrze tunelu. Ślad smaku, którego nie można zapomnieć.

Na równi ze wspomnieniami dręczyło go jedno pytanie. Po-siadał teraz wiedzę; wiedzę zdobytą kosztem bólu i dzięki prze-biegłości, która zbliżyła go do tego, co chciał osiągnąć. Zastana-wiał się jednak, czy wynikała z niej konieczność działania, czy jego zbliżanie się do Alfy nie nakładało na niego pewnych obo-wiązków - doprowadzenia do końca jego spraw. Rozległo się pukanie do drzwi śluzy za plecami Stewarda. Ta-ki gest uprzejmości na wypadek, gdyby Steward robił tu coś dziw-nego, jakby siedział w tej aksamitnej ciemności i naśladował Onana albo czynił coś niestosownego. Sięgnął ręką i wcisnął przy-cisk interkomu.

- Proszę.

To była Cairo, z butelką pieprzówki. Drzwi zamknęły się za nią z sykiem. Spojrzała na niego swoimi ciemnymi, wyrazistymi oczyma.

- Odczuwasz niepokój duchowy, Steward? - spytała.

- Tak bym tego nie nazwał - odpowiedział z uśmiechem. Diamenty w jej kościach policzkowych migotały w miękkim świetle gwiazd.

- Szkoda - powiedziała. - Z tego, co zauważyłam, ludzie od-czuwający niepokój duchowy często przychodzą tu popatrzeć w gwiazdy - zapięła się w sąsiednim fotelu i spojrzała na niego. - Ja się tu urodziłam, Ziemianinie.

Odchyliła głowę do tyłu, zwracając oczy ku wspaniałej gwiazdnej panoramie, wypełnionej nieruchomymi, zimnymi punktami światła.

- Jak ci się podoba mój dom? - spytała.

Znowu pomyślał o Natalie. To był także jej dom. - Jest całkiem ustawny - powiedział. - Ale czuję tu kłopoty ze skalą.

Zaproponowała mu wódkę, lecz odmówił.

- To kwestia punktu widzenia, Ziemiannie - powiedziała Ca-iro. - Musisz przyzwycząć się do szerszej perspektywy, jeśli chcesz dalej żyć tym życiem.

- D'accord.

Steward pomyślał, że jego perspektywa jest w sam raz. W uszach śpiewały mu wspomnienia. Wspomnienia, co do któ-rych będzie musiał za jakiś czas podjąć decyzję, czy upajać się ni-mi nadal, czy wyrzucić je z siebie na zawsze, wymyślając jakiś egzorcyzm. Jednakże w obecnej chwili wydawały się dokładnie tym, czego potrzebował.

W milczącym mroku brzmiała melodia przeszłości.

W głowie Stewarda płonęły wskaźniki. Wiązka kabli ocierała się o jego policzek. Wcisnął ją w uchwyt, ale za chwilę znowu opadła.

- Sprzężenie zasilania ze stacją włączone - zameldowała Ca-iro. - Wszystko zielone.

- Wygasić statek - rozkazał SuTopo. Głos zabrzmiał w głowie Stewarda z przytłaczającą czystością, docierając przez dysk interfejsu prosto do nerwów słuchowych. Był tak głośny, że prawie naruszał prywatność myśli. Steward skrzywił się. Kabel znów dotknął policzka.

- Cztery-A i siedem włączone - powiedział. Za pośrednictwem myśli przejął sterowanie nad wzmacniaczem i zmniejszył głośność. - Przełączam na zasilanie stacji.

Reese już wyswobadzała się z uprząży.

- Tym razem będzie Ocean Indyjski - powiedziała. - Kenia, Seszele, potem zachodnia Australia. I może jeszcze na deser Wielka Rafa Koralowa. Zamierzam spędzić przynajmniej połowę tego czasu pod wodą - spojrzała na niego znacząco. - Ty nie jesteś zaproszony.

Oderwał od skóry plastikowy dysk interfejsu.

- To dobrze, złotko - odparł. - Ja też mam cię dość.

Uśmiechała się do niego.

- Bez obrazy?

- Oczywiście - odpowiedział również z uśmiechem. Reese wydostała się wreszcie z pasów fotela i wywinęła w powietrzu dziwnego koziołka, który przemówił lamentem rozciągniętych kości.

- Boże, jak ja nienawidzę grawitacji - powiedziała. Nie spuszczała oczu ze Stewarda, który właśnie rozpiął pasy. - A ty gdzie masz zamiar spędzić urlop?

Zaczynały im się sześciotygodniowe wakacje, w czasie których mieli okazję wydać powrotną pensję. Członkowie załóg wystrzeliwali ze swoich statków jak odłamki z eksplodującego granatu.

- Najpierw spróbuję odespać - odparł Steward - a potem się zastanowię.

- O czym to nie zdążyłeś pomyśleć przez ostatnie pięćdziesiąt dwa dni?

Wyplął w górę z fotela, przeciągnął się i odbił nogami w kierunku wyjścia.

- O moich inwestycjach - odpowiedział.

Stewarda nie było przy tym, ja* Reese opuszczała statek, ale zostawiła mu w skrzynce sardoniczne pożegnanie, a także podpowiedź giełdową - w razie gdyby jego wzmianka o inwestycjach była na serio. Stara znajoma, którą spotkała na stacji, powiedziała jej, że akcje Brighter Suns prawdopodobnie zaczną spadać. Już straciły parę punktów. Znajoma Reese, kierowniczka jakiejś firmy transportowej, powiedziała jej również o specjalnym promie, pełnym ważnych osobistości z polikorporacji będących faktycznymi właścicielami Brighter Suns, który odleciał niedawno na Westę z przyspieszeniem 1.9 g. Reese radziła Stewardowi, że-by sprzedał jak najprędzej.

Szybka robota, pomyślał Steward. Jego pliki wzbudziły zapewne mnóstwo pytań o to, dlaczego właściwie Brighter Suns chce mieć własne wojsko. Teraz chyba będzie musiała wypłacić cały wypracowany przez siebie zysk na dywidendy dla akcjonariuszy, by pokazać, że nawet ich nie stać na armię. Pozbywanie się ich akcji mogło więc okazać się błędem. Steward popłynął do salonu, żeby wypić tubę kawy i przejrzeć skangazetę Chartera w poszukiwaniu jakichś atrakcji organizowanych na terenie stacji. Gdy to zrobił, przekonał się, że praktycznie nic tu się nie zmieniło od

sześciu miesięcy. Mięśnie wciąż bolały go od przeciążenia przy hamowaniu, zdecydował się więc na jakiś mały cichy bar, gdzie przy kilku wierzbach będzie mógł spokojnie zastanowić się nad giełdą i akcjami. Zgiełk rozmów o interesach, tak typowy dla tego miejsca, dopadł go tuż za drzwiami śluzy. Panowało tu słabe ciśnienie, więc wypuszczone na urlop załogi statków handlowych po prostu wypełniały powietrze, wędrując między hotelem i barem w niekończącym się, cyklicznym świętowaniu swojej tymczasowo odzyskanej wolności. Od metalowych ścian odbijały się ich odżywki brydzowe i dźwięki muzyki todo; rozlegały się częste wybuchy śmiechu.

Dla Stewarda to stało się za szybko - zamierzał dużo wolniej przystosowywać się do stylu życia na stacji. Wszedł więc na wyłożony rzepem ruchomy chodnik, który poniósł go w kierunku starego wrzeczona Mitsubishi. Gdy przesiadał się na drugi chodnik, gdzieś koło niego na chwilę zawył czyjś system doładowania mózgu. Nad głową jadących paliły się holograficzne reklamy, proponując różne dostępne na Charterze atrakcje. Czuł w sobie rosnące ciśnienie, które w końcu zatrzymało się na wartości 0.9 g. Odruchy, nabyte na Weście, nadal nim władały: zdał sobie sprawę, że sprawdza twarze i sylwetki stojących w oddali ludzi. Gdy wyjechał z tunelu, nad głową rozciągała się zakrzywiona płaszczyczna sztucznego nieba - ogromny namiot, podzielony na prostokąty i kwadraty, które odbijały światło słoneczne i mrok wiecznej nocy. Tu i ówdzie widać było odrobinę zieleni. Tuż pod polerowanymi lustrami stropu jaskrawy superlekki samolot wykonywał powietrzny balet. Tak przestronnych osiedli już się nie budowało. Steward zszedł z ruchomego chodnika i zrozumiał, że ma towarzystwo.

Śledzono go. Odezwał się w nim otrzeźwiający dźwięk, dźwięk jak zgiełk rozmów na Charterze, dźwięk aktywności. Miał co najmniej jednego na ogonie - mężczyznę średniego wzrostu w ciemnoniebieskiej kurtce z zamkami błyskawicznymi. Suwaki świadczyły o tym, że przyleciał z Ziemi: ludzie mieszkający na stałe w kosmosie woleli stosować rzepy, bo nie mogły się o nic zaczepić. Steward uśmiechnął się. Miał wciąż odruchy z Westy, ale to nie była Westa. Nie działał już na wrogim terenie. Zauważył bar na rogu. Nosił nazwę „Kafe Kola” i miał wiele wyjść. Wszedł do środka i usiadł plecami do ściany. Dwa stoły dalej siedziała jakaś kobieta, paląc papierosa. Każdy poczuł dym w powietrzu, zachciało mu się zapalić, ale szybko zdławił w sobie to pragnienie i zamówił wierzbkę.

Mężczyzna w ciemnoniebieskiej kurtce wszedł do baru i usiadł po przeciwnej stronie sali. Ze swojego miejsca Steward widział jego profil. Wyglądał na mniej więcej czterdzieści lat, miał ciemne włosy, ciemną skórę i gładko ogoloną twarz. Nie wyróżniał się z tłumu. Jego dłonie wydawały się delikatne, co mogło wiązać się z modyfikacją genetyczną, a uszy były zdecydowanie zbyt doskonałe jak na prawdziwe. Zupełnie nie pasowało to do jego twarzy, której zabrakło owej posągowej harmonii, tak powszechnej u zmodyfikowanych. Mężczyzna zamówił kawę i ciastko. Gdy przyniesiono mu je, zabrał wszystko ze stołu, wstał i podszedł do stolika Stewarda.

- Zauważyłeś mnie - powiedział.

-Tak.

Był zmodyfikowany. Teraz Steward widział to wyraźnie. Twarz została zaprojektowana ze szczególną starannością, by sprawiała wrażenie zwyczajnej, umożliwiając wmieszanie się w normalną populację ludzi. Już urodził się z tym zawodem, pomyślał Steward. Jak Curzon.

- Nazywam się Stoichko. I tak chciałem z tobą porozmawiać.

Gdy nie będziesz zajęty.

Steward pociągnął łyk wierzbki.

- O czym chcesz rozmawiać?

- Mogę usiąść?

Steward odstawił kieliszek na stół.

- O czym? - powtórzył.

Stoichko patrzył na niego w milczeniu, zastanawiając się. Nie wyglądał na urażonego.

- O plikach, które ukradłeś z Westy - powiedział. Steward uśmiechnął się i pomyślał o tworzących się powiązaniach, powoływanych do życia z prędkością światła, od kiedy nadał swoją pierwszą wiadomość w kierunku Ziemi Marii Byrd. - Siadaj - powiedział i pchnięciem nogi odsunął sąsiednie krzesło od stołu.

Stoichko usiadł, stawiając kawę i ciastko przed sobą. - Zacznę od tego - powiedział - że mnie osobiście nie obchodzi to, co zrobiłeś. Ludzie, dla których pracuję, uważają nawet, że to była niezła sztuczka.

Wierzbka paliła Stewarda w gardło i mieszała się z przyjemnym ciepłem wypełniającym jego ciało. A także z interesami. Powiązaniemi. Wszystkim, co wynikało z „Demona Ciołkowskiego”. - Skoro już o tym wspomniałeś, to dla kogo właściwie pracujesz? - spytał Steward.

Mężczyzna pokręcił z niedowierzaniem głową i roześmiał się. - Te pliki niesamowicie szybko się rozeszły, Steward. Twój znajomi na Antarktydzie zrobili piekło, a nie aukcję. Oddzielne ceny za wyłączność i za prawo dostępu bez wyłączności. Aukcja trwała całymi dniami. Ludzie w Wydziale Pulsar dostawali apopleksji. Cały czas starali się wykupić swoje pliki. - Pulsar miał się o tym nie dowiedzieć.

- Aukcja była zbyt rozreklamowana. Oczywiście, że się dowiedzieli. Powiedzieli im o tym moi pracodawcy, jak tylko o tym usłyszeli.

Wszystko zaczęło pasować.

- Pracujesz dla Grupy Siedem - stwierdził Steward. Stoichko wciąż błędził w swoich wspomnieniach, a na jego twarzy malował się szczęśliwy uśmiech.

- Pulsar dostał, co mu się należało. To tylko zgraja tępych kowbojów. Dać się wykołować przez operatora silników. Jesteś sprytniejszy niż wszyscy ci kowboje razem wzięci - oczy łzawiły mu z rozbawienia. - Nigdy nie widziałeś podobnej paniki - pokręcił głową. - Westa zasługuje, by kierowali nią ludzie cechujący się większą delikatnością w działaniu, nie tak jak ci wojskowi z demobilu. Polikorporacja mająca pod kontrolą Westę musi zatrudniać osoby zdolne do subtelności.

Steward starał się powstrzymać od uśmiechu. Stoichko był zbyt rozbawiony, by dostrzec powagę sytuacji. - Grupa Siedem - powtórzył. - Mam rację?

Stoichko wznosił swoje ciastko w geście salutowania. - Profesjonalna służba wywiadowcza Brighter Suns - powiedział, wyraźnie podkreślając pierwsze słowo. - A ty chcesz mnie zwerbować. Żeby pracować dla ludzi, którzy mnie torturowali.

Stoichko wybuchnął śmiechem.

- To Pulsar cię torturował. Nie my - wgrzył się w ciastko. - Jesteś naprawdę za dobry, by pozostać w Starbright. Sam to wiesz. A co do twoich znajomych z Antarktydy... cóż, to amatorzy. Sami z siebie nigdy by na coś takiego nie wpadli - rozparł się na krzesło i założył ręce za głowę. - Nie chcemy przyjmować cię na etat. Jesteś zbyt niezależny. Robiąc to, zmarnowalibyśmy twój talent. Chcemy cię tylko wynająć na specjalny kontrakt. W każdej chwili będziesz mógł go wypowiedzieć. - Mógłbym teraz przejść na emeryturę. Zarobiłem masę pieniędzy na tych plikach.

Wyraz twarzy mężczyzny był wciąż życzliwy, lecz Steward za-uważył u niego mimowolne zwięźnienie żrenic. - Mógłbyś - odparł - ale nigdy nie zobaczyłbyś już Mocnych. Steward poczuł, jak odzywa się w nim alarm, przenikający aż do szpiku kości. To było ważne. Spuścił oczy, by ukryć przed rozmówcą, że coś wie. Następnie sięgnął po drinka, żeby zyskać na czasie.

- Fakt - powiedział. - Chciałbym ich znowu zobaczyć. Odpląnął spojrzeniem w kierunku punktu położonego gdzieś nad ramieniem Stoichko. Tak patrzył Griffith, gdy mówił o Mocnych. Podobny wyraz miały zamglone oczy Serenga. Próbował zmusić się do pocucia tego stanu, tego marzenia. - „Słuchaj - zaczął Stoichko. Steward oderwał oczy od nie-istniejącego punktu i spojrzał na mężczyznę, jakby jego słowa wyrwały go z zamyślenia. Agent ciągnął dalej: - Nie wiem, ja-kie masz plany względem swojego urlopu. Ale pewnie chciałbyś się trochę zabawić. Zobacz - otworzył suwak kieszeni na rękawie kurtki i wyciągnął stamtąd lśniący prostokąt ze szczotkowanego aluminium, umieszczony w ciemnej plastikowej izolacji. Przesunął go po stole; Steward wyciągnął rękę i dotknął przedmiotu. Był zimny w dotyku. Jakby w ślad za tym uczuciem przyszła odpowiedź. Widział to już kiedyś. W pudełku, które Sereng wyniósł ze statku Mocnych. To był inhalator do leków, taki sam, jaki miał Griffith, tylko że ten model zawierał wbudowany układ chłodzący, niewielki akumulator i gniazdko zasilania.

- Weź to ze sobą na imprezę - powiedział Stoichko - i baw się dobrze. Nie chcę wywierać na ciebie jakiegokolwiek presji. Gdy-byś jednak reflektował na pewną bardzo dobrze płatną pracę i chciałbyś zobaczyć Mocnych, daj mi znać. Steward wziął inhalator i schował go w zewnętrznej kieszeni kurtki. Aluminiowe pudełko zmroziło mu palce pomimo plastikowej izolacji. Zastanawiał się, ile może kosztować wynajęcie do pomocy chemika.

- Dzięki - powiedział i znów spróbował udać, że widzi upragniony obraz nad ramieniem Stoichko.

- I jeszcze jedno, Steward - powiedział. - W pierwszej kolejności chcielibyśmy wynająć cię do sprzątnięcia. Steward poczuł niesmak w ustach.

- Nie jestem pewien, czy mam na to ochotę. - Ale możesz jej nabrać, jak powiem ci, o kogo chodzi. To pułkownik de Prey.

Serce Stewarda podskoczyło. Nagle dotarły do niego drobne szczegóły otoczenia, z których każdy miał istotne znaczenie - bezpośrednie spojrzenie Stoichko, już nie tak jowialne jak wcześniej, sposób migotania jednej z lamp fluorescencyjnych nad barem, odbicie niebieskiego hologramu z drugiego końca pomieszczenia w płynnej powierzchni wierzby. Steward spojrzał w oczy Stoichko.

- On nie żyje - powiedział, ostrożnie cedząc słowa. - Nie udało się go ożywić.

Stoichko pokręcił przecząco głową.

- On nie żyje dla Westy. Trzy tygodnie przed tym, jak został zastrzelony, Consolidated Systems wykupiła po kryjomu pakiet kontrolny LifeLight, w ramach przyjacielskiej wymiany papierów wartościowych. Gdy de Prey zginął, ożywiono go bez problemu, lecz Consolidated położyła łapy na klonie i zapisała pamięć. Odpowiedzieli Pulsarowi, że ożywienie zakończyło się niepowodzeniem - zaśmiał się. - W podobny sposób Consolidated Systems zdobyła kilku najlepszych ludzi z dawnego sztabu Coherent Light. Czasami, gdy informacje interesującego ich człowieka są wyjątkowo cenne, ożywiają go nie czekając na wet, aż umrze jego Alfa. To niezła sztuczka. Pulsar jeszcze o tym nie wie.

#13 - Ryk tornada

Steward czuł suchość w ustach. Poruszał językiem w poszukiwaniu śliny.

- Zastanowię się nad tym - powiedział.

- Słuchaj - dodał z uśmiechem Stoichko - nie chciałem ci po-psuć zabawy. Nie przejmuj się. Użyj tego, co ci dałem. Nikt inny na tej stacji nie ma tego, co zawiera inhalator, więc skorzystaj z okazji - wyciągnął rękę do Stewarda i dotknął jego nadgarstka. - Jeszcze pogadamy. Mieszkam w hotelu Xylophone. Po prostu zadzwoń, gdy będziesz miał ochotę się spotkać. Steward oblizał wargi.

- Jasne - odparł. - Na pewno.

Stoichko uśmiechnął się i dokończył ciastko. Zasunął kieszeń na rękawie.

- To na razie - powiedział i nie spiesząc się wyszedł z baru. Stoichko, pomyślał Steward. Uspokajająca twarz i styl by-cia. Jego geny musiały pochodzić od domokrażcy z tradycją dzie-sięciu pokoleń. Przyjacielski, jowialny, nadskakujący, a we-wnątrz nic, tylko ciekły hel. Dziwne, że z oczu nie unosiła mu się lodowata mgła.

A de Prey wciąż żyje. Poczł zimne obrzydzenie. Inhalator obciążał mu kieszeń, a Steward zastanawiał się, czy jest w nim trucizna, czy zemsta Westy ma dosięgnąć go z jego własnej ręki. Wyszedł nie dopiwszy drinka. Wracając znów zastosował skomplikowaną kombinację ucieczek i zasadzek, dzięki czemu upewnił się, że nikt go nie śledzi. Zresztą nie sądził, żeby ktoś to chciał robić.

Książka telefoniczna Chartera dostarczyła mu nazwisk wie-lu chemików. Włożył szpilkę kredytową do telefonu i zadzwonił do pierwszego z nich.

- Interesujące.

Zhou patrzył sztucznymi oczyma z przezroczystego plastiku na trójwymiarowy hologram złożonej cząsteczki. Model jej struk-tury wyglądał jak geometryczna abstrakcja na temat plemnika, z pierścieniem indolowym w miejscu pękatej główki i długim łań-cuchem wodorowo-węglowym zamiast ogonka. W głębi oczu Zhou coś lśniło srebrzystym blaskiem.

Zhou miał dwadzieścia lat i studiował farmację. Jeden z che-mików, do których dzwonił Steward, twierdził, że Zhou może się na to zgodzić. Mieszkał w niewielkim pokoju, zawalonym aparaturą, komputerami, komorami kriogenicznymi i syntetyzerni chemicznymi. Na policzkach i czole miał paski wymalowane ja-sną, fluorescencyjną farbą. Chemik spoglądał to na wydruk kom-puterowy, to na hologram.

- To jakiś neurohormon - powiedział Zhou. - Jedno z tych połączeń między hormonami i witaminami z grupy B. Nie ma go jednak w rejestrze. Powiedziałbym, że udało ci się zdobyć ekspe-rymentalny hormon, który jeszcze nie został zarejestrowany na rynku. Jest bardzo złożony. Zsyntetyzowanie go kosztowałoby majątek.

- Jest naturalny czy syntetyczny? - spytał Steward.

Zhou wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien. Jednakże nie sądzę, by coś takiego mo-gło występować w naturze. Później pokażę ci dlaczego. Steward powiedział Zhou, że dostał preparat od znajomego operatora silników, który nie wiedział, co to jest. Podejrzewał, że Zhou mu nie uwierzył, lecz nawet jeśli był sceptycznie nastawiony, nie wpływało to na jego pracę. Analiza próbki zajęła mu zaledwie parę minut. Potrzebował zaś aż dwóch godzin, by okre-ślić, co ta analiza wykryła.

- Masz jakieś przypuszczenia dotyczące efektów, jakie to coś wywołuje? - spytał Steward.

Na twarzy Zhou pojawił się nerwowy, ale pewny siebie uśmiech.

Nachylił się nad komputerem i kilka razy stuknął w klawia-turę. Pojawiła się nieco inna cząsteczka.

- Spójrz - powiedział - to jest Genesis 3, nowy neurohor-mon Pink Blossom. Zwany także B-44 albo Czarnym Piorunem. - Steward poczuł się mile zaskoczony. Przypomnił sobie świst mie-cza neuronowego, własne odbicie w użębieniu Spassky'ego i sta-lową, śliską od krwi igłę. Zhou wyjął z kieszeni szpilkę kredyto-wą i wskazał na model. - Górna część tej substancji jest taka sa-ma jak tutaj, z tym że fenolową grupę funkcyjną zastąpiono azotynową grupą funkcyjną. Także struktura ogona jest nieco in-na; wykorzystuje te same pierścienie aromatyczne, ale na innych pozycjach w łańcuchu. - Szpilka poruszała się zgrabnie między iluzorycznymi atomami. -I jest tam jeszcze jedna ciekawa różni-ca. Spójrz tutaj. Pokażę ci - wcisnął klawisz w komputerze i ho-logram zmienił się na poprzedni model, po czym wrócił znów do wyjściowego. Jeden z elementów struktury pojawiał się i znikał. - Widzisz? To boczne odgałęzienie, wychodzące z cząsteczki. Jest obecne w twojej substancji, a nie ma go w Genesis 3. To chyba najważniejsza różnica, jak mi się wydaje. - Jak to wpływałoby na działanie?

- Genesis 3 jest stabilny. Przy temperaturze pokojowej nie następuje jego degradacja. To dlatego jest narkotykiem dosko-nale nadającym się do sprzedaży na ulicy. Możesz nosić go przy sobie w plastikowej torebce całymi miesiącami i nic się z nim nie stanie. Lecz tutaj... - przełączył na pierwszy model - to do-datkowe odgałęzienie przy ogonie sprawia, że jego struktura przestaje być stabilna. Ten ogon ma ochotę oderwać się od pier-ścienia fenolowego i odlecieć sobie w nieznane. Jest tak niesta-bilny, że cały proces odbywa się bardzo szybko, w ciągu paru dni. Zwłaszcza jeśli jest narażony na kontakt z powietrzem, świa-tłem bądź ciepłem. To dlatego dostawca zadbał o chłodzenie. Za tydzień twój neurohormon przestanie być aktywny. Będzie bez-użyteczny.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł ich rytm odległej muzyki. Wy-raz twarzy Zhou nie zmienił się ani o jotę. Steward patrzył na ob-racającą się cząsteczkę.

- Jak ci się wydaje, jakie to wywołuje skutki? - Sądzę, że będzie działał podobnie jak Genesis 3: przyspie-szenie funkcjonowania mózgu, stymulacja zakończeń nerwo-wych. Jest jednak dużo łatwiej metabolizowany, więc potrzeba go więcej niż tamtego.

- A czy będzie miał ten sam efekt depresyjny na własne neu-roprzekaźniki mózgu?

- Trudno powiedzieć. Ale nie byłbym zdziwiony, gdyby tak było. - Zhou uważnie przyglądał się modelowi. Coś w głębi jego oczu odbijało jaskrawe neonowe barwy hologramu. Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni po laskę nikotyny. - Chciałbym zatrzy-mać sobie małą próbkę tej substancji. Sprawdzę parę rzeczy. - To nie byłoby zbyt rozsądne - ostrzegł Steward. - Jeśli to eksperymentalny hormon, na pewno ktoś włożył w niego wiele pracy. Do tego nie jest zarejestrowany, co oznacza, że muszą go chronić bez odwoływania się do sądów. Niektóre z tych grup nie cofają się przed morderstwem.

Zhou wyglądał na urażonego.

- Nie jestem taki głupi. Będę szukał jakichś odnośników w li-teraturze. Może uda mi się połączyć znalezione dane z moją zna-jomością struktury narkotyku i dodać dwa do dwóch. - Wyssał drobny pył ciekłej nikotyny i uśmiechnął się zimno. - Bardzo cie-kawy problem.

- Zadzwoń jutro - powiedział Steward. - Nie mam adresu, pod którym jestem stale dostępny.

W odpowiedzi na to kłamstwo twarz Zhou przejął nieznaczny uśmiech. Steward pomyślał, że wszystko mu jedno, czym kupi zainteresowanie chemika: problemem czy dolarami. - Jak sobie życzysz - odparł Zhou.

Steward zabrał chłodzony inhalator leżący na stole i wsunął go do kieszeni. Na palcach czuł zimno. - Zadzwoń - powiedział.

Wyszedł do wąskiego przedpokoju, wiodącego na korytarz. W ścianach brzmiał odległy szum tętniącej życiem stacji. Inhalator ciążył mu w kieszeni. Przypomniał sobie radę Stoichko, żeby się zabawił i uznał, że to całkiem niezły pomysł. Najpierw jednak musiał się dowiedzieć, czym jest to, co ma w kieszeni. W pierwszej kolejności udał się do restauracji - miejsca, w którym żywiły się ziemskie podniebienia i gdzie nie podawano pasty warzywnej, błyskawicznie zapieczonej w wysoko ciśnieniowej kuchence olejowej. Uznał, że spokojnie może zacząć przyzwyczajając się do tego, że jest bogaty, i zamówił rōti de veau au celeń-rave. Cielęcina była świeża, bo przywoził ją z Ziemi kursujący codziennie wahadłowiec, który miał specjalny przedział ładowni przeznaczony na towary luksusowe. Zanim kelnerka przyniosła Stewardowi wino, poszedł do toalety. Umył ręce, po czym wyjął inhalator z kieszeni i przyjrzał mu się dokładnie. Uzależnienie od wijki. T.

To musiał być właśnie ten narkotyk, od którego uzależnił się Alfa. Neurohormon przywieziony przez Mocnych ze swoich laboratoriów. Steward wiedział, że ma zamię wijki, cokolwiek to znaczyło, i że substancja miała silne działanie. Wspomnienia o Mocnych wypełniły mu myśli, przypominając ich długie, dziwnie nieproporcjonalne ręce, które poruszały się szybko i nieskładnie, woń nasyczonego hormonami powietrza, wyraz oczu Serenga... Gdyby zażył tego narkotyku, dowiedziałby się, co widział Sereng. Musiał wiedzieć. Uzależnienie nie mogło pojawić się od jednej dawki - nie taki jest mechanizm powstawania nałogu. A na wet jeśli to była trucizna, istniało przecież multum innych trucizn, łatwiejszych do wyprodukowania, z których Westa mogła 198-----
----- wuuei mm ~.....-..« ----- dowolnie wybierać. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, podniósł inhalator do nosa. Dotknięcie zimnego metalu na górnej wardze przyprawiło go o dreszcz. Uruchomił urządzenie po jednym razie na każde nozdrze.

Poczuł w zatokach szczypiący mróz. Pod wpływem bólu załzawiły mu oczy, lecz przez dotkliwy chłód czuł zapach Mocnych, ich ciężki aromat. Znów ogarnęły go wspomnienia: niesamowity sposób, w jaki obcy się poruszali, mówili, lecieli w podskokach przez powietrze, dobywając ze swych nozdrzy dysharmonijne, organowe wycia. Steward się wzdrygnął. Krew szalała w jego żyłach, a w uszach czuł potężne uderzenia serca. Po chwili serce zwolniło. Nic się nie działo. Spojrzał w lustro i zobaczył swoją zdziwioną minę. Stymulacja funkcji mózgowych, poprawienie jakości połączeń między neuronami - powinien to wszystko czuć.

I wtedy uderzyła w niego adrenalina, wzmogło się ogarniające go przerażenie. Nogi miał jak z waty i musiał przytrzymać się umywalki. Drżały mu ręce. Neurohormon nie działał, w każdym razie nie działał w odczuwalny sposób.

Posłał swojemu odbiciu nerwowy uśmiech, przytknął inhalator do nosa i uruchomił go jeszcze raz. Inic.

Obiad bardzo mu smakował.

Stewardowi udało się zabawić dopiero dużo później, gdy zbłądził w okolice doków, gdzie znajdowało się kilka nisko grawitacyjnych klubów. Chciał się śmiać i tańczyć. Znalazł sobie partnerkę w osobie młodej dziewczyny z Pink Blossom. Nazywała się Darthamae i spędzała na stacji

ostatnią część swojego trzydzie-stosześciogodzinnego urlopu. Miała zmodyfikowane genetycznie ciało, z superwydajnym sercem i płucami, dostosowanymi do wa-runków niskiego ciśnienia, a dzięki ćwiczeniom biofeedbacku na-uczyła się świadomie kontrolować odruchową chęć nabrania po-wietrza. Zwrócił uwagę na jej długie, delikatne nogi i nienatural-nie spokojną twarz o ciemnej karnacji, przypominającą wizerunek madonny. Była zaskoczona, gdy Steward nie chciał wy-nająć pokoju w jednym z niedrogich hoteli w pobliżu doków i za-miast tego powiódł ją do głębszej części starego wrzeciona, do hotelu King George V, gdzie wziął nisko grawitacyjny pokój na ostatnim piętrze, zwieńczony przezroczyстым dachem, przez kto-ry można było podziwiać krzywiznę położonego wyżej osiedla. W drugiej części wrzeciona panowała teraz noc i nad ich głowa-mi świeciły nowe konstelacje ulicznych lamp. Darthamae poruszała się z tą płynną gracją, jaka cechowała zmodyfikowanych. Gdy mówiła, używała do tego celu również rąk, przyzwyczajona do porozumiewania się na migi w pozbawio-nej powietrza przestrzeni. Jej ręce i palce poruszały się przy tym w powietrzu jak rozkołysane drogowskazy. Wydawało się, że zu-pełnie nie oddycha. Gdy chciała coś powiedzieć, musiała naj-pierw wykonać wdech, żeby zgromadzić w płucach wystarczają-cą ilość powietrza. Często się zdarzało, że zanim to zrobiła, jej rę-ce już wszystko przekazały.

Była zupełnie niepodobna do Natalie. Steward tak wolał. Chciał wziąć od Darthamae jej spokój i łagodność. Stanowiła je-go egzorcyzm. Nie potrafił przewidzieć jego skuteczności. Panorama nad nimi nabierała światła. Pojawiały się nowe wzory, ułożone z zielonych i brązowych prostokątów. Steward za-mówił szampana i śniadanie, wyskoczył z łóżka, przeciągnął się. Bolesność ścięgien nie ustępowała. Niska grawitacja była dla nich błogosławieństwem. Darthamae przyglądała mu się z łóżka. - Jak to się stało, że z twoimi pieniędzmi skończyłeś jako operator silników? - spytała.

- Po prostu miałem szczęście. Dostałem cynk, że coś będzie się działo na rynku akcji.

Jej ręce tańczyły w powietrzu, ujmując pokój, szklany dach i odległe osiedla na niebie w jedną, pełną wdzięku całość. Zrobi-ła wdech.

- To musiał być niesamowity cynk.

Uśmiechnął się. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Piłaś kiedyś szampana? - spytał.

- Nie z kieliszka.

- Tak lepiej smakuje. Zyskuje w ten sposób coś, co nazywa-my aromatem.

Na jej łagodnej twarzy powoli pojawiło się rozbawienie, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Muszę więc pamiętać, żeby przed wypiciem zrobić wdech - powiedziała.

Gdy Darthamae odeszła na swój statek, Steward opuścił ho-tel i udał się do najbliższego publicznego telefonu. Przedstawa-jąc się jako kapitan Schlager z Dyrektoriatu Bezpieczeństwa po-łączył się z kontrolą paszportową i dowiedział się, że Stoichko przyleciał na Chartera promem, który miał międzylądowanie na Księżycu, ale wystartował z Tangeru. Stoichko był obywatelem Uzbekistanu. Z jego biletów wynikało, że znalazł się w Tangerze tylko z powodu przesiadki i tak naprawdę leciał z miasta o nazwie Mao, położonego w środkowej Afryce.

Nikt w wydziale kontroli paszportowej nie kwestionował istnienia kapitana Schlagera. Charter zasługiwał na swoją repu-tację.

Steward zadzwonił do biblioteki i wyszukał Mao. Było to niewielkie miasteczko, którego główną zaletę stanowiła niedo-stępność, pozwalająca na spokojne prowadzenie badań w izola-cji od świata,

jaką dawała Sahara. Jedyńm zakładem przemy-słowym w Mao była Express Biolabs - mała spółka należąca w całości do Polikorporacji Brighter Suns. Brighter Suns nie mogła posiadać własnych terytoriów, więc Express Biolabs nie miała własnej polikorporacyjnej państwowości ani przepisów i oficjalnie podlegała pod lokalną jurysdykcję. Express Biolabs była po prostu prywatną firmą.

Wyłączył się z sieci telefonicznej i spojrzął ze zdumieniem na terminal, bo pojawił się na nim długi spis hotelowych atrak-cji. To, co mówił Stoichko, trzymało się kupy. Chyba nadszedł czas, by go odwiedzić i zorientować się, o co naprawdę mu cho-dziło.

Xylophone okazał się jednym z hoteli o średnim przedziale cenowym, w którym zatrzymywali się oficerowie statków i po-dróżujący biznesmeni. Hol wypełniały hologramy miniaturo-wych samolocików, które latały nad głowami - był to zapis lotu prawdziwych pilotów, przemierzających centralną, nisko grawi-tacyjną część wrzeciona. Steward osłupiał z zaskoczenia, gdy je-den z holograficznych pilotów zamachał do niego ręką. Poczł na prawym ramieniu czyjś zdecydowany dotyk. Ob-rócił się nerwowo w prawo i w tym samym momencie z lewej do-szedł go czyjś śmiech.

- Witaj, chłopie - powiedziała wyraźnie rozbawiona Reese. Miała ze sobą plecak zarzucony na jedno ramię. Była ubrana w fotozakiet, na którym przewijały się widoki dalekich plaż, bia-łego piasku, błękitnego nieba i zieleni Heinekena. Zastanawiał się, czy kupiła go od kelnerki z hotelu Spindrift.

„.....— -----201

- Posłuchałeś mojej rady giełdowej?

- Jeszcze nie - spojrzł na nią lekko zaskoczony. - Byłem pe-wien, że lecisz już jakimś promem na Ziemię. - Zamieszkałam z kimś. Spotkałam starego znajomego i po-stanowiłam odłożyć nieco swój wyjazd.

- Rozumiem. Jak da ci jeszcze jakieś rady giełdowe, powiedz mi o tym.

W szczęśliwych oczach odbijał się błękitny ocean, rozciągają-cy się na jej torsie.

- A samemu zdobyć to nie łaska, człowieku pełen tajemnic?

- Poznałem kogoś fajnego.

- To dobrze. Dzwoniłam do ciebie ostatniego dnia na „Bor-nie”. Mój znajomy ma znajomą, która mogłaby ci się spodobać. Niestety, dziś rano odleciała do Hiszpanii.

- To bardzo miło, że o mnie pomyślałaś. Dziękuję ci bardzo.

Reese wymierzyła mu kuksańca w zębra.

- Muszę iść - powiedziała. - Jestem umówiona na lunch z mo-im doradcą finansowym.

- Do zobaczenia później, złotko.

Steward przyglądał się jej, jak odchodziła w stronę wyjścia długim, pewnym siebie krokiem. Plaże z fotozakietu minęły drzwi i wyszły na stopową ulicę. Steward odnalazł telefon i zadzwonił do Zhou.

Chemik oznajmił mu, że szukał w literaturze i nie natrafił na nic, co przypominałoby ową substancję. Steward odpowiedział, że hormon mógł zostać wyprodukowany przez Express Biolabs. - Trudna sprawa - stwierdził Zhou. - Stamtąd nic się nie wy-dostaje. Wynegocjowali sobie umowę z rządem, która daje im kontrolę nad tysiącami kilometrów kwadratowych otaczającej ich pustyni. To taki mały kawałek Westy, leżący pośrodku Afry-ki, choć oficjalnie teren nie jest własnością Brighter Suns. Wymy-ślił ten sposób, żeby ominąć obowiązujący ich zakaz posiadania własnych terytoriów poza Westą. Co więcej, należą do tych grup, o których powiedziałaś wczoraj, że nie lubią konkurencji. - Nie dziwi mnie to.

Steward poznał po dźwięku, że Zhou ssie laskę nikotyny.

- Dowiem się tyle, ile mi się uda. Nie sądzę jednak, że dużo.

- Zobacz, co da się zrobić. Zadzwoń jutro. Zadzwoił do Stoichko, po czym wszedł schodami na pierw-sze piętro. Przemierzał wykładzinę po dwa schodki naraz, ściga-ny przez jaskrawe hologramy. W przeciwieństwie do holu, w ho-telowym korytarzu panowała cisza, zakłócana jedynie szumem automatycznej sprzątaczk, przemieszczającej się z pokoju do po-koju. Odnalazł drzwi Stoichko i zapukał.

Stoichko był ubrany w białe płócienne spodnie i koszulę z mnóstwem kieszonek zapinanych na guziki. Już same guziki wy-starczyłyby do stwierdzenia, że mężczyzna pochodził z Ziemi. Uśmiechnął się na powitanie. Steward bezwiednie również odpowiedział uśmiechem. Geny domokrażcy. - Wejdz i usiądź. Może koniaku? Kawy?

- Poproszę o kawę. Czarną, bez cukru.

W rogu pokoju znajdował się terminal automatycznej obsłu-gi hotelowej, na którym stał, grzejąc się na ekspresie, olbrzymi dzbanek kawy.

- W tubie czy w kubku?

- Poproszę w kubku.

- Pijesz jak Ziemianin. To dobrze.

- Urodziłem się na Ziemi. Jak zapewne wiesz. Steward wziął kubek z kawą i usiadł na krześle składającym się z plastikowej poduszki i chromowanej ramy. Stoichko nalał sobie koniaku.

- Pewnie mi nie uwierzysz - powiedział, przyciągając bliżej drugie krzesło - ale ja naprawdę lubię mieszkać w pokojach ho-telowych. Jest się z dala od wszystkiego, w małym, zacisznym miejscu, można oglądać wideo, słuchać muzyki i popijać dobry koniak - pokiwał głową. - To naprawdę przyjemna zmiana tem-pa życia.

- Z dala od trudów ostatniego sprzątania.

Stoichko roześmiał się. Jego palec krążył wokół brzegu kie-liszka.

- Coś w tym rodzaju - potwierdził. - Nie jestem jednak spe-cjalistą od tego typu roboty. To dlatego chciałem pogadać z tobą. - Chciałbyś, żebym zabił de Preya za ciebie? - Niezupełnie. De Prey nie może już bardziej zaszkodzić Bri-ghter Suns. Co miał zrobić, to już zrobił. On nas nie obchodzi. Był tylko - podniósł brew w zastanowieniu - dodatkowym bodźcem. Czymś, co miało przyciągnąć twoją uwagę - rzucił Stewardowi zagadkowe spojrzenie. - Nie byłem tylko pewien, czy będziesz żywił te same uczucia wobec de Preya, co twój Alfa. Ale wyszło na to, że tak.

Steward wybuchnął śmiechem.

- Curzon zaproponował mojemu Alfie możliwość zastrzele-nia de Preya w zamian za spowodowanie epidemii wśród Moc-nych na Weście. Teraz ty proponujesz mi to samo. Wypił łyk ka-wy. - Ludzie, jak wy zmusicie mnie do współpracy, gdy de Prey w końcu umrze na dobre?

Stoichko nachylił się do niego i mrugnął okiem. - Może pieniądze? - spytał dyplomatycznym szeptem, po czym serdecznie się roześmiał. Jego oddech zalatywał koniakiem. Taki śmiech potrzebował towarzystwa; całego pokoju ludzi śmie-jących się bez wyraźnej przyczyny. Facet znał swój fach. Steward opanował się, by nie dać się ponieść wesołości. - To zależy od rodzaju zlecenia. Chyba powinieneś mi powie-dzieć, co właściwie ma być zrobione.

Stoichko spoważniał i wstał z krzesła. Zrobił to z gracją, któ-ra przywiodła Stewardowi na myśl

Darthamae. To pewnie zmodyfikowana struktura ucha wewnętrznego, by lepiej zachowywać równowagę, albo poprawiona koordynacja ruchów. Stoichko przeszedł wzdłuż pokoju i wyjrzał przez okno. Na zewnątrz Steward zobaczył wierzchołki drzew. W nowych osiedlach orbitalnych nie urządzano już terenów zielonych.

Stoichko odwrócił się do Stewarda. Trzymał w ręku krótkie cygaro.

- Nie masz nic przeciwko, że zapalę?

- Oczywiście, że nie.

Zapalił cygaro zapalką - kolejny dowód na jego ziemskie pochodzenie - i przez jakąś minutę bawił się dymem. - Kiedyś zapaliłem cygaro w kolonii Marcus - powiedział - i uruchomiłem wszystkie alarmy przeciwpożarowe w hotelu. Całą twarz miałem w pianie z automatycznej gaśnicy. Zerknął badawczo na Stewarda.

- Co myślisz o Mocnych? - wypowiadał słowa powoli, jakby dobierając każde słowo.

Steward odczekał dłuższą chwilę, zanim zdecydował się odpowiedzieć.

- Myślę, że są... lepsi... niż my. W pewnym sensie. Myślę - udał zakłopotanie - myślę, że oni mogą być naszym zbawieniem. Stoichko pokiwał głową.

- Możesz mieć rację - powiedział. Zaciągnął się dymem i powoli go wypuścił. - Consolidated przypuściła atak na Mocnych z Poselstwa. Nikt z nas nie wie dlaczego. A Mocni umierali tam straszną śmiercią. Sam zresztą wiesz, bo czytałeś. - Tak, wiem - potwierdził Steward.

- Westa podejrzewa, że to może być pierwszy sygnał bardzo nieprzyjemnej wojny - kontynuował Stoichko. - Musimy pokazać Consolidated, że nie będziemy tolerować takiego kowbojskiego zachowania - usiadł na krześle i nachylił się do Stewarda, tworząc atmosferę intymności. - Ktoś będzie musiał się poświęcić. To poświęcenie ustabilizuje sytuację. I na dłuższą metę uratuje wiele żyć, zarówno Mocnych, jak i ludzi.

Steward poczuł ogarniający go chłód.

- Kontratak - powiedział.

Stoichko spojrzał na niego spod oka.

- Czy przeraża cię ten pomysł? Bo mnie tak. Steward przełknął ślinę. Dobrze wiedział, co powinien teraz powiedzieć.

- Ale Mocni... Oni wszyscy umrą.

Stoichko zasmucony skinął głową.

- Tak - powiedział, przesuwając palcami po brzegu kubka z kawą. - Ale to pomoże uniknąć totalnej wojny. Lepiej, żeby te-raz było trochę ofiar, niż żebyśmy mieli kolejną straszliwą wojnę. Musimy pokazać Consolidated, że ich ochrona biologiczna nie jest doskonała i że nie uciekną przed konsekwencjami własnych czynów.

Steward pokręcił głową.

- Muszę to przemyśleć - odparł.

Mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu przyjacielskim gestem.

- Nie spiesz się z decyzją. Chciałbym jednak, żebyś wiedział, iż broń, jakiej użyjemy przeciwko Consolidated jest dużo litościwsza od tej, jaką oni zastosowali. Nasi Mocni umierali w męczarniach. Wpadali w szaleństwo i rozrywali się nawzajem na kawałki. Nasza broń po prostu ich uśpi. A ludziom nie robi najmniejszej krzywdy.

Steward starał się okazać niecierpliwość.

- To niewiele zmienia - powiedział.

Stoichko wzruszył ramionami.

- Jeśli sprzątniesz de Preya, będzie to kolejnym ostrzeżeniem dla przywódców. Że mogą zostać pokonani swoją własną bronią.

Steward wstał i zaczął chodzić po pokoju. Nie wytrzymał wzroku Stoichko, w którym było tyle przekonującej szczerości, ale i napiętej uwagi. Odetchnął głęboko, zacisnął ręce w pięści i wepchnął je do kieszeni. Nie wiedział już, jak ma dalej grać. Zastanawiał się, czy w przypadku odmowy uda mu się wyjść cało z tego pokoju.

Podszedł do okna i spojrzał na rozpościerający się na zewnątrz obszar zieleni. Przez zamknięte okno dochodziły go stłumione okrzyki bawiących się dzieci. Stare wrzeciono Mitsubishi zostało zbudowane dla ludzi, którzy przybyli tu z Ziemi, którzy potrzebowali drzew i trawy. Teraz uważano, że to marnowanie terenów stacji.

- Musimy pogadać o pieniądzach - powiedział, grając na zwłokę, żeby mógł pomyśleć.

- Dziesięć tysięcy Starbright w ramach zaliczki i trzydzieści tysięcy po wykonaniu zadania - odpowiedział spokojnie Stoichko.

- Dwadzieścia pięć zaliczki - rzucił Steward.

- Dwadzieścia.

- Pomyślę o tym.

Smród palonego przez Stoichko cygara wypełniał cały pokój.

Steward wciągnął powietrze nosem.

- Załatwimy także, żebyś dostał się do środka - powiedział Stoichko. - Zamówimy w Charterze transport priorytetowego ładunku na Ricot i postaramy się, żeby Taler wziął do tego „Bor-na”. Jeśli Taler cię tam przywiezie, wszystko będzie wyglądało znacznie lepiej.

- A wsparcie? Jakies zabezpieczenie?

- Możemy dać ci plany Ricot i umiejscowienie ich zabezpieczeń. Dostaniesz też od nas broń. Czego ci jeszcze trzeba? Jak wszystko dobrze załatwisz, wyjdiesz z tego zupełnie czysty. Nie będą mieli powodów, żeby cię podejrzewać. Więc poza „Bornem” nie będzie miał innej drogi ucieczki.

- A samotny operator zawsze może się wszystkiego wyprzeć.

- Dokładnie.

Młoda ciemnowłosa kobieta spacerowała po trawie za oknem. Szła schylona nad małym dzieckiem, pomagając mu stawiać pierwsze kroki. Stewardowi coś zacisnęło się w gardle. Odwrócił się do Stoichko.

- Nie mogę jeszcze podjąć ostatecznej decyzji - powiedział.

206-

Walter 3on Williams

Mężczyzna skinął głową. Steward usilnie szukał śladu ostrzeżenia w jego oczach, jakiegoś błysku, zmrużenia powiek albo drżenia źrenic, czegoś, co mogłoby zwiastować szybką śmierć Stewarda jeszcze tu, w hotelu. Starł się przyjąć dobrze wyważoną pozycję bez demonstrowania zamiaru obrony. Jego ręce i nogi były gotowe do ewentualnego ataku. Niewykluczone, pomyślał, że dla wytrenowanych oczu Stoichko jego starania są oczywiste. Spróbował się rozluźnić. Stoichko zgasił cygaro i utkwiał wzrok w popielniczce. Potem spojrzał na Stewarda. - Jest się nad czym zastanawiać - powiedział. - Czy możemy spotkać się jutro? Może tu, na obiedzie?

- Tak, ale nie jestem pewien, czy udzielę odpowiedzi. - To zrozumiałe - odparł. - Jeśli przyjdą ci do

głowy jeszcze jakieś szczegóły i zechcesz uzyskać odpowiedzi na dotyczące ich pytania, to nie ma problemu. Westa tylko jedną rzecz potraktuje jako problem: jeśli będziesz chciał to komuś powiedzieć. Steward wzruszył ramionami.

- Nie jestem głupi.

Stoichko patrzył na niego z powagą. Steward wiedział, że te-raz ma okazję zobaczyć prawdziwego Stoichko, a nie domokraż-cę o zaraźliwym śmiechu.

- Nie myśl, że twoi znajomi z Antarktydy zdołają sprzedać informację o naszych zamiarach bez naszej wiedzy. Jeśli się do-wiemy, nigdzie nie będziesz bezpieczny.

- Człowieku, nie traktuj mnie jak idiotę - zachnął się Steward.

- Po prostu uważałem, że trzeba to powiedzieć. - Uczciwa umowa - powiedział Steward, ocierając z czoła wy-myślony pot. Nie umrze, przynajmniej jeszcze nie teraz. - A żebyś wiedział - odparł Stoichko i uśmiechnął się, a Ste-ward natychmiast poczuł chęć, by to odwzajemnić. Geny domo-krażcy.

- Dobrze się bawiłeś? - spytał Stoichko. - Korzystałeś z inha-latora?

Steward uśmiechnął się.

- Zużyłem wszystko - wyznał. - Nie masz przypadkiem jesz-cze jednego?

Stoichko zaśmiał się i podszedł do walizki. - Postaraj się, żeby ten był ostatni, dobrze? Nie mam już więcej.

Steward wziął od mężczyzny chłodny pojemnik. - Dzięki - powiedział i schował inhalator do kieszeni. Ruszył w stronę drzwi, ale przystanął w pół drogi i udał, że się zastana-wia. Odwrócił się i spojrzał na Stoichko. - Wiesz, dałem tego spró-bować mojej... znajomej. I to na nią wcale nie działało. Nie wiesz przypadkiem dlaczego?

Stoichko rozłożył ręce.

- Może miała wysoką odporność - odpowiedział. - Chemia nie jest moją mocną stroną.

- Tak, chyba masz rację. - Steward przysunął się bliżej drzwi. - Wrócę jutro. O osiemnastej?

- Będę czekał. Idź się zabawić - powiedział, kładąc mu rękę na ramieniu i otwierając drzwi. - I nie martw się tamtym. Jeśli będziesz miał jakieś problemy, poradzimy sobie z nimi. Przez całą drogę wzdłuż korytarza i do wyjścia z hotelu miał odczucie, jakby chłodny przeciąg dotykał jego karku i pleców. Zastanawiał się, czy ktoś go śledzi, czy właśnie uczynił z siebie cel. Kto jeszcze miał dostęp do sieci na Ziemi Marii Byrd, kto jeszcze mógł poszukiwać usług Stewarda.

Wymeldował się z hotelu i wrócił na „Borna”. Doszedł do wniosku, że tam będzie czuł się bezpieczniej. Wyciągnął się na łóżku i wyjął z kieszeni inhalator. Zimny metal mroził mu palce. Podniósł go do światła i usiłował dojść, jakie znaczenie miał ten hormon i gdzie było jego miejsce w całości. Wysoka odporność? Nawet gdyby to była prawda, powinien czuć cokolwiek. Przy-tknął chłodny metal do górnej wargi, zastanawiając się, czy war-to spróbować tego jeszcze raz. Nagle poczuł, że ogarnia go fala zimna, jakby przenikająca z inhalatora. Nowa myśl zmroziła go na wskroś.

W pojemniku może być trucizna. Stoichko dał mu ją, gdy Ste-ward nie zgodził się od razu zmasakrować Mocnych na Ricot. Opanował chęć rzucenia pojemnika w drugi koniec kabiny i delikatnie odłożył na półkę, przymocowując go paskiem rzepa, że-by nie odleciał.

Misja na Ricot, pomyślał. Znalazłby de Preya i Curzona. A przy okazji zabiłby dziesiątki Mocnych, do których nic nie miał, a jemu nic by się nie stało. Nie chciał tego. Podniósł wzrok na swój symbol - zdjęcie ekranu wideo z nie-wyraźnym obrazem, zatartym przez szum interferencyjny. Alfa podjął się podobnej misji, skuszony przynętą w osobie de Preya, i zmasakrował Mocnych na Weście. Musiał mieć swoje powody, 208----- by to zrobić - w każdym razie Steward miał taką nadzieję - lecz on nie żywił żadnych uczuć do Mocnych; ani nie otaczał ich miło-ścią, jak Griffith, ani nie nienawidził ich do tego stopnia, żeby chcieć ich pozabijać.

Nie podobała mu się oferta Stoichko. Chciał jednak wie-dzieć, co się za nią kryło, ile Stoichko wiedział o Consolidated i wzajemnej relacji między Curzonem i de Preyem. Zdecydował, że porozmawia ze Stoichko. Będzie go prowa-dzić zen tego spotkania. Przyjmie bądź odrzuci zadanie w zależ-ności od tego, w którą stronę popchną go jego wewnętrzne im-pulsy.

Podszedł do swojego terminalu i wyświetlił rozkład odlotów promów. Był tam jeden statek, który odlatywał na Ziemię o dzie-więtnastej trzydzieści.

Jeśli odmówi przyjęcia zadania, będzie musiał biec, żeby zdą-żyć na ten prom. I mieć nadzieję, że dobiegnie żywy. Rano Steward zadzwonił do swojego robobrokera i polecił mu sprzedać wszystkie akcje Brighter Suns, a potem kupować, jak tylko spadnie o co najmniej dziesięć punktów. Zjadł lunch na pokładzie statku i poszedł odwiedzić Zhou. Zawartość drugiego inhalatora była taka sama jak poprzednio: Stoichko nie dał więc Stewardowi pistoletu w chemicznej postaci. Zhou nie znalazł żad-nych informacji na temat hormonu, ani nie ustalił, do czego mógł-by służyć.

Podniósł na Stewarda swą bladą, pomalowaną w paski twarz, i zimno się uśmiechnął.

- Moglibyśmy dać to paru osobom na imprezie i zobaczyć, co się będzie działo - zaproponował.

Steward pokręcił głową.

Uśmiech zamarł na ustach Zhou.

- Nie mówiłem tego poważnie - powiedział. Steward zabrał oba inhalatory i wrzucił je do swojej torby podróźnej. Potem udał się do hotelu Xylophone. Minał cichy hol z latającymi holograficznymi samolocikami. Żaden z pilotów mu nie zamachał. Zaczął wchodzić po schodach. Szedł korytarzem, starając się stąpać jak najciszej. Drzwi po-koju Stoichko były lekko uchylone, jak gdyby w geście zaprosze-nia. Ze środka dochodziły dźwięki rozmowy na wideo. Steward poczuł dym z cygara. Zrobiło mu się gorąco. Coś tu było nie tak. Stał w korytarzu jeszcze przez sekundę, po czym wyciągnął rękę i pchnął lekko drzwi. Coś mu mówiło, żeby nie wchodzić do środka.

Stoichko siedział na jednym z plastikowych, chromowanych krzeseł, dobrze widoczny z miejsca, gdzie stał Steward. Kule tra-fiły w serce i płuca. Głowa mu zwisała na piersi, w nieruchomych oczach pozostało przebiegłe spojrzenie. Na kolanach zbierała mu się jasna tętnicza krew. W popielniczce obok jego ręki wciąż pa-liło się cygaro.

Misja odwołana, pomyślał Steward.

Kolory z wideo przesuwały się po twarzy mężczyzny, słabo połyskując w martwych, żółtych oczach. Steward poczuł nieod-partą chęć ucieczki. Morderca mógł znajdować się w pokoju. Pomyślał o powiązaniach, połączeniach informacyjnych bie-gnących na Westę, na Antarktydę i do Stacji Charter, o Demonie Ciołkowskiego, siedzącym w publicznie dostępnych komputerach, jak Układ Słoneczny długi i szeroki. Te powiązania, które zaczę-ły już działać, do których nie miał dostępu bez informacji. Najwy-żej mógł się dowiedzieć tu, w pokoju Stoichko. Steward zwinął w kulę trzymaną w rękę torbę, gotów rzucić ją w twarz czekają-cemu w środku człowiekowi.

Po cichu wszedł do środka.

Niekiedy, pomyślał Steward, można zapomnieć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Jednak owa chwila do takich nie należała.

Poza nim i Stoichko w pokoju nie było nikogo. Na wideo jakaś ubrana w skóry kobieta traktowała płomieniem z ręcznego miota-cza ogorzałego mężczyznę w czarnym trykocie. Wrzaski i huk płomieni roznosiły się echem wśród hotelowych ścian. Steward opuścił torbę i nogą zamknął drzwi. Był lekko podekscytowany. Nareszcie rzeczywistość. Umysł jak pustka, pomyślał, cytując Musashiego. Próbował sobie przypomnieć, czego dotyczył poprzedniego dnia. Drzwi, kubka z kawą, krzesła, może okna. Kubki zostały wymienione przez obsługę hotelu - dwa z nich stały teraz obok eks-#14 - Ryk tornada 210-----u..... presu, wciąż zapakowane w papier. Zdjął kurtkę i wytarł nią całe okno, a potem drzwi i kłamkę. Trzymając rękę pod kurtką wcisnął umieszczony przy drzwiach przycisk, który wyświetlał na zewnętrznej framudze czerwony napis NIE PRZESZKADZAĆ. W pokoju zaczynało cuchnąć śmiercią. Tężejąca krew kapłała z krzesła na dywan. Z wideo płynęła tytułowa melodia filmu. Steward próbował opróżnić swój umysł, stworzyć w swoim wnętrzu pustkę, którą mógłby potem wypełnić wyglądem Stoichko i znaczeniem tego wszystkiego. Zaczął przeglądać rzeczy osobiste mężczyzny, ścierając od razu odciski palców. Agent Grupy Siedem nie podróżował z dużym bagażem. Miał tylko jedną torbę, uszytą z prawdziwej skóry, wzmocnioną stalową listwą. Steward odnalazł ją w szafie. Wysypał zawartość na łóżko. Było tam kilka sztuk brudnej odzieży, mały plastikowy przybornik z narzędziami - śrubokręty, klucze nastawne i tym podobne - oraz mała saszetka z czterema kieszeniami, przeznaczonymi do przewożenia małych butelek. W jednej kieszeni zauważył butelkę koniaku. Prawdopodobnie w dwóch z nich Stoichko trzymał inhalatory. Wielkość się zgadzała.

W szafie znajdowały się tylko ubrania. Steward przywłaszczył sobie chusteczkę jednorazową, by mieć czym wycierać odciski palców. Nic nie zostało ukryte za szufladami ani pod blatem małego biurka. W łazience były tylko przedmioty standardowego wyposażenia. Steward schował do kieszeni tubkę z pastą do zębów i pojemnik z dezodorantem w sztyfcie, by później sprawdzić, czy w środku czegoś nie ma.

Na nocnym stoliku leżał thriller w miękkiej oprawie i dwie szpilki pamięciowe, opatrzone zgrabnymi etykietkami, na których napisano - najwyraźniej ręką Stoichko - że zawierają muzykę. Steward wrzucił szpilki do kieszeni.

Jeszcze raz omiół wzrokiem cały pokój. Stoichko zapadł się w krzesło, a jego cygaro wreszcie zgasło. Na wideo jakaś dziewczyna o oliwkowej skórze i ze skomplikowanym makijażem w kształcie skrzydła motyla, całowała niskiego skośnookiego mężczyznę, ubranego w gi z ciemnego jedwabiu.

Grupa Siedem będzie przekonana, że to ja go zabiłem, pomyślał Steward. Jeżeli mam uciekać, muszę to zrobić szybko. Obsługa hotelu nie odkryje ciała przynajmniej do jutrzejszego ranka. Może nawet zajmie im to więcej czasu, jeśli na zewnętrznej pozostanie napis NIE PRZESZKADZAĆ. Na Charterze zapewne nie ma więcej ludzi z Grupy Siedem - będą musieli przylecieć z Ziemi. A zatem, nie zaczną go ścigać natychmiast. Chyba że ten, kto zabił Stoichko, dzwoni teraz na policję, żeby o tym powiedzieć. Na samą myśl przeszył go zimny dreszcz.

Trzeba wykorzystać nadarżające się okazje, pomyślał. Umysł jak pustka.

Próbował sprawić, by pokój przemówił do niego. Zastanawiał się, do czego służyły te narzędzia. I

czy w czarnej kieszonce mogła być butelka.

Spojrzał na Stoichko i poczuł w ustach miedziany smak. Już wiedział, co stało się później.

Ciało było wciąż ciepłe, krew wciąż płynna, a realizm tego widoku przenikał Stewarda falą mdłości. W uszach słyszał ryk tornada. Przewrócił martwego Stoichko na podłogę, odnalazł pełne kieszenie i opróżnił te, do których mógł dosięgnąć. Szpilka kredytowa, płaski klucz do pokoju hotelowego, komplet innych, niezidentyfikowanych kluczy. Rzucił je na podłogę. Teraz tylne kieszenie. Wstał, złapał mężczyznę za pasek i spróbował unieść ciężkie ciało. Było całkowicie bezwładne, jakby nie miało kości i namęczył się bardziej, niż się spodziewał. Szlufka od paska puściła, zaskakując Stewarda głośnym odgłosem darcia. Przez przekrzywioną pierś mężczyzny przelewały się strumienie krwi. Steward odskoczył gwałtownie, żeby nie ubrudzić spodni, po czym obszedł go z drugiej strony i przeszukał tylne kieszenie. Niczego nie znalazł.

Pustka, pomyślał. Niech wejdzie w niego zrozumienie.

Po co mu były te narzędzia?

Znow rozejrzał się po pokoju. Od strony wideo dochodził dźwięk pękających chrząstek. Facet w czarnym gi zrobił właśnie obrót i wsadził nogę w twarz jakiegoś blondyna. Steward wyłączył wideo i wyjął wtyczkę z gniazdka. Wziął narzędzia i odkręcił tylną osłonę ekranu jednym ze śrubokrętów. W środku była niewielka buteleczka z czarnego metalu, przyklejona taśmą do wewnętrznej powierzchni wąskiej podstawki. Włożył rękę do środka i oderwał taśmę. Buteleczka była lekka i mieściła się doskonale w ręku Stewarda. Na wierzchu widniała mała etykieta z symbolem niebezpiecznej substancji biologicznej i napisem: UWAGA: IZOLOWANE BIOLOGICZNIE.

OTWIERAĆ TYLKO W WARUNKACH STERYLNYCH.

Odłożył buteleczkę i wytarł wszystko, czego mógł dotykać. Przykręcił z powrotem tylną osłonę wideo, wytarł ją dokładnie, a następnie wsadził buteleczkę do tylnej kieszeni. Krew Stoichko ciekła powoli wzdłuż dywanu. Steward ostrożnie ją ominął.

Wypełniająca go pustka zaczynała być bolesna.

Czas iść.

Zhou nie było w domu. Steward zatrzymał się przy poczcie automatycznej, włożył buteleczkę wraz z instrukcją i szpilką za-wierającą zaliczkę do wspólnego pudełka i nadał przesyłkę na je-go adres. Ruszył w kierunku doków, oglądając się często za siebie i starając się nie biec. Grawitacja powoli zwalniała swój nie-widzialny uścisk. Holograficzne reklamy zdawały się uderzać w niego. Wydawało mu się, że na granicy jego zmysłów coś się porusza, ale gdy patrzył w tamtą stronę, niczego nie mógł do-strzec. Wciąż czuł wypełniająca go pustkę, która stawała się bo-lesna. Chciał ją czymś wypełnić.

Prom Starbright odleciał już na Ziemię. Patrzył na migający napis ODLECIAŁ, zastanawiając się, czy Reese była na pokładzie. Przejrzał jaskrawo świecące kolumny rozkładu jazdy pro-mów i znalazł jedną w żółtym kolorze, na której umieszczono lo-ty między poszczególnymi stacjami na orbicie Księżyca. Tymi li-niami latali akwizytorzy, wędrujący od hotelu do hotelu. Przylo-ty z SOLON, PORT ARTHUR. Odloty do PRINCE, NEW HMTY, KEYSTONE, SOLON, PORT ARTHUR.

New Humanity, gdzie mieszkała Natalie, żyjąca wraz z dziec-kiem Alfą w bezgrawitacyjnym odosobnieniu. Cena biletu była absurdalnie niska.

Wiedział, że okazuje słabość. Mógł jej przysporzyć kłopotów. A jednak musiał wypełnić się czymś prawdziwym, czymś poza gwałtowną śmiercią w małym pokoju hotelowym i bezwładnym, nieskończenie smutnym człowiekiem, stygnącym powoli przy głu-piej gadaninie z wideo. Poza tym przez jakiś czas nie spodziewał się wizyty ludzi z Grupy Siedem.

A jeśli dopadną go za kilka dni, to mogła być jego ostatnia szansa.

Zdecydował, że New Humanity to dokładnie to, czego mu trzeba.

W celu zmylenia pościgu wykupił bilet na najdłuższy lot do Port Arthur. Większość pasażerów promu najwidoczniej знаła się doskonale, bo wchodząc na pokład uśmiechali się do siebie, wita-li się i rozmawiali. Patrzyli na niego z przyjaznym zaciekawie-niem. Steward odmówił posiłku, zaproponowanego mu przez ste-wardesę i spróbował odpocząć.

Myśli pędziły w jego głowie, jak pożar pchany przez jesien-nego mistrala, dotykając go żywym ogniem. Gdy zamknął oczy, widział plamy krwi płonące laserowym światłem na tęczęwce. Nie potrafił już dostrzec spójności w tym wszystkim. Nie wiedział już nic poza tym, że w głębi szyi dyszy mu Demon Ciołkowskiego. Dał za wygraną i zamówił szkocką.

Gdy przyniesiono mu szklankę, poznał po smaku, że whisky jest japońska. Skrzywił się i wypił.

Ta potrzeba stawała się w nim coraz silniejsza. Wiedział, że jest w tym szaleństwo, ale zwalczał je logiką zawartą w słowach Ashrafa: „To już cię nie dotyczy”. Owe słowa, równie martwe jak Ashraf, wirowały bezsensownie w wypełniającym jego głowę chaosie.

Sześć godzin i trzy wolne drinki później, Steward przyglądał się rosnącej za oknem bryle New Humanity. Była to srebrzysta, lśniąca konstrukcja o długości kilku kilometrów, nieposiadająca charakterystycznego, wrzecionowatego kształtu osiedli, w któ-rych panowało sztuczne ciśnienie. Przed Stewardem rozciągał się labirynt segmentowanych rur i tuneli, ozdobionych gdzieniegdzie jaskrawymi pudełkami bezgrawitacyjnych fabryk, upstrzonych talerzami anten odbiorczych i panelami baterii słonecznych. Ste-ward wysiadł tu jako jedyny pasażer.

Osiemdziesiąt lat temu cztery koncerty imagistów zbudowa-ły New Humanity jako symbol swojej ideologii, osiedle dla ludz-kości drugiego stopnia, zamieszkane wyłącznie przez jednostki przystosowane do życia w kosmosie, w stanie nieważkości.

Gdy Steward wysiadł z promu, stało się dla niego jasne, dla-czego to marzenie się nie ziściło. W powietrzu czuło się kwaśny zapach, jak gdyby recyrkulatory zakaziły się jakimś grzybem lub bakterią. Apatyczna, sześcioramienna kobieto-żaba, wisząca

214-

Waller 3on Williams

przed swoim terminalem wideo przy biurku odprawy celnej, wy-dawała się lekko zdziwiona jego przybyciem, a w korytarzach i tu-nelach nie było widać nawet jednego przedstawiciela miejsco-wej zmodyfikowanej społeczności. Ściany rurowatych korytarzy pokrywało graffiti. Wciąż trwała tu produkcja, ale na rynku me-tali i farmaceutyków istniała silna konkurencja i nowocześniejsze fabryki, lepiej wyposażone przez swoje polikorporacje, utrud-niały sytuację miejscowych zakładów. Czterej sponsorzy osiedla już dawno nie istnieli. Stacja New Humanity miała teraz własną państwowość i mogła liczyć tylko na siebie. Steward nie zauważył nigdzie żadnych zabezpieczeń. Widać nie było tu czego kraść.

Dni Darwina zawitały do New Humanity i kolonia zaczynała tracić swoją niszę.

Śpiwór dostosowany do stanu nieważkości, umywalka, prysz-nic i terminal komputerowy, wszystko w kolorze instytucjonal-nej szarości - oto całe wyposażenie fundowanego przez państwo pokoju Stewarda. Był tam też trójwymiarowy plakat, przedsta-wiający szczęśliwe dzieci-żaby, bawiące się we wnętrzu jasnego, czystego osiedla. Napis pod rysunkiem głosił: BUDUJEMY PRZYSZŁOŚĆ. Przyczepił torbę do ściany paskami rzepa. Lokal-ny czas wskazywał, że za godzinę będzie koniec

zmiany. Wsunął stopy w paski przytrzymujące na podłodze przed terminalem i wyświetlił na ekranie książkę telefoniczną stacji. Przed nim płonął adres Natalie. Poczłł suchość w ustach, świadomość rzeczywistości, drgającą na jego skórze milionami iskierek. Głód. Był bardzo blisko obiektu swoich pragnień. Poprosił terminal o radę, jak dojechać z hotelu do osiedla Natalie. Okazało się, że mieszkała na samym końcu stacji w po-bliżu fabryki biologicznej, w której prawdopodobnie pracowała. Zapamiętał szczegóły trasy, po czym opuścił hotel i skierował się do tunelu transportowego.

Najkrótsza droga nie była najłatwiejsza. Gdy Steward skręcił w jedną z odnóg, zauważył, że w przejściu panuje ciemność. Działało tylko jedno z trzech świateł; pozostałe usunięto. Tunel kończył się wygaszonym kompleksem mieszkalnym. Przez środek prowadził szeroki, sześciokątny korytarz, z którego odchodziło sześć rzędów mieszkań. Powietrze śmierdziało tu stęchlizną i Steward zrozumiał, że wyłączono wentylację. Nikt tu już nie mieszkał. Populacja New Humanity stawała się coraz mniej liczna. W głównym korytarzu kompleksu wciąż paliło się kilka lamp. Steward odepchnął się od ściany, i skierował w stronę odległego zielonego światła, które znaczyło wejście do tunelu prowadzącego do kompleksu mieszkalnego Natalie.

Tor lotu Stewarda uległ po drodze lekkiemu skrzywieniu, zbliżając go do niektórych mieszkań. Część drzwi została wyważona, a inne zdemontowano. W mdłym świetle lamp dostrzegł, że wnętrza mieszkań wypatroszono, zrywając ze ścian nawet instalację. Zbitki rur i kabli unosiły się nieruchomo w powietrzu. Każdą płaską powierzchnię pokrywało graffiti. Steward otarł się o jeden z filarów rozporowych kompleksu, chwycił go i tym razem odbił się dokładnie w kierunku wyjścia.

Nagle coś przed nim przysłoniło zielone światło, będące celem jego podróży. Wyteżył wzrok i zobaczył bladą twarz zmierzającą w jego kierunku. W tej postaci było coś dziwnego. Gdy podlegał bliżej, ujrzał wybrzuszone opakowanie na mózg, z rzadka porośnięte jasnymi włosami; sześć ramion, z których cztery wyrastały ze zmodyfikowanych stawów biodrowych i kończyły się dłońmi. W nieruchomym powietrzu zabrzmiał piskliwy chichot, odbijając się echem od wszystkich ścian. Steward poczuł, że stają mu włosy na karku. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, dojrzał rozpalone szaleństwem oczy, odwzajemniające jego spojrzenie.

Dwa z dodatkowych ramion chwyciły obłożony miękką izolacją filar i całe ciało obróciło się wokół niego, zmieniając cel lotu na drzwi jednego z mieszkań. Nienaturalne kończyny były sztywne i łokcie tworzyły na nich jedynie wystające narośla. Ogromny mózg zużywał substancje odżywcze i tlen, głodząc resztę ciała. Człowiek-żaba nie był większy od dziesięcioletniego dziecka. Kolejny chichot przerwał ciszę. Ramiona wysunęły się do przodu, chwytając pręt umieszczony przy drzwiach. Mężczyzna otworzył drzwi i wpełził do środka. Jego szybkie, nienaturalne ruchy przywoływały na myśl owada spływającego do otworu w zlewie. Przez otwarte drzwi biła z wewnątrz niebieskawa poświata, rzucając lazurowe cienie na nagą skórę mężczyzny i na sprzęt komputerowy, unoszący się w powietrzu wśród urozmaiconej chmury śmieci, pustych pojemników po napojach, tacek po jedzeniu i staromodnych modułów pamięci ROM. Na wewnętrznej stronie drzwi wymalowano slogan: KOWALENCYJNOŚĆ RZĄDZI. Jedno z haseł Nowego Frontu Rejuwenilnego.

216-

wniier jon wnuums

Człowiek-żaba wystawił głowę z mieszkania i spojrzał na Stewarda z nerwowym uśmiechem.

- Robaki, no nie? - powiedział piskliwym głosem i drzwi zamknęły się z hukiem. Steward wpływał w obszar cienia. Budujemy przyszłość, pomyślał Steward. Dni Darwina. Korytarz prowadził już

bezpośrednio do kompleksu mieszkalnego Natalie, identycznego z poprzednim, ale zamieszkanego i zalanego jasnym światłem. A jednak było tu życie. Odetchnął z ulgą czując na skórze dotyk poruszającego się powietrza, słysząc śmiech dzieci, bawiących się w jakąś skomplikowaną grę w dużym „małym gaju”, rozciągniętym między filarami. Ludzie wracali właśnie ze zmiany, mijając się z innymi, którzy właśnie wychodzili do pracy. Większość z nich należała do żab i Steward dojrzał tylko kilka normalnie zbudowanych osób. Unoszące się w powietrzu holograficzne drogowskazy powiedziały mu, w którym z sześciu boków kompleksu znajduje się miejsce, do którego zdąża. Odbił się nogami i poleciał w kierunku drzwi mieszkania Natalie.

W żyłach wrzała mu krew. Pot drażnił oczy. Wcisnął nogi w otaczający drzwi pasek rzepa i schylił się, by wcisnąć dzwonek. Zza zamkniętych drzwi poczuł zapach świeżo zaparzonej kawy.

Wspomnienia pojawiły się również w jego brzuchu. Natalie otworzyła drzwi. Wyleciała z mieszkania głową do przodu i spojrzała na niego oczami, które dobrze znał. Był zaskoczony. Nie wiedział czego oczekiwać, jaką mieszkankę starego i nowego przyjdzie mu zobaczyć, ale wszelkie jego przewidywania okazały się błędne.

Nosiła teraz krótkie włosy, czarne i przetykane siwizną. Miała na sobie szare płócienne spodnie i wzmocnioną koszulę z krótkim rękawem, z metalowymi pierścieniami u dołu, za pomocą których przypinała się do biurka. Jej stopy były bose. W ręku trzymała tubę kawy.

Zauważył bladą, trochę obwisłą skórę, nakrapianą gdzie-gdzie czerwonymi plamkami - skutek życia w zamkniętej przestrzeni. Jej twarz była okrągłszą, niż się spodziewał. Dawno już nie miała kontaktu z ciężeniem, które napinało skórę i dodawało twarzy charakteru.

Spojrzała w górę i zdumiona głęboko odetchnęła. Potem wypuściła powietrze, a jej palce zacisnęły się mocniej na framudze drzwi.

- Powinnaś być wiedzieć, że przyjedziesz. Niezmieniony dźwięk jej głosu przepalił Stewarda aż do szpiku kości.

- Mogę wejść? - spytał.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Wyglądasz tak cholernie młodo.

Steward wzruszył ramionami.

- Nic na to nie poradzę - odparł.

- Za grosz taktu. Nie masz oglądy. Nigdy nie miałeś.

- Podobałem ci się taki - powiedział. - Z tego, co pamiętam. Przyglądała mu się, nie mówiąc ani słowa. Steward czuł się nieswojo, bo nie umiał odczytać tego spojrzenia; jego wspomnienia nie dawały mu żadnej wskazówki co do tego, jakie myśli mogą krążyć w jej głowie.

- Chciałbym wejść do środka - powiedział.

- Zaraz muszę wyjść do pracy.

- Chciałbym wejść. Tylko na parę minut.

Wyraz jej twarzy zdradzał, że się namyśla. Odepchnęła się rękami do środka mieszkania. Doleciała do przeciwległej ściany, wyhamowała i czekała tam, nieruchoma i wpatrzona w niego. Steward oderwał nogi od rzepa, zaczepił jedną z nich o ramę drzwi i przyciągał się, aż zdołał uchwycić brzeg drzwi rękami, co pozwalało mu zapanować nad kierunkiem ruchu. Zamknął za sobą drzwi i odepchnął się od nich w kierunku ściany, przy której czekała Natalie.

Pokój był mały i schludny. W warunkach zerowej grawitacji nie było podłogi ani sufitu, tylko sześć

ścian. Wisały tam składa-ne, małe stoliki i biurko. Znajdowała się także kuchenka oraz konsola komputerowa, przy której wisała uprząż, utrzymująca użytkownika przy klawiaturze. Książki, czasopisma i podpisane szpilki pamięciowe leżały na półkach, przymocowane paskami rzepa. Kolejne drzwi wiodły do pogrążonej w półmroku sypialni. Niewielki robot pełził po ścianie, zajęty sprzątaniem. Nie było śla-du chłopca. Steward zastanawiał się, co się z nim stało. Pewnie odleciał do szkoły, niewykluczone, że na jakąś inną stację. Poczul, że ma sucho w ustach.

- Czy mogłabyś poczęstować mnie kawą? - spytał.

- Ależ proszę, weź sobie - odpowiedziała.

Obserwowała go w skupieniu. Był zaskoczony jej dystansem, obiektywnością. Jakby nic to dla niej nie znaczyło. Wziął kubek, obrócił się w powietrzu w jej stronę i znierucho-miał przy kuchence, popijając kawę. Była całkiem niezła. - Piłeś - powiedziała. - Czuć aż tutaj.

- A, tak - odparł. - Japońską whisky, na promie. Była okropna.

- Często teraz zdarza ci się pić rano?

- Według mojego czasu jest teraz pewnie koło północy. Rozłożyła ręce w geście, który ukazywał ją samą, jej skrom-ne mieszkanie. New Humanity. Ten ruch miał w sobie wiele wdzięku, dokładnie takiego, jaki pamiętał.

- Mam nadzieję, że dla tego widoku warto było dłużej zostać na nogach - powiedziała.

Patrzył na nią, szukając podpowiedzi, czegoś, od czego mógł-by zacząć. Nic nie przychodziło mu do głowy. - Ja również - odpowiedział.

- Zapomniałam tę całą namiętność. Już przy tym pierwszym trochę się wypaliłam. On jednak zawsze umiał przywołać to z po-wrotem, gdy mu zależało.

- Alfa.

- To czyni cię Beta, prawda? - w kącikach jej ust czaił się cień uśmiechu. - Ale ta terminologia najwyraźniej nie szkodzi specjalnie twojemu poczuciu własnej wartości. - Staram się nad tym pracować.

Patrzyła mu prosto w twarz.

- Pracować nad czym? Nad stawaniem się Alfą? - spytała. Steward poczul, że coś w środku jego ciała boleśnie się kur-czy. Szukał odpowiedzi, ale jej nie znalazł, więc wzruszył ramio-nami.

- Chyba nad stawaniem się sobą - odpowiedział.

- A to, że tu przyszedłeś? To także część tej pracy?

Spojrzał na Natalie, wytrzymując jej spojrzenie.

- To część moich nadziei.

Odwróciła wzrok, zdenerwowana. Przygryzła dolną wargę. - To nie jest prawdziwy opis mnie, Beto - powiedziała. - Ja nie istnieję taka, jaką mnie pamiętasz.

- Nie możesz tego wiedzieć.

Odwróciła się od niego i popłynęła w stronę sypialni. - Muszę się przygotować do pracy - powiedziała, machnąw-szy mu ręką, żeby wyszedł.

- Nie możesz tego wiedzieć - powtórzył Steward. - Nie mo-żesz wiedzieć, jakie są moje marzenia.

Głos Natalie był stłumiony, jakby dochodził z następnego po-koju.

- Wiem, co jest, a co nie jest możliwe między nami - odparła. Steward obrócił się w miejscu, odepchnął się nogami i wyha-mował przy drzwiach sypialni. Natalie unosiła się przed lustrem.

Wcisnęła przycisk w ścianie i jasne światło oświetliło jej twarz. Było bezlitosne. Nawet przez całą długość pokoju Steward widział obwisłą, przebarwioną skórę. Przypomnił sobie piasek, ocean, dochodzące z oddali śpiewy. Popił kawy. - Nie możesz zadzwonić do pracy i powiedzieć, że się trochę spóźnisz?

Pokręciła głową, patrząc beznamiętnie na swoje odbicie.

- Raczej nie.

Zamknęła oczy i spryskała twarz czymś, co przyciemniło bladość skóry i nadało jej barwę, tak że nie wyglądała już jak biała maska. Oczekała, aż preparat wyschnie i naniosiła na policzki makijaż, który przywrócił im naturalne kolory. Sięgnęła po kolejny flakonik i pomalowała kości policzkowe w bladzielone paski. - Nie pozbywaj się mnie tak łatwo - powiedział Steward. - Jestem bogaty. Urządzony na całe życie.

Natalie odwróciła się do niego. Sztuczne kolory kwitły na jej ziemistej cerze.

- Nie chcę pieniędzy - odparła stanowczym tonem - I nie chcę wiedzieć, jak je zdobyłeś. Nie jesteś mi nic winien. Nie ponosisz za to żadnej odpowiedzialności. Wszystkie zobowiązania umarły wraz... - przez jej twarz przebiegł cień - ...z kimś innym. Steward usilnie szukał słów.

- Czuję to... inaczej - powiedział.

Spojrzała mu twardo prosto w oczy.

- Przykro mi z tego powodu. Przykro mi, że Etienne... twój Alfa... nie dał ci wspomnień, które pomogłyby ci zrozumieć, o czym teraz mówię. Zresztą te wspomnienia i tak nie były najlepsze - powiedziała i odwróciła się z powrotem do lustra. Steward zdębiał.

- Wiesz o mojej pamięci.

Natalie była zaabsorbowana swoimi czynnościami. Mówiła do lustra, jakby przy okazji.

- Tak. Kilka razy dzwonił do mnie twój lekarz. Ashley, czy jak mu tam było.

- Ashraf.

220-----wauer jon wiuiu - A, właśnie. Nie chciał, żebym z tobą rozmawiała. Zgodziłam się z nim.

W Stewardzie obudził się gniew. Zacisnął zęby. - Ashraf dużo brał na siebie - powiedział. - I w końcu ktoś go zabił.

Oczy Natalie odwróciły się do niego na chwilę, po czym powróciły do lustra.

- Nie ja to zrobiłem - dodał. - Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Ja nic nie mówiłam - odparła Natalie.

Skupił się na swoim gniewie i wyrzucił go z siebie. To uczucie tu nie pasowało. Dotknął framugi i odepchnął się w stronę Natalie. Zatrzymał się tuż za nią, łapiąc po drodze śpiwór, który wraz z siatką przytrzymującą wisiał zwinięty na ścianie. Mógł teraz patrzeć na jej odbicie w lustrze. Malowała sobie nad okiem zielonkawe skrzydła.

- Dlaczego nie chcesz zadzwonić do pracy? - spytał. - Powiedz im, że masz gościa z zewnątrz.

Obróciła się w powietrzu w jego stronę. Pomalowana oliwkowa twarz, zmieniona przez emocje, wyglądała jak bolesna karykatura wspomnień Stewarda. Kontrastowała z bladą szyją i dłońmi. Spróbował się nie wzdrzygnąć.

- Mam inne sposoby spędzania wolnego czasu - powiedziała.

W jej głosie brzmiał gniew. - Pokażę ci.

Przesunęła się na rękach wzdłuż ściany do drzwi i odepchnęła w kierunku terminalu w poprzednim pokoju. Steward ruszył za nią.

- Spójrz - rozkazała.

Wcisnęła parę klawiszy. Z ukrytych głośników popłynęły syn-tetyczne akordy. Ekran zamigał i zapalił się. Steward przysunął się bliżej.

Na ekranie było dziecko. Unosiło się w środku jakiegoś po-mieszczenia z przymocowaną do piersi klawiaturą. Krótkie i grube palce poruszały się po niej z doskonałą wprawą. Dźwięki drażniły uszy. Nagle serce Stewarda podskoczyło, bowiem coś do-strzegł.

Twarz dziecka była gładka, owalna, łagodna i uśmiechnięta. Niewykluczone, że nigdy nie była inna. Jego ciało miało dziwne proporcje, skierowane w górę oczy patrzyły głównie w spód górnej powieki, a nogi sięgały tylko do połowy normalnej długości. - To mój syn - powiedziała. - Rozszczep kręgosłupa, silne upośledzenie ośrodków mowy, umysł na granicy autyzmu. Wiele z jego chromosomów uległo uszkodzeniu na Szeolu. Ma na imię Andrew.

Dochodząca z głośników muzyka była wolna, przemyślana i pozbawiona harmonii. Na swój sposób doskonała. Steward przyglądał się twarzy, wywróconym oczom, i czuł zimny dreszcz, mieszaną przerażenia i bólu. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek był-by w stanie pokochać to dziecko.

- Grawitacja by go zabiła. Ma szansę przeżycia tylko w kosmosie - mówiła Natalie. - Potrzebuje opieki przez całą dobę. Ten obraz dochodzi z tutejszego szpitala.

Steward spojrzał na Natalie i odzyskał głos.

- Ale nic mu się nie stanie? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie nauczy się mówić, ale reszta jego umysłu jest w porządku. Uczy się szybko, jeśli uda mi się go czymś zainteresować, ale przyciągnięcie jego uwagi to niełatwa sprawa. Jeśli uda się znaleźć pracę, którą mógłby wykonywać zdalnie ze swojego pokoju szpitalnego, będzie nawet w stanie zarobić na część swego utrzymania.

- Wie, że na niego patrzymy?

- Na kamerze jest czerwona dioda, więc wie, kiedy jest obserwowany. Teraz jednak tworzy tę swoją muzykę i jest tym całkowicie pochłonięty - wyjaśniła Natalie i odwróciła twarz do ekranu. - Może to robić całymi godzinami. Muzyka interesuje go bardziej niż cokolwiek innego.

Palce chłopca uderzyły w klawiaturę i z głośników wydobył się kolejny akord. Oczy Natalie złagodniały. - To dlatego siedzę tu, w New Humanity. Nigdzie indziej by mnie nie przyjęli, w każdym razie z nim. A New Humanity gwałtownie potrzebowała biologów. Uruchamiali wtedy badania, mające stworzyć nową formę porostu, który rozkładałby materię planetoid, gromadząc w sobie tlen i wodę do późniejszego wykorzystania. I prawie się udało - przygryzła wargę - ale New Humanity nie była w stanie sfinansować tego do końca. Nie mieliśmy dość środków, żeby zrobić to samemu. Mam więc teraz nową pracę, taki ślepy zaułek. Lecz dzięki temu Andrew nie jest pozbawiony domu. New Humanity nie odmówiła nam i za drugim razem. Większość zmodyfikowanych po staremu psuje się prędzej czy później. Dlatego mają tu dobry szpital. Steward pomyślał o mężczyźnie-żabie, którego widział w opuszczonym kompleksie, o jego dziwaczności i niesamowitym głosie. Robaki, no nie? Rozbolała go głowa. Spojrzał znów na dziecko i próbował opanować drżenie. Jego chromosomy są zniszczone. Podobnie jak miłość Stewarda.

- Chcę ci pomóc - powiedział.

Natalie pokręciła głową.

- To nie twój problem, wiesz o tym.

- To także moje geny.

- Nieprawda. Twoje geny i połowa jego pochodzi z tego sa-mego źródła. Nie jest twoim synem, tylko przyrodnim bratem. To wszystko.

- To nie takie proste.

Spojrzała na niego zimno.

- Nie chcę być twoją nową kruczają, Steward - powiedziała. - Nie chcę stać się częścią twojej wojny o sprawiedliwość, jaką te-raz prowadzisz. Alfa... on ciągle o coś walczył. Ciągle próbował szukać gdzieś prawości i dobra, wyrównując rachunki, o których wszyscy z wyjątkiem jego dawno zapomnieli. I przez cały czas - wskazała wzrokiem na monitor - tak naprawdę tylko z tym nie umiał się pogodzić. Winił się za to, że przywiózł z Szeolu uszkodzo-ne chromosomy. Zrozumiał, że być twardym i szybkim to nie wszystko, że istniały pewne rodzaje zen, z którymi nie dawał so-bie rady. Myślał pewnie, że lepiej byłoby zginąć. Czepiał się więc każdej rzeczy, jaka mu się nadarzyła, byle tylko nie myśleć o tym, co, jego zdaniem, uczynił swojemu synowi. Sięgnęła do monitora i wyłączyła go. Muzyka urwała się w pół taktu. Steward wpatrywał się w pusty ekran i czuł, że częśc-ki jego życia, jego nadziei, umierają jedna po drugiej. Przypo-mniał sobie głos z kasety, brzęk butelki uderzającej o szklanke.

Natalie dopiła do końca kawę, podeszła do kuchenki i odsta-wiła tubę na miejsce. Odwróciła się do Stewarda. - Pogodziłam się z tym wszystkim już lata temu. Nie ma już we mnie uczuć, nie ma energii do walki z nim. Z tym, czym był. Nie mam już nawet... ochoty do tego wracać. On nic dla mnie nie znaczy. I ty także. Nie dla mnie.

- Nie jestem nim - odparł Steward, zastanawiając się, czy powiedział prawdę.

Natalie spojrzała mu w oczy.

- Więc co tutaj robisz?

- Mogę wam pomóc.

Natalie pokręciła głową.

- Nie potrzebujemy twojej pomocy. Żadne z nas jej nie po-trzebuje. Radzimy sobie sami. Gdy Alfa dał się zabić, dowiedzie-liśmy się, że był gdzieś ubezpieczony. Gdy jeszcze pracował, też przysyłał nam pieniądze. Zawsze mieliśmy za co żyć. - Możecie żyć znacznie lepiej.

Nie odpowiedziała. Steward pomyślał o rzędach lustrzanych budynków, w których odbijała się długa kolejka ludzi, niemoga-cych się doczekać, by wziąć udział w darwinowskiej loterii. Ma-kijaże rozplływały się w deszczu, odkrywając świeże twarze. Butel-ka uderzyła o szklanke, rozbijając ją na kawałki. Dzieci krzycza-ły dźwiękami akordów.

- Muszę iść do pracy.

Bardzo łagodnie.

Tuba z kawą stygła mu w rękach. Popłynął do kuchni i odsta-wił ją na miejsce. Potem dalej do drzwi i na zewnątrz. Wielką otwartą przestrzeń w środku kompleksu wypełniali ludzie zdążający na swoją zmianę. Ich rozmowy tworzyły w po-wietrzu dźwięki przypominające śpiew ptaków. Steward ode-pchnął się i poleciał w kierunku hologramu, który zaprowadzi go do opuszczonego kompleksu i dalej do jego hotelu. Wyciągnął rękę, złapał miękki filar, wykonał obrót wokół niego i zawahał się. Przypomnił sobie ciemną, zdewastowaną pustkę kompleksu, niebieskie światło oświetlające bladą skórę, dochodzący z oddali chichot. Na samą myśl dostał gęsiej skórki. Obrócił się jeszcze raz wokół filara, postawił na nim nogę i odbił się w innym kierunku.

Wróci do hotelu dłuższą drogą.

Steward wpłynął do pustego pokoju w hotelu. Uśmiechnięte dzieci na ścianie wciąż wznosiły się do świetlanej przyszłości. Hartowany wolfram pragnień Stewarda skorodował trochę od szoku i Steward miał wrażenie, że się rozpada. Reakcja na krótkie spotkanie z Natalie popychała go naraz w stu różnych kierunkach.

Zawisł nieruchomo pośrodku pokoju. Wymuszona cyrkulacja powietrza bardzo powoli nadawała mu pęd, popychając go w żółtym tempie wzdłuż bezsensownego okręgu. Próbował uspokoić swój wyjąty z bólu umysł. Chciał, by jego instynkty znów były czyste i prawe.

Zamknął oczy i pomyślał o swoim symbolu - ekranie wideo, z którego przemawiał niewidzialny, szorstki od szaleństwa głos, o obrazie złożonym z brylantowych odłamków tęczy, jak mieniące się wcielenie chaosu. Czuł teraz, że jest blisko niego, tylko 0 kilka kroków, które może z łatwością przejść. Wiedział, że nic już nie stoi między nim i Alfą. Nawet to najstaranniej pielęgnowane wspomnienie.

Nie zostało nic, dla czego mógłby żyć.

Wiedział, że nie zaśnie, więc przepracował całą noc, w czasie której New Humanity tętniło pracą pierwszej zmiany. Pomógł mu w tym dzbanek kawy, ukradziony z hotelowej restauracji po tym, jak usłyszał, że nie dostarczą mu kawy do pokoju. Wiedza, pomyślał, wymaga działania. Na razie, nie był pewien, jakiego typu będzie to działanie, ale wiedział, że coś z tym zrobi.

Przejrzał wszystko, co zabrał z pokoju hotelowego Stoichko. Okazało się, że w paście do zębów i dezodorancie nie ma nic poza pastą i dezodorantem. Choć się tego spodziewał, był rozczarowany. Na szpilkach znajdowała się muzyka, lecz jedna miała większą pojemność, niż wynikałoby to z samej muzyki i Steward strawił trzy godziny na wydobywaniu z niej ukrytych danych.

Gdy na jego ekranie pojawiły się pierwsze diagramy, rozpoznał je od razu. To były dokładne plany Ricot, na których nanie-siono znane miejsca występowania instalacji zabezpieczających. Świadomość, że znał te miejsca, rozwijała się w nim coraz silniej, w miarę jak pojawiały się kolejne mapy. Uśmiechnął się. Dobrze znał Ricot z czasów, kiedy planetoida należała jeszcze do Coherent Light. Spędził tam osiem miesięcy, odbywając trening penetracji i sabotażu. Przed jego oczyma przesuwały się schematy czujników podczerwieni oraz cybernetycznych sond bojowych Wolf Model 18, których używano do patrolowania zakazanych korytarzy. Poczul, że odzyskuje poczucie celu, że zaczyna kielkować plan działania.

Ricot. To będzie jak powrót do domu.

Z odbiornika telefonu dochodził chłodny głos Zhou. Charter znajdował się teraz po drugiej stronie Księżyca i konieczność odbioru sygnału od Stacji Prince powodowała sekundowe opóźnienie. - Tak - powiedział. - Przyjrzałem się temu. Zawartość inhalatora ma postać drobnego brązowego pyłu. Wiem, co to jest. To żywy wirus, przechowywany w neutralnym, suszonym przez wymrażanie nośniku. Gdy nośnik zetknie się z wilgocią, na przykład na błonie śluzowej, wirus uaktywnia się i zaczyna działać. - Możesz cokolwiek powiedzieć na temat jego działania? Steward stał przy publicznym telefonie w kompleksie sklepowym New Humanity. Holograficzne reklamy otaczały go ze wszystkich stron. Muzyka sączyła się przez powietrze jak gęsty syrop. W jego żyłach wciąż krążyła potężna dawka kofeiny. - Niestety nic - odparł Zhou. - Nie mam odpowiedniego sprzętu, żeby sprawdzić coś takiego. W żadnym stopniu. Te wirusy mają zaledwie kilka milimikronów średnicy. To mało nawet jak na wirusy. Również ich wewnętrzna struktura wygląda bardzo dziwnie.

Nukleoproteina, która przenosi materiał genetyczny, nie przypomina niczego, co do tej pory widziałem. Ale nie jestem ekspertem w tej dziedzinie i jakiś wirolog mógłby ci powiedzieć więcej.

- Jest zaraźliwy?

- Wątpię. Wirus ma ograniczoną tolerancję dla środowisk tlenowych. Musi się dostać do organizmu w ciągu co najwyżej kilku godzin, bo inaczej zginie. Nie mam jednak pojęcia, jakie organizmy mu odpowiadają. Zakaziłem wirusem kilka szczurów i nie przeżył. Może pH, albo jakiś inny parametr był nieodpowiedni. Mam zamiar spróbować bardziej specyficznych testów.

- Czy coś się działo ze szczurami?

Zhou zachichotał.

- Czują się wyśmienicie. I dobrze się bawią w swoich sterylnych pudełkach. Zniszczę je, jak tylko upewnię się co do efektów długoterminowych.

Jaskrawe hologramy namawiały Stewarda do kupowania. Unosił się na granicy długości sznura telefonu. W powietrzu wokół niego pływały żaby.

#15-Ryk tornada

- Daruj sobie dalsze testy - powiedział. - Ale chcę, żebyś do-brze zatroszczył się o inhalator. Muszę ci coś uzmysłwić. To bar-dzo gorący towar. Jeśli komukolwiek o tym powiesz... KOMUKOLWIEK... to zginiesz. Najprawdopodobniej w bardzo nieprzyjemny sposób. To pewne.

- Grozisz mi? - spytał spokojnym głosem Zhou.

- Nie ja. Jak wygadasz, zginę razem z tobą. - Aha - usłyszał Steward. Potem doszedł go odgłos ssania pa-łeczki nikotyny. Gdy Zhou znowu zaczął mówić, nabrał filozoficz-nego tonu. - W takim razie nie będę gadał.

- To najrozsądniejsze, co możesz zrobić, wierz mi. Teraz przez parę tygodni będę nieuchwytny. Chcę, żebyś schował inha-lator w bezpiecznej skrzynce depozytowej i wysłał mi klucz. Znaj-dziesz mój adres na „Moskwie”.

- Masz zamiar podać mi swoje prawdziwe nazwisko i adres?

Nie wierzę własnym uszom.

- To już wiele nie zmieni, prawda? Jeśli którykolwiek z nas coś wygada, zginiemy bez względu na to, jakich nazwisk używa-my. Zgadza się?

Zhou roześmiał się makabrycznym śmiechem. - Wiesz - powiedział - moja stawka za wykonywanie takich małych zleceń ostatnio chyba trochę wzrosła. Steward uśmiechnął się.

- Nie mogę mieć do ciebie najmniejszych pretensji - odpo-wiedział.

- Chcę pogadać z kimś o funduszach powierniczych - powie-dział Steward.

Przyleciał na Solon prosto z New Humanity. Stacja Solon by-ła spokojnym miejscem, gdzie przy ściemnionym świetle prowa-dzono luźne konwersacje. Wszędzie migwały ekrany telekomuni-kacyjne i słychać było cichy cyfrowy szum gromadzących się do-larów. Mieściło się tu centrum bankowe. Przez jego kodowane nitki przechodziła nieproporcjonalnie duża część majątku osie-dli orbitalnych, zgromadzonych wokół Ziemi i Księżyca. Tu Steward mógł złapać prom na Ziemię. Sprawdził najnow-sze wiadomości z Chartera i okazało się, że szczęście cały czas mu sprzyjało. Nie było tam informacji o martwym mężczyźnie, znalezionym w hotelu Xylophone. Wydawało się, że nikt go nie ściga.

Stał teraz w miejscu o nazwie Stone Bank, które wybrał jako najlepsze na podstawie naprędce przeprowadzonego rekonesan-su. Nie było tu okienek kasowych, ani ekranów wideo, umożli-wiających połączenie klienta ze sztuczną inteligencją. Na podło-dze leżał ciemny wełniany dywan, importowany z Ziemi, a wypo-sażenie samego pomieszczenia składało się z mahoniowych biurek i cichych, eleganckich kabin, w których pracownicy ban-ku mogli prowadzić rozmowy z klientami przy koniaku i dobrym cygarze. Steward bywał w tego typu bankach przez cały okres przynależności do Canards. Zawsze był lekko zdziwiony, że tak dobrze się go traktuje.

Kobieta za biurkiem stojącym tuż za wejściem miała na sobie ciemną, jedwabną bluzkę i starannie skrojony błękitny blezer z białymi wzorami. U podstawy jej czaszki znajdowało się gniaz-do interfejsu, by mogła w każdej chwili podłączyć się do płyną-cego nieprzerwanie strumienia informacji finansowych. Zmierzy-ła Stewarda wzrokiem od stóp do głów, zwracając uwagę na spo-niewieraną kurtkę i znoszone dżinsy.

- Nie jestem pewna... - zaczęła.

Steward pokazał jej szpilkę. Lśniła w stłumionym świetle jak wypolerowane stare srebro.

- Trzydzieści tysięcy Starbright - powiedział. Tak na początek, by wytworzyć przyjazną atmosferę.

Kobieta przyjęła to spokojnie, nie zmieniając ani na jotę wyrazu twarzy, tak jakby to była tylko jedna z wielu informacji, jakiegoś komputer łądował ciągle w jej głowę. Steward uśmiechnął się z podziwem.

- Wydaje mi się, że Janice Weatherman jest osobą, o którą panu chodzi - powiedziała.

Weatherman miała około dwudziestu pięciu lat. Na okolonej jasnymi włosami twarzy widać było charakterystyczną delikatność. Steward podziwiał jej kaszmirowy golf i złotą biżuterię. Odnosiła się do niego naprawdę bardzo uprzejmie i pomogła mu założyć fundusz powierniczy w imieniu Andrew Stewarda, zamieszkałego w Szpitalu New Humanity. Natalie nie będzie miała żadnego wpływu na zarządzanie funduszem - nie mogła ani czerpać z niego zysków, ani odmówić przyjęcia pieniędzy, bo żadna ich część nie była na jej nazwisko. Zarządca funduszu będzie mógł wydawać te sumy dla dobra Andrew według własnego uznania i kierując się zdaniem lekarzy z New Humanity, jeśli uznają, że konieczne jest wdrożenie jakiegoś leczenia. Przedstawiciel Stone Bank na New Humanity musi jednak przedstawić Natalie zestawienie swoich wydatków, by w razie stwierdzenia nieprawidłowości mogła poinformować o tym bank. Sam Steward, w momencie położenia swojego kciuka na skanerze, nie będzie mógł już wycofać kapitału, który zaś zostanie tak podzielony między różne inwestycje, że nawet upadek Stone Banku i połowy polikorporacji nie zada mu śmiertelnej rany.

Steward i Weatherman w ramach uczczenia założenia funduszu podzielili się ciastkiem z kremem, po czym Steward odszedł w kierunku portu pasażerskiego. Zarezerwował miejsce na promie, który zabierze go na Ziemię, lądując na wodzie w pobliżu portu Trincomalee.

Stamtąd pojedzie do Uzbekistanu. Mieli tam szpitale, które były w stanie zrobić to, czego Steward potrzebował i to legalnie. Moja intencja, pomyślał Steward, była czysta. A działanie słuszne.

Nikt go już nie potrzebował. Był wolny od odpowiedzialności i mógł działać.

I wtedy nagle, jak gdyby świadomość własnej prawości uwolniła jakoś oczekiwaną syntezę, pojawił się w jego umyśle pomysł, zimny i doskonały jak klejnot. Wziął pod lupę blask tego błękitnego diamentu i nie doszukał się żadnej skazy. Ani on, ani jego Alfa nie mieli znamienia wijki. Nie był podatny na wpływ Mocnych ani na ich uzależniające aerozole. Alfa kłamał! Powiedział temu, kto go werbował, że jest uzależniony od Mocnych, żeby zbliżyć się do Premiera, lepiej wykonać swoją misję przeniknięcia do serca Poselstwa, ale to nie była prawda, a Wydział Pulsar nie pomyślał, żeby to sprawdzić. Zdrajca nie kłamałby na ten temat. I gdy on - Beta - miał robioną analizę krwi na Weście, także nie sprawdzili wyników. Ich komputerowe bazy danych wzbudziły tyle alarmów, że po prostu go zgarnęli, nie porównując starych danych z nowymi. W jego pliku widniało czarno na białym, że ma znamieńko. Tego również nie przyszło im do głowy sprawdzić.

Steward zamknął oczy i uśmiechnął się. Pod powiekami widział namiastkę swojego snu - pulsującą na horyzoncie czerwoną lunę i to, jak ziemia pędziła pod szarym niebem. Zbliżał się. Przypominał sobie Hagakure:

Gdy myśli ktoś, że zaszedł za daleko,

Z prawdą się nie rozminie.

Słowa na całe życie.

Prom zdążył właśnie ku Ziemi i Steward czuł, jak grawitacja przygniata mu piersi. Końce spolimeryzowanych skrzydeł niosły płomienie.

Schodząc z pokładu promu „Moskwa” i wkraczając do Stacji Charter Steward miał napięte wszystkie mięśnie. Szedł w centrum grupy wracających z urlopu pracowników Talera. Ramiona obciążały mu paski dwóch dużych płóciennych toreb z bagażem. Wszędzie wokół zakwitały holograficzne reklamy. Szedł lekkim krokiem, omiatając wzrokiem ludzi czekających na swoje promy. Od leżących za bramą portu barów szybkiej obsługi dochodziły zapachy jedzenia. Powietrze szumiało od zgiełku handlowych rozmów.

Steward wyszedł ze starego wrzeciona i skierował się do doków towarowych. Ciężenie malało, wydłużając jego kroki. Szedł po ruchomym chodniku, przeskakując nad zawadzającymi drogę przechodniami. Holograficzne obrazy przenikały mu przez skórę. Ciężar na ramionach znacznie zmalał. Nie sądził, by ktoś go śledził.

Gdy wszedł do doków, na „Bornie” właśnie odbywało się lądowanie. Cała hala skąpana była w żółtym świetle sodowych jupiterów. Cairo stała obrócona tyłem do Stewarda, rzucając kilka wyraźnie odcinających się cieni i nadzorując ładowarki. Hałas odbijał się ostrymi tonami od metalowych ścian. Małe, jednakowe kontenery wjeżdżały po niekończącym się taśmociągu. Steward zmrużył oczy, sięgając wzrokiem do samego końca doku, lecz nie zauważył nikogo innego. Podkradł się cicho do Cairo. - Cześć, inżynierze - powiedział.

Odwróciła się i posłała mu uśmiech. Blask jupiterów rozświetlał diamenty na jej policzkach.

- Cześć, Ziemiannie - odpowiedziała, po czym objęła go w pół i serdecznie uścisnęła.

- Mam coś dla ciebie - szepnął jej do ucha Steward. Otworzył jedną z toreb i wyjął ze środka olbrzymią butelkę szampana.

- Jeden z lepszych produktów mojej planety - powiedział. - Ale pamiętaj, trzeba go pić z kieliszka. I żeby nie był z plastiku. Podniosła butelkę do światła i uśmiechnęła się. - Przyjdzie dzień, że zsyntetyzujemy ten napój i nie trzeba go już będzie wyciągać ze studni grawitacyjnej. - Tak, racja. Na pewno lada dzień.

Wręczyła mu butelkę z powrotem.

- Mógłbyś ją położyć w mojej kabinie? - poprosiła.

- Jasne.

Cairo rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie.

- Na twoim łóżku czeka na ciebie mnóstwo niespodzianek.

To wszystko poczta. Cała torba.

- Pewnie wszyscy moi znajomi z Ziemi przysłali mi naraz prezenty.

- Czy większość twoich znajomych mieszka w Uzbekistanie?

Trudno było nie zauważyć znaczków.

Steward wzruszył ramionami.

- Uzbekcy to bardzo szczodrzy ludzie.

Zaczął iść wzdłuż taśmociągu do ładowni statku. Cairo obejrzała się za nim i zawołała, przekrzykując ładowarki:

- Przygotuj swoje ciało na długie rozpędzanie. Lecimy poza Pas.

Steward zatrzymał się, czując zimny dreszcz.

- Dokąd? - zapytał.

- Orbita Jowisza. Ricot. Priorytetowy ładunek leków, zgłoszony w ostatniej chwili.

Stewardem znowu owładnęło przecucie, że wszystkie części składają się w poprawną całość.

Skądś wiedział, że to nieunik-nione. Zastanawiał się tylko, czy to robota ludzi zWesty, czy wciąż myślą, że on leci wypełnić zadanie przedstawione mu przez Sto-ichko. Ale to nie miało znaczenia. Nawet jeśli nie chodzi o czysty przypadek, „Bom” wybierał się na Ricot. Leciał do domu. W czasie swego pobytu na Ziemi Steward oglądał wiadomo-ści z Chartera z najwyższą uwagą. Martwego Stoichko znalazio-no drugiego dnia po jego śmierci, lecz policja Chartera nie wy-dała żadnego oświadczenia w sprawie podejrzanych, stwierdza-jąc tylko, że nie ustalono pochodzenia denata. Podtekst tej wy-powiedzi był taki, że śmierć Stoichko nastąpiła w wyniku pora-chunków między ludźmi, z którymi Charter nie miał nic wspólne-go - przyjmując owo założenie, policjanci z Chartera nie mylili się. Steward pozwolił sobie zinterpretować komentarz policji inaczej: wyglądało na to, że nie mieli żadnych poszlak. Uznał, że on i gliny z Chartera są przynajmniej pod tym względem w po-dobnej sytuacji.

Na Ziemi konsekwentnie zmieniał co jakiś czas miejsce po-bytu, załatwiał wszelkie interesy z gotówką na czubku szpilki, a gdy odwiedzał upatrzone szpitale i magazyny, robił to zawsze pod fałszywym nazwiskiem. Nie kontaktował się z Griffithem i je-go ludźmi, nie będąc pewny, ile powiązań z Westą miał Demon Ciołkowskiego. Przypuszczał, że Grupa Siedem będzie chciała pom-ścić swojego agenta, a mogła to uczynić jedynie na ciele Ste-warda, który nic więcej nie posiadał.

Wchodząc do swojej kabiny na „Bornie”, zauważył, że na komputerze pali się lampka wiadomości. Wszystkie cztery pocho-dziły od Natalie i poczuł w sercu bolesne ukłucia wspomnień. Wy-świetlił listy i stwierdził, że najwięcej w nich wymówek z powo-du jego ustaleń w kwestii funduszu Andrew. Przeczytał wnikliwie fosforyzujące słowa, przewijające się przed nim na ekranie, i zde-cydował, że nie ma sensu odpowiadać. Jego czyn już zaczął żyć własnym niezależnym życiem.

Paczki, które sam sobie wysłał, leżały na łóżku, zabezpieczo-
ne siatką. Otwierał je powoli, sprawdzając, czy nikt nie naruszył
opakowań. Nic nie zwróciło jego uwagi. Większość z nich zawie-
rała szpilki pamięciowe, które były kluczami do różnych rzeczy -
do pudełek, informacji, pieniędzy i do możliwości. W pozostałych
znajdowały się różnorakie pamiątki - hinduskie statuetki religij-
ne, rosyjskie wańki-wstańki, tybetańskie szaty modlitewne i in-
ne przedmioty, które jego korporacja pozwalała zabierać jako
prywatne lokaty. Między nimi znajdowały się części, tworzące po-
łożeniu pistolet z długą lufą, wykonany na zamówienie z zaawan-
sowanego technologicznie plastiku, zdolnego do oszukania więk-
szości detektorów. Pistolet strzelał bez odrzutu i hałasu, używa-
jąc specjalnych nabojów w samopochłaniającej łusce. Amunicję
przywiózł z Ziemi osobiście. Przesyłki zawierały również aparatu-
rę chemiczną, która pozwoli mu zsyntetyzować materiał wybu-
7.A~1 ----- r.-

.....
chowy i detonatory, używając do tego odczynników używanych na „Bornie” do czyszczenia toalet,
serwisowania akumulatorów i usuwania starej farby. W jednej z toreb Steward miał jedno-
częściowy kombinezon z kapturem, który obniżał ciepło wydzie-lane przez ciało do poziomu
otoczenia, pozwalając oszukać de-tektry podczerwieni. Jedna ze szpilek zawierała schemat budo-
wy ultradźwiękowego eliminatora dźwięku, wytłumiającego odgłosy wydawane przy chodzeniu, a
także oddech i bicie serca. Zamierzał go zbudować w czasie lotu na Ricot. Zakupił również nowy

model okularów noktowizyjnych, wyposażonych w układy wyostrażania i powiększania obrazu, wbudowane detektory pod-czerwieni i nadfioletu, a także umieszczone w rączkach adaptory mózgowe, dzięki którym mógł sterować wszystkim za pośrednictwem myśli. Wyglądały jak grube okulary przeciwsłoneczne. Na Ziemi stanowiły element Maski Ulicy, po prostu modę. Tu przydawały się naprawdę.

Steward spędził dobre pół godziny na upychaniu tego po kątach. W jego kabinie będzie dość tłoczno w drodze na Ricot. Żałował, że nie umie przewidzieć, ile z tego wyposażenia rzeczywiście mu się przyda.

Zdobywając ekwipunek, jednocześnie przygotowywał samego siebie; chciał być szczuplejszy, szybszy i twardszy. Usiłował wyrzucić z siebie te elementy osobowości, które nie były absolutnie konieczne lub nieistotne dla przebiegu misji. Teraz, gdy patrzył na siebie w lustrzanych kanionach kondekobloków i szklach swych noktowizyjnych okularów, wiedział już, kogo widzi. Dzień po dniu, przeobrażał siebie w narzędzie do osiągnięcia celu.

Reese przyszła następnego dnia, zwracając uwagę zrudziały-mi od słońca włosami. Wróciła akurat na czas, bo lada chwila mieli zaczynać czterodniowe sprawdzanie silników, które musieli wykonać przed opuszczeniem stacji. Po obejrzeniu pierwszego silnika Steward i Reese urządzili sobie mały sparing w sali gimnastycznej „Borna”, podczas którego Stewardowi udało się trafić piętą z odwróconego haka w ucho Reese. Cofnęła się zaskoczona, uśmiechając się do niego czujnie przez wkładkę doustną. - Wcześniej nie dawałeś rady tego zrobić - mówiła niewyraźnie przez trzymany w ustach plastik.

Steward wypluł swoją wkładkę w rękawicę. - Wzniosłość. Stałość. Wytrwałość - odparł. - Przepis na życie mistrzów walki.

- Gówno nie wzniosłość - powiedziała Reese. - Masz podrasowane nerwy. Nikt normalny nie reaguje tak szybko. - Miałem dość, że ciągle od ciebie obrywałem. Teraz jesteś-my równiejsi.

Włożył do ust wkładkę i wykonał kombinację pięciu ciosów, zasugerowaną mu przez jego nowe nitki. Przedarł się przez gardło Reese przy czwartym ciosie, po czym ona przeszła do kontrataku i musiał się cofnąć, by nie stracić głowy od silnego uderzenia z obrotu kantem dłoni. Zaśmiał się przez plastik. Sześć tygodni temu musiałby przyjąć na siebie ten cios, żeby móc wyprowadzić skutecznie własny atak.

Umieszczone w jego mózgu i podłączone do dróg nerwowych nitki kodowały sztuczne odruchy, znajomość układów i strategii w walce wręcz, wiedzę o broni i taktyce bliskiego kontaktu. To opracowane w laboratoriach Uzbekistanu cacko było lepsze, bardziej zróżnicowane i bardziej zaawansowane od standardowego implantu, jaki Alfa miał w Icehawks i jaki Reese miała teraz. Gdyby informacje zgromadzone w nitkach okazały się z jakiegoś powodu niewystarczające, zawsze mógł je uzupełnić, podłączając się do komputera przez umieszczone w podstawie czaszki gniazdo interfejsu. Przypominało to nieco noszenie w głowie małej armii, gotowej na każde wezwanie.

Uznał, że pozwoli Reese odkryć tę całą armię, niewidzialnego żołnierza po niewidzialnym żołnierzu.

Ogromny srebrzysty bok Ricot odbijał ochrową kulę Jowisza z lekkim zniekształceniem, podobnym do drgania ciepłego powietrza nad powierzchnią ze stopu. „Bom” dryfował obok stacji, czekając na swoją kolej dokowania w położonym na osi obrotu porcie. Steward musiał się wręcz powstrzymać, by nie sięgnąć ręką przez mostek dokowania, chcąc dotknąć dłonią metalowej

planetoidy. Ta potrzeba pulsowała mu w żyłach razem z krwią. Znajdował się tak blisko.

Ricot był największym i najbardziej chorobliwym wytworem pychy Coherent Light, pozostałością po próbie fizycznego prze-niesienia przyszłości rasy ludzkiej poza zasięg Pasa. Tę niepraw-dopodobnie ogromną i złożoną strukturę stworzono z nadzieją, że sam podziw dla niej przyciągnie na Ricot przyszłe pokolenia. Ludzkość miałaby uznać Ricot za swój wzór, a Coherent Light za mesjasza i przenieść większość pieniędzy oraz technologii z Pasa i wewnętrznych planet na obszar działania Polikorporacji Ze-wnętrzných.

Pomijając jego wielkość, Ricot miał mocne praktyczne po-wody do istnienia właśnie w tym miejscu. Przestrzeń wokół Jowi-sza pełna była bogactw. Ogromne automatyczne sondy-czerpaki zmiatały wierzchnią warstwę atmosfery, uzyskując składniki do produkcji nowych plastików. Głębiej znajdowały się nieprzebra-ne zasoby innych surowców, od wodoru do polipeptydów. Zaś ma-łe i większe księżyce Jowisza obfitowały w różne minerały. Jednak nie było tu bezpiecznie. Wielkość Jowisza sprawiała, że każdy centymetr jego potężnej studni grawitacyjnej zamie-niał się w pole walki. Ciągłym zagrożeniem było promieniowanie oraz pływy jowiszowe, powodujące trzęsienia ziemi na krążących wokół planety księżycach, a na stacji grożące nagłą dekompresją przedziałów mieszkalnych. Inwestorzy od dawna woleli Pas, uwa-żając, że ich przedsięwzięcia są tam bezpieczniejsze. Ricot miał być odpowiedzią - okazałym przyczółkiem ludzko-ści na krawędzi straszliwego pola grawitacyjnego Jowisza. Sztucz-ny księżyc krążył po orbicie dalszej niż wszystkie pozostałe sate-lity Jowisza, na samej granicy jego przyciągania, gdzie nie mogły go osiągnąć niebezpieczne pływy. Obudowano go wystarczającą ilością stopu i kamienia, by zatrzymać niszczące promienio-wanie. Był tak duży, że nie tylko przeprowadzano w nim repera-cje automatycznych czerpaków, ale nawet je budowano. Ricot stworzono z myślą, że kiedyś cała wymiana handlowa na orbicie Jowisza będzie przechodziła przez jego doki. Planetoida posiadała wszystko co trzeba, żeby temu podołać. Miała kształt piłki do rugby, dwanaście kilometrów długości i trzy w poprzek, a także obcięte bieguny, nieruchome i pozbawio-ne ciężenia, podczas gdy cała reszta powoli się obracała. Przewi-dywano, że docelowo trzy do pięciu milionów ludzi zamieszka w jej metalowych korytarzach. Przy tworzeniu planów przyjęto taki zapas wartości wszystkich parametrów, że jakakolwiek kata-strofa, od epidemii po kolizję, była praktycznie niemożliwa. Z wnętrza swych opancerzonych centrów dowodzenia, najspryt-niejsze i najszybsze moduły sztucznej inteligencji miały wspoma-gać kierownictwo Coherent Light w kreowaniu wizji świetlanej przyszłości.

Jednakże, by móc zbudować Ricot, Coherent Light musiała zastawić większą część własnej przyszłości i bez względu na to, jak efektywnie zgarniała jowiszowe bogactwo do swoich doków, trudno było usprawiedliwić istnienie Ricot względami ekono-micznymi. W najlepszych czasach w osiedlach planetoidy za-mieszkiwało sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, przy czym większość mieszkań w zasadzie nigdy nie powstała, a puste wnętrza Ricot wypełniała pajęczyna rusztowań, przygotowanych do budowy ko-lejnych kompleksów. Wojna Artefaktowa doprowadziła wszyst-kie biorące w niej udział strony na skraj bankructwa, a Coherent Light, mając na karku i wojnę i Ricot, odczuła jej skutki podwój-nie. Pod koniec wojny obywatele Coherent Light urządzili w swych nierdzewnych stopowych korytarzach rozruchy i meto-dą sabotażu przetestowali odporność systemów zabezpieczają-cych do ich absolutnych granic. Całe kierownictwo setkami prze-chodziło na stronę innych polikorporacji, które w końcu również dopadła panika. Gdy wojna się skończyła, na Ricot pozostała je-dynie szkieletowa populacja, złożona z jowiszowych górników, wypełniających kontrakty podpisane z innymi firmami, nawie-dzonych wizjonerów i ideologów politycznych, których nigdzie więcej nie chciano trzymać, a także samotników, pomyleńców i kilku ocalałych prawdziwych

wyznawców wiary w przyszłość te-go miejsca. Tylko dzięki pojawieniu się Mocnych i ich kolosalne-go bogactwa Ricot zaczął w końcu przynosić zyski. Consolidated Systems wypłacało bezprecedensowej wielkości dywidendy. Steward patrzył na długie, błyszczące ciało planetoidy - wie-lokilometrową, mieniającą się ścianę, która tkwiła samotnie, nie różniąc się niczym od tła kosmosu. Powróciły wspomnienia kory-tarzy, rozbrzmiewających szumem maszynerii, szepczących chó-rem kanałów wentylacyjnych i trzeszczeniem hydraulicznych złą-czy, wciąż dopasowujących się do naprężeń wytwarzanych przez grawitację i obrót. Te dźwięki wołały do niego z nutą tęsknoty i oczekiwania.

Przepelniała go gotowość. Będzie działał właściwie. „Born” miał zostać rozładowany, a potem spędzić dwa tygo-dnie na dobrze zasłużonym odpoczynku, unosząc się w niepraw-dopodobnie wielkim, pozbawionym ciężenia wnętrzu planetoidy. Steward uznał, że to wystarczająco dużo czasu, by mógł zrealizo-wać swoje plany.

236-

WU11C1 WVII mi

Przez kilka dni po prostu spacerował po Ricot, próbując wczuć się w rytm lokalnego życia. Przyjemne wrażenie bycia u siebie zadomowiło się na dobre w jego umyśle i walczył z nim usiłując zachować obiektywizm.

Systemy dozoru na Ricot były skuteczne i wszechobecne. Nad wieloma drzwiami wisiały kamery, a uzbrojeni strażnicy pil-nowali najważniejszych instalacji. Consolidated mogła sobie po-zwolić na wszystko co najlepsze. Czasem organizowano wyryw-kowe kontrole, podczas których uzbrojeni i opancerzeni ludzie otaczali jakiś teren i przepuszczali identyfikatory wszystkich przechodniów przez czytnik swojego komputera. Steward uznał, że życie na Ricot bardzo przypomina służbę wojskową. W ciągu paru chwil funkcjonariusze bezpieczeństwa znikali bez śladu, wtapiając się całkowicie w tło. Identyfikator i paszport Stewarda nie bu-dził zastrzeżeń, więc nigdy nie miał w związku z tym żadnych kło-potów.

Kawałek po kawałku, zaczął przenosić swój ekwipunek na teren stacji. Ukrywał go w różnych postronnych miejscach, kana-łach wentylacyjnych, wnękach na sprzęt gaśniczy i w rusztowa-niach, stojących wokół niedokończonych konstrukcji. Wszystko zgromadził w pobliżu północnego bieguna Ricot, który znajdował się z dala od Mocnych i w związku z tym rzadziej zdarzały się tam kontrole.

Z wahaniem odszukał Wandis w katalogu telefonów. Żyła w małym mieszkaniu, mieszczącym się w starym kompleksie, zaj-mowanym kiedyś przez Icehawks. Steward odczekał godzinę w przestrzeni rekreacyjnej kompleksu, aż Wandis wyjdzie z mieszkania. Kiedy udawała się do pracy na swoją zmianę, po-szedł za nią. Była wysoką blondynką w wieku trzydziestu paru lat, o szerokich ramionach i biodrach. Wokół jej lewego oka lśni-ły zaimplantowane kamienie szlachetne. We wszystkim różniła się od Natalie i Steward zastanawiał się, czy Alfa związał się z nią właśnie z tego powodu. Pracowała w jakimś zakładzie prze-twarzania metali przy północnym biegunie. Steward zawrócił widząc silnie strzeżoną bramę wejściową. Jej praca nie wyglą-dała na cieszącą się wysokim prestiżem, podobnie jak stary kom-pleks mieszkalny. Zastanawiał się, czy Consolidated ukarała ją za pozostawienie w domu tajnych materiałów, nawet pomimo faktu, że sprzedając je kierował się wyraźnymi instrukcjami tej polikorporacji. Myślał również, czy Wandis wiedziała o planach Alfego, czy raczej to wszystko stanowiło dla niej całkowitą niespo-dziankę.

Nie mogąc oprzeć się ciekawości poczekał do końca zmiany i śledził kobietę w drodze do domu. Z nikim nie rozmawiała. Gdy dotarła do drzwi mieszkania, weszła do środka i, choć Steward dość

długo czekał, nie pojawiła się znowu.

Zupełnie nic do niej nie czuł, co było dla niego pewną niespodzianką. Oczekiwał, że pojawi się w nim jakiś rezonans, jakaś iskierka Alfya, lecz nic takiego nie przyszło. Ot, średnio atrakcyjna kobieta w kwiecie wieku, wiodąca samotnie puste, pełne ograniczeń życie. Steward nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sama ukuła sobie tę codzienność wedle własnych preferencji. Ten całkowity brak reakcji nieznacznie go zaniepokoił, w związku z czym śledził Wandis przez kolejne dwa dni. Jej zachowanie nie uległo zmianie. Przestał więc za nią chodzić. Miał inne plany.

Większość zabezpieczeń na Ricot koncentrowała się na ochranianiu Mocnych przed intruzami i, jak przypuszczał, także skażeniem. Mocni nie interesowali Stewarda - zostawił wirusa Stoichko w bezpiecznym schowku na Charterze. Pozostała część systemów bezpieczeństwa strzegła recyrkulatorów powietrza, głównych rozdzielni zasilania i autoładowarek w dokach, czyli tradycyjnych celów sabotażu. Nimi Steward także nie był zainteresowany.

Szukał firmy ubezpieczeniowej, należącej do Consolidated. Firma nosiła nazwę Iapetus, a jej filia, którą się interesował, znajdowała się na terenie nowego kompleksu, wybudowanego w ciągle zagospodarowywanym, gigantycznym wnętrzu Ricot. Steward założył skafander próżniowy i zbadał ten obiekt z zewnątrz, znajdując ogromne sprężarki i potężny splot rur obiegu chłodzącego, który utrzymywał materiał genetyczny w stanie kriogenicznej izostazji. Zapamiętał miejsca do podłożenia ładunków wybuchowych, choć w głębi duszy odrzucił ten pomysł jako mało elegancki i niepotrzebnie hałaśliwy.

Przechadzał się w pobliżu siedziby Iapetusa podczas każdej zmiany i zauważył, że firma otwiera podwoje dla interesantów tylko podczas pierwszej. W ciągu kolejnych dwóch zmian hol patrolowała para uzbrojonych strażników, ubranych w kamizelki kuloodporne i usiane skanerami hełmy. W środku pracowało zaledwie kilkanaście osób, bo wskrzeszeń można było dokonywać na zewnątrz, w szpitalu. Strażnicy na pewno znali wszystkich pracowników z twarzy i imienia.

To na tyle, jeśli chodzi o frontowe drzwi. Nie zmartwił się ani trochę. Wzniosłość, powiedział sobie. Stałość i wytrwałość. Miał jeszcze mnóstwo asów w rękawie.

Poprzez końce palców rąk i stóp czuł dźwięk trzeszczących wokół niego hydraulicznych złączy planetoidy. Jego własny oddech szumiał mu głośno w uszach. Wspinał się głównym szybem wentylacyjnym, ukryty w luźnym kombinezonie bojowym, który osłaniał ciepło wydzielane przez ciało. Pędzące powietrze ciągnęło jego polimerową skórę.

Plany, które miał Stoichko, zupełnie nie obejmowały tej części Ricot, Stewarda interesował południowy biegun, gdzie mieściło się Poselstwo Mocnych. Projektanci tego sztucznego księżycy byli na szczęście wierni swojej modularnej koncepcji całości - jak stacja długa i szeroka, rozkład elementów powtarzał się wiernie, prowadząc analogicznymi drogami główne linie zasilania, wentylacji i wody, wraz z towarzyszącymi im tunelami dla obsługi, aż do miejsca, gdzie kończyły się ścianą, zbudowaną w celu odizolowania terenu Poselstwa od strefy zamieszkałej przez ludzi. Stewardowi było gorąco w kombinezonie. Po nosie ściekał mu pot. Posuwał się mozolnie przy grawitacji 0.9 g, używając swych poprawionych zmysłów do poszukiwania alarmów i czujników umieszczonych w tunelu. Wiedział, że tunelami poruszają się również roboty eksterminacyjne, zaprogramowane na zabijanie wszystkich niepożądanych gości. Jednakże szansa, że napotka jednego z nich, była stosunkowo niewielka, ponieważ większość pilnowała Poselstwa i rezydencji najważniejszych osobistości Ricot. Kilka mogło wędrować po szybach i tunelach, ale szybów i tuneli było bardzo mało. Na ścianach znajdowało się także mnóstwo nietypowych konstrukcji,

umieszczonych tam nie bez powodu, jak interfejsy komputerów sterujących siecią zasilania i komunikacji; dziwaczne kopułki, pod którymi chowano tylne części wbudowanych w zewnętrzną ścianę urządzeń; podcentrale, doprowadzające instalację do niestandardowych budynków, zbudowanych na Ricot już po powstaniu jego głównej infrastruktury. Jeśli roboty nie uznają Stewarda za żywą istotę, mogą go pomylić z jednym z takich elementów.

Karaluch przebiegł mu drogę i Steward uśmiechnął się. Już za jego czasów były z nimi kłopoty.

Dotarł do mniejszego odgałęzienia, które, według jego obliczeń, powinno prowadzić do instalacji wentylacyjnej LifeLight. Sprawdził swoje detektory, lecz z tunelu nie dobywały się żadne impulsy radarowe ani sonarowe. Ostrożnie wsunął się do wąskiego tunelu i zaczął się wspinać. Pot kapął na wewnętrzną stronę zakrywającej mu twarz osłony. Tu nie zdołałby uciec robotowi exterminacyjnemu. W kanale wentylacyjnym było po prostu za mało miejsca i nawet robot-imbecyl domyśliłby się, że coś tu jest nie tak. Klaustrofobia wyciągała ku niemu swe wełniane palce. Zaczął szybciej oddychać.

Choć wydawał mu się dość wąski, kanał był za szeroki, jak na potrzeby firmy Iapetus, bo projektanci planetoidy przewidzieli możliwość podłączenia więcej niż jednego modułu do pojedynczego kanału wentylacyjnego. Chłodne powietrze świszczało wokół kombinezonu Stewarda. Stopniowo posuwał się w górę. Tunel rozgałęział się w lewo. Spojrzał w górę i zobaczył, że kanał, którym szedł, kończy się parę metrów nad jego głową. Włożył głowę do odnogi, a następnie ostrożnie wsunął się do niej całości, pełząc na plecach naprzemiennymi ruchami barków. Przez widoczną dalej kratkę wentylacyjną sączyło się stłumione światło. Podsunął się bliżej. Szczeliny kratki były prawie całkowicie zamknięte. Przepływające przez nie powietrze wydawało cichutki, niemalże ultradźwiękowy gwizd. Steward rozsunął blaszki palcami i ujrzał recepcję Iapetusa. Dokładnie pod nim znajdowała się głowa strażnika. Jego hełm kołysał się miarowo w takt dostarczonej bezpośrednio do mózgu muzyki. Drugi strażnik wyglądał przez szybę frontowych drzwi. Steward zasunął szczeliny i ruszył dalej.

W głowie zapaliło mu się czerwone światełko. Jego strój mówił mu za pośrednictwem interfejsu mózgowego, że zgromadził już maksymalną ilość ciepła i niedługo będzie musiał je wypromieniować. Za kilka minut kombinezon zacznie emitować ciepło przypadkowymi plamami, zamiast pochłaniać je, jak to robił dotychczas. Co prawda, jego profil podczerwieni będzie inny od ludzkiego, lecz i tak może wzbudzić podejrzenia.

Odchodziło stąd kilka podtuneli do wnętrza budynku, lecz wszystkie były dla Stewarda za wąskie. Pozostając w dotychczasowym przesunął się do kolejnej kratki. Rozsunął blaszki, zajrzał

240-
Walter 3on Williams

do środka i stwierdził, że znajduje się nad jakimś biurem. Było tam ciemno. Ruszył więc do następnego otworu. Tym razem toalety. Cofnął się z powrotem do poprzedniego. Starannie obejrzał otoczenie, szukając alarmów i żadnego nie znalazł. Narzędzia znajdowały się w miękkich kieszonkach, przymocowanych z przodu ciepłochłonnego kombinezonu. Steward usunął z niego wcześniej wykonane z rzepa zapinki kieszeni, bo robiły za dużo hałasu - i zabezpieczył przezroczystą taśmą klejącą. Otworzył je teraz, wyjął narzędzia i podważył metalową ramę, na której były umocowane blaszki regulujące. Następnie sięgnął ręką na zewnątrz i ostrożnie wyjął kratkę z otworu, cały czas trzyając blaszki palcami, żeby wszystko nie spadło. Powoli wciągnął

całą kratkę do tunelu i następnie odłożył ją nad głową. Zastanawiał się, czy w pomieszczeniu są jakieś alarmy. Włączył promiennik ultrafioletu i filtr ultrafioletu w okularach. W jednym z rogów pokoju znajdował się pojedynczy czujnik. Pewnie przeciwpożarowy na podczerwień, pomyślał, dostrzegając na suficie instalację tryskaczową. Ale mógł też służyć do wykrywania ludzi. Podsunął się w górę tunelu i kazał kombinezonowi wytracić ciepło. Potem pomyślał o robocie eksterminacyjnym, zauważającym strumień podgrzanego przez niego powietrza, i ogarnął go nagły chłód, zupełnie nie związany z działaniem kombinezonu. Wrócił więc z powrotem do otworu i przez parę chwil oceniał jego wielkość. Wydawał się za mały, ale zdecydował się spróbować. Najpierw wsunął nogi.

Podczas pierwszej próby Steward utknął w biodrach, ale w końcu udało mu się prześlizgnąć dzięki śliskości tworzywa, z którego wykonany był kombinezon. Potem jednak nie chciały przejść ramiona. Cicho opróżnił kieszenie, podciągnął się nieco i spróbował jeszcze raz. Znow utknął pod pachami. Jego stopa stanęła na chwilę na narożniku biurka, po czym zamajtała w powietrzu. Próbował precyzyjnie się, trzymając jedną rękę w górze, a drugą prowadząc wzdłuż ciała, ale bez rezultatu. Podniósł więc ręce nad głowę i spróbował powtórnie, tym razem głową w dół. Dotknąwszy metalowej ramy poczuł dotkliwy ból - na skórze klatki piersiowej i pleców zaczęły tworzyć się obtarcia. Utknął całkowicie.

Pot lał mu się po twarzy jak płynne srebro, rozmazując obraz w jego noktowizyjnych okularach. Powietrze wewnątrz kombinezonu miało kwaśny posmak. Przypomniawszy sobie podskakującą w rytm muzyki głowę strażnika i pomyślał, że podobnie będzie podskakiwać ze śmiechu, gdy zobaczy tyłek intruza, wystający z kanału wentylacyjnego.

Odpoczął chwilę, by złapać oddech. Postarał się dostrzec zen. Zaczął oddychać miarowo, czując, jak grawitacja ciągnie go za nogi, jak otwór wentylacyjny trzyma jego ciało. Zjednoczył się z tym wszystkim. Każdy kolejny wydech czynił jego ciało miększym i bardziej rozluźnionym. Gardło wyrzuciło powietrze i poczuł na twarzy wilgotne ciepło swoich płuc, starając się wytworzyć w sobie pustkę i stać się kawałkiem śliskiego, bezwładnego plastiku - niewrażliwą istotą, która nie czułaby palącej agonii poszarpanej skóry, rozrywanej przez metalowe krawędzie otworu pomimo chroniącego ubrania, w miarę jak wysuwał się stopniowo z kanału...

Rozluźnij się, pomyślał. Zrób wydech. Czerń wkradła się do jego oczu. Zakręciło mu się w głowie.

Wylądował na podłodze i zatoczył się w chwili gdy jego mięśnie próbowały przestawić się ze stanu całkowitego rozluźnienia w stan gotowości. Nogi zawadziły tyłem o brzeg biurka i o mało nie przewrócił się na plecy. W oczach pokazały mu się wszystkie gwiazdy.

Z ulgą wciągnął powietrze do płuc. Po kilkunastu uderzeniach serca powrócił do niego świat.

Wyjął narzędzia z kanału wentylacyjnego i poszedł obejrzeć czujnik w rogu pokoju. Wyglądał na detektor podczerwieni, ale Steward nie mógł nic powiedzieć na temat jego czułości. Nie wiedział, czy może wykryć człowieka. Wyjął z kieszeni kawałek plastikowej izolacji, za pomocą taśmy klejącej nadał mu kształt pudełka i zamknął czujnik w środku.

Nareszcie mógł zdjąć kombinezon. Z przyjemnością odetchnął świeżym powietrzem. Podkoszulek i szorty ociekały od potu. Poleciał kombinezonowi wytracić całe ciepło i sprawdził, czy w biurze nie ma innych alarmów. Nie było. Z holograficznej tabliczki ustawionej na biurku wynikało, że należało do Morrisona Falaye'a. Stały tam jeszcze dwa holograficzne sześciany, z których jeden zawierał zdjęcie dwójki dzieci, drugi - pary starszych ludzi, prawdopodobnie rodziców albo dziadków.

Właściciel biurka należał do ludzi przezornych i nie zostawiał swoich haseł w szufladach, zapisanych na skrawku papieru. Cóż. Po to właśnie pojechał do laboratoriów Uzbekistanu.

#16 - Ryk tornada

Na Weście Steward dysponował kluczem Angela, który da-wał dostęp do plików Wydziału Pulsar. Tym razem nie miał nic - z wyjątkiem talentu, wynajętego od nieprawomyślnych speców komputerowych, mieszkających nad brzegami Morza Aralskie-go. Przetestowali swoje programy przed odlotem Stewarda z Zie-mi i uznali, że działają bez zarzutu. Przystosowali najnowsze pro-gramy do łamania kodów do jego specyficznych potrzeb i dali mu słowo, że żadna legalna polikorporacja nie zdoła bronić się przed tymi programami przez co najmniej rok.

„To brutalna siła, mówili mu, połączona z elegancją. Siła, że-by się włamać, i elegancja, by nikt się o tym nie dowiedział”. Usiadłszy za biurkiem Falaye’a, Steward włożył trzy szpilki do terminalu i końcówkę interfejsu do gniazda z tyłu własnej głó-wy. Włączył terminal za pomocą myśli. Programy pracowały tak szybko, że nie byłby w stanie śledzić wzrokiem ich komunikatów. Gdy programy skończyły swoje zadanie i same się zamknęły, na zatłoczonym ekranie pozostały po nich tylko gasnące powoli, wy-palone w fosforze ślady. Te same, długie linijki danych formowa-ły się w jego głowie dzięki interfejsowi, jechał więc na progra-mie, jak na wierzchowcu, w każdej chwili gotów do interwencji. Interwencja nie była konieczna.

W ciągu zaledwie dwudziestu sekund programy odnalazły ba-zy danych Iapetusa, włamały się do silnie strzeżonego pliku, w którym wyszukały de Preya i Curzona, a następnie zamazały oba zapisy pamięci przypadkowymi liczbami. Długie ciągi da-nych, odtwarzające specyficzną konfigurację dwu umysłów, wraz z ich wspomnieniami, odruchami i wiedzą, stały się całkowicie bezużyteczne.

Informacje biograficzne dotyczące de Preya i Curzona zosta-ły zakodowane w szpilkach Stewarda. Musiał znać nazwisko, pod którym ukrywał się teraz de Prey.

GOTOWY, powiedział mu ekran.

Miał zamiar doprowadzić tę robotę do końca. Za pomocą in-terfejsu pomagał programowi odszukać kody materiału genetycznego, podstawę istnienia potencjalnych Curzonów i de Preyów, czekających sobie spokojnie w chłodnej kąpieli z ciekłego azotu. W głębokim, mglistym wnętrzu komór kriogenicznych rozległ się jęk ramion automatycznych manipulatorów. Małe Curzonki i de Preyki zostały przeniesione do pliku o nazwie ŚMIETNIK, w wy-niku czego dołączyły do szerokiego strumienia wychodzących ze 243 stacji organicznych śmieci. W ich miejsce wstawiony został mate-riał genetyczny pożyczony z innych próbek. Ślady ingerencji zostały usunięte.

Połączenie umysłu z ciałem nie było łatwym zadaniem. Świa-domość, na którą składają się wspomnienia, umiejętności i moż-liwości, jest zbyt silnie zintegrowana z specyficzną konfiguracją mózgu, by można było właściwie odtworzyć człowieka nie dyspo-nując jego własnym ciałem. Nawet gdyby Curzon i de Prey uak-tualnili swoje zapisy pamięci - co mieli obowiązek robić co jakiś czas - i skasowali zmodyfikowane przez Stewarda pliki, próba implantacji pamięci w niewłaściwym ciele praktycznie skazana była na niepowodzenie.

Przez myśli Stewarda przebiegł zimny wiatr, jak powiew z kriogenicznych komór.

Właśnie popełnił morderstwo.

Steward smakował to uczucie. Zatrószył się, by dwóch lu-dzi umarło w końcu na dobre. Jeden z nich zabił Stewarda Alfa, a drugi wszystko, co nadawało znaczenie życiu Stewarda Alfa. Nie było w tym nic niewłaściwego.

Konflikty między dobrym i złym to choroba duszy, pomyślał. Zabawne, że wiersz zen, którego

nauczył go de Prey, posłużył do wyrzucenia de Preya z karuzeli reinkarnacji. Napawając się tą myślą Steward wydał przez swój interfejs ostatnią komendę: WYLOGUJ.

Poświata tego słowa paliła się jeszcze chwilę w jego głowie i zgasła.

Steward włożył kombinezon, zdjął plastikową zaślepkę z czujnika podczerwieni i schował narzędzia do kieszeni, zakleja-jąc je taśmą. Żeby precyzyjnie się z powrotem przez otwór wenty-lacyjny, musiał skorzystać z krzesła Falaye'a. To brutalna siła, nie elegancja, pomyślał. Kosztowało go to sporo skóry i krwi, którą czuł, jak spływała mu po bokach i wsiąkała w podkoszulek. Ale udało się. Umieścił z powrotem kratkę w otworze i przymo-cował wyłamane blaszki taśmą klejącą.

Miał nadzieję, że Falaye nie zwróci uwagi na przestawione krzesło.

Znalazłszy się w tunelu, zatrzymał się na chwilę przed dal-szą drogą. Wsłuchał się w swój oddech i skoncentrował myśli. Po-wrót z udanej misji był niebezpiecznym okresem: pojawiała się tendencja do zbytnej ufności we własne siły, wynikająca z po-strzegania tego etapu zadania jako szczęśliwego zakończenia, a nie jako czegoś, co wymaga tyle samo uwagi co penetracja. Ste-ward wyobraził sobie drogę, którą będzie wracał, wyrównał od-dech i uspokoił serce. Przypomnił sobie o strażnikach - musi ich cicho ominąć - i o hełmie, kołyszącym się w takt muzyki, której Steward nigdy nie usłyszy.

Pełznął w dół tunelu. Na skórze czuł ciepłe plamy krwi. Czo-ło znów pokryło się potem. Gdy przechodził nad holem ze straż-nikami, po jego ciele przesunęły się prążki żółtego światła. Ode-chnął nieco lżej.

Nagle w jego głowie zapaliły się ostrzegawcze czerwone świa-tełka. Adrenalina wpłynęła do żył, podnosząc alarm w całym or-ganizmie.

Sygnal radarowy. Tuż przed nim. Dochodzący z odcinka ka-nału prowadzącego do głównego tunelu. To był robot ekstermi-nacyjny.

Nagle zrobiło mu się bardzo gorąco w kombinezonie. Serce waliło mu jak młot. Spróbował opanować ogarniającą go panikę i przetoczył się na bok, sięgając do jednej z kieszeni. Samoprzy-lepna taśma przyczepiła mu się do palców. Myślał o Wolfie Mo-del 18 i jego detektorach, zdolnych do wykrycia bicia serca ofia-ry lub zapachu potu i o jego pancernym, pająkowatym cielsku, wyposażonym w giętkie nogi, którymi owijał ofiarę, przygotowu-jąc się do wstrzyknięcia trucizny długą stalową igłą. Na większe odległości miał jeszcze działko strzałkowe, którego wystrzał w jednej chwili wypełniał tunel setką zatrutych igieł, przebijają-cych ciało aż do kości.

Przede wszystkim jednak był szybki. Szybszy niż człowiek. Skomplikowane programy, wymagające od robota porównywa-nia napotykaných obiektów z zakodowanymi w pamięci kształta-mi, mogły spowalniać działanie maszyny. Wolf 18 nie miał takich problemów. Jego program kazał mu zabić wszystko, co wygląda lub pachnie nie tak jak powinno, po czym podłączyć się do naj-bliższej linii telekomunikacyjnej i poinformować odpowiednią osobę o tym, co zrobił. Prostota algorytmu czyniła z niego śmie-telnie groźnego przeciwnika. Mająca swoją siedzibę na Ceres Wolf Company zalecała, by używać tych robotów jedynie do do-zoru najbardziej krytycznych rejonów, jeśli chce się zminimalizo-wać liczbę popełnianych przez robota błędów. Dla Consolidated Systems jednak cała techniczna infrastruk-tura stacji stanowiła obszar krytyczny. Gdy w jakimś odcinku tu-nelu trzeba było przeprowadzić bieżące naprawy, wysyłano zako-dowane sygnały, rozkazujące robotom patrolować inne miejsca. Consolidated nie przejmowała się pomyłkami. Pomyłki i tak nie powinny przebywać wewnątrz tuneli.

Steward nie miał dostępu do kodów, które kazałyby robotowi odejść. Zmieniano je co godzinę, a linie telekomunikacyjne w tunelach były dużo lepiej zabezpieczone niż komputer firmy ubezpieczeniowej.

Czerwone światło świeciło z większą mocą i coraz częściej.

Robot zbliżał się.

Chwyciwszy ostrze w izolowaną przez rękawicę dłoń i próbując poruszać się całkowicie bezgłośnie, Steward przesuwiał się wzdłuż tunelu na łokciach i kolanach. Wewnątrz kombinezonu słyszał swój przyspieszony oddech. W głowie przelatywały mu schematy budowy Wolfa 18, dostarczone na życzenie przez wszczepione nitki. Zimny wiatr przelewał się nad nim jak przypływ. Zatrzymał się w bocznym tunelu, odchodzącym od szybu, którym poruszał się robot. Wolf nie mógł namierzyć go radarem zza rogu. Jediną szansą Stewarda było zaskoczenie robota, gdy zdecyduje się iść dalej w górę szybu, a nie wpełznięcie do tunelu, w którym on czekał.

Pionowy szyb kończył się na wyciągnięcie ręki od głowy Stewarda. Ciekawe, czy oprogramowanie robota zawierało ten fakt w swej bazie danych, czy też maszyna zderzy się zaraz ze stropem szybu?

Steward miał sucho w ustach. Przysunął się jeszcze bliżej krawędzi szybu i czekał na właściwy moment, wczuwając się w coraz bliższe chrzęsty wspinającego się robota i monotonne pulsowanie czerwonej myślowej lampki sygnału radarowego, który rozpraszał się na ścianach tunelu. Głównie jednak odbierał hałas i ciepło, wytwarzane przez jego krążenie. Jediną szansą. Przynajmniej śmierć będzie szybka. Do diabła z tą myślą.

Jedno życie, pomyślał. Jedna strzała.

Najpierw pojawiły się anteny, potem detektory zapachu, umieszczone na końcach ruchliwych szypułek. Na szczęście Steward był po zawietrznej. Po sekundzie jedna z nóg maszyny - giętka metalowa macka - wsunęła się do tunelu Stewarda i stanęła na jego ramieniu. Z trudem opanował odruch ucieczki. Skoncentruj się, mówił sobie w duchu. Wszystko ma być gotowe do wykonania ataku prawą ręką. Całe ciało jest napiętą sprężyną, która lada chwila wystrzeli strzałą ręki, rozpędzonym ciężarem i całą determinacją. Krew tętniła mu w uszach rykiem wichury.

Teraz za krawędź szybu wyjrzały oczy - rozglądające się na boki soczewki, osadzone w płaskiej głowie, z której wystawał również czubek trującej igły z nierdzewnej stali. Za oczami sterowały krótkie anteny radiowe. Wolf szybko zdecydowanie przemieszczał się w górę.

Strzała uderzyła. Ręka Stewarda wystrzeliła na wprost, celując cienkim stalowym ostrzem w szparę między głową robota a jego cylindrycznym odwłokiem. Pojawił się jasny błysk, łuk elektrycznego światła wyzwolonego przez połączenie. Steward zadrżał z przerażenia, uświadamiając sobie, że stracił wzrok od oślepiającej jasności. Coś uderzyło go w twarz, aż podskoczyła mu głowa. Czerwone, pulsujące światło zniknęło z jego mózgu. W końcu zaczął widzieć. Wolf dogorywał. Jego stalowa igła, wysunięta do końca z płaskiej głowy, strzelała w górę słabnącym strumieniem trucizny. Steward słyszał jak krople spadały deszczem na jego kombinezon.

Cofnął ramię i Wolf spadł w dół szybu. Po chwili dał się słyszeć odległy trzask. Kondensatory jego skafandra dały mu znać, że są opróżnione. Włożył nóż do kieszeni i zsunął się do szybu. W żyłach Stewarda krążyła spora dawka adrenaliny, która akurat mu się przydała, bo musiał zejść w dół szybu, zabrać robota i biec głównym tunelem, ciągnąc go za sobą. Nie chciał, by szczątki maszyny znalazły blisko jego celu. Wolf przestał być już zdolny do wysyłania sygnałów radiowych, a brak kontaktu z centralą o ustalonej porze musiał spowodować ściągnięcie innych robotów i ich

właściciele w ostatnie miejsce jego pobytu. Spod nóg czmychnęła mu cała kolonia karaluchów. Biegł głównym tunelem od jednego pionowego szybu do drugiego. W pewnym miejscu nadepnął na metalową kratkę. Podniósł ją i wrzucił robota do znajdującego się pod nią pionowego szybu. Potem wyjął z kieszeni niewielki śrubokręt i posłał go w ślad za martwą maszyną. Może uda się w ten sposób zasugerować, że ja-kiś technik zostawił w szybie śrubokręt i robot miał w związku z nim tragiczny wypadek. Nie znalazłszy nic innego w okolicy szybu, ludzie z bezpieczki woleliby zapewne uwierzyć w tę teorię niż sporządzać pięćdziesięciostronicowy raport, w którym musieliby wyjaśnić, dlaczego nie odkryli przyczyny śmierci robota. W pobliżu był włącznik wyjściowy - nie ten, którym Steward wchodził, ale chciał się szybko wydostać. Rozbroił zamek i otworzył go. Przez wypełniającą pomieszczenie ciemność dojrzał sterowy sprzęt używanego do napraw. Wskoczył do środka, zamknął za sobą włącznik i ściągnął z siebie ochronny kombinezon. Dotyk powietrza był chłodny i przyjemny. Zwinął kombinezon w rulon, owinął go paskiem rzepa i wyszedł na korytarz. Pod pachami na podkoszulku zasychała mu plama krwi. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Następnego dnia znów wałęsał się po korytarzach Ricot, wczuwając się w rytm stacji. Nie zmienił się od wczoraj. Nie było żadnego znaku, że Consolidated odnalazła na dnie szybu wentylacyjnego jednego ze swoich cybernetycznych rekinów ze spalonym mózgiem.

Z danych, które uzyskał przez programy penetracyjne wynikało, że de Prey nosił teraz nazwisko St. Cyr. Nadał sobie imię po swej dawnej szkole. Jego szczęście, że nie trafił do West Point, pomyślał Steward.

Był przekonany, że nie uda mu się wejść do rządowego kompleksu mieszkalnego, w którym prawie na pewno przebywali Curzon i de Prey. Teren został zabezpieczony wprost nieprawdopodobnie i nawet gdyby zdecydował się ponownie skorzystać z jakiegoś szybu wentylacyjnego, w ciągu kilku minut zostałby aresztowany przez uliczny patrol. Uznał więc, że lepiej wy badać, gdzie pracują.

Dyrektoriat Bezpieczeństwa Consolidated Systems mieścił się w tym samym, wyodrębnionym kompleksie, w którym kiedyś znajdowało się centrum wywiadowcze Coherent Light. Czyli w pobliżu północnego bieguna Ricot. Do kompleksu dochodziły tylko dwa tunele, a jego bezpośrednie otoczenie składało się z szerokiego pasa rusztowań, patrolowanych przez gromadę ludobójczych robotów strażniczych o mało wyrafinowanym sposobie myślenia. Wejścia do tuneli były silnie strzeżone. Jeden wiodł do begrawitacyjnego zakładu przemysłowego na biegunie północnym - tego, w którym pracowała Wandis. Drugi wychodził na szeroką metalową ulicę o nazwie Methane Street (wiele ulic na Ricot nosiło nazwy związane z produktami stacji), na której znajdowały się sklepy odzieżowe, delikatesy, restauracje i bary. W tych ostatnich stoliki rozdzielone były od siebie dyskretnymi ekranami ultradźwiękowymi. Rządowy kompleks mieszkalny leżał niedaleko stąd i prowadził do niego ruchomy chodnik. Chcąc przejąć nieco miejscowego stylu Steward wybrał się na Methane Street i kupił ubranie. Nabył również neseser i przenośny komputer, a następnie zaczął być stałym bywalcem okolicznych barów, gdzie popijał drinki i bawił się komputerem, jak-by stanowiło to element jego codziennej pracy. Bawił się głównie w gry komputerowe, obserwując bacznie okna. Przed końcem zmiany wychodził na ulicę i rozglądał się, szukając znajomych twarzy. Po dwóch dniach dość dobrze znał już rytm życia ulicy. Po Methane Street wciąż chodziły patrole, ale strażnicy nie mieli w zwyczaju niepokoić wazniaków bawiących się w swoich barach. Zaczął więc nosić ze sobą pistolet, ukryty pod komputerem na dnie nesesera.

Szukał twarzy i gromadził siły. Czekał na właściwy moment. Wiedza wymuszała działanie. Działanie leżało sobie spokojnie w jego walizce.

Jedno życie. Jedna strzała.

Kiedy ów właściwy moment w końcu nadszedł, Steward ruszył do akcji machinalnie i gdy w jego umyśle pojawił się w pewnej chwili cień zaskoczenia, od razu stał się tylko luźną refleksją. Tego dnia zauważył nagle, że w zalewającym ulicę tłumie dobrze ubranych, wracających ze swojej zmiany ludzi, znajdują się dwie twarze, znane do tej pory tylko ze zdjęć. Kwadratowe, grubo ciosane oblicze Curzona, z ciemnym zarostem na policzkach i brodzie, przemieszczało się obok młodego de Preya; ten wyglądał zupełnie jak człowiek ze zdjęć, które Steward widział w aktach z St. Cyr - śniada, nieśmiała twarz podwładnego idącego pół kroku za swym przełożonym. Teraz widział ich z trzech czwartych profilu, bo właśnie ich mijał. Nie potrzebował podchodzić bliżej, żeby się upewnić. Zamiast tego skoncentrował się na wyszukaniu w tłumie ochroniarzy, wiedząc, że muszą towarzyszyć dyrektorowi bezpieki w stopniu brygadiera.

Zidentyfikował co najmniej dwóch młodych mężczyzn w obszernych kurtkach. Jeden, średniego wzrostu, szedł za nimi, a drugi, wysoki - krok z przodu. Obaj mieli te celowe, podobne do robota ruchy głowy, które świadczyły, że w ich głowach znajdował się skomplikowany układ nitek, narzucający im rutynową, wzrokową kontrolę otoczenia. Ręce trzymali w kieszeniach kurtki. Dojrawszy ochroniarzy Steward wydał w myślach cichy okrzyk tryumfu. Był z nimi jeszcze trzeci mężczyzna, idący obok Curzona. Miał siwe włosy i palił krótkie cygaro. Wyglądał bardziej na pracownika szczebla kierowniczego niż na specjalistę od sprzątnia.

Steward nie dojrzał nikogo więcej. W tak wielkim tłumie było to niemożliwe. Kilku ludzi sprawiało wrażenie czujnych, reszta po prostu szła. Uznał, że to już nie miało znaczenia. Taka okazja - de Prey i Curzon w tym samym miejscu - już nigdy mogła się nie powtórzyć.

Ruszył za nimi, wkładając walizkę pod pachę i otwierając zamki. Poczuł w sobie absolutną koncentrację. Jego ulepszone połączenia neuronowe zdawały się rozprzestrzeniać poza ciało i dotykać otaczającego tłumy, dwóch mężczyzn i metalowej ulicy. Ni-gdy wcześniej świadomie nie obierał celu, krocząc instynktownie na wprost zrozumiałą ścieżką wytyczoną przez Alfę; poruszając się jak strzała zen, świadoma tylko swojego celu na końcu podróży. Teraz zaś musiał dokonać w pełni świadomej decyzji i nie zdziwił się, gdy zrozumiał, że podjął ją już dawno temu, i że widok tych dwóch mężczyzn, idących ramię w ramię, tylko potwierdzał trafność jego wyboru. Teraz on - strzała - widział prawdziwy cel swojej wędrówki. Gotowość wypełniała go jak ogień. Kilka dni wcześniej leżał w ciemnym tunelu, zbierając siły, przeobrażając się w sprężynę skupioną na ostrzu i stając się w końcu samym uderzającym ostrzem, pędem i światłem. Teraz czuł, że gromadzi swoje siły w inny sposób, w przeciwną stronę. Choć nie mógł dotknąć trzymanego pod pachą przedmiotu, stawał się nim - pistoletem, jego mechanizmem odbezpieczającym i pociskami... potencjalną przemocą w samopochłaniających się obudowach.

De Prey i Curzon rozdzielili się na drugim skrzyżowaniu. De Prey i siwy mężczyzna poszli w prawo, a Curzon z dwoma ochroniarzami w lewo. Steward nie spodziewał się tego, ale nie przyspieszył kroku. Wiedział, że sobie poradzi. Z opuszczoną głową rozglądał się na boki, szukając podejrzanych ruchów i osób... Nic takiego nie znalazł. Skręcił ze środka ulicy i poszedł skośnie w prawo, chcąc skrócić dystans, jaki dzielił go od de Preya. Prze-cznica nosiła nazwę Molybdenum Way. Opuścił neseser z powrotem do lewej dłoni i jego własny ciężar go otworzył. Wydawało mu się, że czuje na twarzy musnięcie wiatru. Nitki wyliczyły trajektorię i odległość. Ricot był tak wielki, że ulicę Molybdenum Way można było zbudować jako całkiem płaską. Jakakolwiek krzywizna pozostawała niedostrzegalna. De Prey nosił zapewne kamizelkę kuloodporną, co oznaczało konieczność trafienia

w głowę. Dzięki swoim nitkom Steward mógł być pewien, że trafi w cokolwiek w promieniu sześćdziesięciu metrów, zakładając, iż cel nie będzie zbyt skomplikowany. Wokół Stewarda ludzie śpieszyli się do swych własnych spraw. Czuł, jak narasta w nim tornado. W myślach miał niezachwianą pewność. To będzie dobre zen.

Sięgnął do nesesera, wyjął pistolet i podniósł go na wysokość celowania tak, jakby to robił codziennie. Strzelił tylko raz. Kula poleciała do odległego o jakieś trzydzieści metrów celu, wydając z siebie cichy syk samopochłaniającej się obudowy, podobny do świszczącego w szparach wiatru. Mechanizm pistoletu pstryknął, wsuwając nowy pocisk do komory ładunkowej. Gdy głowa de Preya otworzyła się fontanną czerwieni, Steward był już gotowy schować broń z powrotem do walizki, obrócić się na pięcie i ruszyć w innym kierunku.

Pistolet załomotał o dno walizki. Steward właśnie obracał się, by pójść za Curzonem. Nikt z rzedającego tłumu nie pośpieszył w inną stronę.

Czyste zen, pomyślał. Jego ruch był tak naturalny, że nawet w środku tłumu nie zwrócił niczyjej uwagi. Broń nie czyniła żadnego hałasu, który zdołałby obudzić ludzi z ich snów o czasie wolnym po pracy. Zanim ktoś skojarzy sobie widziany ruch ze skutkiem, minie dobre parę sekund... Steward będzie już wtedy gdzie indziej. Będzie inną osobą, inną sylwetką i innym pociskiem.

- Hej, ty.

Słowa wytrąciły go z równowagi i poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. To było za wcześnie. Ktoś musiał wtedy patrzeć dokładnie na niego.

- Hej, ty tam.

Młody głos, wciąż brzmiący zaskoczeniem. Za jego plecami rosło zamieszanie.

- Ty tam, widziałem cię! - powiedział głos z naciskiem, ale także z odrobiną zdumienia. Jak gdyby prosił Stewarda, by potwierdził to, co przed chwilą widział.

Steward wciąż czuł w sobie wypełniające go poczucie słuszności. Odwrócił się i położył palec na ustach. Ujrzał młodego, ciemnoskórego mężczyznę z czołem ozdobionym gwiazdą zaimplantowanych diamentów.

- Szszszsz - powiedział mu Steward i zobaczył w oczach mężczyzny zdumienie.

Odwrócił się od niego i ruszył dalej. Za sobą czuł wahanie, które trwało przez pierwszy krok, potem drugi, trzeci... a potem był już niewidzialny, idąc w tłumie ludzi zmierzających śladem Curzona.

- Hej ty, poczekaj chwilę. - On właśnie kogoś zastrzelił! - usłyszał pół sekundy później, ale on i czarnoskóra mężczyzna by-li już tylko dwojgiem całkiem sobie obcych ludzi, a łącząca ich krótka chwila stała się już odległą przeszłością. Steward założył ciemne okulary i rozpiął kurtkę, pokazując pod spodem żółty podkoszulek. Taka mała zmiana wyglądu. Po-ruszał się szybko wśród ludzi, niemalże lecąc, niesiony przez wyjący w nim wiatr.

Jeden z ochroniarzy patrzył w tył, stając na palcach, by spojrzeć nad głowami tłumu. Ciężka głowa Curzona zamajaczyła na chwilę między gęstwiną ciał. Właśnie się unosiła, jakby z zaskoczenia. Patrzący ochroniarz trzymał rękę przy skroni, zapewne by lepiej słyszeć wewnętrzny głos w jego głowie. Kolejny zły traf. Ten z cygarem, który siedł razem z de Preyem, musiał mieć przy sobie radio, a ochroniarze odbiorniki w czaszkach.

Sam Curzon obrócił się i spojrzał do tyłu, tworząc idealny, nieruchomy cel. Ręka Stewarda już

sięgała do nesesera. I wtedy ochroniarze chwycili Curzona pod ręce i ruszyli z nim w kierunku pobliskiego sklepu. Steward czuł, jak odchodzi ta sprzyjająca chwila, umierając razem z wiejącym w nim wiatrem. Ogarnęła go frustracja. Gdyby nie musiał przystanąć, by uciszyć tamtego przechodnia, druga kula już odnalazłaby cel. Steward posuwał się w kierunku miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stał Curzon. Wciąż przepełniała go determinacja. Ochroniarze uznaliby każdą zmianę sposobu ruchu za podejrzaną - tak działały ich implanty. Zdecydował, że spróbuje strzelić w momencie gdy będzie mijał sklep.

252----- wuuer «»vii iwiiiiuiii* ---

Na witrynie sklepu holograficzna butelka piwa wyłaniała się z lodowej planety w mroźnej fontannie ciekłego amoniaku. Curzon stał w drzwiach. Wydawał się lekko poruszony i przyglądał włosy swą szeroką dłonią. Ochroniarze trzymali ręce w kieszeniach, ob-racając się, by ostatni raz sprawdzić przechodniów. Steward zwolnił nieznacznie, wymijając jednego przechodnia między nim i ochroną; wybierał kolejność celów, sięgając jednocześnie po broń. Pierwszy ochroniarz, drugi ochroniarz, Curzon. Tak będzie najlepiej. Jeśli dałby ochronie sposobność do działania, zabiliby go natychmiast. Poza tym, ochroniarze mogli zostać wskrzeszeni jako klony, zakładając, że wykupili odpowiednie ubezpieczenie... W uszach szalało mu tornado. Podniósł pistolet i odwrócił się dokładnie w momencie, gdy zasłaniający go przechodzień usunął się z linii strzału, i... aż zagotowało się w nim z wściekłości, bo ob-raz celu się zmienił - skrawek łysiejącej głowy Curzona zniknął właśnie w ciemnym wnętrzu sklepu, gdzie jego sylwetkę zasłonił hologram i zimne oczy dwóch ochroniarzy, patrzące prosto na nie-go. Uniósł nieco lufę - wystarczyło nieznacznie napiąć mięśnie ramienia - by wpakować pierwszą kulę między oczy wyższego ochroniarza i gdy impuls nerwowy do wciśnięcia spustu płynął już z mózgu do ręki, ramię Stewarda zostało zdruzgotane przez nadlatujący z prawej pocisk.

Kula Stewarda wleciała do wnętrza sklepu. Próbował naka-zać ręce, by uttrzymała pistolet.

Bez zastanowienia skręcił w lewo i zaczął biec; starał się znik-nąć w tłumie, mając nadzieję, że jego wiatr go poniesie. Neseser upadł za nim na metalową ulicę. Na ręce wciąż wisiał pistolet. Trzeci ochroniarz, którego wcześniej nie widział i który oddał strzał, złapał go, zanim zdążył zrobić trzy kroki. Kopnięciem w nerki powalił go na kolana; Steward poczuł straszliwy ból. Zdo-łał obrócić się na kolanach w lewo i wystawić zdrową rękę, ale drugi kopniak dosięgnął! żeber i jego blok na nic się nie zdał. Po-czuł, jak coś w nim pęka. Zobaczył, że trzecim ochroniarzem by-ła kobieta. Niepozorna czarnoskóra kobieta ubrana w zwykłe ubranie. Jej górna warga odsłaniała zęby, posyłając mu celową parodię uśmiechu. Pędzące powietrze wrzeszczało w głowie Ste-warda. Zamachnął się jedną stopą i udało mu się trafić ją w kost-kę. Upadła, ale zanim zdołał podnieść się na nogi, zbliżali się do niego dwaj ochroniarze Curzona. Steward rozpoznał rękawice pa-ralizujące na ich lewych rękach.

Uchylił się od pierwszego uderzenia, upadł i przetoczył na bok, czując jak ostre igły bólu od złamanego ramienia wbijają mu się w mózg. Wstał i udało mu się kopnąć ochroniarza, trafia-jąc go w tułów. Mężczyzna aż stracił oddech, lecz zdołał chwycić Stewarda za koniec nogawki i przytrzymał go na ułamek sekun-dy, zanim ten wyswobodził nogę silnym szarpnięciem. Stracił równowagę i zepsuł kolejny cios, tym razem mierzony w drugie-go mężczyznę, który zdążył sparować ręką, ale elektrody rękawi-cy szczęśliwie ominęły ciało i Steward odskoczył do tyłu. Zoba-czył, że kobieta wstaje, by włączyć się w walkę i nagle ujrzał, jak wyższy z mężczyzn leci wprost na niego, chcąc przewrócić go cia-łem na ziemię. Zanim zdążył się uchylić, otrzymał cios w twarz, a zaraz potem noga kobiety wylądowała na jego kolanie, wygina-jąc je nienaturalnie.

Jedno życie, jedna strzała. Gówno.

Po zderzeniu z metalową ulicą słyszał już jedynie szum wia-tru i widział tylko rękawicę, która spadała uderzając wprost w środek jego klatki piersiowej, przygwoździła go do Molybde-num Way jak motyla przebitego lśniąca elektryczną igłą.

Steward poczuł, że igła - inną igła - przebija mu udo. Przez jego ciało przyplływało tłuczone szkło. Nerwy budziły się i śpiewa-ły z bólu. Miał suche usta i spękane wargi. Skądś dochodził szum wentylatora. Otworzył oczy.

Przez długi tunel ciemności zobaczył spokojną kobiecą twarz, przyglądającą mu się spod przyciętych blond włosów. Wokół jej lewego oka lśniła gwiazda z klejnotów. Jego umysł rozpoznał ją i oniemiał.

- Wandis - powiedział. Wypowiedzenie tego słowa okazało się bolesne.

Jej usta skrzywiły się w zaczątku uśmiechu.

- Steward - powiedziała. - Lepiej się napij.

Ustnik tuby dotknął jego warg. Pił z wdzięcznością. Plamy gorąca skakały mu po skórze jak wściekłe pająki. Chciał się po-drapać, ale nie mógł się ruszyć.

WUlier jyu hiu

W miarę jak pił, wygląd otoczenia z wolna wciekał mu do głowy spiralą ciemnych kolorów. Leżał owinięty jakimś przeście-radłem i przypięty do metalowego stołu. Przynajmniej nie ma tu rynienek do krwi, pomyślał. Czuł przymocowane do głowy elektrody, a w jego gnieździe interfejsu tkwiło coś, co nie reago-wało, gdy próbował wydawać rozkazy. Za plecami Wandis w mdłym świetle przesuwały się jakieś sylwetki. Steward rozpo-znał barczystą postać Curzona, stojącego między szczupłą, umundurowaną kobietą ze zmarszczonymi brwiami i mężczyzną w bia-łym kitlu ze stetoskopem na szyi. Ubranie Stewarda leżało zło-żo-ne obok stołu.

W ramieniu, boku i nerkach czuł pulsujący ból.

Spojrzał na Wandis.

- Przepraszam, że cię w to wplątałem - powiedział.

Odstawiła tubę i wzruszyła ramionami.

- Przyszłam tu tylko po to, by pomóc przy sprawozdaniu. Dla-tego, że cię znam.

Dopiero teraz Steward zauważył, że miała na sobie dobrze skrojony niebieski zakiet z holograficzną plakietką na kołnierzu. Na plakietce był napis: WYDZIAŁ BEZPIECZEŃSTWA.

- Pracujesz dla Curzona - wydusił z trudem.

Spojrzała na niego chłodno.

- Od zawsze pracowałam - odparła. - Teraz jestem strażni-kiem w fabryce.

Steward spróbował się uśmiechnąć, ale impuls bólu przenik-nął mu bok i musiał szybko złapać powietrze. W oczach Wandis pojawił się cień współczucia.

- Sprawozdanie? - spytał. - Czy nie chodziło ci przypadkiem o „przesłuchanie”?

- To wszystko jedno - odpowiedziała i podniosła się, a za nią zapłonęła bateria reflektorów.

Wandis była już tylko niewyraźną sylwetką. Steward poczuł ból w oczach i musiał odwrócić głowę. Usłyszał kroki, a potem in-ny głos.

- Steward - głos był przyjemny i zupełnie obojętny. Rozpo-znał lekki nietypowy akcent i zrozumiał, że to Curzon. - Przyszliś-my dowiedzieć się prawdy.

- Źcrasez Vinfame - powiedział Steward. - Tyle wystarczy?

Chwila ciszy.

- Dowiemy się prawdy, panie Steward. Są narkotyki. Mamy nad panem moc. Większość z nas dysponuje czasem. Dowiemy się tego, czego chcemy - odchrząknął. - Musi pan wiedzieć, że już został pan skazany. Trzej obecni w tym pokoju ludzie mają uprawnienia do zbierania się w nadzwyczajny trybunał bezpie-czeństwa. Wspólnie wydaliśmy na pana wyrok. Pozostaje tylko papierkowa robota - znów odchrząknął, tym razem mocniej. - Niestety, całe mnóstwo papierkowej roboty. Nadprogramowe procedury, chociaż są legalne, zawsze wymagają usprawiedliwie-nia tonami papieru.

- Głęboko współczuję - odpowiedział Steward. Wciąż czuł na skórze te pełzające rzeczy.

- Został pan skazany na śmierć.

Steward obrócił się do niego i usiłował się uśmiechnąć.

- Czy to mnie miało przerazić?

Przez zmrużone oczy zobaczył, że głos rzeczywiście należał do Curzona. Stał teraz bliżej, pod światłami, a inni siedzieli za nim przy szerokim stole. Zapewne patrzyli w monitory, wyświe-tlające stan umysłu Stewarda.

Curzon miał jedną rękę owiniętą w bandaż i zawieszoną na temblaku. Ten ostatni niekontrolowany strzał do sklepu musiał go jednak trafić. Steward widział przez szparki swoich oczu jego pobladłą twarz i cień bólu w spojrzeniu. Pewnie miał złamane ramię i stracił dużo krwi.

- Prawo wymaga, bym odczytał panu wyrok - mówił Curzon. - Robię to tylko dlatego, że takie są przepisy. Nie obchodzi mnie, czy to pana przeraża, czy nie. Nie stanowi pan już żadnego problemu poza czysto biurokratycznym - przerwał na chwilę. - Chyba powinienem jeszcze dodać, że możemy unieważnić wyrok, jeśli będzie pan współpracował, i tak dalej. Rozumie pan, panie Steward?

- Promyk nadziei. Jak to miło.

Od jasnego światła oczy Stewarda zaczęły łzawić. Odwrócił wzrok. Nogi owadów zawzięcie kopały jego skórę. Spróbował zmienić pozycję. Na próżno.

- Jest panu niewygodnie? - odezwał się inny głos. Steward odwrócił się i stwierdził, że głos należał do mężczyzny w białym kitlu.

- Tak - odparł.

- Lek, którego użyliśmy, żeby przywrócić panu przytomność może powodować pewien dyskomfort. To przejściowy objaw. - Dzięki.

- Nie podaliśmy panu żadnych środków przeciwbólowych.

Byłby pan po nich senny. Może więc pana jeszcze boleć. - Będę o tym pamiętał. Jeszcze raz dziękuję - powiedział i zamknął oczy.

Powrócił głos Curzona.

- Czy w związku z tym możemy zaczynać? - spytał. Steward nie odpowiedział. Żałował, że owijające go prześcieradło nie pozwalało mu na wzruszenie ramionami. - Z kim miał pan kontaktować się na Ricot? Uśmiech. Jeden z tych, jakie pojawiają się, gdy wiadomo, że ktoś i tak nie uwierzy w prawdę.

- Z nikim.

- Dla kogo pan pracuje?

- Dla siebie.

- Czy należy przez to rozumieć, że jest pan najemnikiem?

- To znaczy, że pracuję w swoim własnym imieniu.

- Nikt pana nie wynajął, żeby zabił pan St. Cyra?

- Nikt.

Nastąpiła cisza.

- Spodziewaliśmy się takich odpowiedzi.

Steward wykrzywił się, choć miał twarz stężoną od bólu.

- A więc się nie rozczarowaliście - powiedział. - Takich odpowiedzi udzielają wszyscy agenci. Twierdzą, że działali w pojedynkę, bez żadnych rozkazów. Steward znów opanował chęć wzruszenia ramionami. - Nieprawdziwe zeznania tylko przedłużą tę procedurę - powiedział Curzon.

- Ale my i tak dotrzemy do prawdy. To tylko kwestia czasu.

Steward spojrzał na niego.

- Ależ proszę. Nie miałem nic w planach na dzisiaj.

Od reflektorów bolała go już głowa.

- Dlaczego zabił pan St. Cyra? - zabrzmiało szybkie pytanie.

Riposta.

Steward zamknął oczy nie mogąc dłużej wytrzymać światła. Na dnie siatkówki miał jasne żółte plamy. Skóra go swędziała i próbował to zignorować.

- Dlatego, że St. Cyr próbował mnie zabić. Jeszcze wtedy, gdy nazywał się de Prey. Sprzedał mnie i moją jednostkę, w wyniku czego zginęło wielu moich przyjaciół. - Icehawks.

- Zgadza się, kolego.

- A dlaczego chciałeś zabić mnie?

Steward spojrział w potok światła.

- Bo ty mnie zabiłeś, Curzon. Wyciągnąłeś mnie z Westy tyl-ko po to, żeby mnie załatwić.

Gdzieś poza linią światła ktoś głośno nabrał powietrza. Steward spróbował odnaleźć wzrokiem Wandis. - Czy to dla ciebie niespodzianka, Wandis? - zapytał. - Nie wiedziałaś, że Curzon zabił ci męża?

- To - odpowiedział Curzon, dobitnie podkreślając każde słowo - nie jest prawdą.

Steward wybuchnął śmiechem, ale lek i ból szybko położyły mu kres.

- I kto tu nie mówi prawdy?

Głos Curzona był spokojny.

- Steward zginął na Weście. Nie udało mu się wyjść. Wydo-staliśmy tylko ciało.

- Rien n'est beau que le vrai - powiedział Steward. To było przysłowie. By Wandis mogła zrozumieć, powtórzył je po angielsku. - Nic nie jest tak piękne jak prawda. Cuchniesz kłamstwem, Curzon.

- Chcę poznać prawdę na ten temat - zażądała stanowczo Wandis.

- Ktoś go zaprogramował - powiedział Curzon. W jego głosie nie było ani śladu napięcia. Niczego, co świadczyłoby, że za-rzut Stewarda trafił w czuły punkt. - Ktoś, kto chciał mojej śmierci - odchrząknął. - Wandis, pokażę ci raporty. Jeśli chcesz, możesz porozmawiać z pilotem.

- Chciałabym.

- Wandis - odezwał się Steward. - Piloci kłamią. Raporty kłamią.

Curzon znowu odchrząknął. Steward zastanawiał się, czy to od kataru.

- Z naszych informacji wynika, że wszczepiono panu wspomnienia nieaktualne od piętnastu lat. Nie mógł pan osobiście doświadczyć wydarzeń, które zdarzyły się po rozpoczęciu wojny. Zgadza się?

-Tak.

- Skąd więc wziął pan tę informację, panie Steward?

#17-Ryk tornada

Steward roześmiał się.

- Od siebie. Mojej poprzedniej osobowości. Wysłał mi wiadomość, w której powiedział, że masz go zamiar zabić. - I pan mu uwierzył.

- Wandis - Steward wpatrywał się nagłoco w ciemność za światłami. - On wysłał tę wiadomość już po powrocie z Westy. To było kłamstwo, lecz Steward uznał, że nawet jeśli ich monitory pokażą, że jego kłamstwo jest tym, czym jest, nie będzie to miało większego znaczenia. Nie mógł być już w gorszej sytuacji. - Chodzi o to - ciągnął Steward - że oni chcieli dostać de Preya. Ja zabiłem go na Weście, a tymczasem Consolidated ukradła jego kłona i zapis pamięci, przejmując firmę ubezpieczeniową o nazwie LifeLight. Był cenniejszy dla Consolidated niż ja, więc gdybym wrócił z

Westy i zastał tu de Preya, mógłbym się stać nieco... buntowniczy, trudny. Dlatego Curzon kazał mnie za-bić. Taka oto spotkała mnie nagroda za doskonale wykonaną pracę.

Wandis nie odpowiadała. Odpowiedział natomiast Curzon. - Dostał pan wiadomość od swojej... poprzedniej osobowo-ści...

- Mojego Alfę.

- Od pana Alfę. Poinformował w niej pana, że de Prey go zdradził, a ja go zabiłem. I to jest jedyny powód, dla którego pró-bował nas pan zamordować?

- Zapewne mogłem wystąpić z oskarżeniem o morderstwo już we Flagstaff, ale w taki sposób nie doszedłbym sprawiedli-wości.

Steward odniósł wrażenie, że wśród ludzi za stołem trwają ciche konsultacje. Przewijali wstecz zapis rozmowy na swoich mo-nitorach, żeby stwierdzić prawdziwość twierdzeń Stewarda. Poczł zapach tytoniu. Ktoś w pokoju palił. Ta woń jak zwy-kle wzbudziła w nim ślinotok. Tym razem był za to wdzięczny. Curzon odchrząknął.

- Myślę - powiedział - że Wandis i doktor Nubar mogą już odejść. Pan Steward i ja będziemy teraz rozmawiać na tematy, do podejmowania których nie są upoważnieni. Steward roześmiał się.

- Ach tak. Teraz porozmawiamy jak dorośli. Chłopcy i dziew-czynki mogą sobie iść.

Curzon kontynuował, nie poruszony ironią Stewarda. - Dziękuję wam obojgu. Wandis, myślę, że możesz już wracać do domu. A co do pana, doktorze, chciałbym, żeby poczekał pan u siebie w razie, gdybym pana potrzebował. Rozległy się kroki, odgłos otwierania drzwi, potem więcej kroków i zamykanie drzwi. Oczy i mózg Stewarda wypełniał ból. Zastanawiał się, czy nie zrujnował właśnie kariery Wandis. Jeśli Curzon pomyśli, że Wandis mu uwierzyła, możliwe, że stanie się podejrzana o zamiar pomszczenia Alfę albo zrobienia skandalu z historii o jego śmierci.

To było głupie z jego strony, jeśli taki właśnie okazałby się skutek jego wypowiedzi. Powinien bardziej się kontrolować. Z bólem, światłem i narkotykiem, który mu wstrzyknęli, to mogło być trudne. Zaczł regulować oddech, próbując wykorzystać swo-je wykszolenie i zyskać nad sobą władzę.

Me mam taktyki. Tworzę byt i pozbywam się taktyki. Reflektory zgasły i Steward odetchnął z ulgą. Ich blask wciąż tkwił mu pod powiekami. Ból głowy nieco zelżał. Usłyszał, jak Curzon idzie i siada na krześle, które na początku zajmowała Wandis. Odchrząknął po raz kolejny.

Nie mam talentu. Mój szybki umysł czynię swym talentem. Oślepiający blask powoli znikł z jego wzroku. Otworzył oczy i zobaczył Curzona, obserwującego go ze zmarszczonymi brwiami. Zauważył, że mężczyzna miał na łysiejącej głowie plasti-kową obejmę, która poprzez przymocowane do skóry skroni elek-trody przekazywała odczyty rejestratorów, podłączonych do cia-ła i mózgu Stewarda.

Me mam zamku. Niewzruszony duch jest moim zamkiem. - Ma pan rację co do jednego - oświadczył Curzon. - Kaza-łem zabić twojego Alfę.

Stewarda to zaskoczyło, i wzbudziło jego podejrzliwość.

Otwartość Curzona musiała mieć jakieś powody. - Mam nadzieję, że nie kosztowało cię to zbyt dużo papierko-wej roboty - odparł ironicznie.

- Istniały nadrzędne powody - powiedział Curzon - których nie jest pan w stanie ocenić.

Me mam miecza, pomyślał Steward i ta myśl była tryumfal-na. Z godności, która jest ponad wszystkim i poza wszystkim, z my-śli czynię mój miecz.

Steward zakrztusił się śmiechem.

- Potrafię ocenić ataki bakteriologiczne na obcą rasę. Potra-fię ocenić brygadiera-dyrektora, który każe zabić swojego kole-gę po tym, jak pomyślnie ukończył swoją misję. Potrafię ocenić wartość człowieka tak cynicznego i złego jak de Prey - spojrział Curzonowi w oczy - i nie brakuje mi zdolności do oceny szczegó-łów twojej pracy. Powiedz mi więc, jakie były te powody. Może także potrafię je ocenić.

Curzon sięgnął zdrową ręką do kieszeni po chusteczkę i wy-dmuchał nos, po czym odchylił się na oparcie krzesła i spojrział na Stewarda. Z jego twarzy wciąż nie znikał wyraz abstrakcyjnej za-dumy. Wyglądał jak przedsiębiorca w średnim wieku, pracujący nad czysto intelektualnym problemem rozwiązania jakiejś trud-nej krzyżówki.

- Pana Alfa - zaczął Curzon - poszedł na śmierć ze swoistą elegancją. On pragnął umrzeć, panie Steward. Nigdy nie umiał siebie przekonać, iż dobrze się stało, że przeżył Szeol. Chciał jed-nak umrzeć z honorem, a przedtem załatwić kilka spraw. Głównie chodzi tu o de Preya. Myślę, że był szczęśliwy, gdy umierał. - To bardzo miło z twojej strony, że podałeś mu pomocną dłoń. Gdy będziesz mnie mordował, pewnie też wyświadczysz mi tym przysługę.

- Być może pana nie zabiję. Być może. - Curzon powiedział to tak, jak gdyby owa możliwość wydała mu się intrygująca. Geny domokrażcy, pomyślał Steward. Kłamstwa wbudowane bezpo-średnio w DNA.

- Jeśli będę współpracował - dokończył Steward.

Curzon wzruszył ramionami.

- Pana chęć do współpracy nie ma tu żadnego znaczenia. Ma-my swoje metody i tyle czasu, ile będzie trzeba. Uzyskamy po-trzebne nam odpowiedzi tak czy inaczej. Chodzi mi o coś innego. - Myślę, że mógłby pan dla nas pracować.

Steward wybuchnął śmiechem, ale ostrze bólu przebiło mu bok i musiał wstrzymać oddech.

Curzon nie wydawał się ani zdziwiony, ani poruszony jego reakcją. Mówił dalej tym samym spokojnym głosem. Steward od-zyskał zdolność oddychania i czekał, aż minie ból. Narkotyk sprawał, że czuł się tak, jakby jego ciało kłuto gwoździami. - Wydaje mi się, że Alfa chciał poświęcić się dla naszej sprawy, lecz był zbyt rozdarty przez osobiste tragedie, by zrozu-mieć, co staramy się tu zbudować. Udawał cynika, próbując sto-sować do wszystkiego filozofię najemnika, a ja dla takich ludzi nie mam wiele cierpliwości ani szacunku. Ludzie, których lojal-ność można kupić nigdy nie robili na mnie wrażenia. Na przy-kład de Prey. Pracowałby dla mnie, dla Westy albo dla Moc-nych, zależnie od tego, kto dałby mu to, czego chciał. Miał dla nas ograniczoną wartość, bo nie mogliśmy mu ufać. Umiał wsz-czepiać innym ideały, ale sam ich nie posiadał. - Głos Curzona nabrał tonu refleksji. - Zastanawiam się, czy Alfa uświadamiał sobie, do jakiego stopnia upodobnił się do człowieka, którego tak chciał zabić.

Steward pokręcił z podziwem głową.

- Jesteś skarbem, Carlosie Dancerze Curzonie. Prawdziwym oryginałem.

Curzon spojrział na niego.

- Ależ nie. Wcale nie. Jestem tylko człowiekiem doskonale przystosowanym do swojej pracy. Tak

jak pan - powiedział i od-wrócił się do kobiety w mundurze - i tak jak pułkownik Godunov, siedząca tam za stołem - spojrział z powrotem na Stewarda. - I tak jak nasz Premier, panie Steward. Bezdyskusyjny król swo-jego ludu.

Steward nie odpowiedział. Curzon przekrzywił głowę w za-myśleniu, jakby patrząc na swój problem pod innym kątem, lecz ten gest trwało krótko, bo złapał go nagły atak kaszlu. Odchrząk-nął i wytarł usta chusteczką.

- Zapalenie oskrzeli - wyjaśnił. - Właśnie z tego wychodzę. Wepchnął chusteczkę do kieszeni na piersi, po czym dobro-tliwie popatrzył na Stewarda. Jak Święty Mikołaj. - Co pan wie o Mocnych, panie Steward?

- Są zorganizowani hierarchicznie. Są dziwni i skomplikowa-ni. Niepodobni do nas. Wiem, że posłałeś Alfę, żeby zabił Premie-ra Westy i całe mnóstwo jego podwładnych, lecz Premier-po-Prawej zdołał uciec. Wiem, że Mocni są zaraźliwi w stosunku do lu-dzi ze znamieniem wijki i że ich aerozole hormonalne zmuszają zakażonych do myślenia o nich w kategoriach boskości-Curzon aż zeszytniał z zaskoczenia i posłał szybkie spojrze-nie w stronę Godunov. Steward nie posiadał się z radości, że w końcu udało mu się wykrzesać z niego jakąś reakcję. - Utrzymanie pana przy życiu będzie trudniejsze, niż myśla-łem, panie Steward - odparł Curzon z pewną zadumą w głosie. - Większość ludzi, którzy zaczynają się tego domyślać, po prostu znika.

- Czy możesz rozluźnić mi trochę to prześcieradło? Chciał-bym móc wzruszać ramionami - powiedział Steward i natych-miast tego pożałował. Narkotyk czynił go rozmownym, a każde wypowiedziane słowo było monitorowane i porównywane z inny-mi słowami, tworząc zbiór danych, który posłuży do weryfikowa-nia jego przyszłych reakcji. Wielokrotnie mu powtarzano, że na przesłuchaniach należy udzielać krótkich, prostych odpowiedzi i nigdy nie dawać się wciągać w przydługie komentarze i wyja-śnienia. Przesłuchujący chcieli, by więźniowie stali się rozmow-ni i pewni siebie; dawało im to znacznie więcej liny, którą mogli delikwenta związać. Steward znów zaczął regulować oddech i pró-bował skoncentrować się na czymś zupełnie innym. Na konstela-cjach, jak na Weście. Stworzyć w swojej głowie wszechświat. M44, pomyślał. Gdzie to było, do cholery?

- Czy byłby pan uprzejmy podać mi źródło tych informacji?

- poprosił Curzon, już nieco żywszym głosem.

Rak, myślał Steward. Merde. Nie mógł zebrać myśli. Właściwie, to nie ma powodu, żeby Curzon o tym nie wie-dział, pomyślał.

- „Born” był w zeszłym roku na Weście - zaczął Steward. - Wydział Pulsar pomyślał, że to ja jestem Alfą i kazał mnie aresz-tować. Ich oficer śledczy dostarczył mi dużo więcej informacji, niż zyskał ich ode mnie. A potem pracowałem w zastępstwie na terenie Poselstwa. Przebywało tam paru byłych żołnierzy z Ice-hawks. Obywateli Mocnych. Przyjrzałem im się trochę. - I to panu starczyło do wyciągnięcia takich wniosków? - spy-tał z niedowierzaniem Curzon.

- Jestem doskonale przystosowany do mojej pracy. Tak w każdym razie mówią o mnie pewni ludzie - odparł Steward i spojrział na Curzona. - Ludzie z Pulsara nie byli zbyt mili. Do-kładniej mówiąc, byli brutalni. Nie podobało im się, że kazałeś zabić ich Premiera.

Curzon zacisnął usta.

- Mnie także to się nie podobało. Całą operację zmontowano w pośpiechu i z powodów, które nie są dla mnie całkiem jasne. Nie ja byłem pomysłodawcą. Przykro mi to mówić, ale właśnie nasz

Premier na to naciskał. Podjęliśmy się owej operacji, chcąc wyświadczyć mu przysługę.

Steward próbował właśnie zbudować w głowie Oriona, lecz obraz rozwiął się w jednej chwili, zmieciony falą zaskoczenia. - Mocni mają w zwyczaju truć się nawzajem? - spytał. - A myślałem, że są tak zdyscyplinowani i perfekcyjni. Orion, pomyślał znowu. Rigel tu, a Betelgeuse tu. Głos Curzona dochodził z oddali.

- To tylko bajka, której rozpowszechnianie uważamy za ko-rzystne. Chcemy, by ludzie wierzyli, że mogą stać się tacy jak Mocni. Zrównoważeni, inteligentni, zdolni do współpracy. Posłuszni, dodał w duchu Steward.

- Prawda jest taka - ciągnął Curzon - że wśród Mocnych ist-nieją... narody. Są tak samo podzieleni jak my. Wizerunek Oriona ponownie zniknął. Myśli strzelały w gło-wie Stewarda jak sztuczne ognie i sprawiało mu trudność pozbie-ranie wszystkiego w całość. Skoro Mocni byli tak samo podziele-ni jak ludzie, to Wojna Artefaktowa toczyła się na obszarze nale-żącym do dwóch narodów Mocnych... To by tłumaczyło konieczność istnienia dwóch portów przeładunkowych: Ricot i Westy. I wyjaśniałoby ową wzajemną podejrzliwość, jaką żywią do siebie ludzie z obu stacji - ich własny sukces zależał od sukce-su ich narodu Mocnych. A także dlaczego jeden Premier chciał-by atakować drugiego.

Steward pomyślał o tej ogromnej, stożkowej części kosmo-su, gdzie ludzkość nie miała prawa wstępu. Gdzie mogły się znaj-dować inne narody Mocnych, stanowiące potencjalne zagrożenie, lub przynajmniej niepożądaną konkurencję w stosunku do dwu narodów znanych człowiekowi. Nic dziwnego, że Premierzy za-bronili ludziom tam latać.

- Już kończę - Curzon mówił teraz do pułkownik Godunov. - Pan Steward wie już tyle, że starczyłoby na umotywowanie trzech wyroków śmierci. Daje mu tylko trochę więcej informacji, żeby mógł to wszystko przemyśleć. Być może powie nam coś o naszych znajomych z Westy.

Dopiero teraz Steward zdał sobie sprawę, że Curzon może być pod wpływem środków przeciwbólowych i dlatego jest taki rozmowny. Nic dziwnego, że wydawał się wesoły. Curzon odwró-cił się do Stewarda.

- Prawda? - powiedział. - Widzę, że już pan to przemyślał. - Ja... nie jestem pewien - odpowiedział Steward. Orion na-bierał kształtu. - Będąc na Weście odniosłem wrażenie, że wy-tworzył się tam jakiś rozłam. Między Pulsarem i tą drugą grupą... - Grupą Siedem.

- Tak. Zajmowali odmienne stanowiska w różnych sprawach. Także w mojej sprawie. Pulsar interesował się tym, co wiedzia-łem o Ricot. Niewykluczone więc, że planowali odwet. Na policzku Curzona drgnął jakiś mięsień.

- Zgadza się. Ostrzegałem przed tym Premiera. A on odpo-wiedział po prostu, że Mocni z Westy muszą zostać powstrzyma-ni. Że jego źródła donoszą mu, iż Westa szykuje się do jakiejś po-ważnej operacji i trzeba przygotować dla nich ostrzeżenie, by jej nie kontynuowali.

Orion w wyobraźni Stewarda lśnił postacią łowcy z wysadza-nym diamentami pasem. Polując nie na Mocnych, jak Steward, lecz na Plejady.

- Co gorsza - ciągnął Curzon - operacja się nie powiodła. Głównym celem był Premier-po-Prawej. A nie Premier. Nie wy-tłumaczono nam dlaczego - spuścił wzrok na podłogę. - Cholerna operacja. I tak dobrze, że udało nam się aż tyle osiągnąć - wyjął chusteczkę i odkasznął, po czym znowu przybrał zamyślony wy-raz twarzy. Tym razem jednak w kącikach ust czał się uśmiech. Mężczyzna

miał w sobie pełno środków przeciwbólowych, które walczyły o dominację z genami domokrażcy. Z myśli czynię mój miecz, powtórzył w duchu Steward i bacznie obserwował.

- Na dłuższą metę nie ma znaczenia, która z tych frakcji za-triumfuje. Jeden z nas będzie rządził przyszłością - dokończył Curzon.

Trzeba go podjudzać, pomyślał Steward. Orion lśnił w jego czaszce diamentami gwiazd. Diamentami, które mogły ciąć. - Już to kiedyś słyszałem - powiedział. - Od Coherent Light, Derrotero, Gorky, Far Ranger i paru innych. Curzon spojrział na niego z lekkim zaskoczeniem. - Ach, rozpoznaję ten twój wojowniczy cynizm - odchrząknął. - Kiedyś się z tobą zgadzałem. Że polikorporacje nie są ni-czym więcej niż tylko skłóconymi fabrykami konformizmu, a ich motywacje sprowadzają się do pogardy dla słabości i chciwości władzy. Każda z nich starała się zyskać przewagę, mając nadzieję, że ich ideologia bądź system okaże się tym, czego naprawdę potrzebują. Natomiast ja... zostałem wychowany na kogoś w rodzaju rzemieślnika. Miałem to już w genach. I szło mi bardzo do-brze, tylko że brakowało mi jakiejś... inspiracji. - Rozumiem, że masz ją już teraz.

Curzon sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Sympatyzuję z twoim punktem widzenia. Naprawdę. Za czasów Orbital Soviet istniała nadrzędna instytucja, sprawująca władzę nad polikorporacjami. Ale Rosjanie w końcu przegrali, zarzuceni chmurą gazu paraliżującego i spreparowanych wiru-sów. Od tamtej pory mamy...

- Dni Darwina - dokończył Steward. Zaczynało mu być gorąco w tym prześcieradle. Chciało mu się pić. Curzon uśmiechnął się.

- Tak, nie tylko polikorporacje walczące o dominację. Woj-na wszystkich przeciw wszystkim. I w tej sytuacji, gdy nie było żadnej odpowiedzialnej władzy, a w kręgach rządzących panowała skorumpowana etyka, pan, panie Steward, postawił ponad wszystko swoje własne poczucie moralności. Podał pan ocenie postępowanie de Preya, a także moje, i uznał je pan za niewybaczalne. To pewnie jest bardzo... nietypowy... sposób na życie, prawda? Może nawet socjopatyczny. Nie potrafi pan znaleźć niko-go, kto byłby godzien pana towarzystwa, z wyjątkiem pana własnej osoby.

- Mam mnóstwo przyjaciół - odparł Steward. - A skoro już mówimy o socjopatii, ja ich nie każę zabijać. - Pana Alfa to robił - dodał Curzon i Steward nagle zeszywniał. - Na Szeolu zabił oficera, który był jego dowódcą. - Curzon skierował w Stewarda palec jak lufę pistoletu. - Paf! - W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki. - Zastrzelił go. A potem sam wydawał rozkazy, w wyniku których zginęło wielu jego przyjaciół. Pełnił odpowiedzialną funkcję, a odpowiedzialność zmusza czasem do podejmowania tego typu decyzji. - Curzon spojrział mu w oczy. - Czuje się pan taki cnotliwy, bo nikt nie obarcza pa-na ciężarem autorytetu. Pana Alfa nigdy nie miał tyle szczęścia. Ponościł odpowiedzialność za ludzkie życie i ta odpowiedzialność naznaczyła na całe życie. To część jego tragedii. - To nie musiała być tragedia - powiedział Steward. Na czo-le gromadził mu się pot.

- Niech pan mnie posłucha - powiedział Curzon. - Gdy poja-wili się Mocni, od razu wiedziałem, że chcę dla nich pracować. Wiedziałem, że warto być na styku ludzkości i przybyszów, bo tam zostanie ukute nasze wspólne przymierze krwi i przeznaczenie. Wspólne przymierze krwi i przeznaczenie, pomyślał Steward.

Orion tarzał się ze śmiechu po firmamencie.

- Mocni są podzieleni - mówił dalej Curzon. - I my także. Postanowienie, że Consolidated i Brighter Suns nie mogą rozwi-jać armii, wzięło się ze strachu. Inne polikorporacje doskonale wiedzą, co my tu robimy i mają nadzieję przejąć nad tym kontro-lę. Ale im się nie uda - pokręcił głową. - Synteza tego, co ludz-kie, z tym, co pochodzi od Mocnych, będzie potężniejsza od każ-dego z osobna. Mocni od razu to zrozumieli. Dlatego Premierzy przenieśli się do przestrzeni ludzi. Oni także próbują zdobyć przewagę. I wiedzą, że mogą ją osiągnąć za naszym pośrednic-twem.

- To nie czyni ich lepszymi - powiedział Steward. Coraz bar-dziej się pocił. - Ani ciebie.

- Zapewne nie - zgodził się Curzon. Był czerwony na twarzy, a jego rozszerzone źrenice przypominały czarny obsydian. - Nie w sensie, w którym pan to rozumie. Nie czyni ich to lepszymi pod względem moralnym, etycznym czy w kwestii zachowania. Dzięki temu jesteśmy lepsi na inny sposób, można powiedzieć ewolu-cyjny. Ponieważ to my tworzymy przyszłość, a wszystko inne tyl-ko się starzeje.

Orion, olbrzymi, groźny łowca, lśnił na nocnym niebie. Pot spływający po twarzy Stewarda smakował jak krew. - Twoje zwycięstwo jest nieuniknione, więc zawsze słuszność będzie po twojej stronie - odpowiedział Steward, cedząc słowa. - To też już kiedyś słyszałem. Od de Preya.

- A znamię i uzależnienie od wikki to był przypadek - cią-gnął nie zrażony Curzon. - Ale dla nas był to klucz. Mocni są tak samo inteligentni i pomysłowi jak my. Dlaczego jednak panuje wśród nich taka dyscyplina, taka... skłonność do współpracy? To przez aerozole, Steward. Idealne narzędzie socjalizacji. W społe-czeństwie Mocnych nie ma różnicy zdań, nie ma rozruchów. A przecież ich inteligencja nie jest w żaden sposób ograniczana. Będąc razem są równie sprytni jak w pojedynkę, a nawet bar-dziej, bo niektóre aerozole podwyższają inteligencję. Przy tym cała inteligencja służy dla wspólnego dobra. Dla każdego z Moc-nych poszukiwanie osobistego szczęścia nie stanowi problemu, bo już je znalazł. Pracując dla własnej korzyści i zarazem całego gatunku.

- Brzmi bardzo ładnie. Dlaczego zatem ich szefowie trują się nawzajem?

Curzon był zwrócony do Godunov.

- Wiem, pułkowniku - powiedział do kobiety w mundurze. - I tak mamy zamiar go zabić, więc jakie to ma znaczenie? - Pewnych rzeczy lepiej głośno nie mówić - padła odpowiedź zza stołu.

Jej głos zdziwił Stewarda. Był sapiący jak u dziecka. Nie ta-kiego głosu można by się spodziewać u kata. Curzon chciał coś powiedzieć, ale zaniósł się kaszlem, trzyma-jąc przy ustach zmiętoszoną chusteczkę. Machał ręką i próbował głębiej odetchnąć.

- Będę prowadził to przesłuchanie wedle własnego uznania. Bez względu na to, czy to zgodne z zaleceniami, czy nie. Zresztą to ja sam napisałem te zalecenia, więc w czym rzecz? Mamy jesz-cze mnóstwo czasu. A pan Steward może okazać się cennym na-bytkiem. - Godunov zaczęła coś mówić, ale Curzon jej przerwał. - Tak, możemy ustalić, czy jego intencje są szczerze. Mamy narko-tyki, prawda? Pieprzyć ten nonsens. - Odwrócił się do Stewarda. - Pułkownik Godunov jest specjalistką. Ja też. Problem w tym, że jej wykszolenie skłania ją do odmiennych wniosków, niż te, któ-re podpowiada mi moje doświadczenie.

- Wpiszę swój protest do protokołu - oświadczyła Godunov.

- A wpisuj sobie. Co mnie to obchodzi.

Steward zastanawiał się, czy ta wymiana zdań była szczerą, czy też stanowiła rodzaj udziwnionej i

mało prawdopodobnej wariacji na temat złego i dobrego gliny. Curzon co prawda był pod wpływem silnych leków przeciwbólowych, ale Steward czuł w tym jakiś fałsz, sugerujący, że należy wziąć pod uwagę także drugą możliwość.

- Mocni zabijający się nawzajem - przypomniał Steward i te-go prawdopodobnie od niego oczekiwano. Potrząsnął głową, strząsając z czoła krople potu.

Curzon ocknął się.

- Ach tak, właśnie. Z naszego punktu widzenia ewolucja ich gatunku przebiegła... nieszczęśliwie. Aerozole mają za zadanie wspomóc ich narody... może lepiej powiedziec plemiona... ich plemiona w budowaniu wewnętrznej solidarności. Nie przeszkadza im to jednak współzawodniczyć ze sobą. W tym względzie nie możemy im pomóc.

- O Boże - powiedział Steward. - Ty masz zamiar zacząć stosować aerozole na ludziach, mam rację? Chcesz zrobić z nas inteligentnych, szczęśliwych ćpunów.

Godunov zakasłała znacząco. Curzon zignorował ją całkowicie.

- Uczynimy ludzkość tym, czym zawsze chciała być - ciągnął. - Ludzie zaczną ze sobą współpracować. Będą pokojowo nastawieni. Zainteresowani przyszłością. Lepiej zjednoczeni ze światem. Nastanie raj dla pracujących. Równość i braterstwo. Od każdego według jego zdolności, i tak dalej. Wszystkie slogany zamienią się w rzeczywistość - gestykułował żywo zdrową dłonią. - Gdy to nastąpi, będziemy mogli pomóc Mocnym w ich plemiennych problemach. Nasi Premierzy zyskają w ten sposób przewagę. Na-dejdzie kres Dni Darwina. W końcu przestanie być ważne, kto zwyciężył, Westa czy Ricot, ich Premierzy czy nasi, ludzkość czy Mocni. To będzie synteza - splótł palce zdrowej ręki z palcami drugiej. - Jedna wspólnota. Jedna przyszłość. - Nie możesz trzymać takiej sprawy w tajemnicy. Nie za długo. Setki ludzi powinny się o tym dowiedzieć. Curzon najwyraźniej poczuł się zadowolony. - Zachowywanie tajemnicy już niedługo przestanie być konieczne. A tak na marginesie: wie o tym mniej ludzi, niż się pan spodziewa. Kilkaset osób wie o uzależnieniu od wijki, a to przecież tylko część prawdy. Między Ricot i Westą zaledwie kilkanaście osób zdaje sobie sprawę, czym tak naprawdę się zajmujemy. - Mamy gigantyczne rezerwy kapitałowe - ciągnął dalej Curzon. - Najlepszych biochemików w całej ludzkiej przestrzeni, z których każdy zajmuje się tylko swoją wąską działką. Mamy wzór w postaci struktury społecznej Mocnych. Jeszcze dziesięć, może piętnaście lat i osiągniemy nasz cel. Z początku będziemy musieli postępować bardzo subtelnie. Gdy jednak inni dostrzegą nasz sukces... cóż, każda polikorporacja będzie chciała mieć w nim swój udział. A my w zamian zażądamy tylko tego, żeby się do nas przyłączyli.

- Mnie także chciałbyś przyłączyć? - spytał Steward.

Curzon uśmiechnął się do niego.

- Tak. Prawdopodobnie do pewnej bardzo specjalistycznej pracy.

- Nigdy się nie poddajesz, co?

- Myślę, że mogłoby cię zainteresować, jak Mocni szkolą swoich niektórych szpiegów. Mianowicie tych, którzy mają przeniknąć do plemienia rywali i dowiedzieć się, co zamierzają. Żeby to było możliwe, muszą uciekać się do chirurgii. Odcinają pewne receptory zmysłowe i niszczą kilka połączeń nerwowych. To daje ich szpiegowi odporność na hormony wydzielane przez przeciwnika. Dla wielu z tych Mocnych, szok związany z owym zabiegiem jest zbyt duży. Wpadają w szaleństwo. Modyfikacja chirurgiczna robi z takiego... jednostkę. Nawet więcej: wyrzutka. Socjopatę. Renegata.

- Curzon patrzył na niego z góry. - Kogoś takiego jak pan, panie Steward.

Steward to rozbawiło.

- I w ten sposób mam dla ciebie pracować? Jako renegat w raju dla pracujących.

- Renegat dla raju pracujących.

Steward rozciągnął usta w uśmiechu.

- Pomyślę o tym.

Curzon wstał i wznosił pięść w geście wodza ludu. - Nie życzę sobie, żeby myślał pan o czymkolwiek - powie-dział. - Chcę, żeby pan czuł. Czuł słusność tej misji. Trafność na-szej wizji przyszłości. Potrzebę jej istnienia. - Steward dostrzegł plamy potu pod pachami Curzona. - Chcę, żeby pan tego dotknął i zaakceptował jako coś wartego posiadania. - W tym prześcieradle nie mam możliwości niczego dotknąć, panie brygadierze-dyrektorze.

Curzon wydał z siebie ochryply śmiech i cofnął się o krok. Następnie przeszedł przez cały pokój, a Steward, próbując śle-dzić go wzrokiem, czuł jak strużka potu spływa mu po czole. Męż-cyzna zatrzymał się przy stole na wprost pułkownik Godunov, zdjął z głowy obejmę odbiornika i trzymał go w rękę. Jego głos docierał do Stewarda stłumiony przez dźwiękochłonne ściany. - Nie potrzebuję odbiornika, żeby czuć pani opór. Za dużo jest w pani buntowniczej dumy. Chyba powinienem sklonować parę komórek i przełożyć pani umysł na nitki. I przechowywać tak długo, aż będziemy potrzebować kogoś takiego jak pani. Jak zobaczy pani przyszłość w działaniu, może wtedy się przekona. A gdy pobierzemy już komórki, przestanie pani być potrzebna. Pułkownik Godunov niech lepiej... robi to, w czym jest najlep-sza. Zobaczmy, jaką historyjkę udało się pani ułożyć z naszego sprawozdania.

Po plecach Stewarda przeszedł dreszcz strachu. Mogli to zro-bić. Jego Orion zbladł. Splunął solą z ust na podłogę. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi i za Curzonem zaczęło migać czerwone światełko. Podeszedł do drzwi i wcisnął przycisk interkomu.

-Tak?

Z głośnika popłynął kobiecy głos z amerykańskim akcentem. - Naruszenie strefy bezpieczeństwa, sir. W Poselstwie Moc-nych. Muszę z panem pomówić.

Curzon posłał Stewardowi szybkie spojrzenie przez ramię. On wiedział, o czym myślał Curzon. Zastanawiał się, co Steward wie na ten temat i czy powinien to sprawdzić, prowadząc dalsze przesłuchanie według innej strategii.

Curzon otworzył drzwi i wpuścił roslą oficer Wydziału Bez-pieczeństwa w pełnym rynsztunku: kuloodpornej kurtce, ciężkich rękawicach i hełmie z opuszczoną na twarz osłoną. Głos dochodził z głośnika przypiętego w okolicy jej pasa. Steward myślał o Orio-nie przechadzającym się wśród gwiazd. Za wszelką cenę musiał ukryć zaskoczenie.

- Chyba mamy skażenie biologiczne na terenie Poselstwa.

To może być jakaś broń.

Curzon zwrócił się do Godunov.

- Telefon - rozkazał. - Ogłosić alarm.

- Już to zrobiłam - odpowiedziała kobieta i chwilę później pomieszczenie wypełnił niski pomruk. Dźwięk Dni Darwina. Curzon upadł ciężko. Jego zdrowa ręka wciąż sięgała po te-lefon, gdy czerwona linia przecinała mu pierś. Głowa Godunov eksplodowała krwistą pianą, a ciało opadło na krzesło. Kobieta podeszła do stołu, przy którym siedziała pułkownik Godunov i wciskała coś przez chwilę na jej konsoli. - Kasuję przesłuchanie - oznajmiła. - Nie należy im dawać więcej informacji,

niż to konieczne.

Steward posłał jej słaby uśmiech.

- Cześć, Reese - powiedział. - Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj.

- Wydawało mi się, że jestem ci coś winna. Jej długi krok był Stewardowi dobrze znany i rozpoznał go, nawet pomimo ciężkiego rynsztunku bojowego. Podeszła do stołu, na którym leżał Steward i zaczęła odklejać elektrody od jego głowy.

- Mam złamaną rękę, gdzieś w tym miejscu. Nawet nie myśl, żeby mnie zrzucić z tego stołu.

Reese zabrała się do odpinania pasków.

- Widzę, że masz tu dren. Pozwolę ci wyjąć go samemu.

- Dzięki.

Okazało się, że zanim owinęli go prześcieradłem, włożyli mu ramię w plastik i okleili żebra. Gdy Reese go rozwinęła, stanął na podłodze o własnych siłach, ale trochę niepewnie. Spocona skóra szybko stygła i było mu zimno. Sięgnął po ubranie i przy pomocy Reese udało mu się ubrać. W apteczce na ścianie znalazł temblak, więc nie musiał go pożyczać od martwego Curzona. Reese włożyła mu do temblaka coś ciężkiego.

- To granat zaczepny - wyjaśniła. - Gdyby nas złapali, wy-rwij zawleczkę i padnij na niego. Głupio byłoby znowu wpaść w ich łapy.

Spojrzał jej w oczy przez przezroczystą osłonę hełmu.

- Jak każesz, szefie - odpowiedział.

Wokół jej oczu mieniły się motyle skrzydła.

- Jesteś z Grupy Siedem, prawda? - spytał Steward. Przeciężenie ścisnęło mu gardło, a na języku czuł gorzki smak. Reese spojrzała na niego. Jej twarz była częściowo niewidoczna spod hełmu.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Jesteś z Grupy Siedem. A ja przez cały ten czas dla ciebie pracowałem.

Po wyjściu ze strefy ochronnej Ricot frachtowiec zwiększył przyspieszenie. Steward walczył o oddech przy przeciążeniu się-gającym sześciu g. Opadali w kierunku niezależnej kolonii górniczej na Regio Galileo na powierzchni Ganimedesa, skąd - wedle zapewnień Reese - powinni w ciągu tygodnia załapać się na sta-tek zaopatrzeniowy, lecący bezpośrednio do Pasa. Między zebrami Stewarda rozgościł się na dobre ból. Zacisnął zęby i próbował z nim walczyć. W oczach zakręciły mu się łzy. Reese bez kłopotów wyprowadziła ich oboje z Wydziału Bezpieczeństwa na Ricot, pokazując odpowiednią przepustkę przy każdej kontroli. Nigdzie nie rozległ się żaden alarm. W ciągu pięciu minut Steward był już z powrotem na Methane Street, krocząc w milczeniu po stopowej nawierzchni. Reese poszła z nim do wewnętrznej śluzy, za którą znajdował się rękaw pasażerski małego jowiszowego frachtowca. Pilot statku, niski, umięśniony mężczyzna w wieku około sześćdziesiątki, wpuścił ich przez właz bez słowa komentarza. Frachtowiec nie był już pierwszej młodości, co dawało się poznać po obdrapanych ścianach i dawno wyrwanymi panelami kontrolnymi, z których zwisały wiązki kabli, owinięte taśmą izolacyjną. Reese zabrała granat z powrotem. Umieszczono ich w małej kabinie pasażerskiej, gdzie zajęli fotele i przypięli się do nich pasami. Zanim minęła godzina, lecieli już na Regio Galileo.

Silniki wyłączyły się i Steward poczuł, że przy fotelu trzyma go już jedynie uprząż. Reese zaczęła odrywać pasy. Spojrzał na nią. - A ten alarm w Poselstwie Mocnych był prawdziwy - powiedział. - Zgadza się?

- Będzie prawdziwy - odparła Reese. - Chcieliśmy dopaść Mocnych zarówno na ich statkach, jak i w samym Ricot. Wirus rozwija się dosyć wolno. W ciągu kolejnych czterdziestu ośmiu godzin będzie tam mnóstwo alarmów - uśmiechnęła się ponuro. - Wtedy wirus uczyni dla nich dużo dobrego. Narkotyk wciąż utrzymywał go w stanie pobudzenia. Nie mógł przestać myśleć, choćby nawet bardzo tego chciał. - Wykorzystaliście mnie jako przykrywkę - powiedział. - Pozwoliliście mi realizować własny plan, a gdy cała безпеka zajęła się mną i osłanianiem swoich szefów przed wymyślanymi próbami morderstwa, wy mogliście spokojnie przeprowadzić własną operację w Poselstwie.

- Coś w tym rodzaju - odparła Reese, szarpiąc paski. - To dlatego mówiłaś, że masz wobec mnie jakiś dług wdzięczności. Dlatego mnie stamtąd wydostaliście. Dzięki mnie wszystko szło wam łatwiej.

Reese uwolniła się wreszcie i uniosła w powietrzu. Jej włosy tworzyły rozległe halo wokół twarzy. Spojrzała na niego. - Nasi pracodawcy nie zawsze kierują się honorem. Nie zawsze spłacają własne długi. Wydaje mi się, że ludzie jak my mogą pozwolić sobie na lepsze postępowanie - wzruszyła ramionami. - Miałam przecież dokumenty, mundur i całą resztę. Mogłam wejść i wyjść. Miałam lepsze wsparcie z zewnątrz niż ty. - A zatem jesteś najemnikiem. Pracujesz dla Grupy Siedem.

Pokręciła głową.

- Ale jednak najemnikiem - skonstatował. - Griffith też brał w tym udział. Demon Ciołkowskiego to była tylko taka sztuczka. nys iwruuuu-----2/3 Wymyśliliście ją, chcąc, bym miał złudzenie, że zarabiam w ten sposób jakieś pieniądze. Pieniądze, które później mógłbym wyko-rzystać na zrealizowanie własnego planu. A ten cały interes w Los Angeles... Czy to też był wasz wymysł, w którym coś poszło nie tak, czy chcieliście tylko popatrzeć, jak sobie radzę? - Musieliśmy sprawdzić, czy wciąż masz niezbędne kwalifika-cje. Miałeś. Twoje postępowanie było przykładne. - Zabiłem kogoś - powiedział Steward, czując jak po żebrach przebiega mu promień bólu. -1 o to wam chodziło. - Przypomniawszy sobie, jak struna miecza ciągnęła go za dłoń, gdy jego ofiara wrzeszczała wśród kłębiącego się dymu. Pokręcił głową. - A ja zastanawiałem się, dlaczego ktoś chciałby ukrywać coś na Char-terze, gdzie pełno jest nadajników do wynajęcia. To nie były żadne tajemnice. To ty ładowałaś Demona Ciołkowskiego do kompu-terów stacji, gdy przylatywaliśmy. Gdy włamałem się do kompu-tera Westy i zacząłem wysyłać naprawdę tajne dane, musieliście się mocno zdziwić.

Uśmiechnęła się.

Podpłynęła w górę do obitej tapicerką grodzi i wyciągnęła rękę nad głową, żeby wyhamować.

- Zgadza się. Szkoda, że nie widziałeś tej sterty pytań, jakie wtedy dostałam.

- A te dwa zgłoszone w ostatniej chwili priorytetowe ładun-ki, najpierw na Westę, potem na Ricot? Znow zadziałała Grupa Siedem, dbając o to, byśmy dotarli tam, gdzie należało. Byłem tak napalony, że nigdy nie przyszło mi do głowy zastanowić się, jak to się naprawdę stało. I właśnie ty załadowałaś dane o zabez-pieczeniach Ricot do komputera „Borna” - powiedział. Narkotyk wysłał mu wzdłuż kręgosłupa dreszcz, który zamienił się w śmiech. - Zastanawiałem się, dlaczego tak bardzo ci zależało, żebym poszedł do Poselstwa, gdy byliśmy na Weście. Twój szefo-wie o to zadbali. Zatrucie żywności, awaria ładowarek. - Miałam rozkaz wystawić cię na Mocnych tak bardzo, jak tylko się da. Nawet gdybyś miał wpaść przez to w jakieś kłopoty. - Po to, żeby mi się wszystko poukładało w głowie. Dziwię się, że twój pracodawca tego chcieli.

- Zapewne nie chcieli, żebyś domyślił się aż tyle. Różni lu-dzie mają tendencję do niedoceniań cię.

- Dlaczego najpierw posłaliście mnie na Westę? Dlaczego nie od razu na Ricot?

- Broń... ten wirus, miał być gotowy dopiero za parę miesię-cy. Dlaczego więc mielibyśmy nie wykorzystać tego czasu? - Spoj-rzała na niego troskliwie. - Pomóc ci się wyplątać? Wybuchnął śmiechem.

- Nie. Przez ten cały cholerny czas byłem zaplątany. Wożono mnie z miejsca na miejsce, żebym mógł was wspomóc w otruwa-niu całych społeczeństw.

Reese wzruszyła ramionami.

- To oni zaczęli. W każdym razie tak mi powiedziano.

Wezbrała w nim paląca furia. Uderzył powietrze zdrową ręką.

- Ty pieprzony najemniku! Ty cholerna dziwko do wynajęcia!

Spojrzała na niego i wytrzymała jego wzrok.

- Słyszałam już gorsze epitety na swój temat.

- Może sprawdzimy? Ja dopiero zaczynam. Reese odepchnęła się nogami od ściany i podpłynęła do drzwi. Z hukiem otworzyła wyjście na korytarz i odwróciła się do niego ostatni raz.

- Lepiej być dziwką niż owieczką - rzuciła. - To jest mój wy-bór i zawsze to wiedziałam.

- Gównno!

Steward szarpał się z pasami uprząży, nie do końca pewien, co zrobi, gdy w końcu się uwolni. Kiedy mu się to udało, Reese dawno już nie było, a jemu już dawno zabrakło pomysłów. Reese pojawiła się ponownie dopiero tuż przed rozpoczęciem hamowania i lądowania. Przypięła się w fotelu, nie odzywając się ani słowem.

- Przepraszam - powiedział Steward.

- Robię tylko, co do mnie należy - odparła nie bez urazy. - Pracuję dla bardzo różnych ludzi. Polikorporacji, przestępców, gangów, policji. Nie dostrzegam między nimi większych różnic. - Ja również nie. To dlatego nie chcę dla nikogo z nich pra-cować... - poczuł przypływ goryczy. - Powinienem raczej powie-dzieć: nie chciałem. Przecież dziś pomogłem ci zabić tysiące istot.

Reese podniosła na niego wzrok. Wciąż miała na sobie ko-szulę i spodnie od munduru. Nie potrafił nic odczytać z wyrazu jej twarzy.

- Pewnie udałoby mi się i bez ciebie - powiedziała. - Poszła-bym na całość.

Steward spojrział na zdewastowane ściany.

- Nie tak to wyglądało na początku - wyrzuciła z siebie Re-ese, jak gdyby szukając usprawiedliwienia. - Zaczynaliśmy jako grupa weteranów, którzy postanowili sobie nawzajem pomagać. Zналиśmy się wszyscy jak łyse konie. Czuło się w tym przyjaźń.

A potem zdarzyło się kilka rzeczy i to wszystko... ewoluowało.

Stało się ciężkie.

- Ciężkie... - powtórzył Steward, bo to słowo nic mu nie mó-wiło.

Pomyślał o Mocnych, o dźwiękach, jakie wydawali. Ciekawe, jak brzmiała ich agonia.

Silniki eksplodowały ogniem ciągu. Ciężenie powróciło i ści-snęło Stewarda za gardło.

Ganimedes był kawałkiem zimnej, czarnej skały. Wysoko na niebie promieniała tarcza Jowisza, nie dając jednak żadnego cie-pła. Reese wręczyła Stewardowi nowy paszport z nowym nazwi-skiem. Był teraz obywatelem Uzbekistanu. Razem z paszportem otrzymał szpilkę kredytową z pięcioma tysiącami dolarów Pink Blossom.

- Nalegałam, żeby zapewnili ci dobry start, gdy cię stamtąd wyciągnę.

- Dzięki - powiedział, oglądając paszport i myśląc o tym, jak na niego zarobił.

Reese włożyła ręce do kieszeni kurtki. Pozbyła się już mun-duru i włożyła ubranie pożyczone z magazynu górników. Kilku tutejszych najwyraźniej ją znało.

- Masz ochotę potrenować? - spytała. - Przy słabej grawita-cji, jaka tu panuje, może być interesująco. Będę uważała na two-je ramię.

Steward pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Chyba powinienem trochę się przespać.

- To był długi dzień.

- Tak, rzeczywiście.

Chciał, żeby przyszedł sen. Lepsza część dnia skończyła się wraz z jego nadejściem.

Większość pobytu na Ganimesedzie Steward spędził w swoim pokoju, czytając wszystko, co wpadło mu w ręce i oglądając wi-deo. W drodze powrotnej do Pasa robił w zasadzie to samo.

wciner juu wmiuii»

Brakowało mu „Borna”, tych nieformalnych przyjaźni, uporządkowanego życia, poczucia sensu. Zastanawiał się, czy SuTopo próbował ich szukać - pewnie uznał, że Steward i Reese zostali potajemnie aresztowani przez miejscowe władze. Takie rozumowanie leżało w naturze SuTopo.

Reese starała się być sympatyczna, ale choć Steward cały czas zachowywał się uprzejmie, tak naprawdę nie odwzajemniał tego nastawienia. Nauczyła się zostawiać go w spokoju. Jak tylko wylądowali w Pasie, uścisnęła mu dłoń - zdjęto mu już usztywnienie, bo dzięki zastrzykom hormonalnym kości szybko się zrosły - i odeszła tym swoim charakterystycznym długim krokiem. Nie obejrzała się za siebie.

Dużo słyszał o epidemii na Ricot. Zginęły tysiące Mocnych. Klęska była tak ogromna, że Consolidated nie miała jakichkolwiek szans na zatuszowanie sprawy.

Kolejne trzy miesiące spędził na Ziemi. Wynajął skromne mieszkanie z widokiem na Morze Aralskie i spędzał całe godziny patrząc, jak stepowy wiatr marszczy powierzchnię wody. Próbował podjąć decyzję, co zrobić z resztą własnego życia. Zastanawiał się, jaki zawód pozwoli mu zachować najwięcej anonimowości. Aż pewnego dnia po prostu spłynęło to na niego - olśnienie, które pojawiło się znikąd w jego umyśle. Dar od pustki. Wiedział już, że mylił się we wszystkim.

Rozpoczął przygotowania. Wiedza wymaga działania.

Los Angeles. Noc.

Jeden z kondekobloków na horyzoncie Orange County zwiędzony był obracającym się reflektorem. To arcydzieło arogancji co kilka sekund zalewało pokój białym ogniem światła, zamieniając łóżko, stół i lampę w błyskające jednobarwne obrazy, całe z cienia i srebra. Steward siedział w milczeniu w bezpiecznej czerni długiego, głębokiego cienia i oddychał wolno, wsłuchując się w pulsowanie własnej krwi i w swoje myśli. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk, z wyjątkiem szumu wentylacji, który brzmiał jak dalekie oklaski.

Czekał, gromadząc siły. Miał nieprzebrane zasoby cierpliwości.

W głowie wirowała mu chmura myśli. Od strony wywietrznika dochodziła niekończąca się owacja. Poczul na karku muśnięcie tornada.

W końcu pojawił się nowy dźwięk - masywny szczęk odsłaniającej zasuwy elektromagnetycznego zamka. Potem kroki. Syk sprężonego powietrza i wdech przez nos. Znowu kroki. Potem pstryknięcie włącznika oświetlenia. Błyski z odległego kondeku utonęły w powodzi światła.

Zniszczona twarz Griffitha patrzyła wprost w lufę pistoletu Stewarda. Zamarł. Inhalator, otulony warstwą izolującego plastiku, wciąż tkwił w jego dłoni. Na metalowych częściach widać było lekki nalot szronu.

- Uderzasz sobie w gaz, stary? - spytał Steward, po czym wstał z przysiadu i ruszył w stronę Griffitha. W postaci Griffitha poruszały się jedynie oczy, przeskakując od ręki Stewarda na jego stopy i drugą rękę. Mierząc odległości. - Mam nitki nerwowe - dodał natychmiast Steward. - Mogę cię zabić, zanim uda ci się cokolwiek zrobić. Więc nie próbuj niczego, zgoda? D'accord.

Steward z całej siły kopnął Griffitha piętą w splot słoneczny. Mężczyzna stracił dech i zgiął się wpół, a potem runął ciężko na ziemię, uderzając o podłogę ramieniem i bokiem głowy. Jego pobielące palce zaciskały się na inhalatorze.

Steward przeszukał go, sprawdzając, czy nie ma broni, ale nic nie znalazł. Zrobił krok do tyłu i spojrzał na Griffitha, który wciąż próbował oddychać.

- To chyba dość łagodne w porównaniu z tym, co zrobiłeś z doktorem Ashrafem. Zgadzasz się ze mną? Griffith starał się coś powiedzieć. Po twarzy spływały mu łzy.

Steward obserwował go z uwagą.

- Nie spiesz się - dodał. - Mamy dla siebie całą noc.

Zrobił krok do tyłu i usiadł na łóżku.

Griffith chwycił się kurczowo framugi drzwi i podciągnął się do pozycji pionowej. Stał opierając się plecami o drzwi. Ręce trzymał splecione w okolicy żołądka, starając się zdusić ból. - Skąd wiesz? - powiedział z trudem.

- Prawie że mi się udało, przyjacielu - odparł Steward. - Wykorzystano mnie jako przynętę do przeprowadzenia operacji 2/5----- wunei «*vii W11UUIII3-----

w Poselstwie Mocnych na Ricot. Myślałem, że Reese pracuje dla Grupy Siedem. To miało sens. Ale potem zdałem sobie sprawę, że w tym scenariuszu nie było nawet ziarnka sensu. - Griffith rzeził, pracując nad oddechem. Steward spojrzał wprost na niego - Co, masz ochotę na papierosa? Ależ nie krępuj się. - Jezu - wycharczał Griffith, zamykając oczy. - Słuchasz mnie, bracie, czy nie? Widzisz, agent prawdziwej Grupy Siedem próbował mnie podejść na Charterze. Namawiał do przeprowadzenia podobnej misji. Nazywał się Stoichko i ktoś go zastrzelił, jak tylko zaczął się do mnie zanadto zbliżać. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, dlaczego zginął. Aż do teraz. - To Reese go zabiła - ciągnął Steward. - Mieszkała w tym samym hotelu co Stoichko. Powiedziała mi, że zmieniła plany, po-nieważ spotkała starego przyjaciela, ale ja nigdy nie widziałem tego przyjaciela. Uznałem więc, że najbardziej prawdopodobny przebieg wydarzeń był taki: Reese zobaczyła, że Stoichko mnie śledzi i rozpoznała go; wiedziała, że będzie próbował mnie zwerbować do jakiegoś zadania, ale nie wiedziała do jakiego. Zgłosiła to swoim przełożonym, a oni kazali jej go sprzątnąć. - Steward zaśmiał się. - Pewnie musiałeś zapłacić jej za to niezłą premię, zgadza się?

Griffith przełknął ślinę.

- Mylisz się, Steward. Masz... złe podejście.

W Stewardzie rozszalał się mroźny huragan gniewu. - Nie obrażaj mojej pieprzonej inteligencji - wymamrotał przez zaciśnięte zęby. Na dźwięk zawartej w głosie Stewarda groźby, Griffith znów zamarł bez ruchu.

- Przypomniałem sobie parę rzeczy - powiedział Steward. Wyrzucał z siebie sylaby jak pociski. - Przypomniałem sobie, jak spotkałem cię we Flagstaff, jak twoje zdrowie pogarszało się z każdą chwilą, którą tam spędziłeś. Powiedziałeś, że masz grypę. Ale to nie była grypa, prawda? To było odstawienie. Miałeś drgawki, silny katar. Wszystkie objawy. Masz znamię wijki i je-steś od niej uzależniony.

Twarz Griffitha całkiem straciła kolor. Był przerażony.

- Ja... - zaczął niepewnie, kręcąc głową.

- Miałeś ze sobą inhalatory. Pamiętam, jak wychodziłeś cią-gle do łazienki i puszczałeś wodę, żeby zagłuszyć syk sprężonego powietrza. Ale hormony Mocnych szybko tracą moc. Tak to już z nimi jest. Twoje inhalatory nie należały do tych nowoczesnych, które mają wbudowany układ chłodzący, a ty sam nie miałeś szczęścia. Musiałeś się ucieszyć, jak mnie zobaczyłeś w najnow-szym wcieleniu.

Griffith wcisnął nadgarstki w oczodoły.

- Jezu - wyszłochał. - To nie może działać się naprawdę. - Ty za tym wszystkim stałeś - mówił dalej Steward, czując jak w krtani rośnie mu gorycz. - Dobrze mnie znałeś. Wiedzia-łeś, co myślę o lojalności, o zaufaniu. Wiedzia-łeś, jak nas wy-trenowano i miałeś dostęp do programu de Preya, do istoty ma-nipulacji, jaką wobec nas stosował. Pokroi-łeś Ashrafa, żeby zmu-sić go do mówienia o mnie, żeby ci powiedział, z kim i z czym się identyfikuję. Wydoby-łeś z niego, że wykazuję niezdrowe zainte-resowanie moim Alfą, że można mną manipulować odwołując się do obrazu mojego pierwowzoru. Spreparowa-łeś więc to nagra-nie wideo. Ten głos. Nie by-łeś pewien, czy uda ci się ze ścieżką wideo, na której przecież nie byłem ja, więc podrobi-łeś tylko ścieżkę audio. I wszystko zadzia-łało dokładnie tak, jak tego chcia-łeś.

Griffith podniósł głowę i oparł ją o framugę. Łapał oddech.

W oczach miał błysk wyrachowania.

- Ale dlaczego niby miałbym to robić, do cholery? Nie mam żadnych - przerwał, by przełknąć ślinę - żadnych powodów, by za-bijać Mocnych na masową skalę. A poza tym, a raczej przede wszystkim, skąd miałem wiedzieć, że kapitan nie żyje? Od lat nie miałem z nim kontaktu.

Steward wydał z siebie krótki, chrapliwy śmiech. - Dowiedzia-łeś się z własnego źródła, Griffith. Z tego same-go źródła, z którego bra-łeś swoją wijkę. I pieniądze. Żółte oczy Griffitha wyrażały skrajne przerażenie. - Chodziłem za tobą przez tydzień, stary - mówił dalej Ste-ward. - Znam budynek na nabrzeżu, który odwiedzasz co noc. Wiem, że to źródło znajduje się właśnie tam.

Uśmiechnął się, czując jak jego drapieżna bestia obnaża kły.

- Premier-po-Prawej, Griffith - ciągnął - jest tu na Ziemi. Buduje własną organizację, własne wojsko. Układa plany tego, co ma zamiar zrobić z największą istniejącą ludzką populacją. Wła-śnie ów plan Ricot próbował uprzedzić swoją akcją. I dlatego nie dba o to, czy Ricot odpowie kolejnym atakiem na Westę. Bo on jest już tutaj, dokładnie tu, gdzie pragnie być. Griffith zamknął oczy. Po policzkach spływały mu łzy.

Steward znów zaśmiał się szyderczo.

- Udało mi się, co nie? - powiedział. -1 przede wszystkim do-padłem ciebie, kolego weteranie.

Griffith przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu swojego inha-latora.

- O co ci chodzi, Steward? - spytał i wstrzelił sobie w noz-drze dawkę hormonu. - Gdybyś chciał mnie zabić, już byś to zro-bił. O co więc do jasnej cholery ci chodzi?

Twarz Stewarda rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Czuł w sobie moc.

- Chcę dołączyć do ekipy, stary druhu - powiedział. - Chcę spotkać się z Premierem-po-Prawej. A potem chcę dla niego pra-cować. Tak jak moi starzy przyjaciele. Tak jak ty i Reese.

Griffith przyglądał mu się przez długą chwilę.

- Chcesz do nas dołączyć? - spytał.

Sprawiał wrażenie, jakby wymówił te słowa po raz pierwszy i wsłuchiwał się w ich brzmienie.

- Chcę pracować dla zwycięzcy, a Premier-po-Prawej zwycięży w tej rozgrywce - potwierdził Steward. - Jest sprytny, robi właściwe ruchy. Miałem bliski kontakt z jego przeciwnikami i uważam, że nie mają szans.

Griffith przetarł dłonią oczy.

- To dziwne - powiedział.

- Premier-po-Prawej posługuje się ludźmi, którzy nie mają znamienia wijki - ciągnął Steward. - Tak jak Reese. Potrzebuje ludzi, którzy nie są od niego uzależnieni, do długofalowych przedsięwzięć.

Na twarz Griffitha powróciły znowu kolory. Wyjął z kieszeni papierosa i zapalił.

- Ludzie wolni od wijki nie wiedzą nic o Premierze. Tylko do uzależnionych można mieć zaufanie, że nie zdradzą. Steward uśmiechnął się do niego.

- Możesz mi ufać. Odkryłem to sam i nikomu nie wygadałem.

I nie wygadał. Chyba że nie dostanę swojej porcji roboty.

Griffith zmierzył go przenikliwym wzrokiem.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

Steward krótko się zaśmiał.

- Na pewno nie umiesz sam sobie z tym poradzić? Powiedz-my, że mam znajomego na jakiejś stacji orbitalnej, który roześle pewną informację do wszystkich skangazet, jeśli nie skontaktuję się z nim co kilka godzin, podając prawidłowy kod. Kod zmienia się za każdym razem i tylko ja wiem, w jaki sposób się zmienia. Nie będziesz w stanie dotrzeć do mojego znajomego na tyle szybko, żeby temu zapobiec, bo podróż do miejsca, w którym mieszka, zabiera wiele godzin. Poza tym ów ktoś nikomu nie odda tego, co ma, chyba że będę to ja we własnej osobie. To wszystko znaczy, że nawet jeśli...aaa... zrobisz ze mnie Ashrafa i uda ci się uzyskać kody, informacja mojego znajomego wciąż będzie dla ciebie niedostępna. Przekazanie jej do prasy jedynie nieco się opóźni, co jednak nieuchronnie nastąpi, bo kody mają limit czasowy i gdy nie pojawię się osobiście w ustalonym czasie, i tak wszystko zostanie wysłane.

Steward odczuł głęboką satysfakcję. Najlepsze w tym było to, że powiedział prawdę. Tylko słowo „znajomy” stanowiło zmyłkę - kryła się pod nim Janice Weatherman z działu funduszy powierniczych Stone Bank na Solonie. Dzieląc się ciastkiem z kremem, ustalili szczegóły umowy i obliczyli prowizję dla niej. Weatherman zachowywała się, jakby tego typu sprawy były dla niej częścią codziennej pracy. Niewykluczone, że były. Na policzku Griffitha pracował jakiś miesiąc. Jego spojrzenie było jak kamień.

- Jesteś niebezpieczny, wiesz? - powiedział cicho. - Właśnie dlatego chciałeś, żebym wykonał dla ciebie tę misję - odparł Steward i zaśmiał się ponownie. - Słuchaj, przecież już wykonałem kawał dobrej roboty dla twojego szefa. Dlaczego miałby mieć coś przeciwko paru kolejnym zleceniom? Ja chcę tylko za następnym razem dostać lepsze honorarium. - Muszę pomyśleć.

- Niech lepiej Premier-po-Prawej pomyśli za ciebie. Jest w tym lepszy. - Steward sięgnął do kieszeni, wyjął jakąś kartkę i rzucił ją w stronę Griffitha. - To jest mapa, która zaprowadzi cię do budki telefonicznej na końcu ulicy. Bądź tam jutro wieczorem o dziewiętnastej zero zero. Zadzwoń i będziesz mi mógł powiedzieć, co twoje źródło ma mi do zakomunikowania. Griffith spojrzał na

świsstek białego papieru, który spłynął na podłogę tuż u jego stóp. Wyciągnął poźółkłe od nikotyny pal-ce i podniósł go.

Steward wstał.

- No to idę. Pogadaj z szefem.

Griffith wciąż wpatrywał się w papier, gdy Steward przeszedł nad nim, cały czas celując z pistoletu w jego głowę. - Nie mam pojęcia, jak mu to wyjaśnić - wymamrotał Griff-fith.

- To proste, przyjacielu - odparł Steward, przesuając się w stronę drzwi. - Wystarczy, jeśli mu powiesz, że wszystko spie-przyłeś.

Z pokoju Stewarda, mieszczącego się w hotelu na nabrzeżu, również było widać obracający się reflektor. Błyskał bezgłośnie w takt jego myśli. Wsłuchiwał się w telefoniczne murmurando. Griffith odebrał po drugim dzwonku.

- Steward?

- Zgadza się, przyjacielu.

Odgłos zaciągania się papierosem.

- Masz załatwione spotkanie.

- Kiedy?

- Jeśli chcesz, choćby zaraz.

Steward uśmiechnął się. Reflektor błyskał na krawędzi jego pola widzenia.

- D'accord - powiedział. - Wiem, gdzie to jest. Spotkamy się na miejscu.

Odwiesił słuchawkę, zanim Griffith zdążył zaprotestować. Zaraz potem sięgnął po czekający na stole pojemnik z suszoną przez wymrażanie zawartością. Zabrał go ze skrytki depozyto-wej na Charterze, gdy wracał po załatwieniu sprawy z Weather-man.

UWAGA, brzmiał napis, IZOLOWANE BIOLOGICZNIE.

OTWIERAĆ TYLKO W WARUNKACH STERYLNYCH.

Steward rozerwał folię ochraniającą wieczko i przekręcił. Plomba puściła z cichym syknięciem. Wzniósł pojemnik nad głowę i cały obsypał się brązowym pyłem, wcierając go starannie w ubranie. Odrobinę wsypał do wszystkich kieszeni, po czym na-tarł substancją dwie chusteczki, które wepchnął potem do kieszeni spodni. Sprawdził pistolet w kaburze pod pachą. Założył kurtkę i zabrał kluczyki od samochodu, leżące na hotelowej ko-modzie.

Zostawił pokój na pastwę ciszy i migającego reflektora. Całe hordy ciem tańczyły w halogenowym świetle nad Light-source Ltd. Prefabrykowany, dwupiętrowy budynek stał tuż obok jakiegoś magazynu na skrawku nawiezionej ziemi, osłoniętej od Pacyfiku przez wał nadmorski. Idąc w stronę wejścia, Steward ujrzał Griffitha czekającego przy drzwiach z papierosem w ręku. Wytatuowany chłopak, Spassky, stał tuż obok niego, uśmiechając się zza okularów wideo. Jego wysoki kompan czekał dalej w cie-niu jak złowroga latarnia.

Steward pozostawił wynajęty samochód na sąsiedniej ulicy. Na siedzeniu położył ręcznie narysowaną mapę, wskazującą drogę do Lightsource. Mała sugestia dla miejscowej policji w razie gdyby nagle zniknął.

Podchodził do Griffitha, czując mrowienie w całym ciele. Zatrzymał się tuż przed nim i posłał mu uśmiech. Griffith nie zareagował.

- Cześć, przyjacielu - powiedział Steward i przeniósł wzrok na Spassky'ego. - A gdzie twoja dziewczyna, kolego? Odpowiedziały mu ciemne szkła okularów wideo.

- Umarła - odparł.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Spassky pokazał w szerokim uśmiechu kolekcję metalowych zębów.

- Ty to powiedziałeś - stwierdził.

Griffith roztarł butem papierosa.

- Chodźmy - zarządził.

W biurze czuć było nieco organiczną woń Mocnych. Prawdo-podobnie przefiltrowała się jakoś z kanałów wyrzutowych do wentylacji biura.

Steward podążył za Griffithem przez mnóstwo zbrojonych drzwi, wprost usianych czujnikami i kamerami dozoru. Szeroki korytarz patrolowali bez przerwy uzbrojeni strażnicy. Wszyscy mieli mniej więcej trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Wete-rani Wojny Artefaktowej. Spassky razem z kumplem szli o krok za nim - o krok za blisko, by Steward mógł czuć się swobodnie. Na podłodze leżały grube wykładziny. W ścianach tkwiły rzędy zamkniętych panelowych drzwi biur. Wykładzina tłumiła ich kroki.

Griffith podszedł do drzwi, na których znajdowało się jego wyryte na mosiężnej płycie nazwisko, a następnie otworzył je przez przyłożenie kciuka do czytnika linii papilarnych. Steward i pozostali weszli za nim do środka i znaleźli się w przestronnym gabinecie. Stały tam: biurko, pluszowe fotele, komputer i metrowej wielkości nadmuchiwana kula ziemiska. Griffith zbliżył się do biurka i wziął z niego przenośny detektor.

- Zdejmuj ubranie - powiedział. - Musimy sprawdzić, czy nie masz przy sobie broni.

Steward wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz - wyjął pistolet dwoma palcami i wręczył go Spassky'emu. - To wszystko, co mam.

Gdy Steward był rewidowany, Griffith przedstawił mu jego prawa.

- Zamieszkasz w pokoju w piwnicy do czasu, aż cię sprawdzimy. Będziesz mógł dzwonić do swojego znajomego. Przez cały czas będzie przy tobie eskorta, ale możesz dowolnie wybierać aparat telefoniczny.

- Żeby to tylko nie trwało za długo - odpowiedział Steward. - Premier trafnie ocenia charaktery. Nie powinno to trwać dłużej niż... niż to konieczne.

- Premier. A więc jego wysokość otrzymał awans, gdy ten drugi Premier zginął na Weście, tak?

- Otrzymała awans. Premier jest obecnie rodzaju żeńskiego. Choć w tej chwili nieaktywna biologicznie. - Griffith starał się mówić z upartym przekonaniem, jak gdyby Steward uraził jego poczucie słuszności. - A poza tym to nie awans tylko sukcesja. Mocni mają to już zaplanowane z wyprzedzeniem na całe dziesięciolecie. Premier jest potomkiem dziesięciu tysięcy lat programu modyfikacji genetycznych. Nie mogłaby być niczym innym niż jest - spojrzał na Stewarda z wyraźnym wyrzutem. - I nie jest jej wysokością, tylko po prostu Premierem. Tak należy się do niej zwracać. Słowo Premier zawiera już wszystkie niezbędne tytuły. Steward wzruszył ramionami.

- D'accord - odpowiedział i zaczął wkładać z powrotem ubranie.

- Ich życie mierzy się na stulecia, Steward. To elita Mocnych.

My także możemy je przedłużyć, i to bez potrzeby klonowania. Możemy przedłużać w nieskończoność witalność naszych naturalnych ciał.

- Brzmi nieźle.

Griffith przyglądał mu się badawczo. Stewardowi zaczynało to przeszkadzać.

- To więcej niż nieźle - odparł Griffith. - To tak, jakby być Bogiem.

Steward nachylił się ku niemu, wyszczerzając zęby.

- Być Bogiem, to brzmi nieźle - powiedział. - Chcę tego. Me mam żadnej taktyki. Mgnienie myśli, która nadeszła znikąd. Wolność do zabijania i wolność do wracania życia - oto moja taktyka.

W spojrzeniu Griffitha wyczuwało się niepewność. Odwrócił się.

- Nawet nie wiesz, jakie to dobre.

Wyjął z kieszeni szpilkę i wcisnął ją do gniazda w konsoli komputera, po czym wklepał kod. Część ściany odsunęła się na bok, ukazując prywatną windę.

- No to zjeżdżamy - powiedział Spassky. Na jego twarzy ma-łowal się pogardliwy uśmiezek, gdy przerzucal pistolet Stewar-da z ręki do ręki.

Steward wszedł do windy, a reszta za nim.

- Steward - zaczął Griffith - wiesz, dlaczego Mocni opuścili Szeol i inne planety?

Winda bezgłośnie zjeżdżała w dół. Steward spojrzal na uśmiezek Spassky'ego, beznamietną twarz jego kumpla i gorli-wość w oczach Griffitha.

- Powiedz - poprosił.

- Wybierali swojego przywódcę - odparł Griffith. - Nie Pre-miera, lecz głównego Premiera. Główni Premierzy rządzą przez tysiąclecia, a gdy umierają, Mocni gromadzą się w centrum swo-jego imperium, by wybrać jego następcę. Zabierają wtedy ze so-bą tego, kogo tylko mają pod ręką.

- Wojna o sukcesję - skonstatował Steward.

Griffith pokręcił głową.

- To jeszcze jedna dziedzina, w której biją nas na głowę - powiedział.

Drzwi windy stanęły otworem. Za nimi zaczynał się tunel, po-malowany na jasnozielono i oświetlony fluorescencyjnymi lampa-mi. Wiódł w dół, aż poza zasięg wzroku. Rozpoczęli marsz ku od-ległemu końcowi.

- To nie wojna - ciągnął Griffith. - To rozgrywka polityczna i ekonomiczna. Są określone zasady. Bywa, że trwa to całe wieki. I gdy w końcu główny Premier zostaje wybrany, ma prawo doko-nać redystrybucji bogactwa poszczególnych Premierów wedle własnego uznania. Nasz Premier znalazł się wśród pokonanych, podobnie jak ten z Ricot. Pomimo to są wrogami. Rozumiesz? Dlatego nowy główny Premier przydzielił im terytoria położone tuż obok siebie. Żeby ze sobą nie współpracowali. I tam właśnie nas spotkali.

- A za tysiąc lat... - dodał Steward.

- Za tysiąc lat - oczy Griffitha lśniły - nasza Premier będzie górą. Będzie miała ludzkość po swojej stronie, a także cały swój naród. Wygra w rozgrywce o sukcesję. A my dzięki temu znaj-dziemy się u samego źródła władzy - jego palce wpiły się w ramię Stewarda. - Jak bogowie, przyjacielu. Będziemy jak bogowie. - Bogowie - powtórzył Steward. Smakował to słowo. Minęli ciężką windę towarową, która prawdopodobnie pro-wadziła do położonego obok Lightsource magazynu. Gotów, pomyślał Steward. Był na to gotowy. Tak dokładnie zharmonizował się z zen tego zadania, że pozostało mu jedynie płynąć z jego nurtem, przechodząc ciąg wydarzeń, które nie-uchronnie prowadziły do swego rozwiązania. Tunel powrócił do poziomu. Steward odniósł wrażenie, że znajduje się pod Pacyfikiem. Zobaczył z przodu drzwi śluzy. - Umieściliśmy Premiera w zatopionym kesonie - wyjaśnił Griffith. - Z początku musieliśmy wyprać sporo pieniędzy i to-warów Mocnych, żeby za to zapłacić. Teraz jednak Mocni mają bazę za orbitą Plutona, taki niezbyt duży kawałek skały, i wysy-łają nam stamtąd swoje towary w sporych ilościach. Mają wła-ściwe oznaczenia, więc nikt nie wie, że nie przechodziły przez We-stę ani Ricot. Na Ziemi mamy już własne firmy, które właśnie za-czynają przynosić duże zyski. Sami jesteśmy w stanie się finansować. Niedługo urośniemy w siłę do tego stopnia, że żaden ziemski rząd nie odważy się wystąpić przeciwko nam. To kwestia co najwyżej kilkudziesięciu lat. A to przecież nic w porównaniu z miarą czasu, o jakiej tu mówimy.

Drzwi śluzy miały spore rozmiary, wystarczające do przeno-szenia towarów. Griffith wystukał kod na klawiaturze zamka i ca-ła grupa weszła do środka. Panował tu zawieszisty zapach Mocnych, dużo

intensywniejszy niż na zewnątrz. Na twarzy Griffitha malowała się błogość. Zaciągał się tym zapachem przy każdym wdechu. Wnętrze kesonu rezonowało od organowych pisków wydawanych przez Mocnych. Nie pomalowane wsporniki dachu zakrzywiały się nad głową Stewarda jak żebra metalowej bestii. Z sufitu zwisały lampy fluorescencyjne, których kable przymocowane były taśmą do wsporników. Na paletach piętrzyły się stosy kontenerów, ograniczające widoczność we wszystkie strony. Pomieszczenie było podobnie atrakcyjne jak wnętrze pobliskiego magazynu.

Piekielnie nieprzyjemne mieszkanie dla boga, pomyślał Steward.

Nagle spomiędzy pudeł wyskoczył jakiś Mocny i Steward z trudem opanował odruch osłaniania głowy. Zapomniał już, jak szybkie były te istoty. Mocny podniósł głowę, napełniając ją powietrzem, i zogniskował parę oczu na Stewardzie. - To jest Steward - wyszczał.

- Tak, kuzynie - odparł Griffith.

Kręgosłupy na plecach Mocnego wygięły się w łuk. Jego ręce wykonywały nożycowe ruchy tuż nad podłogą. - Będziesz szedł - wyartykułował.

Steward ruszył za Mocnym, prawie biegnąc, by nadążyć za jego galopującymi nogami. Wyszli na teren oczyszczony z kontenerów. Podłogę pokrywały płachty z ciemnego plastiku. Przenośne grzejniki i komputery stały podłączone do wijących się kabli. Czekają tam trzech Mocnych. Jeden z nich zbliżył się do Stewarda. Pozostali wykonywali skomplikowaną mieszankę kucania i wzruszania ramionami. Woń Mocnych była tu szczególnie silna. - Ja jestem Premierem - przemówił Mocny. Mięśnie na jego grzbiecie kurczyły się rytmicznie.

Steward spojrzał w dół na obcą istotę i pomyślał o Weście, Ricot, Szeolu i innych miejscach, w których słowo Premiera było równoznaczne z prawem, gdzie jego ambicje i plany zaprzęgały do pracy miliony jego pobratymców, tańczących do muzyki z organów władzy. Myślał o tysiącach lat walki o prymat i hordach ustawionych w hierarchię Mocnych, zjednoczonych pod wspólnym hasłem i zdyscyplinowanych przez chemię. O błysku w oku Griffitha, gdy mówił o boskości; o błogości, z jaką wdychał hormony. Pomyślał o Ashrafie, leżącym bezwładnie w swoim biurze i o Stoichko, krwawiącym na własny fotel przy poświęceniu od włączonego wideo. O Alfie, zwracającemu się ku pociskowi, który być może przyjmował jak błogosławieństwo... - Miło mi cię poznać - odparł Steward, po czym wyjął chusteczkę i mocno w nią kichnął.

Brzmienie organów uległo zmianie. Pojawiło się w nim dziwne zawrodożenie - coś, co sprawiło, że Stewarda z miejsca rozbolały wszystkie zęby. W sekundę po otwarciu śluzicy wiedział już, co to było.

Wracał właśnie z drugiej wycieczki na zewnątrz, podczas której telefonował do Janice Weatherman. Spassky i jego kompan poprowadzili go do wybranego przez niego publicznego telefonu, po czym zatrzymali się o kilka metrów dalej, by mógł wysłać kody.

Steward rozmawiał z Premierem dwukrotnie. Opisywał mu swoje kwalifikacje, prezentował metody infiltracji, jakie zastoso-ował na Weście i Ricot, zapewniając, że może poprawić zabezpieczenia tej bazy, a także - gdy królestwo Premiera znacznie się rozrośnie - także każdej innej, jeśli będzie trzeba. Mówił o kształtach przyszłości, o syntezie Mocnego i człowieka - istocie, która będzie dominować w obu strefach wszechświata. Pamiętał wypowiedź Curzona na ten sam temat, jego wypieki na twarzy, żywą gestykulację, niecierpliwe chodzenie po pokoju i starał się go imitować. Premier pozwalał Stewardowi mówić; obserwował go swoimi dziwnymi, wybałuszonymi i opancerzonymi oczami, rytmicznie kurcząc mięśnie grzbietu. Inni Mocni poruszali się w tle. Steward naliczył ich około dwunastu. Od czasu do czasu pojawiały się grupki ludzi. Zbici w nieśmiałe gromadki, wdychali

swój narkotyk wprost z powietrza. Niektórzy z nich prawdopodobnie tu mieszkali, zajmując prymitywne koszary w tylnej części kesonu.

Podczas tych rozmów Stewardowi wydawało się, że to nie on mówi, lecz zen. Zespolił się z tym całkowicie. Stał się tornadem, siłą większą niż on sam, mknącą do przodu z samowystarczającą perfekcją.

Teraz gdy otworzyły się drzwi śluzy, usłyszał w organowej muzyce Mocnych wysokie zgrzytliwe tony, które brzmiały w jego uszach jak ryk tornada.

Griffith czekał na niego tuż za śluzą. W jego spojrzeniu widać było panikę.

- Dzieje się coś niedobrego - powiedział, ocierając pot z czoła. - Mocni zaczynają chorować.

Spojrzał w twarz Stewarda i jego oczy zrobiły się szerokie z przerażenia. Otworzył usta.

Steward zrobił krok do tyłu prawą nogą i wpakował swój prawy łokieć w splot słoneczny Spassky'ego. Ten mały Rosjanin, po-myślał, nie powinien być chodzić tak blisko za mną. Chwycił Spassky'ego za kołnierz i rzucił nim w lewo, między siebie i wysokiego chłopaka. Sięgnął po pistolet, który Spassky od dawna nosił w kaburze przy pasie.

Wysoki uderzył pięścią, lecz Steward odchylił się do tyłu i cios go nie dosięgnął. W dłoni czuł przyjemny dotyk szorstkiej rękojeści broni. Zaciśnął na niej palce, podniósł lufę i kciukiem odbezpieczył iglicę. Na krawędzi wzroku dostrzegł ruszającego ku niemu Griffitha. Steward kopnął Spassky'ego w stronę jego wysokiego kumpla, jak gdyby chłopak był piłką futbolową. Wypalił dwukrotnie: raz w pierś wysokiego chłopaka i drugi raz w kark Spassky'ego. Pozbawiony tłumika pistolet wypełnił śluzę głośnym hukiem. Wyrzucona z komory łuska uderzyła o metalowe drzwi. Steward obrócił lufę w kierunku Griffitha; zobaczył, że mężczyzna wyciągnął pistolet i z nienaturalną prędkością bojowych implantów ustawia go na linii strzału... Steward rzucił się gwałtownie do tyłu, dwukrotnie strzelając w locie. Poczul uderzenie w bok, a potem w tył głowy. Po chwili siedział na podłodze śluzy, oparty plecami o ścianę, a Griffith właśnie upadał. Jego pistolet załomotał o podłogę. Griffith osunął się z wyrazem zaskoczenia w wodnistych oczach. Gdzieś w głębi kesonu rozlegały się zawodzenia Mocnych. Steward spojrział na Griffitha i ponownie poniósł pistolet. Czuł, jak krew ścieka mu po lewym boku gorącą falą. Na pobrużdżonej twarzy Griffitha poja-wił się smutny uśmiech.

- Szeol, kapitanie - powiedział. - Szeol.

- Nie musiałeś mi tego mówić, dupku - odparł Steward.

Zanim zdołał wystrzelić, Griffith już nie żył. Mocni jęczeli w uszach Stewarda jak szalejące tornado. Wy-ciągnął rękę do panelu kontrolnego śluzy i wcisnął przycisk, który spowodował, że drzwi zamknęły się, a do wnętrza zaczęło na-pływać świeże powietrze. Usłyszał odgłos biegnących stóp, ale za-mykające się drzwi odcięły im drogę.

Poczul, jak świeże powietrze rozwiewa mu włosy. Rozpiął kurtkę i spojrział do wewnątrz. Kula Griffitha przebiła mu lewy bok, druzgocząc co najmniej jedno z niższych żeber. Nie było ra-#19 - Ryk tornada ny wychodzącej, więc pocisk zapewne odbił się kilka razy we-wnątrz niego, zanim w końcu wytracił energię. Koszula i spodnie ociekały krwią. Nie wyglądało to dobrze.

Szeol, pomyślał, to coś, co nie ma końca. To proces. To wybór między zdradą i śmiercią.

Przycisnął do rany chusteczkę i wstał. Na razie nie czuł bólu. Wyszukał przy ciele Spassky'ego pełny magazynek, przeładował broń i czekał, aż otworzą się przeciwległe drzwi. Gdy rozsunęły się do

końca, zablokował je w tej pozycji jednym z butów Spas-sky'ego. Ktokolwiek znajdował się wewnątrz kesonu, będzie zmu-szony tam pozostać.

W trakcie długiego marszu zielonym tunelem dopadł go ból - gorące dźgnięcie tak nagłe, że w jednej chwili zabrakło mu tchu. Łzy wypełniły oczy. Zaczął ostrożnie, regularnie oddychać, napełniając płuca, po czym powoli wypuszczał z nich całe powie-trze. Czuł, jak w boku trą o siebie połamane żebra, lecz próbował skupić się całkowicie na oddychaniu, na marszu, na rytmie. Ból osłabł. Po nodze ściekała mu krew.

Bliskość Alfya stała się niemal dotykalna. Jego oddech, jego głos. Miał ochotę się uśmiechnąć.

W gabinecie Griffitha nie było nikogo. Z korytarza na ze-wnątrz dochodziły odgłosy biegania i podniesione głosy. Steward przejrzał szafy i znalazł jeden z szytych na miarę garniturów Griff-fitha. Był wykonany z ciemnego materiału, więc nie widać na nim krwi. Krzywiąc się z bólu, zrzucił zakrwawioną kurtkę na podło-gę i założył marynarkę Griffitha. Położył na ranie znaną chu-steczkę, włożył pistolet za pas i wyszedł na korytarz. W budynku panowała powszechna panika. Strażnicy biegali w obie strony korytarza z wyciągniętą bronią, ale najwyraźniej nie wiedzieli, gdzie ją kierować. Głowa została odcięta i pozosta-ło bezradne ciało. Steward zastanawiał się, czy panika Mocnych nie przedostaje się przypadkiem przez kanały wentylacyjne i nie wpływa jakoś na ludzi ze znamieniem wijki. Zmusił się do marszu. Nie było to łatwe, i do tego nie udało mu się powstrzymać od utykania. Próbował zbudować rytm z ru-chu i oddechu, tak by utykanie stało się jego częścią. Pomyślał, że to będzie dobre zen. Splunąć w oko pustki. Nie mam celu, pomyślał. Okazja czyni mój cel.

Poczuł w ustach smak krwi. Cholera. Pocisk zawadził o płuco.

Me czynię cudu. Sprawiedliwe prawo jest moim cudem. -----„v».....-----
-----291 Z całego wiersza pamiętał już tylko zakończenie. Alfa wypeł-niał jego duszę.

Oślepił go potok jasnego światła. Szklane drzwi majaczyły tuż przed nim. Przekuśtykał obok trzech sekretarek i wyszedł na ulicę. Powietrze w Los Angeles było już na tyle gorące, że po-nownie odjęło mu oddech. Słońce świeciło tak jasno, że prawie nic nie widział na oczy. Sięgnął po swoje przyciemniane okula-ry, lecz zamiast nich ręka wyjęła pistolet. Przyglądał mu się przez chwilę.

Merde, pomyślał. Ruszył ulicą przed siebie. Noga za nogą. Sły-szał krzyki jakichś ludzi.

Na rogu stała budka telefoniczna. Sięgnął wolną ręką do kie-szeni dzinsów, próbując znaleźć szpilkę kredytową. Krew bulgo-tała mu w gardle. Miał ochotę się wyrzygać. Usiadł na ziemi. Z oddali usłyszał wycie syren. Odkasznął krew i wypluł ją przed siebie. Jeszcze jedno splunięcie w oko pustki. W pewnej chwili uświadomił sobie, że wkoło niego stoją lu-dzie. Gapią się na niego. Pokazał im wyprostowany palec. - Ecrasez l'infidme - powiedział.

Przy jego drzwiach stał strażnik, a drugi był na zewnątrz. Ste-ward słyszał, jak policja kłóci się z lekarzami. - Tam pod ziemią - mówił czyjś głos - byli Mocni. Więcej nie usłyszał, bo z kroplówką było coś nie tak. Urzą-dzenie monitorujące zaczęło głośno buczeć i pielęgniarki biega-ły jak opętane. W końcu założyli mu nowy aparat. Miał wrażenie, że lekarze przeważyli szalę argumentów na swoją stronę. Uśmiechnął się i zasnął.

Obudził się na dźwięk czyichś kroków. Wiedział skądś, że nie oznaczało to nic dobrego.

Otworzył oczy i zobaczył gładko zaczesane, miedzianorude włosy, opaloną skórę, fartuch laboratoryjny i pistolet. Reese. Za-cierała ślady i prawdopodobnie nie miała innego wyjścia. -

Wybacz mi - powiedziała i uniosła broń.

- Śmiało, jestem ci to winien - chciał odpowiedzieć, lecz nie potrafił zmusić swojej krtani do normalnej pracy, więc po prostu się uśmiechnął.

Alfa wpłynął w niego z siłą tornada. Jego zmysły odbierały zawrodoenie Mocnych. Uśmiech Griffitha. Odgłosy strzelani-ny w słoneczny dzień. Szeol w czasie śnieżnej burzy. W uchu słyszał szept swojego Alfya. Krew na przesuwającym się hory-zoncie, coraz bliżej, rozplomieniąjąca noc czerwonym bla-skiem...

Wszystko czego pragnął przez cały ten czas.

Steward poczuł, że powietrze rytmicznie wypełnia mu płuca, a w nosie tkwi ciepła i elastyczna rurka. Uczucie chłodu ustąpiło, gdy wypełnili go ciepłymi płynami. Słyszał syk oddychającej za niego maszyny.

Życie, które wpływało do niego plastikowymi rurkami, mówiło mu, że jest martwy. Zastanawiał się, jak to wszystko się stało, jak nadszedł koniec. Umarłem w Los Angeles, pomyślał. Na końcu bardzo długiej trajektorii.

Jedno życie, pomyślał. Jedna strzała.

Miał nadzieję, że to, co zrobił Beta, było słuszne. Pierwszą osobą spoza personelu medycznego, którą zobaczył była Janice Weatherman. Przyniosła paczkę ciastek i puszkę bardzo dobrej kawy, razem z ekspresem. Miała na sobie miękką kurtkę w kolorze jasnej opalenizny. Wokół jej nadgarstków i szyi błyszczało srebro.

- Chciałam ci przekazać wyrazy szacunku od mojego banku - powiedziała. - Mamy nadzieję na dalszą owocną współpracę. - W następnym życiu - odparł Steward. Musiał szeptać, bo maszyna wtłaczała do niego powietrze przez rurkę tracheotomiczną i nie mógł używać strun głosowych.

Weatherman nachyliła się do niego bliżej.

- Nie dosłyszałam tego, co powiedziałeś.

Stewardowi nie zostało wiele pieniędzy, w każdym razie z tego, co wiedział. Resztkę jego majątku poszła na wykupienie ubezpieczenia klonującego. Nie było sensu jej o tym mówić. - D'accord - wyszeptał.

Uśmiechnęła się. Teraz dopiero zauważył, że w uszach nosiła platynowe kolczyki. Wzięła go za rękę.

- Fundusz powierniczy ma się bardzo dobrze - powiedziała -----293 Weatherman. - Andrew znakomicie reaguje na terapię Genesisem. Jego kręgosłup rozrósł się i zaczął łączyć. Któregoś dnia być może będzie miał jakiś pożytek ze swoich nóg. Używają technik biofeedbacku, żeby przestawić jego nerwy optyczne na jednoczesne obsługiwanie ośrodków wzroku i mowy. Uczy się teraz używać syntezatora głosu. Robi w tej dziedzinie naprawdę szybkie postępy. Pomaga mu w tym muzyka.

Skinął głową. Przynajmniej wynikło z tego wszystkiego coś pożytecznego. Poczł satysfakcję.

- Gdy nie nadszedł twój kod, natychmiast wysłałam informację - opowiadała dalej Weatherman. - Gliniarze z Los Angeles znaleźli już tajną bazę Mocnych na Ziemi. W środku pełno było martwych obcych. Wszystkie rządy świata wpadły w szal, żądając wyjaśnień.

Steward spróbował się zaśmiać. Zabolało, więc uśmiechnął się tylko do kobiety i uściskał jej rękę. Odwzajemniła mu się tym samym.

- Bardzo wielu ludzi chce się z tobą widzieć - dodała. - Dyplomaci, gliniarze. Wydaje im się, że potrafisz wszystko im wyjaśnić. Muszą jednak zaczekać na swoją kolej. Banki mają określone przywileje, przynajmniej na Solonie.

- Dlatego tak mi się tam podoba - wyszeptał Steward. - Wszyscy tam wiedzą, co jest naprawdę ważne. Dlatego właśnie tam Beta wykupił ubezpieczenie klonujące, zanim ruszył w dół studni grawitacyjnej na spotkanie z Grif-fithem. Cały Solon miał obsesję na punkcie zabezpieczeń. Nieprzeliczona rzesza milionerów-kryminalistów chowała tam swoje dochody, banki nieprzerwanie monitorowały wszelkie próby dostępu, a brokerzy wszędzie węszyli potencjalnych oszustów. Nikt

nie mógł widzieć się ze Stewardem, jeśli Steward nie miał na to ochoty.

- Są tam też ludzie z mediów. Powinieneś sporo zarobić, jeśli zdecydujesz się z nimi porozmawiać. Mogę to za ciebie załatwić. - Później.

Weatherman zerknęła kątem oka w kierunku jednej ze ścian pokoju, jak gdyby ktoś dawał jej tam jakiś sygnał. Wyprostowała się.

- Mówią mi, że muszę już iść - powiedziała. - Zobaczymy się później.

- Cześć.

Uśmiechnęła się, uściśnęła mu dłoń i wyszła. Kapitał, pomyślał Steward. I zaśmiał się na tyle, na ile mógł sobie pozwolić.

Nieco później Steward dowiedział się, co policjanci z Los Angeles myślą o tych wydarzeniach i mniej więcej zgodził się z ich opinią.

- Dlaczego pan... to znaczy pana Beta, po prostu nam nie powiedział? - starał się zrozumieć ich przedstawiciel. - Mogliśmy przeszukać to całe cholerne miejsce.

- Nie był pewien - odparł Steward. Przyzwyczyił się już do mówienia o Becie w trzeciej osobie - A poza tym część całej sprawy miała... charakter osobisty. Do załatwienia między Icehawks. Między ludźmi, którzy przeszli przez Szeol. - Ale Beta przecież nie był na Szeolu - zauważył kapitan policji.

- Szeol - powiedział z naciskiem Steward. - To było tornado. Kapitan policji nie zrozumiał. Od tej pory Steward unikał dalszych rozmów z tym człowiekiem.

Skangazety krzyczały o „obsesji Mocnych” na Ziemi. Ricot i Westa nie przestawały wysyłać dementujących komunikatów, w które nikt nie wierzył. Ich akcje runęły z hukiem na samo dno. Steward zakomunikował dyplomatom i reszcie towarzystwa, że jest zainteresowany wyłącznie wyjaśnieniem oświadczenia złożonego przez Betę, a nie jego wzmocnieniem, oraz że życzy sobie otrzymać z wyprzedzeniem wszystkie pytania na piśmie. Posiadał tymczasowe obywatelstwo Solona i nie musiał udzielać odpowiedzi na pytania, które mu się nie podobały. Protestowali, ale stosowali się do jego zasad. Odpowiedział tylko na pytania, które mu pasowały.

Janice Weatherman miała lada chwila urządzić aukcję praw wyłączności dla mediów i pobrać prowizję w wysokości dziesięciu procent sumy, która zapowiadała się na horrendalnie wysoką. Steward nie miał ochoty myśleć w tej chwili o tym, jaki będzie bogaty.

Analizował słowa Ashrafa: „To nie miało nic wspólnego z tobą”. Miał rację. Tyle że cały czas mówił o niewłaściwym klonie. Weatherman spędzała z nim bardzo dużo czasu, dużo więcej niż naprawdę musiała. To była kolejna rzecz, o której Steward nie chciał myśleć, jeszcze nie teraz. Najpierw musiał się zastanowić, co dalej ze sobą zrobić.

Otoczony przez strażników, wybrał się na wycieczkę do samego środka Solona. Wszedł do pomieszczenia, gdzie mógł unościć się samotnie w nieważkim powietrzu i wyglądać przez doskonale przezroczystą szybę na zewnątrz szumiącego, metalowego świata stacji. Ziemia drażniła oczy swoją jasnością, zimna i odleżała pośród wszechobecnej pustki.

Jego poprzednik, Beta, skopiował swój mózg i zostawił skrawek swojego ciała, po czym ruszył w pościg za Alfą. I znalazł go, jak się Stewardowi zdawało, w podwodnym Szeolu, który zbudowano w Kalifornii. Zakończył to, co rozpoczął Alfa. Razem stali się tornadem. A potem przyszedł kres i

rozpadli się na kawałki. Cokolwiek Alfa i Beta mieli do zrobienia, zostało już zakończzone. Steward stracił ich obu. Poczł dotknięcie pustki w miej-scu, gdzie kiedyś byli, gdzieś głęboko w gardle. Beta został stworzony, by dokończyć dzieło Alfę, spłacić jego karmiczny dług. Zamknąć wszystkie sprawy związane z de Pre-yem, Curzonem, Szeolem, Andrew. On, Gamma, był już kimś zupełnie innym. Jego życie miało potoczyć się innym torem. Jestem jak święty zen, pomyślał rozbawiony. Bez karmiczne-go spadku, bez konsekwencji, bez pragnień. Czysty jak nie zapi-sana strona. Beta wykonał dobrą robotę.

Steward unosił się pośród ziemskiej poświaty, która nada-wała jego skórze białawy odcień. Ogromne cielsko stacji obraca-ło się wokół niego i za nim.

Nowe życie, pomyślał. Nowa strzała.

Tylko gdzie leży jej cel.

#